



ELVIRA BARYAKINA

BURZLIWA EPOKA

CZĘŚĆ II

BIAŁY
SZANGHAJ

Prószyński i S-ka

ELVIRA BARYAKINA

BURZLIWA EPOKA

CZĘŚĆ II

BIAŁY
SZANGHAJ

Przełożył
Rafał Dębski

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału

АРГЕНТИН БЕЛЫЙ ШАНХАЙ

Copyright © 2009 Elvira Baryakina

All rights reserved

Projekt okładki

Magdalena Zawadzka

Zdjęcie na okładce

© Malgorzata Maj

title/Arcangel Images; Mark Owen

title/Arcangel Images; Anton_Ivanov/Shutterstock.com

Redaktor prowadzący

Monika Kalinowska

Redakcja

Maria Talar

Korekta

Sylwia Kozak-Śmiech

Zofia Firek

ISBN 978-83-809-286-5

Warszawa 2017

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

Rozdział 1

Emigranci

Notatnik Klima Rogowa. Zyski i straty

Wyobrażam sobie, w jaki popłoch wprawiliśmy chińskich wartowników!

Wszystkie jednostki nawodne musiały przepłynąć obok fortu Woosung przy połączeniu rzek Jangcy i Huangpu: rzeźbione dżonki pod żaglami, podobnymi do smoczyczych skrzydeł, zakopcone barki węglowe, oceaniczne liniowce i najeżone bronią krążowniki.

Ale pewnego dnia, dokładnie 5 grudnia 1922 roku, z mgły wyłoniły się statki-widma, przeżarte rdzą, z łuszczącą się farbą na burtach i poszarzałymi banderami nieistniejącego mocarstwa – Imperium Rosyjskiego.

Nad falami Huangpu, przypominającymi barwą kawę z mlekiem, poniósł się dźwięk syren, zupełnie jakby wielkie ranne zwierzęta przyszły do obcego domu i jęczały w głos.

Kiedy statki zawijają do chińskiego portu, przybijają do nich dziesiątki sampanów z miejscowymi, którzy chcą sprzedać marynarzom rybę, owoce i tanie pamiątki. Do nas nikt się nie zbliżył. Uchodźcy, na dodatek w takiej liczbie, to nie jest miły widok dla ludzi o słabych nerwach.

Staliśmy na pokładzie czarnym niemym tłumem i patrzyliśmy na płaski brzeg, przysypany śnieżkiem, na fort i dalekie dachy o wygiętych w górę rogach.

Nad murem obronnym zagrzmiał armatni wystrzał. Zakazano nam dalszej podróży w górę rzeki, bo jeszcze byśmy zakłócili nie daj Boże spokój Szanghaju, miasta-marzenia dla sprytnych przedsiębiorców, pańienek lekkich obyczajów i handlarzy opium.

Stanęliśmy pokornie na kotwicy, a po godzinie przybył kuter z oficjalnymi przedstawicielami Anglików i Chińczyków. Obejrzel nasze brudne i oberwane wojsko, ustawione na pokładzie przed kuchnią. Na obiad mieliśmy gotowany ryż bez masła i soli.

Wiatr trzepotał spodniami i pieluchami rozwieszonymi na zabezpieczonych brezentem lufach dział. Z rufy dobiegały głuche śpiewy kapłanów, szykujących się do pogrzebu kobiety zmarłej na zapalenie płuc.

Kapitan zaprosił gości do mesy, do której z miejsca napchało się starszych oficerów i przedstawicieli społeczności cywilnej. Mnie, jako wielkiemu znawcy mowy Szekspira, przypadła funkcja tłumacza.

– Jesteśmy ostatnim oddziałem Białej Armii, pokonanej w rosyjskiej wojnie domowej – wyjaśniłem przybyłym. – Dwa miesiące temu czerwoni zmusili nas do opuszczenia Władywostoku i od tamtej pory próbujemy znaleźć jakąś przystań.

Z Korei nas wygnano, do północnych Chin nie wpuszczono, więc całą nadzieję pokładamy w Szanghaju.

Kapitan okazał się człowiekiem pozbawionym taktu i zaczął udowadniać Anglikowi, że w Londynie, Paryżu i Waszyngtonie rządzą skończone łajdaki:

– Gdyby nie wy, w Rosji nie byłoby żadnej wojny domowej! Obiecaliście naszym generałom pomoc, a potem zostawiliście nas na pastwę losu!

W tych słowach było trochę prawdy: wyposażenie białogwardzistów całkowicie zależało od sojuszników. Ale w Europie dopiero skończyła się wojna, wszyscy byli nią zmęczeni, więc zachodni politycy uznali, że walka z bolszewizmem nie jest dla nich priorytetową sprawą.

Biali z trudem powstrzymywali Armię Czerwoną, która była wielokrotnie liczniejsza, a gdy pozbawiono ich wsparcia, klęska stała się po prostu nieunikniona.

Niestety, nasza historia nie poruszyła miejscowych oficjeli. W ogóle niewiele rozumieli z tego, co się dzieje w Rosji i z jakiej racji Wielka Brytania, a tym bardziej Chiny, powinny nam nieść pomoc.

– Musi zginąć świat, w którym każdy myśli tylko o sobie! – warknął na nich kapitan. – Nawet jeśli nie chcecie nas znać, co niby zrobicie? Teraz na świecie wszystko jest wspólne: i polityka, i wojny, i uchodźcy. Najlepiej nas od razu utopcie!

– Ilu was jest? – spytał z rozdrażnieniem Anglik. – Dwieście, trzysta osób?

Wyjaśniłem, że około dwóch tysięcy, a niebawem nadpłynie jeszcze dziewięć parowców. Przeszło połowa uciekinierów to żołnierze, oficerowie i kadeci. Nie mamy pieniędzy, prawie nikt nie zna obcych języków. Nie myśleliśmy jeszcze o tym, jak zamierzamy sobie radzić.

Twarz Anglika poszarzała.

– Nie damy rady przyjąć aż tylu ludzi! Jeśli wpuścimy was do miasta, zamienicie się we włóczęgów i przestępców. Lepiej odpłyńcie.

Nina, moja żona, też znalazła się w mesie.

– Przetłumacz – nakazała mi i zwróciła się do urzędnika: – Jeśli nas przepędzicie, zginiemy. Nie zostało nam już prawie węgla, a jedzenia wystarczy na dwa tygodnie. Okręty są w tragicznym stanie, dwa już zatoneły podczas sztormu.

Anglik i Chińczyk spojrzeli na siebie, najwyraźniej przerażeni.

– Chwileczkę... Dwa tysiące ludzi to z tymi utopionymi czy bez nich?

Obiecali zameldować o nas ojcom miasta i odpłynęli. A po dwóch godzinach zjawił się chiński okręt, który wziął nas na cel. Bardzo to było rozumne i zapobiegliwe – nigdy nie wiadomo, może nagle z rozpaczy zaatakujemy pokojowy Szanghaj? Przecież w ładowniach pełno broni, wystarczyłoby jej na niewielką wojnę.

Z pewnością nie ma co się wielce smucić, bo wszystko, co najgorsze, już minęło, a w każdym razie w moim przypadku. Prędzej czy później wpuszczą nas do miasta, trzeba więc pomyśleć, co zrobimy po zejściu na brzeg.

Przytłaczająca większość uchodźców nie ma pojęcia, co to Chiny, a wszyscy Chińczycy, jakich w życiu widzieli, dzielą się na następujące kategorie:

- bandycy chunchuzi, którzy zwykli napadać na rosyjski Daleki Wschód,
- karatecy, służący w Armii Czerwonej,
- robotnicy na czarno, przyjeżdżający do Rosji po zarobek,
- skośnookie dzieci, namalowane na pudełkach herbaty.

Cieszę się wśród uchodźców wielkim autorytetem, gdyż w młodości przez pewien czas mieszkałem w Szanghaju. Wieczorami zbieramy się w mesie i dzielę się z innymi swoją wiedzą.

Rosja ma wszystkiego tysiąc lat, a Chiny są starsze co najmniej cztery razy. To jedyne państwo, zrodzone w starożytności, które istnieje do dzisiaj. Tutaj wynaleziono druk, papier, kompas, proch, porcelanę i jedwab. Tutaj buddyzm współistnieje pokojowo z taoizmem i konfucjanizmem. Ogromna większość mieszkańców Chin należy do ludu Han, przy czym pekińczyk nie zrozumie ani słowa z mowy obywatela Szanghaju albo Hongkongu. Wszyscy oni mówią różnymi dialektami, mogą się jednak porozumiewać pisemnie, bo hieroglify mają jednakowe.

Niegdyś Niebiańskie Imperium było państwem najpotężniejszym i najbogatszym na świecie, ale nie potrafiło się wyzwolić z okowów średniowiecza i haniebnie przegrało z Europejczykami wszystkie wojny poprzedniego stulecia. Zwycięzcy zmusili Chińczyków do podpisania niekorzystnych umów i uczynili z mieszkańców tych ziem „nie w pełni istoty ludzkie”. Okazują im taką pogardę, że nawet starszych ludzi nazywają „boyami” i nadają im numery: boy jeden, boy dwa, boy trzy i tak dalej.

Na papierze Chiny są niezawisłym krajem, ale w istocie rzeczy to właściwie kolonia. Na wypadek buntu w dużych portach stacjonują wojenne jednostki morskie wielkich mocarstw – Anglii, Francji, Włoch, Stanów Zjednoczonych i Japonii.

Nina udaje, że nie ciekawia jej moje opowieści. Jakże to jednak niezręcznie najpierw posłać męża do diabła, a potem korzystać z jego usług. Ale nie ma nikogo więcej, poza mną, żeby go wypytać o Szanghaj, dlatego stoi w korytarzu i przysłuchuje się moim słowom. Widzę przecież jej odbicie w szybie drzwi.

Wiedziony wrodzoną dobrocią, staram się więc mówić głośno.

– Szanghaj to największy port na Dalekim Wschodzie. Miasto jest podzielone na trzy części: chińską zarządza miejscowy wojskowy gubernator, francuska koncesja podporządkowana jest Paryżowi, a Osiedle Międzynarodowe znajduje się pod zarządem pozostałych mocarstw. Językami powszechnie funkcjonującymi są angielski, francuski i tutejszy dialekt „pidżin”, jak nazywają żargon, którym Chińczycy porozumiewają się z obcokrajowcami.

Na kawałku wystrzępionej kartki rysuję mapę Szanghaju, a potem gubię ją „niechcący”, przechodząc obok Niny. Podnosi papier i długo mu się przygląda. A ja patrzę na nią z oddalenia.

Szczupła sylwetka, ciemne loki, blada twarz o płonących szarzielonych oczach... W Ninie w niewiarygodny sposób miesza się kobieca delikatność z siłą woli, twardym charakterem i poruszającą bezbronnością. Na podstawie wizerunku mojej żony można by namalować obraz Carewny Łabędzia, i chociaż teraz ma na sobie wypłowiały płaszcz bżowej barwy oraz wytartą czapkę z karakułów, nie mogę oderwać od niej oczu. Przy czym od trzech miesięcy patrzeć, to jedyne, co mi wolno.

Ostatni raz pozwoliła się dotknąć, kiedy dostała na urodziny baletki. Jej buty się rozpadły, musiałem więc wydać ostatniego dolara na różowe pantofelki, bo nie było nic innego do nabycia. Wręczyłem prezent, pocałowałem Ninę w rękę i na tym zakończyły się nasze stosunki małżeńskie.

Wyjechałem z Rosji jeszcze jako chłopak i ostatecznie osiadłem w Buenos Aires, gdzie zostałem całkiem niezłym dziennikarzem.

Ojciec zapisał mi w testamencie kamienicę w Niżnym Nowogrodzie i po jego śmierci diabeł mnie podkusił jechać do domu. Tuż przed bolszewickim przewrotem!

Cały majątek zniknął w ogniu rewolucji, ale nie dbałem o to, bo poznałem Ninę i dla niej byłem gotów poświęcić wszystko.

Zdawało mi się, że dopóki jesteśmy razem, nic nam nie będzie straszne. Jakimś cudem daliśmy radę dotrzeć do białogwardyjskiego Przymorza, a przecież tylu uciekinierów zginęło, próbując wyrwać się z bolszewickiego imperium! Najwyraźniej ja i Nina byliśmy ulubieńcami losu i we Władywostoku dałem nawet radę zatrudnić się w miejscowej gazecie.

Ale okazało się, że na radość za wcześnie.

– Zdajesz sobie sprawę, że białogwardziści nie zdołają utrzymać Dalekiego Wschodu? – pytała mnie co trochę Nina. – Co zamierzasz robić, jeśli przyjdzie nam emigrować?

Wzruszałem ramionami: „Potem się zobaczy”. Z pewnością pokpiłem sprawę, bo przecież żona nie wymagała ode mnie przepowiedni, lecz stanowczego zapewnienia, że zdołam się o nas zatroszczyć. Na dodatek zachorowała na tyfus i wciąż jej się majaczyło, że zamarza w nieznanym mieście pośród obcych, których nie może nawet poprosić o pomoc.

Próbowałem jej wyjaśnić, że takie lęki to skutki choroby.

– Jakoś się z tego wykaraskamy, skoro tyle już przeszliśmy!

Ale Nina nie słuchała. Kiedy wyzdrowiała, zaczęła na długo wychodzić z domu, a gdy pewnego razu wróciła, powiedziała coś takiego, że oniemiałem:

– Zbyt wiele nas różni. Ty jesteś człowiekiem lekkomyślnym i nie umiesz się troszczyć o przyszłość.

– Zrzucasz na mnie całą odpowiedzialność.

– Dobrze, że nie mamy dzieci, bo tobie nawet kota nie można by powierzyć.

I porzuciła mnie.

Teraz mogę o tym jako tako spokojnie pisać, ale wówczas całymi dniami włóczyłem się po mieście jak pijany, szukając Niny. Przychodziłem do domu i czekałem z nadzieją, że jednak wróci.

Nie miałem pojęcia, co ze sobą począć. Zostać we Władywostoku i czekać

na przyście czerwonych? Wsiąść na jeden z okrętów admirała Starka, przygotowujących się do ewakuacji? Rzuciłem monetą i wypadł mi dwugłowy orzeł, zatem wraz z tysiącami uchodźców dołączyłem do admirała. Kapitanowie wyprowadzili jednostki w morze, nie mając pojęcia, dokąd trzeba się skierować.

Zupełnym przypadkiem znaleźliśmy się z Niną na jednym okręcie. Ona udawała, że mnie nie zna, ale przed ludźmi nic się nie ukryje! Po jednym dniu o naszej tragedii wiedziały wszystkie jej sąsiadki w kajucie, a po tygodniu cały parowiec.

Nina zapoznała się z dawnym czeskim jeńcem wojennym o nazwisku Jirzi Labuda i sądząc z tego, ile czasu poświęca temu blademu młodzieńcowi, całkowicie oddała mu moje miejsce w swoim sercu. Labuda zna różne języki i codziennie uczy ją angielskiego. Można założyć, że nie przepadną w Szanghaju.

Próbuję się jakoś trzymać i niezbyt ulegać zazdrości oraz kuszącym myślom o samobójstwie. Mam trzydzieści trzy lata, więc za wcześnie postawić na własnym życiu krzyżyk. Ale prawdę mówiąc, bardzo żałuję, że to nie nasz okręt zatonął w czasie sztormu.

Już od kilku tygodni rosyjscy uchodźcy przebywali na okrętach, a władze Szanghaju nie mogły się zdecydować, co z nimi zrobić. Tyle tylko, że dostarczono im ryż, bataty i beczki z wodą pitną, znikła więc groźba śmierci głodowej. Ale było bardzo trudno siedzieć dzień za dniem w pływającym więzieniu, czekając, czy zostanie się wypuszczonym na wolność.

Nina Kupina przechadzała się po zardzewiałym pokładzie i kuła angielskie słówka: *to come* – przychodzić; *to see* – zobaczyć; *to win* – zwyciężyć.

Młody chłopaczek rysował węglem na ścianie choinkę. Komitet rodzicielski pragnął urządzić dzieciom chociaż namiastkę świąt. Kobiety prały, mężczyźni ścierali ryż w ręcznych młynkach, bo kucharz okrętowy obiecał upiec na Boże Narodzenie placuszki, jeśli będzie mąka.

Na rufie marynarz wymachiwał flagami sygnałowymi, odpowiadali mu z drugiej jednostki. Oszczędzano elektryczność, dlatego łączność między okrętami utrzymywano „ręcznie”. Czasem opuszczano szalupę, żeby popłynąć w gości do sąsiadów, ale chińscy wojskowi za każdym razem robili o to awantury – bali się, że uchodźcy mogą się dostać do miasta bez pozwolenia.

Szanghaj był blisko, na wyciągnięcie ręki... Obok co trochę przepływały statki oceaniczne, łodzie rybackie i turystyczne parostatki, napędzane kołami łopatkowymi. Wszyscy mieli prawo schodzić na brzeg. Wszyscy, z wyjątkiem Rosjan.

Uchodźcy, chociaż marzyli o Szanghaju, ale też bali się go okrutnie. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że będzie bardzo trudno, ale pocieszali się, że nie przybyli do Chin na zawsze.

„W Rosji niebawem wybuchnie antybolszewickie powstanie i będziemy mogli wracać” – w to wierzyli wszyscy bez wyjątku. Ku zdziwieniu Niny, ludzie nie rozmawiali o tym, jak będą się urządzać w nowym miejscu, ale opowiadali sobie, jak cudownie będzie mieszkać w Rosji – kiedyś tam.

– Doprowadzę do porządku dziadkowy ogród – mówił z rozmarzeniem kapelan pokładowy. – Wcześniej nie było czasu, ale teraz na pewno już naprawię ogrodzenie i wykopię studnię.

– A pamiętacie uchę w restauracji Wołga? – wtórował mu oficer piechoty. – Tam się musimy spotkać!

– Wstąpię na moskiewski uniwersytet! – przysięgał były student. – Przecież z pierwszego roku mnie wzięli na front, nie miałem jak skończyć studiów.

Nina też często wspominała swój biały dom na Grzebyku, jak nazywano wysoką górę, z której roztaczał się wspaniały widok na Okę i kolorowe

zabudowania Jarmarku w Niżnym Nowogrodzie. Dusza naprawdę wzdragała się przyznać, że nie będzie ani wiosennej czeremchy, ani rosyjskiej bani, ani sanny, ani dzwonoń na Paschę...

Straty były zbyt wielkie, żeby się z nimi łatwo pogodzić, ale należało uznać porażkę, zebrać siły i zacząć wszystko od początku.

Jeśli tylko oglądać się wstecz i żyć wspomnieniami, to łatwo się zadreńczyć i przegapić możliwości, które otwierają się tu i teraz – myślała Nina. – Pozostali niech robią, co chcą, ale ja zamierzam odnieść w Szanghaju sukces i poświęcę temu wszystkie siły.

Próbowała sobie wyobrazić, co będzie, kiedy tłum uchodźców wleje się do miasta. Wynędziali obcy, szczególnie jeśli jest ich wielu, wywołują nie współczucie, ale strach i obrzydzenie. Powinni się spodziewać, że miejscowi znienawidzą nieproszonych gości. Rosjanie, którzy przywykli się uważać za większość narodową, przemienią się w plemię wzgardzonych i staną kimś w rodzaju Cyganów, którymi tak gardzono w Rosji. W najlepszej sytuacji znajdą się ci, którzy zejną na brzeg wcześniej od innych i urzędzą się w mieście, zanim rosyjski akcent zacznie się kojarzyć tylko z głodnym żebrakiem.

Ale jak dotrzeć do Szanghaju, Nina nie miała pojęcia. Nie da się przecież uciec z okrętu.

Zmrok już zapadł, więc na łodziach i na przystani zapalono okrągłe papierowe latarnie. Chińscy rybacy mieszkali na swoich sampanach – tutaj spali w szałasach zbudowanych z desek i trzciny, tutaj gotowali jedzenie w małych, okopconych kociołkach.

Stopniowo pokład rosyjskiego parowca opustoszał, ludzie kładli się spać. Lecz Nina wciąż stała przy relingu, kuląc się przed wiatrem. Podszedł to niej Jirzi Labuda – niewysoki szarooki chłopak z jasnorudymi włosami i piegowatym nosem. W prawej dłoni brakowało mu trzech palców.

– Madame, jeśli pani chce, poświęcę zapalniczką, bo w korytarzach jest ciemno i łatwo można się potknąć.

Ninę bawiło to, jak bardzo Czech chciał jej usługiwać. Był namolny jak mały kogucik i wiecznie robił z siebie Bóg wie kogo, chociaż i tak nie potrafił zasłużyć sobie na szacunek. Czuł się obcym wśród Rosjan i bardzo był rad, że Nina wzięła go pod swoje skrzydła. Ustalili, że po wyjściu na ląd będą się trzymać razem.

Jirzi Labuda był wiolonczelistą, wróżono mu wielką karierę, ale kiedy zaczęła się Wielka Wojna, dostał powołanie do armii. Został ranny i trafił do niewoli. Przez trzy lata przebywania w obozie jenieckim nauczył się rosyjskiego. W jakiś sposób dotarł do flotyli białogwardyjskiej, ale sam nie wiedział, dokąd się udawał i po co.

Nina się domyślała, że Klim jest zazdrosny o Czecha, a to jednocześnie irytowało ją i śmieszyło. Jakże mógł pomyśleć, że zakochała się w takim błaznie? Jirzi był kpiarzem, beztroskim i ruchliwym, więc branie go pod uwagę jako obiekt uczuć było absolutnie wykluczone. Podobnie zresztą, jak wszystkich innych uchodźców.

Chcąc nie chcąc, mężczyźni podczas exodusu naruszali odwieczne tradycje, wedle których to na nich spoczywał obowiązek utrzymywania i chronienia rodzin. Ich żony musiały brać się do pracy, do której nikt ich nie przygotował, inaczej nie dało się przeżyć.

Honoraria, jakie Klim otrzymywał we władystockiej gazecie, nie wystarczały praktycznie na nic, więc Nina była zmuszona handlować śledziami na bazarze. Z początku starała się odnosić do swojej „profesji” jak do czegoś tymczasowego, ale wkrótce zaczęły ją nawiedzać nieprzyjemne myśli: a jeśli taki już jej los pisany? Każdego dnia ta sama ciężka, brudna robota, wieczne przeziębienia i słabość z głodu.

Klim nie rozumiał, że Nina nie mogła czekać, aż on stanie na nogi. Widziała wokół siebie byłe arystokratki, kupcowe i żony dostojników tracące nie tylko urodę, ale też nadzieję, że ich sytuacja ulegnie kiedykolwiek poprawie. Myły podłogi w ubikacjach dworcowych i prały żołnierskie kalesony, i nikt już w nich nie dostrzegał pięknych dam. Jeśli dama zmieniała się w surową, chorowitą kobiecinę, której z niedożywienia wypadła połowa włosów i zębów, na co mogła liczyć? Nawet jeśli jej mąż jakimś cudem by się wzbogacił, od razu zaczęła na niego polować dzierlatki, a który by się oparł młodości i urodzie? Przy czym większość mężczyzn nie marzyła o bogactwie. Ich udziałem stały się nieróbstwo, pijaństwo, niezaleczone rany i gorzkie żale o utraconej Rosji.

Klimowi trudno było coś zarzucić, ale po chorobie Nina z całą ostrością zrozumiała, że zginie, jeśli od niego nie odejdzie. Bez paszportów i pieniędzy nie dadzą rady wyjechać ani do Europy, ani do Ameryki, a komu w Azji potrzebny dziennikarz, który umie pisać tylko po rosyjsku i hiszpańsku? W angielskim Klim robił mnóstwo błędów, a po szanghajsku mógł się co najwyżej targować na bazarze.

Nie znajdzie żadnej pracy, będziemy mieszkali pod mostem i szukali jedzenia po śmietnikach – myślała Nina z przerażeniem. – A trwało to będzie do pierwszej poważnej infekcji albo awantury z miejscowymi nędzarzami.

Nina wciąż próbowała obwiniać Klimę o nieistniejące grzechy, żeby nie było jej tak bardzo wstyd za utajony zamiar odejścia. W ostatnich dniach przed ewakuacją nie była w stanie przebywać z mężem w jednym pomieszczeniu.

Klim patrzył na nią strwożonym wzrokiem, co i raz próbował jej udowodnić, że nie wszystko jeszcze stracone.

– Nie na mnie się teraz złościć – powiedział pewnego dnia. – Po chorobie

wielu traci nerwy. Jeśli nie wierzysz, spytaj jakiegoś lekarza! W Rosji połowa ludności przeszła tyfus. Myślisz, że dlaczego wszyscy są tacy nienormalni? Ale to z czasem przejdzie!

Klim nagle przerwał w pół słowa i przytulił Ninę.

– Nie rzucaj mnie – wyszeptał drżącym głosem. – Jesteś dla mnie wszystkim.

Miała ochotę krzyknąć: „Zostaw mnie w spokoju”, ale nie ośmieliła się, ze strachu, że w rozpaczy Klim straci nad sobą panowanie.

Następnego ranka Nina porozumiała się co do miejsca na okręcie i przeprowadziła się, na wszelki wypadek biorąc rewolwer Klimy. Tylko tego jej brakowało, żeby desperat strzelił sobie w łeb!

Była pewna, że więcej nie zobaczy już męża, ale wyszło inaczej. Podczas ewakuacji Klim trafił na tę samą jednostkę. Nie narzucał się jej, duma mu nie pozwalała, ale stało się dla niej oczywiste, że zdrada żony podcięła mu skrzydła. Był do siebie niepodobny, po dawnej radości i energii życiowej nie pozostał nawet ślad. Od czasu do czasu przemagał się i urządzał na okręcie to lekcje, to tańce, ale potem znów zamykał się w sobie i nie chciał z nikim rozmawiać.

Nina przekonywała samą siebie, że samemu będzie mu łatwiej, a jeśli zechce, bez problemów może znaleźć sobie kobietę. Mało to takich, które gotowe są w każdej chwili zakochać się w eleganckim, ciemnowłosym mężczyźnie, który w dodatku nie nadużywa alkoholu?

A ja potrzebuję kogoś, kto stoi twardo na ziemi i można z nim mieć dzieci – powtarzała sobie Nina.

Od ślubu z Klimem okropnie bała się ciąży. Przecież gdyby urodziło im się dziecko, w żaden sposób nie zdołaliby go ochronić.

– Chodźmy spać – powiedziała do Jirziego, ale on nie ruszał się z miejsca, w napięciu wpatrując się w mrok.

Nina się odwróciła i wstrzymała oddech, zaskoczona – do okrętu zbliżała się duża dżonka ze smokiem na dziobie. Na pokładzie krzatali się marynarze, oświetleni czerwonymi latarniami.

– *Missi, guns! My wantchee guns!* (Missis, broń! Potrzebuję broni!) – zawołał jeden, noszący na głowie melonik, a na grzbiecie chiński waciak.

– Czego on chce? – spytała Nina z niedowierzaniem.

Jirzi podrzucił ramieniem.

– Mówi niby po angielsku, ale nic nie rozumiem.

Chińczyk uczynił gest strzelania z palca, a potem wyjął z kieszeni banknot i pomachał nim.

– Zdaje się, że chce kupić broń – domyśliła się Nina. – Niech pan zapyta, czy

może być rewolwer.

Dobrze by było go sprzedać i mieć jakiegokolwiek pieniądze.

Chińczyk rozczapierzył palce obu rąk.

– Potrzebuje więcej niż jedną sztukę – powiedział Czech.

– A ile dokładnie? Dziesięć?

– *More, more!* – krzyczał Chińczyk.

Na pokład wyszedł kapitan w towarzystwie wachtowych marynarzy.

– Co tu się dzieje?

– Ten człowiek chce kupić broń – powiedziała wzburzona Nina. – Może sprzedamy mu coś z naszego arsenału, żeby zarobić?

Kapitan popatrzył na nią, jakby oszalała.

– W Chinach obowiązuje embargo na przywóz uzbrojenia. Jeśli przyłapią nas na nielegalnym handlu, na pewno deportują.

– Ile pan ma pieniędzy? – spytała cicho Nina. – Nie rosyjskich śmieci, ale waluty? Słyszałam, że admirał Stark zamierza sprzedać jednostki naszej eskadry, a dochód rozdzielić między bohaterów wojny domowej. Jest pan bohaterem? Bo jeśli nie, to nie zostanie panu ani okręt, ani pieniądze.

Kapitan się nachmurzył.

– Nie mam prawa handlować bronią. Ona nie jest moją własnością.

– Ale ma pan prawo spisać na straty to, co jest niezdatne do użytku – powiedziała Nina.

Jirzi zerknął na całkiem niedalekie światła chińskiego statku wartowniczego.

– Ciekawe, jak przepuścili tę dżonkę.

– Na pewno sami ją zaprosili, żeby na nas zarobić. – Nina się uśmiechnęła. – Są w zмовie z przemytnikami.

Kapitan się zastanowił, a potem wyraził zgodę, żeby Chińczycy weszli na pokład.

– Chodźcie tutaj, tylko nie róbcie hałasu, bo ludzie już śpią.

Pierwszy przeszedł przez reling gruby człowiek w modnym kapeluszu i skórzanym płaszczu.

– Wieczór dobry – powiedział po francusku.

Nina się ucieszyła, bo nieźle знаła ten język.

Tłuscioch pocałował ją w rękę.

– Oho, jakież brzoskwinki można znaleźć na tym wraku! Don Fernando Jose Burbano, do usług.

Zaraz po nim weszli Chińczycy. Ten, który przedtem wołał, i jeszcze jeden – wielki, straszny, z ogorzałą twarzą i bez jednego oka.

Nina zaproponowała, że będzie tłumaczyć, ale don Fernando stwierdził, że kobieta nie powinna się mieszać do tak poważnych rozmów.

– Ktoś tutaj zna angielski? – zapytał.

Jirzi podniósł rękę, jak uczeń na lekcji, a przybyły klepnął go w ramię.

– No to chodźmy, rudy, zobaczymy, co tutaj macie.

Kapitan kazał Ninie iść do kajuty, ale ona ruszyła za mężczyznami. Chciała sprzedać don Fernandowi rewolwer, przecież mogła za niego dostać pięć, czy nawet dziesięć chińskich dolarów!

Marynarze po kolei kręcili korbką lampy elektrycznej, a kapitan pokazywał zapasy.

– Tu mamy karabiny produkcji rosyjskiej, granaty ręczne typu bomby Millsa, nagany, celowniki do armat, wojskowe peryskopy... – wyliczał Jirzi, a Nina się zdziwiła, że rozumie coś po angielsku.

Targi trwały do późnej nocy.

– Co wy mi tutaj jakieś bzdury wygadujecie! – złościł się Fernando. – Bierzcie, ile dają, i kończymy.

Jednooki podał mu krótką listę, a Burbano pstryknął palcami.

– Nabojów dwadzieścia skrzynek, karabiny Mosina to stare łajno, z pewnością połowa jest zepsuta, dziesięć skrzynek... Dopisujemy granaty... Dam szesnaście setek, nie więcej, choćbyście pękli!

Jirzi przetłumaczył:

– Daje tylko sześćset dolarów.

Nina chciała go poprawić, że pomylił się o tysiąc, ale kapitan już podał don Fernandowi rękę.

– Dobra, czort z wami! Tylko zabierajcie wszystko szybko i się wynoście.

Serce Niny zabiło mocniej.

– Niech pan zapłaci kapitanowi sześćset dolarów – powiedziała do Fernanda po francusku – a resztę mnie, ale nie teraz, tylko na waszym statku. Zabierzecie mnie i mojego tłumacza do Szanghaju.

Don Fernando spojrział na nią ze zdziwieniem, a po chwili jego twarz rozciągnęła się w domyślnym uśmiechu.

– Jak pani każe, madame!

Kapitan spojrział podejrzliwie na kobietę.

– Dogadaliście się o coś?

– My z Jirzim płyniemy do miasta. Labuda, zbieraj szybko rzeczy!

– Jakim prawem?! – zaczął kapitan, ale Nina położyła palec na ustach.

– Ciszej! Chce pan, żeby zbiegła się tutaj połowa pasażerów?

– Myśli pani, że sama jest tylko taka mądra? Ale dobrze, proszę płynąć, na brzegu i tak was zaraz aresztują.

– Co on pani powiedział? – Zainteresował się don Fernando.

Nina puściła do niego oko.

– Kapitan prosi, żeby dostarczył pan nas na miejsce całych i zdrowych, inaczej znajdzie pana i zabije.

Broń przeniesiono na dżonkę i don Fernando popłynął na chiński okręt wartowniczy. Wrócił dopiero o świcie, zadowolony i mocno podпиты.

– Płyniemy do domu! – oznajmił.

Nina siedziała obok Jirziego na zwoju lin i się rozglądała. Drżała ze wzburzenia, strachu i zimna. Stopy w baletkach całkiem jej przemarzły.

Gdzie się znalazła? Przecież to dżonka przemytników! Mogą ją tutaj zgwałcić i zabić... I nie mogłaby mieć do nikogo pretensji, w końcu sama się pchała na pokład. Na szerokiej rufie stał Chińczyk i z wysiłkiem poruszał ciężką belką sterową. Nad głową skrzypiały maszty, wilgotne powietrze pachniało wodorostami i dymem.

Don Fernando chwiejnym krokiem chodził wokół skrzyń.

– Proszę podejść! – zawołał Ninę i wyjął z wewnętrznej kieszeni paczkę banknotów. – To jest tysiąc dolarów, ani jeden papierek nie został sfalszowany.

Nina wzięła pieniądze, przeliczyła. Don Fernando rzeczywiście wyliczył się co do centa.

– Sam nie wiem, skąd we mnie aż taka rycerskość – powiedział mężczyzna z westchnieniem. – Pewnie stąd, że bardzo mi się pani spodobała. Te oczy błyszczące jak gwiazdy...

Nina się cofnęła, ale don Fernando nie zamierzał być natrętny.

– Hej, Jednooki! – krzyknął do pomocnika. – Idę się zdrzemnąć. Obudź mnie na miejscu.

Nina schowała pieniądze do kieszeni i poszła na dziób dżonki, nad którym górowała głowa rzeźbionego smoka. Rzeński wiatr chłodził twarz, statek skakał z fali na falę, a w Ninie serce za każdym razem zamierało ni to ze strachu, ni ze szczęścia. Tylko pomyśleć, że za nic dostało jej się tysiąc dolarów!

Im bliżej podpływali do miasta, tym częściej mijali przystanie i magazyny. Nad dachami widniały reklamy po angielsku: „Kupujcie papierosy Wielki Mur!”, „Najlepszy środek na wszelkie dolegliwości to Maść Tygrysa”.

Kominy fabryk, hale, dźwigi budowlane... Niebawem rzeka od brzegu do brzegu zapełniła się łódkami najrozmaitszych kształtów i rozmiarów. Obok Niny stanął Jednooki i zaczął coś krzyczeć przez tubę. Najwyraźniej żądał, aby zrobiono miejsce dla dżonki.

Obok przepłynęła ogromna barka, więc rzeczny drobiazg rozstąpił się przed nią, ale zaraz za jej rufą znów się zaroilo. Przemknęła policyjna motorówka o dziwnych kształtach. Bezzębny starzec przepływający obok pokazał Ninie świńskie nogi.

– Kupić, missi!

Jednooki zauważył przestרח kobiety i się zaśmiał.

– Pani co, boi się krwi? – zapytał łamanym francuskim. – Dopiero co przyjechaliście z wojny. A kto jest teraz u Rosjan imperatorem?

– Lew Tołstoj – odparła Nina, ale Chińczyk nie zrozumiał sarkazmu, długo powtarzając to świetne imię, aby nie zapomnieć.

Z prawej strony pojawił się żelazny most i wielopiętrowe domy z kopułami, wieżami i kolumnami. Na nabrzeżu wciąż jeszcze płonęły latarnie, a ich ognie odbijały się w niezliczonych oknach.

Nina spojrzała zmieszana na Jednookiego.

– To na pewno Chiny?

Osilek się uśmiechnął.

– To Bund, główne nabrzeże Osiedla Międzynarodowego. A Chiny są trochę dalej.

Wreszcie dżonka przybiła do jednej z przystani. Z kajuty wypełził rozczochrany don Fernando i drapiąc się po brzuchu, podszedł do Niny.

– Trzeba by pani załatwić paszport – powiedział dobrodusznie. – Damulka z pani skłonnościami koniecznie powinna mieć dokumenty.

– Ile to kosztuje? – spytała od razu Nina.

– Trzysta dolarów.

– Za fałszywy? Niechże się pan nie wygłupia.

Don Fernando wzruszył ramionami.

– Jak pani sobie chce. Można ucałować dłoń na pożegnanie?

Nina schowała ręce do kieszeni.

– Niech pan mi lepiej powie, jak się nazywa najlepszy hotel w Szanghaju.

– Astor House. Po co to pani?

– Dla uzupełnienia wiadomości własnych.

Po wyjściu na brzeg Nina i Jirzi przystanąli, patrząc w osłupieniu na rzędy lśniących samochodów, zaparkowanych wzdłuż chodników.

– Nigdy jeszcze nie widziałam tylu samochodów naraz! – wyszeptała Nina.

Z kominów unosił się bury dymek, po zaszronionej ulicy toczyły się autobusy i jednomiejscowe kolaski, ciągnięte przez ludzi. Rikszarze w wатовanych kurtkach, pikowanych spodniach i łapciach chwyтали cienkie żerdki i biegli truchtem, zręcznie omijając załadowane, ciężkie taczki jednokołowe.

Mimo wczesnej pory, chodniki wypełniał tłum. Biali panowie w drogich płaszczach z futrzanymi kołnierzami kupowali gazety od chłopców, którzy wołali po angielsku:

– Ostatnie wiadomości! Rosja Sowiecka od tej chwili nazywa się

„Związkiem Radzieckim”!

Chińscy pracownicy w prawie jednakowych niebieskich kaftanach i czarnych atlasowych czapeczkach spieszyli do biur i sklepików. Robotnicy zdejmowali z latarni świerkowe wianki, przewiązane czerwonymi wstążkami, bo katolickie Boże Narodzenie już minęło.

Obok przejechał oddział czarnobrodych kawalerzystów w niebieskich mundurach i czerwonych turbanach.

– To policja sikhijska. – Wyjaśnił odczytany Jirzi. – Anglicy przywożą ich z Indii, żeby strzegli porządku.

Rozległ się dźwięk dzwonka. Handlarz pchał na wózku kuchnię – dymiącą płytę, bańki, miski i czajniczki.

Jirzi spojrział na Ninę spłoszonym wzrokiem – na pewno był bardzo głodny.

– Niech pan nawet o tym nie myśli! – powiedziała surowo. – Dzisiaj zjemy śniadanie w restauracji hotelu Astor House.

– Czy pani oszalała? – zląkł się Czech. – Jesteśmy nielegalnymi imigrantami! Od razu nas aresztują!

– Bzdura! Drogi lokal to ostatnie miejsce, gdzie by nas szukano.

Nina podeszła do postoju rikszy.

– Astor House! – zawołała.

Podjechało od razu kilka wózków.

– Tutaj, missi! Tutaj, proszę!

Starając się zachować zupełny spokój, Nina wsiadła do rikszy. Młody chłopak w podartym waciaku przykrył jej nogi derką.

Nina spojrział na Jirziego.

– Jedzie pan?

Chłopak stał niezdecydowany.

– Nie mogę pozwolić, żeby człowiek mnie woził!

– Dopiero przybyli wy do Szanghaj? – spytał rikszarz łamanym angielskim.

– Jak ludzie wożą, dobrze! Ludzie muszą jeść. Ja przynoszę pieniądze rodzinie.

Jirzi machnął ręką, wsiadł na wózek i pojechali eleganckim nabrzeżem.

Szanghaj był zalany porannym słońcem. Dzwoniły tramwaje, ryczały klaksony, stukały podkowy. Uliczny hałas sprawiał, że Ninie zatykało uszy.

Nagle zauważyła chińską dziewczynę, która szła dziwnym, chwiejnym krokiem. Potem jeszcze jedną i jeszcze... Boże mój, wszystkie zamiast stóp miały maleńkie kopytka, obute w wyszywane trzewiczki!

Nina długo myślała, jak prawidłowo sformułować zdanie po angielsku, a kiedy riksza zatrzymała się na skrzyżowaniu, spytała:

– Co się stało z tymi kobietami? Dlaczego mają takie małe stópki?

– W Chinach bandażują dziewczynkom nogi – odpowiedział rikszarz, ocierając pot. – Nie wolno, żeby rosły, bo tak jest pięknie.

– Jak to „pięknie”? – oburzyła się Nina. – Przecież te biedaczki nie mogą normalnie chodzić, a co dopiero biegać!

– Biegać nie wolno. Żeby mężom nie uciekały.

Nina nachmurzyła się, wspominając Klima. Ona zamierzała zamieszkać w najlepszym hotelu, a on został na cuchnącym, przegniłym okręcie.

Dobrze, co się stało, to się nie odstanie, rozbitego dzbana się nie skleci. Najważniejsze to nie tchórzyć i zachowywać się jak królowa.

Szwajcar, stojący przed drzwiami hotelu, niezmiernie się zdumiał na widok nieco obszarpanych białych gości.

– Proszę mu powiedzieć, że wróciliśmy z polowania – poleciała Nina.

Jirzi spojrzął na jej sfatygowane baletki.

– O tak... Prosto z łabędziego jeziora.

Po chwili wahania szwajcar wpuścił ich jednak do jasno oświetlonego westybulu.

– Już zapomniałam, że są takie miejsca! – westchnęła Nina, patrząc na marmurowe podłogi i wielkie żyrandole.

Nie zwracając uwagi na oniemiałych tragarzy, podeszła do recepcji.

– Mówi pan po francusku? Potrzebujemy pokoju dwuosobowego. Na miesiąc.

Portier mrugał szybko oczami, zmieszany.

– Ale to będzie kosztowało sto pięćdziesiąt dolarów, a pani na pewno nie jest w stanie...

– Chce pan zadatek?

Nina wyjęła z kieszeni pieniądze, a portier całkiem stracił rezon.

– N-nie, madame, nie potrzeba zadatku. W Szanghaju wszystko rozlicza się pokwitowaniami. Rachunek wystawimy później. A skąd państwo przybyli, jeśli można spytać?

– Z Łukomoru – odpowiedziała z godnością Nina. – Słyszał pan o takim kraju?

– Tak, oczywiście... Miłego wypoczynku! Mam nadzieję, że się państwu u nas spodoba.

– A o paszporty nawet nas nie zapytali – zauważył z niedowierzaniem Labuda, kiedy weszli do windy.

– Naszym paszportem jest biała skóra – wyjaśniła Nina. – Klim mi mówił, że tutaj białemu człowiekowi nawet kredyt dadzą na słowo honoru. Ale obawiam się, że to niedługo ulegnie zmianie.

Okna z witrażami, dywany na podłodze, ściany wykończone czerwonym drewnem... Boy korytarzowy poprowadził gości galerią, otaczającą wewnętrzne podwórze. W dole, pod wielkim szklanym dachem, znajdowały się stoły z białymi obrusami, grała orkiestra.

Nina się zatrzymała, żeby popatrzeć na tańczące pary. Oho! Połowa dam nosiła krótkie fryzury, a pasy miały te panie zapięte nie w talii, lecz na biodrach.

– Co to za muzyka? – spytała Nina.

Jirzi potrząsnął głową.

– Nie wiem. Wcześniej takiej nie słyszałem.

– Co z pana za artysta? – Kobieta się zaśmiała. – Ech, odstaliśmy beznadziejnie od życia!

Boy powiedział, że ta muzyka nazywa się „jazz”, a na dole codziennie odbywają się „tiffiny”, czyli śniadania z koktajlami i tańcami.

Otworzył zamek w polerowanych drzwiach.

– Monsieur, madame, zapraszam!

W pokoju było nieco chłodno i pachniało lawendowym mydłem. Nina rzuciła kapelusz na nienagannie pościelone łóżko, rozsunęła zasłony w oknie i zaczęła chichotać.

– Jirzi, kocham to miasto!

Po kąpiel i śniadaniu wybrali się na zakupy.

Niną wstrząsnęły nowoczesność, bogactwo i energetyczność Szanghaju. Po Nankin Road przechadzała się elegancka publika, a w gigantycznych witrynach puszyły się manekiny w zapierających dech kreacjach. Drzewa były podstrzyżone, na chodnikach stały kosze, a na skrzyżowaniach wymachiwali rękami policjanci regulujący ruchem.

To było europejskie miasto, jeśli nie liczyć szyldów z hieroglifami, riksz i przechodniów taszczących to kaczki w klatkach, to wiązki kapusty na bambusowych nosidłach.

Teraz Nina dziwiła się samej sobie, że odczuwała lęk przed emigracją. Co niby zostawiła w nieszczęsnej, rozkradzonej Rosji? Szanghaj był miastem, w którym warto się osiedlić!

Kiedy chodziła z Jirzim po domu towarowym Wing On, Ninie chciało się jednocześnie śmiać i płakać ze szczęścia. Pomyśleć tylko, że jeszcze wczoraj nie miała nitki do przyszycia guzika, a dzisiaj trzymała w rękach amerykańskie aparaty fotograficzne, japońskie porcelanowe filiżanki, skórzane torby angielskiej produkcji, złożone wieczne pióra... Wszystko było dostępne bez kolejek i za śmieszna cenę.

Subiekci w długich szarych kaftanach rzucali na lady bele jedwabiu, nadcinali lekką tkaninę, a potem rozrywali w rękach.

– *Bye-bye makee pay. My send chit.* – Potem pani zapłaci, przyślę rachunek.

Okazało się, że w sklepach nikt nie płaci z góry, wystarczy zostawić adres hotelu i podpisać się.

– Nie mogę dłużej... Jirzi, niech mnie pan obudzi! – szeptała wstrząśnięta Nina. Ale Labuda też oniemiał i ogłuchł od przepychu miasta.

W przyjemnie urządzonej pracowniach chińscy krawcy przyjmowali zamówienia na sukienki. U kuśnierzy w witrynach wisiały zabawne oferty: „Zrobię płaszcz ze swojej albo powierzonej skóry”.

Na górnych piętrach domu towarowego znajdowały się kinoteatr, pekińska opera i restauracje, a na dachu zimowy ogród. W Wing On można było przepaść na cały dzień.

Do hotelu wrócili jako zupełnie inni ludzie – eleganccy, odświeżeni, z szaleństwem w oczach.

Nina doprowadziła Jirziego do wielkiego lustra.

– Proszę na nas spojrzeć! Teraz jesteśmy tacy, jacy zawsze powinniśmy być. A to nasza „żabia skórka”. – Wskazała na zawiniątko ze starą odzieżą. – Ktoś nas

zaczarował, ale teraz klątwa spadła!

Jirzi spojrział na swoją okaleczoną rękę i schował ją za plecami.

– Tak, z pewnością.

Wieczorem Nina leżała w śliskiej od krochmalu pościeli i czytała menu restauracji, niczym dobrą powieść.

– Filet z kapłona i piure z kasztanów. Pieczony bażant na grzankach z sosem ze słonki, bekon, sardele i trufle. Ryba na zimno Mandaryn z dzikim ryżem, przyprawionym szafranem.

Nogi bolały i w głowie się kręciło jak od kołysania pokładu statku. Na podłodze leżały pudełka z zakupami, przedmiotami „najpierwszej kobiecej potrzeby”, jak to mawiał kiedyś Klim.

Rozległo się pukanie i do pokoju wszedł Czech. Starannie ostrzyżony, we frotowym szlafroku z paskiem, wyglądał zupełnie jak chłopiec.

– Przepraszam, że panią niepokoję, ale chciałbym wiedzieć, jak będziemy za wszystko płacić. Przecież pieniądze się wreszcie skończą.

– Coś wymyślimy – powiedziała Nina z pewnością w głosie. – Można dać do gazet ogłoszenie: „Porozmawiam na mądre tematy z pojętymi ludźmi. Sto dolarów za godzinę”. To największa z przyjemności.

Jirzi chrząknął.

– Właśnie przed chwilą przeczytałem coś takiego w gazecie. Podobne usługi świadczą tutaj gejsze w japońskiej dzielnicy. Dostają dwa dolary za rozmowę.

Rozdział 2

Dom Nadziei

Ada Marshall była podobna do pechowego drzewka, którego nasionko upadło nie na ziemię, ale na porośnięty mchem dach stodoły – niby gałęzie i korzenie są na miejscu, ale od razu widać, że nic sensownego nie wyrośnie.

Matka Ady była Rosjanką, a ojciec Amerykaninem. Pracował w iżewskiej fabryce na kontrakcie, ale na samym początku rewolucji został zabity, zaś Ada z matką musiały się przenieść do Władywostoku.

Na okręcie dostały miejsce w korytarzu i matka, którą mocno przewiało, nabawiła się zapalenia płuc. W dniu, kiedy okręty Starka podeszły pod fort Woosung, umarła, i tak w wieku piętnastu lat Ada została pełną sierotą.

Niewysoka, krucha i szarooka, z miękkimi kasztanowymi włosami, otaczającymi okrągłą twarzyczkę, nie dostrzegała własnego wdzięku i starała się pozostawać niezauważona. Znalazła sobie miejsce za skrzynią z kamizelkami ratunkowymi. To był jej mały świat – rozścielony na deskach czerwony koc i stosik książek, które mama zabrała z Iżewska. W tym miejscu Ada przesiedziała długie tygodnie, podczas gdy admirał prowadził rozmowy z władzami Szanghaju.

Uchodźcom wreszcie pozwolono zejść na brzeg, ale bez broni, a okrętom nakazano opuścić wody terytorialne Chin.

Na pokładzie zaczęło się radosne zamieszanie.

– Chodź z nami, biedulko! – zawołał ojciec Serafin, wysoki, barczysty kapłan ze spletaną jasną brodą.

– Nigdzie nie pójdę! – wyszeptała przestraszona Ada. Nie miała pojęcia, co mogłaby robić w Szanghaju.

– Jak sobie chcesz – westchnął ojczulek. – Okręty niedługo odpłyną do Manili, a to bardzo daleko od Rosji. Jak chcesz wracać, kiedy bolszewicy upadną?

Ada nie odpowiedziała.

Wkrótce na jednostce zostali tylko marynarze ochotnicy. Ada chodziła po pustych korytarzach i bezustannie myślała o tym, co powinna zrobić.

Kilka razy natknęła się na Klima Rogowa, który też nie chciał wysiąść w Szanghaju. Nikt nie potrafił zrozumieć, dlaczego żona go porzuciła. Po wojnie pełnosprawnych mężczyzn było jak na lekarstwo, a Klim w dodatku mówił po angielsku i tańczył tak, że wzbudzał powszechny zachwyt. Istniało tylko jedno wyjaśnienie zdrady – ten mały Czech, który wydawał się biedny i nieszczęśliwy, a tak naprawdę musiał mieć odłożoną niezłą sumkę, którą skusił cudzą żonę.

Spotykając się, Klim i Ada patrzyli na siebie spode łba i nie witając się, szli dalej. Nie mieli o czym rozmawiać.

Ada wyszła na pokład i zobaczyła, że Klim schodzi do sampana, w którym czekał na niego stary Chińczyk w pikowanej kurtce i sfatygowanej czapce.

– A pan dokąd? – spytała Ada.

– Zostanę jednak w Szanghaju – odparł Klim.

Dziewczyna się rozejrzała. Nagle odniosła wrażenie, że oprócz niej nikt nie został na całym okręcie.

– Proszę poczekać, popłynę z panem!

Wróciła do swojego kątko, zwinęła czerwony koc i przewiązała sznurkiem książki. Brać czy nie brać? Ale bez książek będzie strasznie smutno.

Schodząc do łódki, straciła równowagę i o mało nie wpadła do wody. Dobrze, że Klim zdążył ją chwycić. To było dziwne uczucie, kiedy silne ręce w ostatniej chwili uratowały dziewczynę przed upadkiem.

Klim posadził ją na macie obok swojego worka na rzeczy i wielkiego powgniatanego samowara, a stary przewoźnik, machając szerokim wiosłem rufowym, skierował sampan w górę rzeki.

– Masz w ogóle jakichś krewnych? – spytał Klim.

Potrząsnęła głową.

– Nie. To znaczy tak... Mam ciotkę w Ameryce. Mama dała mi adres i trochę pieniędzy. Napiszę do niej.

Ada oczekiwała, że Klim powie, dokąd się kierują, i w trwodze gryzła paznokieć kciuka, który wyszedł przez dziurę w rękawiczce. A co, jeśli dopłyną, a Rogow ją porzuci na pastwę losu? Co wtedy zrobi?

Patrzyła na niego ukradkiem. Gęste brwi były nachmurzone, na policzkach ciemniała kilkudniowa szczecina, wiatr targał wystające spod czapki dawno niestrzyżone kosmyki.

– Dlaczego postanowił pan zostać w Szanghaju? – spytała Ada.

– Wczoraj w kambuzie spłynęła na mnie światłość – odpowiedział Klim, nie patrząc na dziewczynę. – Pomyślałem, że nasze życie jest podobne do worka ziemniaków, w którym każdy dzień to jeden kartofel. Przed nami stoją dwie beczki, jedna z zupą, druga z kompostem, i tylko od nas zależy, do której wrzucimy kolejny dzień. A tak w ogóle, nie miało sensu gnić na okręcie.

Ada się uśmiechnęła na takie porównanie. Spodobało jej się.

– A jeśli ziemniak jest już zgniły? – spytała.

– Mądrzy ludzie ze wszystkiego potrafią wyciągnąć korzyść.

Klim wskazał przepływającą obok łódź z wielką cuchnącą beczką na rufie.

– Wiesz, co to jest? Chińczycy pozyskują łajno z nocników i produkują

z niego nawozy do ogrodów. Wszystkie tutejsze warzywa na tym rosną.

Ada zachnęła się i postanowiła, że nie będzie jadła miejscowych potraw.

Kiedy sampan dotarł do miasta, przewoźnik chciał ich wysadzić na pięknym nabrzeżu, ale Klim kazał mu płynąć dalej.

W górze rzeki, obok składów i hal fabrycznych, stały chałupy zbite z desek i starych tablic reklamowych. Nad trzciniowymi dachami unosił się bury dym, na bambusowych tyczkach wisiały zeszywniałe na mrozie koszule.

Przewoźnik podprowadził sampan do powykrzywianego pomostu marnej przystani, przy którym cumowały łodzie i tratwy własnej roboty. Siedzieli tutaj senni rybacy z wędkami, a brudne kobiety czyściły wielkie miedziane kotły.

– Masz pieniądze? – spytał Klim.

Ada się nachmurzyła.

– Mam. A co?

– Umówiłem się, że oddam za przewóz samowar, ale on jest wart więcej niż dwadzieścia centów. Nie mam gotówki, więc zdecyduj sama, czy nie warto ratować mojego majątku. Osobiście myślę, że samowar nam się przyda.

Dziewczyna się rozpromieniła. Klim powiedział „nam”! A zatem nie zamierzał jej porzucać!

Pospiesznie wyjęła z kieszeni sakiewkę.

– Mam amerykańskiego dolara.

Jednak stary odmówił przyjęcia zagranicznych pieniędzy i posłał jakichś chłopaków po człowieka z kantoru wymiany.

– Miejscową walutę też nazywają dolarami – wyjaśnił Klim Adzie. – W jednym szanghajskim dolarze jest sto centów, cent dzieli się na coppery, a te z kolei na miedziane chińskie monety z kwadratową dziurką w środku. Nic za te miedziaki nie kupisz, może poza wrzątkiem u obnośnego handlarza.

Niebawem pojawił się mały Chińczyk w kamizelce z powycieranym haftem. Pod pachą niósł żelazną kasę przymocowaną łańcuchem do nadgarstka.

Klim wymienił dolara na kilka matowych monet z dziwnymi wzorkami, rozliczył się ze starym i poprowadził Adę po szumnej, krzywej ulicy, zabudowanej piętrowymi domami. Na parterze znajdowały się sklepiki, a na górze mieszkania.

Ada ze zdumieniem patrzyła na dachy, zasłonięte delikatnymi listewkami okna i zawieszono pionowo deski z wymalowanymi hieroglifami.

– A to co, szylidy? – spytała.

– Chińskie pismo czyta się od góry do dołu, a nie z lewa na prawo.

Obnośni handlarze sprzedawali pestki arbuza, słonecznika i oczyszczoną trzcinę cukrową. Na straganach wzdłuż ulicy spoczywały góry solonych ogórków i marchwi. Sprzedawcy przygotowywali na zakopconych piecykach to koniki polne, to skorpiony.

Mój Boże! – jęczała w duchu Ada, wytrzeszczając oczy.

Taczki o wielkich kołach, riksze, lektyki... Dwóch młodzieńców niosło na żerdzi wielki toból i dysząc, wykrzykiwali po kolei raz jeden, raz drugi: „Aja-ha! Aja-ha!”.

Z hałasem przejechał nabity ludźmi autobus, zagwizdał policjant, wielki samochód zapiszczał hamulcami, wyskoczyli z niego ogoleni na łyso mnisi w pomarańczowych szatach.

Adzie kręciło się w głowie. Gdzie też się znalazła? W Azji? W Europie? Zdawało się, że w tym mieście mieszały się nie tylko części świata, ale i epoki – średniowiecze na poły ze współczesnością.

– Dokąd idziemy? – spytała żalonym głosem. Całkiem opadła z sił.

Klim zatrzymał się, spojrzał na nią z powagą.

– Tylko się nie przestrasz, ale zmierzamy do domu publicznego.

– Ale jak to?... – wyszeptała Ada.

– Musimy się rozejrzeć i wysłuchać nowin.

Uciec? Ada rozejrzała się i nagle zobaczyła znajomą, która płynęła razem z nimi na okręcie. Kobieta kłaniała się do samej ziemi każdemu, kto wchodził do sklepu spożywczego i z niego wychodził, prosząc o jałmużnę. Ludzie nie zwracali na nią uwagi.

Klim zaprowadził Adę na maleńkie podwórze z tyłu piętrowego ceglanego domu. Pod ścianą stał zardzewiały rower bez kół, na sznurku suszyły się sfatygowane kalesony.

Klim wszedł na ganek, zabębnił w odrapane drzwi.

– Marta, otwórz! – zawołał po angielsku.

Ada rozglądała się z obawą. Zaraz wejdzie do burdelu, co za potworność!

Dało się słyszeć kroki, a w maleńkim okienku pojawiło się niebieskie oko.

– Kto tam?

– Marta, nie poznajesz mnie?

Drzwi nagle się otworzyły, a do Klimego rzuciła się malutka, okrągła kobieta z papilotami we włosach.

Ależ miała podomkę! Ada nigdy jeszcze nie widziała podobnej! Na plecach pyszniły się wyszyte smoki, a rękawy i dół były wykończone lisim futrem.

Klim i Marta objęli się, pocałowali.

– No, ślicznotko, jak żyjesz? – spytał wesoło.

Ada patrzyła na niego z niedowierzaniem. Czy on oślepl? Jego przyjaciółka miała nalaną twarz, wielki nos i drugi podbródek. Jaka z niej znowu ślicznotka?

– Chodźcie do środka, bo tutaj zimno! – Marta skuliła się i poprowadziła gości do sieni.

Czerwieniąc się i czując bezwład, Ada szła za gospodynią po schodach i patrzyła na boki. A więc tak wygląda przybytek rozkoszy! Ściany oklejono pasiastymi tapetami, stopnie pokryto chodnikiem, a z sufitu zwisał zakurzony żyrandol z kolorowego szkła.

Na piętrze znajdował się wielki elegancki pokój z zielonym fortepianem, gramofonem i aksamitnymi kanapami. Ktoś tu niedawno hulał, bo służba nie zdążyła jeszcze zamieść podłóg i zabrać brudnych kieliszków.

– Skąd się tutaj wziąłeś, mister Rogow? Z jakiegoś lochu może? – spytała Marta, patrząc na sfatygowane ubranie Klimego.

– Z wojny – odparł.

– Dużo dostałeś odznaczeń?

– Pewnie! Order Honorowego Legionu Uchodźców i złamane purpurowe serce.

– Ty co, z Rosjanami przyplynałeś? Siadaj i opowiadaj!

Klim mówił o sobie i pytał Martę o jakichś ludzi. Zmieszana Ada siedziała obok, obejmując ramionami swój koc i książki.

Na okrągłym stole były wazy z pomarańczami i ciastkami. Żeby tak

poczęstowali! Dziewczyna nie jadła ciastek pięć lat, a pomarańcze widziała tylko na obrazku.

Lecz Marta nie myślała o częstowaniu gości, tylko skarżyła się na rosyjskie imigrantki, które psuły jej interesy.

– Kiedyś białą dziewczynę można było sprzedać za dobrą cenę – rozprawiała. – A teraz idzie się pod rosyjski konsul i można sobie wybrać, jaką się tylko zamarzy. Kupisz takiej kawałek pieroga, a ona aż mdleje ze szczęścia: „Mój książę, mój książę...”.

– Muszę znaleźć pracę – powiedział Klim. – Nie mam złamanego grosza przy duszy.

Marta westchnęła.

– Ciężko teraz o pracę. Chińczycy są gotowi na wszystko i robią za dziesięć centów dziennie, więc można się zatrudnić co najwyżej jako służba w lokalu. – Spojrzała uważnie na Adę. – A kto z tobą jest?

Klim sposepniał.

– Matka jej umarła, biedaczka nie ma dokąd pójść.

– Z czego chce żyć?

– Znam angielski i mogę dawać lekcje – oznajmiła dziewczyna, rumieniąc się.

– Chodź no, popatrz na ciebie.

Marta pochyliła się, żeby rozpiąć płaszcz Ady, ale ta odsunęła się przestraszona.

– Proszę mnie nie dotykać!

Gospodyni się roześmiała.

– Lekcje będzie dawać! Komu?

– Może weźmiesz ją na fordanserkę do Hawany? – zaproponował Klim. – Kiedyś urządzaliśmy wieczornice na okręcie, widziałem, jak tańczy. Według mnie nieźle jej wychodzi.

Adę zmroziło.

– Co to jest fordanserka?

– Płatna partnerka do tańca – wyjaśnił Klim. – W Szanghaju mężczyźni jest o wiele więcej niż kobiet, i kawalerowie całymi wieczorami włączają się do restauracjach. Nie mają dziewczyn, dlatego wynajmują fordanserki. To przyzwoita praca, nie ma nic wspólnego z prostytutką.

Klim zrzucił kurtkę i rozwiązał szalik.

– Zdejmuj płaszcz – nakazał dziewczynie. – Pokażemy, co potrafisz.

Wypełniła polecenie i podeszła drżąca do Klimy.

– Jeżeli Marta cię weźmie, nie grymas! – szepnął po rosyjsku. – Będzie trudno, ale przynajmniej zarobisz na chleb.

Marta pokręciła korbką gramofonu, z tuby wydobyły się ochryple dźwięki

tanga. Klim objął Adę w talii, przycisnął do siebie.

Znów nienormalna bliskość dorosłego mężczyzny! Jego oddech był zbyt gorący, wzrok nazbyt płomienny, zupełnie jakby Klim zakochał się w Adzie ledwie chwilę temu!

Odgadywała każdy jego krok i z ukrytą radością widziała, że wszystko wychodzi jak trzeba. Co jak co, ale tańczyć zawsze lubiła.

– Brawo, brawo! – Marta zaklaskała. – Będzie pożytek z dziewczyny.

– Weź ją do pracy i wymyśl coś z sukienką – powiedział Klim, wypuszczając Adę z objęć. – Już trzy lata temu wyrosła ze swoich strojów.

– Zaraz poszukam – powiedziała Marta i wybiegła do drugiego pokoju.

Ada przysiadła na skraju kanapy, dysząc ze wzburzenia. Nie śmiała podnieść oczu na Klimę. Co zaszło między nimi? Kiedy z nim tańczyła, był dla niej taki czuły!

Spojrzała na mężczyznę z ukosa. Dziwne – teraz w jego oczach nie został nawet ślad namiętności, a jedynie zmęczenie.

Marta wróciła z dwiema sukienkami na wieszakach.

– Nie dam ci przymierzyć, boś się dawno nie kąpała. Zadbaj o siebie!

Ada nie odezwała się, wiedząc, że gospodyni ma rację.

– Ta powinna pasować, ta też – powiedziała Marta. – Nie masz też butów? Pokaż nogę!

Dała Adzie parę drogich, chociaż nieco znoszonych pantofelków i oświadczyła, że będzie płacić półtora dolara dziennie, a za ubrania potrąci z zarobku.

– A z ciebie zedrę skórę, jeśli dziewczucha ucieknie z sukienkami – pogroziła Klimowi.

– Dokąd ma uciec? Z powrotem do bolszewików? – odparł ponuro.

– Ty ją przyprowadziłeś, więc ty za nią odpowiadasz. Gdzie się zatrzymaliście?

– Nigdzie.

– Spytajcie u Czena, on wynajmuje pokoje. – Marta napisała na kartce adres.

– Dobrze, idźcie już, bo muszę się wyspać. A dziewczyna niech będzie w Hawanie o siódmej.

Klim pocałował gospodynię w rękę i poszedł do schodów. Ada z westchnieniem podążyła za nim. Pomarańczy jednak nie dali.

Marta chwyciła ją jeszcze za ramię.

– Jeżeli jesteś dziewczyną, nie śpij z nikim bez mojej wiedzy! – szepnęła, wskazując wzrokiem Klimę. – Od tego nicponia i tak nic nie dostaniesz, a ja na pierwszy raz naraję ci takiego klienta, że palce lizać.

Po długim błędzeniu Klim i Ada dotarli wreszcie do dwupiętrowego budynku, zbudowanego na planie podkowy. Ściany bielono pewnie jeszcze w poprzednim wieku, a krata bramy była pocięta, jakby uderzyła w nią ciężarówka.

Nad wejściem zawieszono szyld z napisem po angielsku i po chińsku: „Dom Nadziei i Wschodzącej Kariery”.

– Wyobrażam sobie, jakie sukcesy możemy tu osiągnąć – mruknął Klim.

Ada weszła za nim na podwórze. W otwartych oknach wisały klatki z ptakami, bambusowe tyczki umocowano do ścian jako sznury na bieliznę i suszyło się na nich pranie, a pod daszkiem z podartej maty stał piec, obok którego krzątały się smagłe kobiety w pikowanych kamizelkach włożonych na wierzch długich koszul.

Klim o coś je spytał, a one odpowiedziały, pokazując na krzywe drzwi o klamce w kształcie lwiej głowy.

– Poczekaj tutaj – nakazał Rogow dziewczynie i poszedł pertraktować z zarządcą.

Ada modliła się, żeby udało im się znaleźć pokój. Praca i mieszkanie jednego dnia to byłoby wielkie szczęście. Szkoda, że Klim nie miał żadnych pieniędzy, bo to znaczyło, że będzie musiała żywić go za swoje. Ale co zrobić?

Ciekawe, skąd znał Martę. Czyżby chodził do jej dziewcząt, kiedy tu mieszkał?

Ada przypomniała sobie, jak tańczyli tango, i mrówki przebiegły jej po plecach. A jeśli Klim naprawdę zacznie się do niej dobieierać? Od samej myśli o tym poczerwieniała i otoczyła się ramionami, jakby w obronie. Fuj, co za obrzydlistwo! Ale z drugiej strony, to na pewno przyjemne, kiedy dorośli mężczyźni tracą dla kobiety głowę...

Klim wyszedł.

– Dogadaliśmy się. Będziemy płacić dziesięć dolarów miesięcznie za pokój i wrzątek we wspólnej kuchni. Powiedziałem, że jesteś moją nałożnicą, inaczej nie umieściliby nas razem. Chińczycy bardzo przestrzegają zasad moralnych.

Adzie aż uszy zapłonęły ze wstydu. Klim się roześmiał.

– Nie bój się, nikt nie będzie tego sprawdzał.

Czen, przygarbiony mężczyzna z cienkim warkoczykiem na potylicy, poprowadził ich po rozeschniętych schodach, ale nie do kwater na drugim piętrze, lecz wyżej.

– Wynajął nam coś w rodzaju gołębnika – szepnął Klim.

– Proszę, proszę państwa. – Czen wskazał niskie, popękane drzwi.

Maleńki pokoik, pachnący wilgotnym drewnem, był niewiele większy od przedziału kolejowego. Piętrowa prycza wykonana została z desek i bambusowych żerdzi.

– A gdzie ubikacja? – spytała Ada.

– W chińskich domach nie ma kanalizacji – wyjaśnił Klim. – Wszyscy używają nocników z przykrywką, które rano trzeba wystawić na ulicę. Szambiarz podjedzie i je opróżni.

– Łazienki też nie ma?

– Jeśli chcesz, możesz nosić wodę tutaj, grzać ją i się myć. Jeśli chcesz, kąp się w rzece, ale nie radzę, bo można się nabawić cholery.

– A pan będzie nosił wodę?

– Ja pójdę do łaźni.

Zaczęli się urządzać. Ada rozścieliła na górnej pryczy koc i rozstawiła książki wzdłuż ściany, a Klim zorganizował na podwórzu drewno do samowara.

Wziął od Ady kilka centów i poszedł po jedzenie. Przyniósł woreczek gotowanego ryżu i sześć pałeczek, na których nanizane było coś brązowego.

– Co to jest? – spytała Ada, przypominając sobie opowieść o chińskich nawozach.

– To mózg żaby, miejscowy delikates – odparł Klim, ale zaraz się roześmiał, widząc przerażenie dziewczyny. – Przecież żartuję. Sam nie wiem, co to takiego.

Chińskie jedzenie, tłuste i niesolone, nie smakowało Rosjance, ale i tak zjadła całą swoją porcję.

– Czen się zaklinał, że w jego kuchni nie przyrządza się owadów, a to najważniejsze – oznajmił Klim, wysypując resztkę ryżu na dłoń. – Kiedy wynająłem w Szanghaju swój pierwszy pokój, dostała mi się prawdziwa okazja. Musiałem całą noc spać w stodole na jakiejś skrzyni. Dopiero rano gospodarz mi powiedział, że to trumna jego babki.

Ada się uśmiechnęła. A jednak powiodło jej się dzisiaj. Jednego dnia zapewniła sobie obrońcę, urządziła się w restauracji przy domu publicznym, stała się nałożnicą i zjadła „mózg żaby”. Gdyby opowiedziała o tym dziewczętom z Iżewska, żadna by jej nie uwierzyła.

Kiedy się ściemniło, Klim zaprowadził Adę do Marty.

W zaułkach panował nieprzenikniony mrok, za to na ulicach handlowych świeciły wielkie szyldy z reklamami elektrycznymi.

Ada zachwycała się i rozglądała dookoła.

– Jak pięknie!

Klim sam był zdziwiony, gdyż miasto, które pamiętał, już nie istniało. Wszystko uległo zmianom – flagi narodowe, samochody, moda i szyldy. Marta powiedziała, że na miejscu kompanii herbacianej, w której Rogow pracował, znajduje się teraz sklep jeżdziecki. Nie było małego domku z czerwonym dachem, gdzie Klim wynajmował pokój, został dawno zburzony.

Wszystko trzeba było zacząć od nowa.

Ubrana w sukienkę i dobre buty Ada czuła się jak Kopciuszek jadący na bal. Bała się i cieszyła jednocześnie, paplała bez przerwy, opowiadała Klimowi, jak jej mama po raz pierwszy wyjeżdżała w świat i jak poprosił ją do tańca syn samego naczelnika miasta.

Piętnastolatka nie powinna pracować jako fordanserka! Innego sposobu zarobku jednak w tej chwili nie mieli, a jeśli Ada zostałaby bez środków do życia, jej los byłby przesądzony – po dwóch, trzech dniach głodowania poszłaby pod latarnię.

Klim przedstawił Adzie zasady obowiązujące w Hawanie:

– Fordanserki siedzą przy osobnych stolikach, mężczyźni kupują w kasie bilety po pięćdziesiąt centów i wybierają dziewczynę. Jeżeli klient jest wyjątkowo wstrętny, można mu odmówić, ale jeżeli będziesz zbyt wybredna, nic nie zarobisz. Po tańcu trzeba poprosić, żeby ci kupił wino i coś do jedzenia, bo masz z tego procent.

– A jeśli zaproponuje, żeby wypić?

– Postaraj się zrobić tak, żeby klient kupił ci osobną butelkę. Kelner przyniesie cydr, ale policzy jak za szampana. Jeśli mężczyzna będzie nalegał, żebyś wypła z jego butelki, łyknij, ale niedużo, inaczej nie dasz rady tańczyć. A gdybyś nie mogła już dłużej pracować, zdejmij buty, to znak, że jesteś zmęczona.

– Skąd pan to wszystko wie? – zdziwiła się Ada.

– Miałem przyjaciółkę fordanserkę.

– Gdzie teraz jest?

– Wysła na ludzi... To znaczy za mąż.

Pierwsza miłość Klima, Chinka o imieniu Dzha-Dzha, przyjechała do Szanghaju z Kantonu, wielkiego handlowego miasta na południu, gdzie

dziewczynkom zawiązywano stopy. W Hawanie nie zatrudniali kolorowych, ale Dzha-Dzha była tak dobra, że zrobili dla niej wyjątek.

Klim zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Przepuszczał wszystkie pieniądze, żeby z nią potańczyć, każdego dnia odwoził ją do domu i bił się z marynarzami, jeśli ośmielili się nazywać ją żółtą.

Kiedy właściciel kompanii herbacianej dowiedział się, że jego pracownik chce się żenić z kolorową, namówił przyjaciół do zrobienia składki, aby wysłać „parszywą owcę” z Chin. Szanghajscy dżentelmeni dbali o święty honor wyższej rasy i robili wszystko, żeby miejscowi nawet nie myśleli o ślubach z białymi.

Klima związali i odwieźli do portu, ale okazało się, że rosyjski statek już odpłynął, więc wcisnęli go kapitanowi mającemu kurs do Buenos Aires. Tak Klim znalazł się w Argentynie.

Chcąc zgromadzić środki na bilet z powrotem, harował jak wół, najpierw w drukarni, a potem w gazecie. Pisał do ukochanej namiętne listy i obiecał zabrać ją do Rosji, lecz wkrótce otrzymał od Marty telegram, że jakiś kupiec zabrał dziewczynę do swojego harem.

Dzha-Dzha nigdy się nie dowiedziała, że Klim został jednym z lepszych dziennikarzy w Argentynie i złożył wizytę samemu prezydentowi. Ale daj jej Boże haremowego szczęścia!

Klim myślał, że nigdy nie zapomni o pięknej Chince, ale poznał Ninę i znów się zakochał jak szalony, z ogniem w oczach i w głowie, słodkim zamętem myśli. Lecz i tę kobietę utracił.

Po wejściu do lokalu Klim odprowadził drżącą Adę do garderoby, a sam udał się do sali restauracyjnej. Siedziało w niej już pełno turystów i marynarzy z flot wojennych wielkich mocarstw. Klientela była wyłącznie biała. Dwóch potężnych wykidajłów pilnowało, żeby nie przemknął się do środka jakiś Azjata czy Murzyn.

Filipińska orkiestra grała fokstrota, między stolikami snuli się kelnerzy w białych bluzach. Pracowali za napiwki i jedzenie, więc wychodzili ze skóry, żeby się przypodobać klientom.

Hawana też się zmieniała. Teraz nad stołami wisiała reklama piwa, podświetlana lampkami, a przecież wcześniej świeciło się tutaj gazowymi latarkami. Ceglane ściany otynkowano i ozdobiono freskami, scenę przebudowano. Tylko zakopcony bar był ten sam, z rzędami kolorowych butelek, mętnymi lustrami i złożonym bożkiem szczęścia na górnej półce.

Z pokojów na zapleczu wyszły fordanserki i skierowały się do swoich stolików. Ada pojawiła się jako ostatnia. Podmalowano jej brwi i usta, we włosach miała czerwony kwiatek. Dwóch angielskich marynarzy z miejsca rzuciło się ku niej z biletami, Ada zaś, zmieszana, zaczęła szukać wzrokiem Klimy. Dobrze, żeby

kierownik sali podszedł do nich i zdecydował, który ma tańczyć jako pierwszy.

Zagrała muzyka i Ada zniknęła w płaszącym tłumie.

– No to zaczynamy z tą twoją dziewczuszką – powiedziała Marta, przysiadając się do Rogowa. – Wielu już o nią pyta.

– To jeszcze dziecko – zaczął Klim, ale Marta mu przerwała.

– Myślałby kto! Ja nawet trzynastu lat nie miałam, jak zostałam fordanserką. A ty co, zamierzasz jej pilnować całą noc?

Klim kiwnął głową.

– Nie bój się, nic jej się nie stanie. – Marta się roześmiała. – Już uprzedziłam naszych, że twoja mała na razie nie będzie pracować na górze.

Dla Klima nieznośna była myśl, że przyjdzie mu żyć na rachunek Ady, ale gdzie i jak inaczej mógłby zdobyć pieniądze?

Kiedy jako dziewiętnastoletni chłopak przybył do Szanghaju, jego pierwszym zajęciem było zwalczanie wron. Damy złościły się, że w miejskim parku nie można spokojnie spacerować przez te ptaki, które paskudziły na kapelusze. Rada Miejska ustaliła nagrodę za każdego martwego ptaka. Jednak Klimowi szkoda było zabijać ptaszyska, więc wszystkie schwytane wrony na koniec wypuścił, a sam zatrudnił się w firmie herbacianej, której właściciel wysłał go później do Buenos Aires.

Już wtedy było jasne, że Niebiańskie Imperium chyli się ku upadkowi, a jego obywatele muszą się przygotować do trudnych czasów. I te czasy właśnie nadeszły.

Pewność własnej wyższości zrobiła Chińczykom paskudny żart. Kąpiąc się w odblaskach dawnej chwały, nawet się nie zainteresowali europejską kulturą i nauką, a już o tym, żeby uczyć się u „białych diabłów”, nie mogło być mowy. Wszystko to poskutkowało okropnym zapóźnieniem kraju we wszystkich dziedzinach – od rolnictwa po wojskowość.

Brytyjczycy zalali Chiny indyjskim opium, co przynosiło wielkie zyski. W większych portach były wydzielone obszary, na których nie obowiązywało chińskie prawo, a po dziesiątkach lat wyrosły tam osiedla, które nie ustępowały w niczym współczesnym europejskim miastom. Biali widzieli w nich forpoczty cywilizacji, miejscowi konserwatyści rozsądnik hańby, a młodzież miotała się między miłosną namiętnością i nienawiścią do wszystkiego, co zachodnie.

Siła i bogactwo „białych diabłów” jasno pokazywały, że przyszłość należy do nich, a Chińczycy przegapili odpowiedni moment, zatem nawet staranne kopiowanie zagranicznych wzorców już nie mogło w niczym pomóc tutejszym młodym ludziom. Nawet jeśli ktoś ukończył uniwersytet i opanował pięć języków, i tak nie był w stanie zatrudnić się w spółce obcego kapitału. Za granicą patrzono na niego jak na dzikusa, a białe damy w przerażeniu opuszczały windy i wzywały

policię, jeśli Chińczyk próbował jechać z nimi w jednej kabinie.

Cesarz nie mógł nic przeciwstawić bezczelnym obcokrajowcom, wiara w świętość jego władzy zaczęła się chwiać, aż wreszcie w 1912 roku został zmuszony do abdykacji.

Kraj rozczłonkował się na prowincje, których gubernatorami zostawali najokrutniejsi, pozbawieni skrupułów bandyci, myślący tylko o łupach wojennych i haremach. Żeby utrzymać w ryzach tę samowolę, zachodni dyplomaci jeszcze mocniej ograniczali samodzielność Chin i stopniowo podporządkowywali sobie finanse, przemysł i urzędy celne. Nie chcieli jednak oddawać tego wszystkiego wczorajszym rozbójnikom, biegającym po lasach z mieczami i rewolwerami.

Wszyscy bali się wielkiej wojny, wszyscy mieli coś do stracenia, więc w Chinach wrzało, kiedy kraj próbował znaleźć wyjście z niekorzystnej sytuacji. Na dodatek populacja znacznie się powiększyła, ze wsi płynął nieprzerwany strumień ludzi młodych, niewykształconych, nic nieumiejących. Miasta miały ich jak ziarno, śmiertelność, przestępczość i narkomania wśród pracujących na czarno kulisów były po prostu zastraszające, na dobitkę te problemy narastały z czasem.

Rosjanie przyплыli do Szanghaju w najgorszym możliwym momencie, kiedy płace uległy obniżeniu, a stosunki z obcokrajowcami zaostrzyły się niesłychanie. Jedynym, co powstrzymywało miejscowych od powstania, to wiara, że „białych diabłów” nie da się pokonać siłą, bo nie znają nawet pojęcia klęski.

Uchodźcy z Rosji zachwiali tą pewnością. Aż do ich przybycia nikt nie myślał, że przedstawiciele białej rasy mogą prosić o jałmużnę, umierać na ulicach albo zostawać kochankami chińskich bandytów. Idea wyższości białych ludzi zaczęła się chwiać w posadach. Europejczycy i Amerykanie starali się nie zauważać Rosjan, jakby byli jakąś pomyłką natury, a Chińczycy z upodobaniem dręczyli uciekinierów. Dla słabych i poniżonych nie ma większej rozkoszy, niż dokuczyć komuś, kto jest jeszcze słabszy.

Nina miała słuszość, porzucając Klima. Co mógł jej zaproponować? Pracę fordanserki? Pryczkę w nędznym pokoju, za który w dodatku płaciła piętnastolatka? Parze biedaków łatwiej było przeżyć niż każdemu z osobna, dlatego trzymali się razem.

Świtało. Nad dachami unosiły się dymy, gdzieś w oddali piałły koguty, a ulicami spieszyli pierwsi handlarze z bidonami i koszami na nosidłach.

Ada wlokła się, uwieszona ramienia Klima. Nowe buty starły jej nogi do krwi.

– Dziękuję, że czekał pan na mnie – bełkotała pijanym głosem. – Wcześniej myślałam, po co w ogóle żyć i co mnie czeka. Ale z panem nic nie jest straszne... Jakos sobie poradzimy, prawda?

Klim westchnął. A jemu samemu po co żyć? Żeby udowodnić Ninie, że nie jest skończony?

Chciałby mieć rodzinę i zajmować się tym, co lubi. Oczywiście z takimi planami człowiek nie zostanie milionerem ani wielkim wodzem, ale co z tego? Czy wszyscy powinni marzyć o tym samym?

Na szczęście nie trzeba na ścieżce do powodzenia koniecznie łamać swojego „ja”. Z punktu A do B prowadzi wiele dróg, a najważniejsze to znaleźć tę własną i nie zrezygnować z zamiarów w środku podróży. Wówczas na pewno dotrze się do celu, a w każdym razie tak twierdzą autorzy poczekających przypowieści i baśni, w których Dobro zawsze zwycięża w walce ze Złem.

Po powrocie do pokoju w Domu Nadziei Ada padła na łóżko Klima i od razu zasnęła. Przypomniawszy sobie, jak z nią tańczył, mając przed oczami zupełnie inną kobietę. Tango to jednak wielka sprawa! Dopóki płyną jego dźwięki, dopóty można być kim się chce i z kim się chce. Gdy muzyka zamilknie, życie wraca w swoje koleiny, jednak ofiarując przedtem te parę cudownych chwil.

Klim przykrył Adę kocem i podszedł do okna, z którego roztaczał się zajmujący widok. Po lewej stronie stały pałace, po prawej chałupy, a pośrodku wznosiła się na wpół zrujnowana wieża, bardzo podobna do przydrożnego obelisku z wytartymi napisami.

Eh, odpowiedziałby ktoś witeziowi na rozdrożu, dokąd się skierować, żeby odszukać Carewnę Łabędzia! Z tym że znalezienie jej też nie miałoby większego sensu. Gdyby nawet spotkał się z Niną, co jej powie? Że ją kocha? To wiadomość mocno już stara, a nie miałby nawet czego dodać.

Można, oczywiście, wspominać o dawnych zasługach, ale w tej chwili nikogo one nie ciekawią. Zanim witeż zaleczy rany, wyczyści pancerz i zdobędzie dobrego konia, nie ma co myśleć o Carewnie.

Rozdział 3

Obcy

Notatnik. Zyski i straty

Powiadają, że Rosjan jest w mieście ponad sześć tysięcy, gdyż do tych, którzy przyплыnęli na okrętach Starka, dobili uchodźcy przybyli kolejną. Na nowych czekają sprytni dworcowi chłopcy i za niewielką opłatą pokazują im, gdzie znajduje się prawosławna cerkiew, gdzie są najtańsze sklepy i gdzie można przenocować.

Władze nie mają pojęcia, co z nami począć. Powołały biuro do spraw rosyjskich i wysłały telegram do Australii z prośbą, aby tam nas przyjęli. Ale nic z tego nie wyszło, bo Australijczycy nie pozwalają na wjazd osobom nieposiadającym środków do życia.

Właściciele lombardów wzbogacili się na uchodźcach, którzy przynoszą do nich resztki dawnych fortun: drogie kamienie, futra, ikony, a nawet krzyżyki na łańcuszkach.

Przy maleńkiej cerkwi Objawienia Pańskiego zorganizowano obóz, w którym ludzie mieszkają w ręcznie robionych namiotach i chatach zbitych z dykty. Na podjeździe panują nieopisane wręcz hałas, brud i ciasnota. Zarośnięty żołnierz, członek Prawosławnej Drużyny, rozlewa zupę z cebra, a kolejka do niego ciągnie się przez cały dziedziniec i wychodzi aż na ulicę. Mydło do prania odważają na aptekarskich wagach: „Po jednym kawałku tylko!”. Kolejka do wody, kolejka do bieliznianego sznura...

W bramie pojawia się przedsiębiorca, chcący zaoszczędzić na sile roboczej: „Dziesięciu ludzi do rzeźni, żeby flaki nosić. Są chętni?”

Thum się ciśnie do dobroczyńcy: „Ja! Ja bym chciał!”

Muszę się myć w chińskich publicznych łaźniach. Piętro przeznaczone jest dla bogatych, woda z ich wanien spływa na parter do szerokiego kanału, oblicowanego kamieniem. W tej wodzie myją się nędzarze i oczywiście co trochę zapadają na choroby skóry.

Wszyscy się miotają w poszukiwaniu pieniędzy. Pierwsze zaczęły zarabiać kobiety, podające się za wróżki. Ich usługi cieszą się wielkim wzięciem wśród rodaków. Wróżenie i jasnowidzenie są zakazane na terenie Osiedla Międzynarodowego, ale władze kolonialne nie mogą sobie z tym poradzić, gdyż Rosjanie są osobami bez obywatelstwa, więc ich sprawy powinny rozpatrywać chińskie sądy, a według tutejszych praw przepowiadanie przyszłości jest bardzo szanowanym zajęciem.

Coś tam są w stanie zarobić członkowie orkiestry korpusu kadetów.

Zapraszają ich do grania w kinoteatrach, na weselach i pogrzebach. Pozostali utrzymują się z dorywczych zajęć.

Najtrudniejsze na emigracji jest zaczynanie od zera. Nikogo nie interesuje, że w ojczyźnie byłeś generałem albo znanym dramaturgiem. Życie przesuwa cię od razu do grupy młodych żółtodziobów, którzy w dodatku o wiele lepiej znają miejscowy język i obyczaje. Ale nie masz osiemnastu lat i już z racji wieku powinieneś mieć jakiś szacunek! Jednak nie masz ludziom nic do zaoferowania, tracisz więc wartość nie tylko w cudzych, ale i we własnych oczach.

W nadziei na cud obszedłem wszystkie redakcje anglojęzycznych gazet, ale nie wpuszczali mnie nawet za próg. Rosyjski akcent jest przekleństwem! Ledwie wypowiedziałem parę słów, a drzwi zatrzaskiwały się przed nosem: „Z bolszewikami nie rozmawiamy!”. I jak mogę coś w ten sposób komukolwiek zaoferować?

Moja ojczyzna zamieniła się w źródło niebezpieczeństwa: na całym świecie hołota, natchniona przykładem bolszewików, marzy o tym, by zabrać własność „burżujom”, a ci, którzy mają coś do stracenia, widzą w Rosjanach buntowników i prowokatorów.

Żeby ustalić, kto z nas biały, a kto czerwony, potrzebne są siły i czas, a o wiele prościej wygnąć podejrzanego oberwańca, tak na wszelki wypadek.

Rosjanie, włączając w to mnie samego, z utajoną bezsilnością nienawidzą mieszkańców Szanghaju. Mimo wszystko każdy z nas wierzył, że w Chinach będziemy mieć jakiś status, choćby z uwagi na to, że niegdyś Rosja należała do wielkich mocarstw. Nic z tego, stoimy niżej od wszystkich w jakiegokolwiek hierarchii.

Zdaje nam się, że zostaliśmy oszukani i dostaliśmy się do nieprawdziwych, mitycznych Chin. Szanghajskie społeczeństwo przypomina mieszkańców czarodziejskiej góry Kunlun z taoistycznych legend: na szczycie zasiadają najwyższe bóstwa, czyli obywatele Wielkiej Brytanii, Francji, Stanów Zjednoczonych i Włoch, nieco niżej mieszkają Nieśmiertelni – biali ludzie z innych szacownych krajów. Tutaj lata Władca Wiatru i Deszczu z workiem, w którym chowa huragany, to znaczy Japonia. Wszyscy oni spacerują po rajszych ogrodach, piją eliksiry nieśmiertelności i z rzadka spoglądają w dół na swoich chińskich poddanych. Rosjanie, jak przystało na obalonych bogów, zamieszkują pod ziemią, nie mając prawa do miłosierdzia.

I tak udało mi się z pracą – przez kilka dni piłowałem kłody dla warsztatu meblowego. Dwóch ludzi powinno od świtu do zmierzchu machać wielką ośmioletową piłą, co przyprawia o koszmarny ból mięśni. Kiedy pilarz traci rytm, właściciel natychmiast go wypędza i przyprowadza świeżą siłę roboczą. Tartaki tracą klientów, bo po co wydawać pieniądze na ich usługi, jeśli praca ręczna jest o wiele tańsza?

Czasami strasznie zazdrozczę chińskim dzieciom, które włożą po pas do mętnej, lodowatej rzeki i za pomocą dziwnych koszyków próbują łowić ryby. Drżą z zimna, wrzeszczą, śmieją się i – sądząc ze wszystkiego – całkiem przyjemnie spędzają czas. Tacy chłopcy nigdzie nie zginą.

Przy czym ja też się powolutku uczę żyć w Szanghaju. W szczególnie udane dni, kiedy mi się trafi srebrna moneta, nie wydaję jej od razu, ale rozmieniam na miedziane drobniaki. Potem szukam, w którym kantorze jest najlepszy kurs, i po obiegnięciu połowy miasta zamieniam miedziaki znów na srebro, ale już z dziesięciocentowym zyskiem. Dla mnie to oznacza kolację, bo tyle kosztuje porcja makaronu albo orzechów w cukrze. Ale patrzeć należy czujnie w przypadku obu potraw, jako że handlarze, sprzedając jedzenie na wagę, dosypują do niego piasek dla zwiększenia ciężaru.

Jeżeli trafi się dzień całkowicie nieudany, zadowolam się solonymi ogórkami za siedem copperów albo idę do francuskich zakonnic, wydających zupę tym, którzy wezmą udział we mszy.

Właśnie tak żyje cały bezrobotny Szanghaj, a jeśli ktoś zarobi więcej niż dolara dziennie, to przestępstwem – okradając mieszkania, wymuszając haracz na drobnych handlarzach: „Płacić, bo będzie źle!”.

W śmierdzącej papierosami garderobie fordanserki przebierały się i malowały. Postronny obserwator nic by nie zrozumiał z ich rozmów, ale Ada już się zaczęła orientować w tutejszym żargonie.

Najlepszych klientów – młodych, wesołych i bogatych – dziewczyny nazywały „jaszczurami”, niepięknych bogaczy „złotymi żyłami”, a siebie same „gorliwymi”. Nudny mężczyzna, nieumiejący tańczyć, to był „ogórek”, mężczyzna bez pieniędzy „falszywy alarm”. „Ślusarz” to ten, który wkładał w kieszenie kawałki żelaza, żeby dzwoniły, a wszyscy myśleli, że ma dużo srebra.

– Słyszałyście? Marta kazała szatniarzowi trzymać pod kluczem mój płaszcz, żebym nie wychodziła przed czasem ze „złotymi żyłami! – złościła się czarnooka Betty, piękna i bujna królowa Hawany.

Ada ukradkiem się nią zachwycała: Betty miała karminowe wargi, czerwoną suknię z rozcięciem prawie do połowy biodra. Była najzupełniej pozbawiona wstydu. Z kolei Betty nie zwracała na Adę najmniejszej uwagi. Raz tylko zabrała jej papierosy: „Zostaw to! Za młoda jesteś!”. A sama mówiła, że palenie to najlepszy środek na anginę.

Do garderoby wszedł kierownik sali i dziewczyny zapiszczały, zasłaniając nagość.

– Ej, ty, Rosjanka, gospodini cię wzywa! – rzucił obojętnym tonem.

Marta siedziała na górze w małym gabinecie, ozdobionym malowanymi talerzami z widokami Paryża, Wiednia i Florencji. Właścicielka je zbierała.

– Siadaj – poleciła, wskazując Adzie obity brokatem fotel. – Z Rady Miejskiej znów przysłali pismo. Chcą, żebym przedstawiła listę pracujących u mnie. Jak pisze się twoje pełne imię?

Ada podyktowała.

– Narodowość?

– Amerykanka.

Dziewczyna już trzy razy chodziła do konsulatu Stanów Zjednoczonych, mając nadzieję wyrobić sobie dokumenty, ale zły na cały świat marine nie wpuszczał jej do środka.

– Jest paszport? Nie? To wynocha!

– Ale mój ojciec był z Teksasu! – upierała się Ada. – I ciocia Clair.

– Wynoś się!

W rubryce „narodowość” Marta napisała „Rosjanka”.

– Zameżna? Powiedzmy, że tak.

– My z Klimem tylko wynajmujemy pokój we dwójkę!

– To bez znaczenia. Wracaj do pracy.

Ada zeszła powoli na dół.

Na całym świecie nie miała nikogo, oprócz Klimy, dlatego bardzo chciała, żeby jej sytuacja była jasna zarówno dla niej samej, jak i otoczenia. Ale wychodziło nie tak, jak trzeba. Mieszkała w jednym pokoju z mężczyzną, starszym o osiemnaście lat, który nie był ani jej małżonkiem, ani krewnym.

Klim odprowadzał Adę i czekał na nią po pracy, rozśmieszał dziewczynę i uczył ją zonglować, a właśnie ta umiejętność przysparzała jej wielu napiwków. Ale przy tym zachowywał się tak, jakby byli tylko dobrymi przyjaciółmi.

Pewnego razu zaproponował Adzie, żeby się przeniosła do domu dziecka, w którym mieszkały rosyjskie dziewczęta.

– Tam cię chociaż nauczą wyszywania. A w Hawanie codziennie pijesz i wdychasz dym papierosowy.

– Sam mnie pan tutaj przyprowadził! – odgryzła się Ada. Obrażała ją myśl, że Klim chce się od niej uwolnić.

W Hawanie nauczono ją cenić w sobie kobietę, przejmowała od fordanserek ich manierę uwodzenia każdego napotkanego mężczyznę. Ale mimo wszystkich wysiłków, Klim nie chciał ulec dziewczynie.

Czasem celowo zaczynała się przebierać przy nim i czekała, co powie. Klim wtedy wzdychał i w milczeniu wychodził na korytarz. Ada się złościła – za kogo on się ma? Uważa, że jest go niegodna?

Dziewczyna postanowiła, że dopnie swego. Pewnego razu, kiedy spał, położyła się przy nim i nie mogąc ogarnąć własnej zuchwałości oraz rozwiązłości, położyła mu rękę na biodrze.

Klim się obudził i zrzucił Adę na podłogę.

– Pan co, zgłupiał? – zakwiliła, rozcierając stłuczony łokieć.

Usiadł na pryczy, skrzyżował ręce na piersi.

– Ada, przestań! Przecież mnie w końcu znienawidzisz, przecież...

– I tak już pana nienawidzę! – przerwała mu i się rozplakała. – Pan mnie nie kocha!

– Głupiutka, przecież jeszcze kiedyś wyjdiesz za mąż!

Najgorsze było to, że w Hawanie wszyscy uważali Klimę za jej kochanka, a dziewczyny drażniły się z Adą. Pewnego razu zamknęły garderobę na klucz i zaczęły przy niej omawiać sposoby zapobiegania ciąży. Tak naprawdę nie były złośliwe i okrutne, chciały jej tylko wlać trochę rozumu do głowy.

– Żaden mężczyzna nie lubi prezerwatyw, dlatego że są grube i często się rwą – mówiła jasnowłosa Annetta. – Twój Klim wymyślił sto powodów, żeby ich nie używać.

Inne fordanserki kiwały głowami.

– Kobieta całkowicie zależy od kochanka. A jemu co się stanie? Otrząśnie

się i poleci sobie, a tobie zostanie skrobanka. Najlepszy sposób to od razu po sprawie podmyć się wodą octową.

– Nie, dziewczęta, lepiej amerykańską coca-colą. Tylko trzeba potrząsnąć butelką, żeby było dużo piany...

Ada zasłoniła uszy, ale Irlandka Rosalie siłą oderwała jej dłonie.

– Opowiem ci o najpewniejszym sposobie – szepnęła. – Bierzesz kwadrat cienkiego płótna dwa na dwa cale, nacierasz słoniną i zakrywasz szyjkę macicy.

Żeby jeszcze Ada wiedziała, gdzie ta szyjka się znajduje! W domu próbowała ją odnaleźć i nawet oglądała się w lusterku, ale nic nie zobaczyła.

Rano, po pracy, Ada wchodziła na górną pryczę, a zanim zasnęła, długo leżała, obejmując poduszkę, i obserwowała Klimę.

Zawsze rozbierał się do pasa, a ona z wielkim zainteresowaniem patrzyła, jak robi pompki na podłodze albo podciąga się na drążku umocowanym w futrynie drzwi. Na jego szerokich plecach rysowały się potężne mięśnie. Szelki miał odpięte i podczas ćwiczenia spodnie zjeżdżały tak nisko, że Ada zamierała w słodkim zachwycie, oczekując, aż odsłoni się to, co nie powinno.

Każdego dnia Klim dokądś chodził, żeby zdobyć grosz na jedzenie. Wykonywał jakieś podłe prace, o których nikomu nie opowiadał. Za pokój płaciła Ada. Może właśnie dlatego nie uważał jej za swoją dziewczynę?

Wysłała list do Teksasu i co dnia czekała odpowiedzi.

– Ciocia potwierdzi, że jestem po ojcu Amerykanką – mówiła Klimowi. – Niebawem przyślą mi pieniądze na drogę, a pan zostanie samiuteńki w Szanghaju.

Ada czuła się jak złoto rzucone pod stopy ślepego.

Kiedy tylko zrobiło się ciepłej, rosyjscy imigranci zaczęli przychodzić na plac dla szukających pracy w chińskim mieście. Grabili siano, pozostałe po karmieniu bawołów i koni, zasiadali na nim i czekali na pracodawców. Stawkę dzienną wypisywali kredą na podeszwach butów. Słabsi chcieli dwadzieścia pięć centów, młodzi i silni ośmielali się żądać aż dolara.

Chińscy przedsiębiorcy chodzili między wyciągniętymi nogami i po długich targach zabierali ze sobą siłę roboczą.

To było tragiczne i pełne majestatu widowisko: ludzie setkami oddawali się w niewolę, szli na najcięższą katorgę i byli szczęśliwi, kiedy znajdował się zainteresowany nimi kupiec. Chętnie znaleźliby coś lepszego albo zdobyli nowy zawód, ale na naukę potrzebne były siły i czas. A kiedy haruje się od świtu do nocy, o książkach można zapomnieć. Poza tym skąd je wziąć? Przecież kosztują. Przy czym większość uchodźców i tak nie mogłaby ich przeczytać, bo w Szanghaju nie sprzedawano podręczników w języku rosyjskim.

Klima wzięli do garbarni – tak nazywano kilka stodoł, stojących pośród gór śmieci i śliskich odpadów. Ziemia wokół była wypalona chemikaliami. Nad basenami, w których moczyły się świńskie skóry, unosiły się złowróżbne opary, a odór zgnilizny był tak uderzający, że oszałamiał.

Właściciel kazał Klimowi i innym wyrobnikom wyciągać skóry i zeszkrobywać z nich na wpół rozłożoną sierść. Trudno było uwierzyć, że z tego białawego, oślizłego paskudztwa zostanie kiedyś zrobiona damska torebka albo wytworny trzewiczek.

Wapienny pył unosił się w powietrzu i zasłaniał słońce. Niebawem odzież robotników pokryła się białym nalotem, jakby zostali wytarzani w mące. Błede postacie poruszały się niczym widma w kłębach dymu i oparów, wywijają hakami, przeciągały stopy skór i wlekły ciężkie pojemniki z barwnikami.

Chińczycy wyśmiewali się z Klima.

– Teraz zrobił się z ciebie prawdziwy biały człowiek!

– Popatrzcie lepiej na siebie – odgryzał się.

Pewnego dnia wieczorem, kiedy wszyscy zebrali się przed kasą, do otwartej bramy podjechał lśniący samochód, z którego wysiadła wysoka, lekko przygarbiona dama o podłużnej, wąskiej twarzy i czarnych, lśniących oczach o kształcie migdałów. Na głowie nosiła mały francuski beret, miała męskie buty z zamszowym wierzchem i drogi kraciasty garnitur, który do niej zupełnie nie pasował.

Odór zgnilizny sprawił, że pobladła. Robotnicy zarechotali.

– Ktoś tutaj mówi po angielsku? – zapytała dama.

Nie otrzymała odpowiedzi. Chińczycy patrzyli na nią jak na głupią kurę, która sama pcha się do zupy. Tutaj nienawidzono bogatych cudzoziemców.

– Jestem dziennikarką – przedstawiła się, poprawiając wymykający się spod beretu jasny lok. – Pracuję w gazecie „Wiadomości Codzienne Północnych Chin” i mam napisać o dzieciach pracujących w tym zakładzie.

Klim przyglądał się jej w milczeniu. Dziennikarka, też coś... Okazuje się, że taki zawód jeszcze istnieje.

Wskazał jej grupkę brudnych chłopców pod ogrodzeniem.

– Tam ma pani swoich bohaterów.

– O, dziękuję! – ucieszyła się. – Czy mógłby pan...

Przerwał jej właściciel, który właśnie nadbiegł:

– Kto panią tutaj wpuścił?! – wrzasnął, mieszając angielskie i chińskie słowa. – Wynocha do swojej dzielnicy i tam węszyć! Tu jest nasze terytorium!

– Tak jest! – poparli go robotnicy. – Wynoś się!

Dama się cofnęła.

– Ale ja chciałam...

– Zabierać się stąd!

Przy wtórze gwizdów i buczenia dziennikarka pospiesznie wsiadła do samochodu, szofer zapuścił motor i odjechali. Za nimi poleciały grudy ziemi.

Klim ze złością patrzył na rozgorączkowanych zwycięzców. Pomyślał, że właśnie przepadła szansa poznania się z pracownicą angielskiej gazety. Mógłby jej pomóc z tłumaczeniem, jako że w ostatnim czasie jego szanghajski znacznie się poprawił. Ale widać los nie był łaskawy...

Klim wziął swoją zapłatę i wyszedł za bramę. Wzdłuż drogi stały nędzne chałupy. Purpurowi z wysiłku tragarze pchali przed sobą wózki, na których siedziało po trzech, czterech robotników z fabryki zapalek. Mieli pokaleczone stopy, dlatego musieli zatrudniać kulisów, żeby wozili ich do pracy i z powrotem.

Starcy siedzący na ganeczkach grali w madzonga – hazardową grę, w której używa się kościanych płytek. Obok nich biegały dzieci. Najmniejsze miały z tyłu spodni rozcięcia – kiedy taki dzieciak poczuł potrzebę, przysiadał tylko i robił swoje prosto na drogę.

Klim cały zdrętwiał ze zmęczenia, czuł suchość w gardle, a skóra na twarzy i szyi paliła go jak od oparzeń. Jeszcze miesiąc takiej „pracy”, a na pewno albo nabawi się astmy, albo zapadnie na suchoty.

Zabrzmiał klakson i obok Klimy zatrzymał się samochód.

– Proszę wsiadać, podwożę pana – powiedziała dziennikarka, otwierając tylne drzwi.

Klim popatrzył na nią zdziwiony.

– Zapaskudzę pani całe auto... – zaczął, ale ona machnęła ręką.

– To nic, wyczyści się. Nazywam się Edna Bernard. A pan kim jest?

Klim się przedstawił.

– Czyli zgadłam, że Rosjanin! – rozjaśniła się dama. – Dokąd jedziemy?

– Do koncesji francuskiej.

– I wspaniale. Po drodze opowie mi pan, co się dzieje z dziećmi w waszym zakładzie.

Kiedy Klim ostatni raz jechał samochodem? Kilka lat temu, ale to była rozklekotana landara. A Edna Bernard dysponowała nowiutkim, pięknym buickiem z polerowanymi panelami, lśniącymi klamkami i wygodnymi skórzanymi siedzeniami. Gdyby tylko wiedziała, z czego się te siedzenia robi!

Klim opowiedział jej, że w garbarniach dzieci rozciągają skóry do suszenia. Każdą trzeba przybić do deski dziesięcioma gwoździami, żeby się nie kurczyła. Praca niezbyt ciężka, ale trzeba ją wykonywać dziesięć, a nawet dwanaście godzin dziennie bez przerwy. Poza tym dzieci oddychają wapiennym pyłem i oparami.

Zarabiają siedem dolarów miesięcznie, ale mało które widziało wynagrodzenie w całości, bo majstrowie karali za każdy drobiazg. Za rozglądanie się w czasie pracy – pięć centów, pobiegnięcie za potrzebą bez zezwolenia – dwanaście centów, za głośny płacz – dolar.

Wcześniej właściciel wynajmował sieroty z przytułku przy katolickim klasztorze, ale mnisi przyjeżdżali czasem sprawdzać, jak się tutaj obchodzą z ich podopiecznymi, a później zaczynały się dla przedsiębiorcy przepychanki z komitetami religijnymi i towarzystwem „opieki nad dziećmi”.

– Teraz gospodarz bierze tylko chłopców ze wsi – powiedział Klim. – Rodzicom łże, że po przyuczeniu da dzieciom sześćdziesiąt dolarów i trzy zmiany odzieży, podczas gdy naprawdę są wykorzystywane i bite. Mało który chłopiec dożyje dwunastu lat, a ci, którzy przetrwają, sami zamieniają się w ciemnych, zaszczutych i bezlitosnych dorosłych.

– A jako kto pan tam pracuje? – spytała wstrząśnięta Edna.

– Tyram tak samo jak wszyscy. – Klim wzruszył ramionami.

Szofer podwiózł go do Avenue Joffre.

– Muszę się wybrać do przędzalni jedwabiu i fabryki zapalek, żeby zobaczyć, co tam się dzieje – powiedziała Edna. – Chce pan jechać ze mną?

Klim potrząsnął głową.

– Pani Bernard, pracuję od szóstej rano.

– Zapłacę panu! Ile pan chce? Pięć dolarów? Dziesięć?

Klim na pięć dolarów pracował tydzień, a dla Edny to były drobne. Dała mu zaliczkę i umówili się następnego dnia w tym samym miejscu o dziewiątej rano.

Ojciec Edny był kapitanem, komisarzem policji Osiedla Międzynarodowego i bardzo wpływowym człowiekiem. Chodziła do najlepszej szkoły w mieście, zajmowała się jeździectwem, automobilizmem, żeglowaniem i do pełnoletności w ogóle nie myślała o problemach społecznych. Ale po ukończeniu college'u w Wielkiej Brytanii wróciła do Szanghaju jako inny człowiek. Przyjaciele zarazili ją na studiach marzeniami o stworzeniu nowego świata, w którym każdy będzie miał prawo godnie żyć.

Postanowiła, że jej przeznaczeniem jest dziennikarstwo, i zaczęła pisać artykuły na aktualne tematy. Jednak biała populacja Szanghaju była o wiele bardziej konserwatywna niż londyńscy studenci, nie należało tutaj afiszować się z hasłami sprawiedliwości społecznej.

Kolonistom się wydawało, że ustanowili system, który chroni kraj przed krwawym chaosem, a każde ustępstwo doprowadzi do katastrofy. Gdyby oddać sądownictwo w ręce Chińczyków, zaczną stosować swoje dzikie obyczaje do białych ludzi. Gdyby zwrócić Pekinowi kontrolę nad podatkami i finansami, tępotłowi generałowie zaraz doprowadzą państwo do ruiny ekonomicznej. O równouprawnieniu w ogóle nie mogło być mowy – Europejczycy byli absolutnie przekonani co do naturalnej ułomności ludzi o smagłej skórze i skośnych oczach. Dowody były aż nazbyt oczywiste: przecież Europa potrafiła stworzyć współczesną potężną cywilizację, a Azja nie dała sobie z tym rady.

Edna rozumiała, że to rasizm jest przeszkodą uniemożliwiającą wszelkie porozumienie między białymi a Chińczykami. Przy czym sprawa polegała nie tyle na rasistowskich prawach, ile na przekonaniach i obyczajach. Nikt nie mógł zmusić brytyjskich dżentelmenów, aby przyjmowali miejscowych do Klubu Szanghajskiego. Dzieciom w uprzywilejowanych szkołach nie można było nakazać: „Bawcie się z małym Siao!”. Przecież od maleńkości przyzwyczajali się do myśli, że światem powinni rządzić biali ludzie, a Chińczycy niech będą szczęśliwi, jeśli ktoś zechce ich wziąć na służbę.

Obywatele wielkich mocarstw otrzymywali o wiele więcej, niż była warta ich praca, i to uważano za właściwy porządek rzeczy. Kierownictwo zarabiało po osiemset dolarów miesięcznie, wynajem posiadłości kosztował dwieście, a służba pracowała za jedzenie. Średnie dochody Anglika w Szanghaju wynosiły dwa razy więcej niż w Londynie, a wydatki miał dwa razy mniejsze, przy tym obcokrajowcy nie płacili podatków do skarbu Chin, a ich towary były objęte bodaj najniższymi podatkami na świecie.

Biali żywili przekonanie, że mają pełne prawo do tych przywilejów, bo

przecież dla nich porzucili rodzinne domy i przewieźli swoją wiedzę oraz umiejętności do obcego kraju z nieznośnym klimatem, buntującymi się mieszkańcami i potwornym brakiem higieny. Szczególny status to coś, co przyciągało białą młodzież do Azji. Jeśli w metropolii ktoś był jednym z niezliczonych, pracowitych, ale łatwo zastępowalnych urzędników, to wyjeżdżając do pracy w Chinach, stawał się bóstwem.

W ostatnim czasie wśród Chińczyków zaczęły się rozprzestrzeniać radykalne idee. Gorące głowy żądały zmiany niesprawiedliwych umów i wygnania „białych diabłów”. Ale kto da Chinom kredyty, jeśli nie będzie w nich zagranicznych banków? Co czeka fabryki, jeśli znikną inżynierowie, księgowi, prawnicy i zarządcy? Cały eksport trzymał się na obcokrajowcach, a gdyby ich wypędzić, komu i w jaki sposób kraj będzie sprzedawał towary?

– Głównym zadaniem dzisiejszej dziennikarki jest poszukiwanie i znajdowanie kompromisów – mówiła Edna do Klima. – Jeśli nasze rasy nie będą sobie wychodzić naprzeciw, cała sprawa zakończy się wojną. Biała społeczność nade wszystko ceni sobie postęp techniczny, lecz absolutnie odcina się od postępu socjalnego. Pozbawiamy Chińczyków ludzkich cech, bo tylko tak można się samemu upewnić, że rasizm ma rację bytu. Kto będzie rozpaczał po rozdeptanym karaluchu? Nikt. Tak samo nikt nie będzie przejmował się miejscowym dzieckiem, które zapadło na gruźlicę w fabryce. W artykule chcę udowodnić, że taki chłopczyk też jest godzien współczucia.

Niestety, Chińczycy nie kwapili się do pomocy Ednie. Widzieli w niej tylko sprytną kombinatorkę, która udaje dobrodziejkę albo wręcz dziwaczkę wchodzącą w nie swoje sprawy. Nie chcieli opowiadać o problemach, bo człowiek powie coś nie w porę, a właściciel zaraz go zwolni.

Edna uznała, że miała sporo szczęścia, spotykając Klima. Po pierwsze, podzielał jej wątpliwości, po drugie, umiał znaleźć wspólny język z Chińczykami, a po trzecie, był spostrzegawczy i potrafił wskazać szczegóły, które nadawały reportażowi szczególny koloryt. Kiedy artykuł o chińskich dzieciach został opublikowany, Edna otrzymała sto pięćdziesiąt listów od czytelników, co było dla niej wielkim sukcesem.

Edna dostała nowe zadanie od redakcji – stworzyć materiał o uchodźcach, więc przez kilka dni chodziła z Klimem po targach i slumsach, żeby rozmawiać z rosyjskimi imigrantami. Cud się nie stał i większość z nich wylądowała na dnie. Szczególnie trudny los czekał inwalidów wojennych i samotne kobiety z małymi dziećmi. Ci mogli liczyć tylko na jałmużnę.

Wprawdzie przywódcy emigrantów starali się jednoczyć Rosjan, lecz nie z tego nie wyszło, a brak wzajemnej pomocy tylko pogarszał sytuację uchodźców.

Chińczycy przybywający do Szanghaju byli związani ze sobą rodzinnymi koneksjami, więc ci, którzy zjawili się wcześniej, pomagali nowym się urządzić. A Rosjanie dotarli do Chin jednocześnie i dlatego byli zmuszeni walczyć ze sobą o pracę, tanie kwatery i uwagę dobroczyńców. Imigranci pochodzili z różnych miejsc i warstw społecznych, nawet idee polityczne mieli rozbieżne, od monarchizmu po socjalizm. Ale największym problemem było to, że ludzie upadli na duchu. Jeśli dla Chińczyków przeprowadzenie się do wielkiego miasta było szansą na sukces, to dla Rosjan Szanghaj stał się miejscem katorgi, na którą zostali skazani niesprawiedliwym wyrokiem losu.

Po napisaniu artykułu Edna wysłała po Klimę samochód, żeby przyjechał do jej domu i sprawdził, czy czegoś nie pomieszała w sprawie dzieci. Ten samochód wprowadził mieszkańców Domu Nadziei w wielki popłoch.

– Gdzie pan teraz pracuje? – spytała Ada, wyskoczywszy za Klimem na ulicę.

– Jestem przewodnikiem wycieczek. – Mrugnął do niej i wsiadł na tylne siedzenie.

Po naradzie sąsiedzi uznali, że Klim zajął się handlem opium. Bo jak inaczej wyjaśnić fakt, że nagle kupił sobie zupełnie nowe ubranie, od kapelusza po buty? Miał teraz nawet skarpetki, o czym praczka powiadomiła cały dom.

Willa Edny prezentowała niesamowitą mieszaninę stylów. Przy bramie ozdobionej szlacheckimi herbami nudził się odźwierny w chińskim kaftanie. Nad balkonem z wywijanymi poręczami sterczała antena radiowa, a weneckie okna zasłaniały bambusowe żaluzje. Kiedy je podnoszono, z zewnątrz można było zobaczyć wentylatory pod zdobionym sufitem z kupidynami.

Wszystko to wprawiało w przerażenie mister Bernarda, wielkiego estety i znawcę sztuki, ale ponieważ ciągle był w rozjazdach, żona urządziła dom wedle własnego gustu.

Auto podwiozło Klima do tylnego wejścia,

– Proszę iść do kuchni – powiedział szofer. – Missi zaraz pana przyjmie.

W kuchni Bernardów można było gotować nie dla dwojga, ale dla całej kompanii wojska. Półki ugiwały się pod ciężarem drogiej zastawy, w klatkach popiskiwały pisklęta, a wielki stół był zastawiony koszykami jabłek, zielonym pomelo i kiściami jaskrawożółtych bananów.

Stary kucharz imieniem Yun przywitał Klima niezbyt uprzejmie i kazał mu usiąść na taborecie w kącie, jak najdalej od zapasów. Uważał, że biały człowiek, który przychodzi z wizytą bez krawata, laseczki i własnego służącego, nie zasługuje na szacunek.

Stukając pantofelkami, przybiegła Edna.

– Missi całkiem oszalała – powiedział Yun głośno. – Woła różnych takich i tylko domowi wstyd przynosi.

– Milcz lepiej! – Edna machnęła na niego ręką. – Kto wczoraj bez pozwolenia dał sąsiadom moje srebra stołowe?

Yun przymknął oczy i zaczął monotonnym głosem, jak mały chłopiec:

– Sąsiedzi powinni sobie pomagać. U sędziego Jacksona był wystawny obiad, a pani srebra są piękniejsze niż ich.

– Jak wróci pan, opowiem mu o tym – obiecała Edna.

– To ja mu powiem, że sprowadza pani obdartusów! – oburzył się Yun. – Srebra jej szkoda! A kiedy sama będzie miała święto, zaraz poleci do Jacksona i zacznie prosić: „Niech pan pożyczy kieliszki, bo dla wszystkich nie wystarczy!”.

Edna gestem kazała Klimowi iść za sobą.

– Niech pan nie zwraca na niego uwagi. Yun obawia się po prostu, żeby nasz dom nie „stracił twarzy”.

Zaprowadziła Rogowa do swojego gabinetu, zawalonego papierami i wycinkami z gazet.

– Proszę zobaczyć, co mi tu wyszło – powiedziała, podając mu kilka kartek

maszynopisu.

Klim przeczytał artykuł i się zafrasował.

– Coś nie tak? – zdziwiła się Edna.

– Pani napisała, że rosyjscy imigranci to byli obszarnicy i kapitaliści, a wygnał ich rozgniewany proletariat.

– I co?

Klima drażniło, kiedy obcy z patosem rozprawiali o rosyjskiej rewolucji i jej następstwach. Edna pisała, że białogwardziści sami są winni swojej porażki, gdyż bez umiaru ciemnęli lud, aż ten się w końcu zbuntował. Oczywiście rozpuszczeni panowie nie byli przygotowani do trudów zwykłego życia i kiedy musieli wyemigrować, bardzo podupadli, ale wszystko mogło pójść inaczej, gdyby się w porę opamiętali.

– Mitem jest, jakoby władzę w Rosji przejął proletariat – powiedział bardzo spokojnie Klim. – Mitem jest, że po stronie czerwonych opowiedzieli się biedacy, a po stronie białych ziemianie i kapitaliści. Przypadek decydował, kto w jakim obozie się znalazł, zatem wśród naszych emigrantów jest pełno robotników i chłopów, a pośród bolszewickich dowódców roi się od potomków szlacheckich rodzin.

– Kto w takim razie, według pana, dokonał przewrotu październikowego? – spytała kpiąco Edna. – Czyżby arystokraci?

– Przewodziła temu klika teoretyków socjalizmu na czele z Leninem i Trockim, a wykonawcami zostali ci, którzy właśnie mieli broń w ręku, czyli dezertery, żołnierze z pułków zapasowych i przestępcy, wypuszczeni z więzień. Proszę zrozumieć. Kraj przez trzy lata brał udział w bezsensownej wojnie, nadchodziła zima, a chleba i drewna nie było. Wszyscy mieli nerwy napięte jak struny, a uzbrojony tłum poszedł za tym, kto mu obiecał natychmiastowy pokój z Niemcami i bezkarność przy grabieżach.

– To znaczy za bolszewikami?

– Nie inaczej. Gdy tylko przechwycili władzę, dołączyli do nich niezliczeni oportuniści i banda cwaniaków. Dobra pozycja pozwalała zabierać innym, co tylko im się spodobało, a czekał i żołnierze dostali w dodatku prawo karania śmiercią bez dochodzenia. Każdy z nas stanął przed wyborem, czy dołączy do rozbójników, czy zostanie ofiarą. Przy tym niepodobna było ani się bronić, ani uciec. Do tego potrzebne były siły i pieniądze, a w warunkach głodu i epidemii ludzie nie mieli nic. Proszę nas więc nie osądzać. Każdy rosyjski pijak, jakiego widziecie na ulicy, przeszedł piekło. Po prostu siły człowieka nie są niewyczerpane.

Edna popatrzyła uważnie na Klima.

– A kim pan był przed rewolucją? Oficerem gwardyjskim?

– Nigdy się pani nie domyśli. Argentyńskim dziennikarzem.

Edna poprosiła, aby o tym opowiedział, a kiedy skończył, oznajmiła:

– Gdyby pan dobrze pisał po angielsku i mógł przedstawić rekomendacje, nawet dnia by pan nie siedział bez pracy. Pomyślę, jak można panu pomóc.

Rozdział 4

Amerykański adwokat

Jirzi niepotrzebnie się obawiał, że będą ich z Niną szukać. W Szanghaju mieszkały dziesiątki tysięcy ludzi bez dokumentów, a policja wcale się nimi nie interesowała. Miasto żyło według praw przepelnionego wagonu – ci, którzy znajdowali się na zewnątrz, byli wrogami, a ci w środku od razu stawali się swoi.

Z początku Szanghaj wydawał się Ninie czymś na kształt baśniowego królestwa, ale potem przyszło otrzeźwienie. Nikt jej nie tłumaczył tutejszych zasad i musiała się uczyć na własnych błędach. Kto wiedział, że w sklepach można i trzeba się targować? Że nie wolno pić wody z kranu, bo zaczną się sensacje żołądkowe? Że personelowi trzeba dawać napiwki za najdrobniejsze nawet usługi, choćby się o takowe nie prosił?

Pieniądze i pewność siebie błyskawicznie topniały. Czas uciekał, a Nina jeszcze nie wymyśliła, na czym można zarobić.

Wstrząsnął nią stopień rozwoju i skomplikowania tutejszej ekonomii. Na przykład w fabrykach mogli pracować migranci z prowincji Anhui, wszystkim zarządzali Japończycy, surowce dostarczano z Korei, maszyny z Wielkiej Brytanii, zbytek zajmowały się francuskie firmy, a ubezpieczeniem Amerykanie. W dodatku końcowy produkt eksportowano do Brazylii.

Mimo szczerych chęci Nina nie potrafiła się włączyć do tego lśniącego potoku bogactwa, układów i możliwości. Po pierwsze, była kobietą, po drugie, nie posiadała obywatelstwa i wkładu kapitałowego, a po trzecie, nie bardzo się znała na prawdziwym handlu.

– Może otworzymy kino? – proponowała Czechowi. – Wynajmiemy lokal, wypożyczymy projektor i ławki?

Ale Labuda za każdym razem ją wyśmiewał.

– Zamęczycie się pani użeraniem z komitetami cenzury. W Szanghaju są trzy takie: międzynarodowy, francuski i chiński, a każdy żąda, aby coś z filmu wyciąć. Pamięta pani, jak byliśmy na *Kochankach nocy* i nie wiedziała pani zupełnie, o co chodzi? A kiedy publiczność jest niezadowolona, niszczy siedzenia i aparat. Kto będzie płacić za zniszczoną własność?

– To może weźmiemy zlecenie na remont drogi? – nie poddawała się Nina. – Widział pan przecież, jak tutaj robią ulice. Kiedy kostki brukowe wypadają, przychodzą kulisi i wypełniają ubytek gliną. Trzyma się to do następnego deszczu.

Jirzi popatrzył na nią jak na głupią.

– Nikt pani nie da zlecenia, bo to nieco zbyt dochodowa sprawa. Glina jest za darmo, kulisom płaci się mniej niż dolara dziennie, a za roboty drogowe Rada Miejska wynagradza bardzo dobrze. Zleceniobiorca daje ojcom miasta łapówki

i specjalnie tak wykonuje pracę, żeby w drodze jak najszybciej pojawiła się nowa dziura i znów trzeba było ją zalepić.

Coraz częściej Ninę ogarniało przygnębienie: Chcę do domu! Nie mogę tutaj!

A gdzie by mogła? W Rosji? Tego kraju już nie było!

Kobieta nie mogła patrzeć na rodaków bez drżenia. Wczorajsi bohaterowie wojenni gromadzili się przy charytatywnych jadłodajniach i stali z miseczkami w ciasnych kolejkach. Co za upokorzenie!

Tak jak Nina przypuszczała, Rosjanie stali się uosobieniem niepłacących kombinatorów. O ile przedtem mogła nabrać w sklepie towaru i zapłacić w ciągu miesiąca, o tyle teraz, gdy tylko sprzedawca usłyszał jej akcent, żądał pieniędzy natychmiast. W banku urzędnik nawet nie chciał rozmawiać o kredycie. „Osób bez obywatelstwa nie obsługujemy” – oświadczył i zatrzaskał okienko.

Klim mówił, że Nina z natury jest niezwykle uparta: „Nigdy się nie poddajesz, nawet kiedy wszystkim dookoła już opadają ręce”. Tylko tym się krzepiła... A potem bała się i złościła na siebie, że znów wspomina przeszłość.

Z Jirziego nie miała żadnego pożytku – on nie miał najmniejszych nadziei na sukces i wprost mówił Ninie, że przeje pieniądze, po czym zamieni się w drobną złodziejkę, a on zapije się na śmierć. Wściekał się na siebie za własną tępotę, a jeszcze mocniej na Ninę za to, że próbowała coś zrobić, a tym samym jakby podkreślała swoją większą wartość i siłę ducha. Czasami tak już jej dopiekł swoimi mrocznymi przepowiedniami, że miała ochotę rzucić w niego butem.

Jakże by było dobrze znaleźć sobie nowego męża i zrzucić na niego wszystkie troski! W nadziei zapoznania się z kimś, Nina kilka razy chodziła do lokalu w Astor House, lecz ten pomysł legł w gruzach. Nina nie rozumiała, co się dzieje – w jedwabnej sukni i perłach wyglądała lepiej niż inne kobiety, zapraszano ją do tańca, ale żaden z kawalerów nie miał ochoty na dalszą znajomość.

Wracała do pokoju rozgniewana.

– Oni są jacyś nienormalni! – skarżyła się Jirziem. – Najpierw milczą jak zakłęci, a potem w ogóle uciekają.

Chłopak tylko się śmiał:

– A ja ich doskonale rozumiem. Mężczyznom podobają się wesole i beztroskie kobiety, a pani wygląda jak zła spawka... Oj, to znaczy ssawka... Diabli, nie mówię jednak za dobrze po rosyjsku. Jak się nazywa ten, kto pije ludzką krew?

– Komar – ucięła z rozdrażnieniem Nina.

Już dawno chciała iść do świątyni, jednak nie zdecydowała się na prawosławną cerkiew, bo tam mogłaby wpaść na starych znajomych.

Jirzi zaprosił ją na katolicką liturgię.

– Jeśli będzie pani robić to co wszyscy, nikt nie powie złego słowa – zapewnił, więc Nina się zdecydowała.

Katedra Świętego Ignacego była najwyższym budynkiem w Szanghaju. Codziennie przywożono tutaj turystów, żeby podziwiali piękne witraże, ale kiedy Nina z Jirzim weszli do środka, okazało się, że trwa msza żałobna.

– Proszę tutaj zaczekać – powiedział Czech i gdzieś zniknął.

Rozstrojona Nina usiadła w ławce. Po modlitewnym nastroju nie pozostał nawet ślad, a ustrojona wieńcami trumna wydała się złym znakiem.

Usłyszała jakieś sapanie i obok niej usiadł tłusty człowiek w skórzanym płaszczu.

– O, madame, co za spotkanie! – wyszeptał don Fernando i bez ceremonii pocałował Ninę w policzek. – Wie pani, kto jest w trumnie? Mój najlepszy przyjaciel, Augusto.

Lecz na twarzy don Fernanda próżno by było szukać śladu rozpacz. Zaczął opowiadać Ninie, że Augusto nie słuchał jego rad, polazł, gdzie nie trzeba, i w rezultacie dostał kulkę w serce. Bez najmniejszej wątpliwości don Fernando sam przyłożył do tego rękę.

Nina słuchała w milczeniu. Doczekała się... Jedyne człowiek, który szczerze cieszył się na jej widok, był portowym bandziorem!

Siedzący przed nimi chudziutki staruszek obejrzał się i położył palec na ustach, napominając Fernanda, żeby był cicho, ale ten tylko spojrzął tak, że nieszczęśnik zaraz przesiadł się dalej.

– Jak pani w Szanghaju? – spytał don Fernando. – Kwitnie pani?

– Miał pan rację – odpowiedziała cicho, ledwie słyszalnie. – Potrzebuję dokumentów.

– Załatwimy! Chce może pani hiszpański paszport? Zrobimy na miejscu, w Zhabei.

– Nie interesują mnie fałszywki! – przerwała mu Nina. – Potrzebuję dokumentów, z którymi można brać kredyty.

– Uuu, to trzysta dolarów, nie mniej.

– Dlaczego tak drogo?

– Bo w Szanghaju uchodźców z całego świata jest jak szcurów. Bez paszportu jest pani nikim, nawet do biblioteki nie wpuszczą. W konsulatach nie

chęć ryzykować, bo jeśli wydadzą dokumenty jakiejś aferzystce, a ona narobi bałaganu, to oni też będą odpowiadać.

– Czyli zapotrzebowanie na dokumenty jest duże?

Don Fernando chwycił Ninę za rękę.

– Wyjdźmy na świeże powietrze, nie będziemy przeszkadzać krewnym nieboszczyka.

Wyszli na zewnątrz i usiedli na ławce w kościelnym ogrodzie.

– Zapotrzebowanie jest tylko na papiery przyzwoitych krajów – wyjaśnił don Fernando. – Na przykład z belgijskim paszportem można uzyskać wizę każdego państwa świata. Ale najlepiej być obywatelem jednego z mocarstw posiadających prawo eksterytorialności.

– Co to takiego? – dopytała Nina.

– Prawa białego człowieka! Jeżeli jest pani, powiedzmy, obywatelką Wielkiej Brytanii, to chińskie władze nic nie mogą zrobić, osąd nad panią należy do angielskiego konsula. To samo tyczy się Francuzów, Amerykanów, Meksykanów i paru innych narodowości. Dawniej Rosjanie byli eksterytorialni, ale wszystko przesra... och, pardon! Ogólnie jest tak: albo równość i braterstwo, albo prawa białego człowieka.

Nina się zamyśliła.

– Jest w Szanghaju konsulat Czechosłowacji? – zapytała.

– Czego?

– Czechosłowacji. To nowy kraj, dawniej wchodził w skład Austro-Węgier, lecz po wojnie uzyskał niepodległość.

Don Fernando zsunął kapelusz na tył głowy.

– Pierwsze słyszę. Konsulatu na pewno nie mają. W Europie panuje taki bałagan, że nieprędko nawiążą stosunki z Chinami.

– A zatem sama otworzę konsulat czechosłowacki – postanowiła Nina. – I sama będę sprzedawać paszporty. Czego trzeba, żebym została potraktowana poważnie?

Don Fernando wytrzeszczył oczy.

– Pani żartuje, prawda?

– Absolutnie. Jeżeli pan może podrobić paszport, bez trudu zdobędzie pan też dokumenty konsularne. Wszystko zrobimy jak należy. Mała republika pragnie zabezpieczać interesy swoich obywateli w Chinach. Jeżeli nikt nie wie o istnieniu Czechosłowacji, to znaczy, że nikt nie może zakwestionować prawomocności mojej inicjatywy. A prawdziwego czeskiego konsula jestem w stanie zaprezentować. Zna się i na polityce, i na kulturze, i na wszystkim, co tylko pan zechce.

– Wsadzą panią do chińskiego więzienia – powiedział don Fernando. – Ale wie pani co? Proszę dać mi rękę do ucałowania! Na początek powinna pani

porozmawiać z dobrym adwokatem, na przykład Tonym Allmanem. Nieraz mnie już z łajna wydobywał.

– Jakiego łajna?

– Kryminalnego.

– Ten pański Allman zna się na prawie międzynarodowym?

Don Fernando zaczął zginać palce:

– Zna prawo międzynarodowe, morskie, francuski Kodeks Napoleona, prawo wszystkich czterdziestu ośmiu stanów amerykańskich wraz z postanowieniami sądów federalnych. A do tego świetnie jeździ konno, co w przypadku szanghajskiego adwokata jest umiejętnością nieodzowną.

– Dlaczego?

– Bo wszyscy tutejsi sędziowie grają w polo, a jeżeli adwokat grywa z nimi, nawiązuje potrzebne znajomości.

Don Fernando wynajął dwie riksze i kazał jechać na Pekin Road.

– Zawsze podejrzewałem, że mężczyźni dokonują wielkich czynów z dzielności, a kobiety z przerażenia – wrzeszczał, przekrzykując uliczny hałas. – Chcesz stać się świadkiem sukcesu, przestrasz damę na śmierć!

Nina nie odpowiadała. Wiedziała, że jej pomysł jest bezsensowny. Jirzi zemdleje, słysząc o jej planach, a jeśli schwyta ich policja, dostaną się do chińskiego więzienia, co jest gwarancją śmierci. Ale nie mogła już się cofnąć.

Kancelaria adwokacka Allman, Borman i Pewzner znajdowała się w pięknym czteropiętrowym domu z windą. Don Fernando bez pukania wtoczył się do środka i zawołał Ninę.

– Zaraz przedstawię panią najlepszemu prawnikowi w Szanghaju!

Na stole stał niewysoki, elegancko odziany pan z podkręconymi wusami i wieszal na ścianie stary zwój. Pomagało mu dwóch Chińczyków w europejskich garniturach.

– Don Fernando, to pan?! – wykrzyknął wusacz i zeskoczył na podłogę. – Mister Yang, mister He, zostawcie poematy, nie ma pośpiechu.

To był właśnie Tony Allman. Przedstawił się Ninie i wyjaśnił dobrym francuskim, że Chińczycy ofiarują mu prezenty za pomyślnie przeprowadzone sprawy – kaligrafie, poematy i inne takie.

– Klienci chcą, żeby ich dary zawsze były dobrze widoczne, a w kancelarii brakuje już miejsca, więc każdego dnia musimy coś przewieszać, w zależności od tego, kto ma przybyć.

Gabinet Allmana był wypełniony książkami, pucharami sportowymi i trofeami myśliwskimi, a na ścianie wisiała tarcza do rzutków.

– Tutejsi adwokaci mają taką rozrywkę – wyjaśnił don Fernando. – Borman przewiduje notowania akcji, podrzucając monetę, Pewzner rzuca strzałką, a Allman podgląda z okna biuro brokerskie naprzeciwko.

Adwokat wskazał gościom obszerne ciemnoczerwone fotele.

– Proszę siadać! Czym mogę służyć?

Nina czuła się niczym niewierna żona podczas wizyty u wenerologa. Z całych sił próbuje taka udawać przyzwoitą damę, ale koniec końców i tak musi się przyznać do grzeszków.

Allman wysłuchał jej, nie okazując nawet śladu zdziwienia, zupełnie jakby każdego dnia przychodziły do niego złodziejzki, marzące o zбиciu fortuny na fałszowanych paszportach.

– Konsulat da się założyć – powiedział. – Pełnomocnictwa konsularne

sporządzimy sami, autoryzacja zaś będzie autentyczna, bo zalegalizujemy ją przez Komisariat Spraw Zagranicznych. Jak długo chce pani ciągnąć taki interes?

– Jak długo się da – odparła Nina, nieco ośmielona.

Allman w zamyśleniu podkręcił wąsa.

– Zamierza pani odebrać innym chleb, więc pozostali konsule zaczną dochodzić, kim pani jest i co sobą reprezentuje. Dam pani radę. Proszę zapomnieć o paszportach i zająć się szampanem.

– Właśnie! – Don Fernando klepnął się po udach.

– Co pan ma na myśli? – nie zrozumiała Nina.

– Urząd celny za skrzynkę szampana liczy dziewięćdziesiąt pięć dolarów – wyjaśnił Allman. – Konsul ma prawo kupować alkohol bez podatku na cele reprezentacyjne, więc jeśli zamówi pani dziesięć skrzynek, zarobek wychodzi niezły.

– Ale celnicy z pewnością będą coś podejrzewać! Dziesięć skrzynek to dużo, w miesiąc się nie wypije.

– Do lustra na pewno. Ale jeśli czechosłowacki konsul będzie urządzał niewielkie przyjęcia, to nikt nie spyta, ile piją goście.

– Madame, szampana mogę zorganizować! – wykrzyknął don Fernando. – A przyjęcia będą już na pani głowie. Układ stoi?

Nina nie spodziewała się takiego zwrotu akcji.

– A kogo niby będę zapraszać? Przecież nie znam tutaj ludzi.

Allman podsunął jej fotografię, która stała na jego stole. Widniała na niej przystojna blondynka z dołeczkami w policzkach.

– Poznam panią z moją żoną, Tamarą. Z pewnością coś wymyśli.

Postanowili działać wspólnie. Nina wzięła na siebie pertraktacje z Jirzim i całą stronę reprezentacyjną, Burbano miał dostarczać alkohol, Allman zaś zalegalizować dokumenty i dogadać się z chińskimi biurokratami.

Po wyjściu na ulicę don Fernando posłał w niebo serdeczny pocałunek.

– Najświętsza Panienko, jestem twoim dłużnikiem!

Spojrzał na Ninę.

– Nie ma pani nawet pojęcia, jakie miała pani szczęście, że Allman zechciał dołączyć do tego przedsięwzięcia! Z nim i jego znajomościami nic nie ryzykujemy.

– A po co mu w ogóle jesteśmy potrzebni? – zdziwiła się Nina. – Jeżeli jest taki bogaty, to kilkaset dolarów nie robi mu wielkiej różnicy.

– To przez żonę. Była kiedyś pierwszą wielką damą Szanghaju, ale rok temu spadła z konia i złamała kręgosłup. Nudzi się, siedząc w domu, więc Allman postanowił ją zabawić udziałem w tej aferze. Ona lubi takie przedstawienia kostiumowe. Do tego jest Rosjanką, tak jak pani, więc będziecie miały o czym

porozmawiać.

– Poznał pan tę Tamarę? – spytała Nina. – Co z niej za człowiek?

– O, to wielka kobieta! – powiedział z przekonaniem Fernando. – Proszę sobie wyobrazić, że jest sparaliżowana poniżej pasa, a jej mąż nie odwiedzi nawet burdelu. Taka miłość jest między nimi!

Nina oznajmiła Jirziem, że powinien zostać fałszywym konsulem.

– Jakże miło! – oburzył się. – Pani zacznie zarabiać na mnie duże pieniądze, ale w razie zdemaskowania do więzienia trafię tylko ja!

– Jeżeli pan nie zechce, przyjdzie się nam rozstać – odparła twardo kobieta. – Nie mam pieniędzy, żeby pana utrzymywać, więc może pan już pakować manatki.

Jirzi od razu spokorniał. Dawno przygotowywał się na tę chwilę, ale dopiero teraz dostrzegł całą nędzę swojego położenia. Dokąd miałby pójść? Komu jest potrzebny muzyk bez palców?

– Dobrze, będę tym konsulem – mruknął, spuszczać oczy.

Rozumiał, że Ninie nie było łatwo zdecydować się na przestępstwo. Żeby usprawiedliwić się sama przed sobą, wymyśliła wrogów winnych tego, co robi – obywateli wielkich mocarstw, którzy „zmusili” ją do obrania takiej drogi.

– Boją się nas i dlatego chcieliby wyrzucić z miasta. Ale nie poddamy się bez walki!

– Wystarczy tego zrzucania winy na innych – wzdychał Jirzi. – Po prostu sami nie potrafimy uczciwie zarobić.

Lecz Nina go nie słuchała.

– Próbowałam załatwić wszystko zgodnie z prawem! A pan, zamiast mi pomagać, całymi dniami leżał na kanapie i czytał felietony w gazetach! Skoro już o tym mowa, siebie proszę winić!

Jirzi patrzył na jej twarz, szyję, na którą padał cień kolczyka, ramię z pieprzykami przypominającymi gwiazdozbiór Smoka... Jak łatwo byłoby nienawidzić tę niekonsekwentną, namiętą i okrutną egoistkę, gdyby nie była taka... taka... Jirzi nie umiał znaleźć właściwego słowa ani po czesku, ani po rosyjsku.

Udając się do Allmana, nawet nie pomyślała, żeby zabrać go ze sobą.

Jirzi długo stał pod drzwiami, wsłuchując się w szum windy, a potem podszedł do komody, w której Nina trzymała bieliznę. To było wszystko, na co mógł liczyć – włożyć okaleczoną rękę w jedwabne koszulki i wdychać delikatny zapach jej majtek. Przy każdym szmerze serce Jirziego zamierało i w panice wkładał wszystko do szuflad, starając się gorączkowo sobie przypomnieć, gdzie co dokładnie leżało.

Nina podjechała do posiadłości Allmanów o siódmej wieczorem. Przy bramie zjawił się służący i poprowadził ją dróżką wysypaną czerwonym piaskiem. Nad gazonami unosiła się para, w koronach drzew ćwierkały ptaki.

Nina denerwowała się jak przed pierwszą randką. A co, jeśli nie spodoba się Tamarze? Jirzi miał rację, kiedy powiedział, że Nina odpycha od siebie ludzi, bo nikt nie chce przebywać w towarzystwie drażliwej kobiety, która umie myśleć tylko o pieniądzach. Jeśli ktoś chce, żeby się z nim przyjaźniono, powinien być błyskotliwy i beztroski, dostarczać satysfakcji, a nie kłopotów.

Służący podprowadził Ninę do domu. W otwartych na oścież oknach wydymały się białe moskitiery, a za nimi widoczna była jasno oświetlona sala z fortepianem, szafami i miękkimi, wschodnimi tapczanami.

Trzej chłopcy w mundurkach skautów budowali na dywanie twierdzę.

– Gdzie się wpychasz? – krzyczał jeden z nich po angielsku. – To przecież dach! Zaraz przez ciebie wszystko runie!

– Nic nie runie! Maaamo! Powiedz mu!

Pod fortepianem dwa biało-rude charty ogryzały wielką kość – każdy ze swojej strony.

– Proszę tędy. – Lokaj skłonił się, przepuszczając Ninę przed sobą.

Tamara siedziała w fotelu, obłożona haftowanymi poduszkami. Obok w zdobionej klatce skakały małe kolorowe papużki.

– Nina Wasiliewna? Bardzo mi miło! – powiedziała Tamara, wyciągając do niej bladą, chudą rękę. – Proszę do mnie się zwracać bez odczestwa, bo zupełnie tutaj od tego odwykłam.

Miała białe, zupełnie siwe włosy i młodą, ale bardzo wychudzoną twarz, po dołeczkach w policzkach nie został ślad. Błękitna jedwabna sukienka podkreślała turkusową barwę oczu, a nadgarstek zdobił sznur pereł, z pewnością bardzo drogich.

– No, dzieciaczki, uciekajcie stąd! – nakazała Tamara. – Roger, zabieraj swoje psy, wszystkie dywany mi zapaskudziły. Wypije pani ze mną kawę, Nino Wasiliewna?

Tamara zadawała pytania, a Nina opowiadała o sobie tak, jak to robił Klim – żartując z siebie i okoliczności. W jej życiu nie było nieszczęść, tylko przygody. Przyszło uciekać przed bolszewikami przez całą Rosję? O tak, to była niezapomniana przejażdżka! Całą drogę Nina leczyła się głodem i brała borowinowe kąpiele, bo są bardzo korzystne dla zdrowia. Towarzystwo w ogrzewanych bydlęcych wagonach było doborowe: moskiewscy profesorzy,

oficerowie ze sztabu generalnego, śpiewacy operowi i przywódcy szlachty. Wszyscy z wielką uprzejmością pomagali sobie dusić wszy i przeklinali rewolucję.

Tamara z ciekawością słuchała opowieści. Jej ojciec, urzędnik w rosyjsko-chińskim banku, wywiózł ją z kraju dwadzieścia lat wcześniej, miała więc bardzo niewielkie pojęcie o tym, co się dzieje w ojczyźnie.

Nina rozśmieszyła ją do łez, opowiadając o flądrze, którą kupiła na targu we Władywostoku. Ryba wyskoczyła z koszyka i poleciała pod stragan, a Nina całą godzinę usiłowała ją wydobyć.

To rzeczywiście bardzo wesołe, kiedy twoja kolacja ucieka, cały bazar tarza się ze śmiechu i daje dobre rady, a ty prawie płaczesz, bo nie masz innego jedzenia, nie masz też pieniędzy, ani kopiejki. Przy czym o takich drobiazgach można było nie wspominać.

– Mówi pani po angielsku? – zapytała Tamara.

– Trochę – przyznała się Nina. – Ale akcent wszystko psuje.

– Proszę to uważać nie za ułomność, ale atut. Mój akcent u nikogo nie budzi zażenowania.

Jeszcze by budził zażenowanie! Jeśli się mieszka w pięknym domu i ma takiego męża jak Tony Allman, można mówić nawet z marsjańskim akcentem.

– Tony powiedział mi o pani pomysłe – oznajmiła Tamara. – Może zrobimy tak: mamy obok dom z hipodromem i wynajmiemy go pani za symboliczną opłatą. Jest tam dość miejsca, żeby urządzać bale.

– Jakie bale? – nie zrozumiała Nina. – Przecież mowa była o niewielkich przyjęciach...

– Jeśli już grać, to o wielką stawkę – odparła Tamara z uśmiechem. – Kiedy pani tak słuchałam, przyszedł mi do głowy znakomity pomysł. Może przedstawię panią jako rosyjską hrabinę, która przyjechała z Europy do krewnego, czechosłowackiego konsula. Na cześć swojego przybycia urządzi pani bal maskowy pod tytułem *Za sto lat*. Przeczytałam w gazecie, że do Szanghaju sprowadzili nowy materiał, nazywany celofanem, i z niego można by zrobić stroje przyszłości. Wydatki biorę na siebie, a pani zarobi na handlu szampanem. Zaraz pomyślimy, kogo można by zaprosić.

Tamara wzięła ze stolika ołówek i zeszyt i zaczęła zapisywać nazwiska.

– Spanta nie weźmiemy, bo przyjaźni się z brytyjskim konsulem, a od prawdziwych dyplomatów powinniśmy się trzymać z daleka. Lepiej weźmy MacGrathów, oni w ogóle nie interesują się polityką. Kiedyś Lucille MacGrath mówiła, że jestem jej najlepszą przyjaciółką, ale nie zaszła do mnie już od dwóch miesięcy. No to damy jej nauczkę.

Ze słów gospodyni Nina wywnioskowała, że ta jest śmiertelnie obrażona na swoich znajomych. Została usunięta z list gości, a starzy przyjaciele coraz rzadziej ją odwiedzali. Tak samo młodzi i zdrowi ludzie unikają starców, żeby nie

przypominali im o perspektywie śmierci.

Tamara miała wrażenie, że już ją pogrzebali. Nie wyobrażała sobie siebie samej żyjącej poza wyższymi sferami z ich balami, regatami, wyścigami konnymi i dobroczynnymi kiermaszami. Ciało miała zniszczone paraliżem, ale postanowiła, że jeszcze zażyje światowej egzystencji za sprawą Niny, a jednocześnie odegra się na znajomych, podsuwając im dwoje oszustów udających europejskich arystokratów.

O przyjaźni z nią nie mogło być nawet mowy – Nina została wynajęta, aby rozweselić panią. Praca była niebezpieczna, gdyż „czechosłowackiego konsula” i jego „krewniaczkę” w każdej chwili ktoś mógł zdemaskować i posłać do więzienia. Ale za to zapłata okazała się godziwa.

Nie mam innego wyjścia – powtarzała sobie Nina. – Teraz najważniejsze to włożyć nogę w drzwi, a potem się zobaczy.

Po powrocie Tony'ego Allmana służba podała kolację. Przy stole było głośno i wesoło. Tamara uczyła synów robić katapulty z łyżek i wiązać marynarskie węzły na serwetkach. Tony, po męczącym trzygodzinnym wystąpieniu w sądzie, jadł z apetytem, śmiał się najgłośniej i opowiadał o tym, jak policja wkroczyła do magazynu z nielegalnymi płytami wartymi dwadzieścia tysięcy dolarów.

W Szanghaju kopiowali i podrabiali wszystko, co tylko było reklamowane w prasie, od tabletek na kaszel po zeszyty nutowe, Allman zaś prowadził sprawy spółek, które próbowały walczyć z chińskimi fałszerzami. Zatrudniał kilku detektywów, którzy wywąchiwali, w których magazynach przechowuje się książki i płyty skopiowane bez zezwolenia, a potem adwokat żądał albo finansowego zadośćuczynienia, albo zniszczenia towaru. Ale dla tych, którzy zajmowali się nie kopiowaniem, lecz podrabianiem, litości nie było, albowiem uznawano to za zamach na świętość – reputację firmy.

– A jak odróżniacie nielegalną kopię od oryginału? – zainteresowała się Nina.

– Po etykietach – wyjaśnił Tony. – Zecerzy w tutejszych drukarniach nie znają obcych języków i często odwracają litery do góry nogami lub zamieniają je miejscami. Jeszcze jedno, co ich demaskuje, to brak spacji albo znaków interpunkcyjnych. Jeśli mój detektyw znajdzie taką podróbkę w sklepie, zaczyna udawać poważnego hurtownika i po nitce trafia do kłębka, czyli producenta.

– A dlaczego policja sama nie prowadzi śledztwa?

Tony wymienił spojrzenia z żoną i oboje się roześmieli.

– Każda posada państwowa w Chinach to nie miejsce pracy, ale karmienia. Jeżeli nie wręczy się policjantom łapówki, palcem nie kiwną.

– A gdyby producenci fałszywek dali im więcej?

– Na taki wypadek mamy don Fernanda – odparł adwokat. – On ma doświadczenie w rozwiązywaniu podobnych problemów.

Nina się uśmiechnęła. Teraz już rozumiała, dlaczego Allman przyjaźnił się z bandytą portowym.

Przez cały wieczór przyglądała się Tony'emu. Rzeczywiście ubóstwiał żonę. Wszystko, co mówił, było na jej użytek, sam dolewał jej soku pomarańczowego i pilnował, żeby jej nie przewiało. Pierwszy raz w życiu Nina widziała, żeby człowiek sukcesu, wpływowy i bogaty, przedkładał kalekę nad wszystkie kobiety świata. To było zarazem dziwne i zachwycające.

Kiedy pokojówka oznajmiła, że po gościu przyjechała taksówka, Tony

poszedł odprowadzić Ninę do wyjścia.

Była już noc i służący zapalali girlandy chińskich latarni wzdłuż alejki dojazdowej.

– Dziękuję pani bardzo – powiedział gospodarz, ściskając rękę Niny. – Bardzo się cieszę, że Tamara panią poznała. Dawno nie widzieliśmy jej w tak doskonałym humorze.

Nina się zmieszała.

– Ależ nie ma za co.

Klim mawiał, że najważniejsze to czuć się kochanym, zdrowym i zdolnym do wielkich spraw. Z tych trzech punktów Tamara miała tylko jeden – miłość męża i dzieci, a to jej pozwalało utrzymać się na powierzchni. A Nina posiadała tylko zdrowie, ale jeśliby jutro złamała kręgosłup, nie miałby się o nią kto zatroszczyć.

Rozdział 5

Błękitny Ekspres

Notatnik. Zyski i straty

Edna przyprowadziła mnie do najświętszego z najświętszych miejsc – redakcji „Wiadomości Codziennych Północnych Chin”. Jedni nazywają to przedsięwzięcie „tubą imperializmu”, drudzy „bandą oferm w różowych okularach”, a jeszcze inni „liberalnym piśmidłem”. Jest to najbardziej popularna, wpływowa i prestiżowa gazeta, jaką kiedykolwiek stworzono na terytorium obcego państwa.

Niestety, mister Green, redaktor naczelny, nie dał wiary, że może być ze mnie dobry reporter. Wyprosił mnie z gabinetu, ale słyszałem, jak mówił do Edny:

– Wasz protegowany nie jest w stanie pisać gramatycznie po angielsku, a nie zamierzam zatrudniać dla niego osobnego redaktora. Jeżeli człowiek nie ma kwalifikacji, powinien pracować jako goniec, nie dziennikarz.

– Wspaniale! – wykrzyknęła Edna. – Niech pan zatrudni Rogowa jako gońca, będzie moim osobistym pomocnikiem.

Jej mąż regularnie płaci za zamieszczanie reklam w „Wiadomościach Codziennych”, dlatego mister Green nie zamierzał się spierać.

Robię wszystko, żeby się Ednie odwdzińczyć. Wcześniej, żeby napisać jeden artykuł, pół dnia biegała po mieście, a drugie pół ślęczała nad maszyną, a teraz dzielimy się pracą na pół – ja piszę notatki o aukcjach konnych, tramwajowych kieszonkowcach, nielegalnych walkach bokserskich i tym podobnie, a ona przekształca to w błyskotliwy materiał prasowy.

Wśród dziennikarzy trwa rywalizacja, czyje artykuły tym razem skradnie i opublikuje chińska prasa. Na taką bezprawną publikację trzeba sobie jeszcze zasłużyć, podobnego honoru dostępują tylko najlepsi z najlepszych. Edna jest niekwestionowanym liderem w tej chwili, co napawa mnie dumą.

Gdy tylko zacząłem otrzymywać stałe wynagrodzenie, powiedziałem Adzie, że teraz moja kolej płacić za mieszkanie, więc dziewczyna modli się, żeby mnie nie wylali z roboty. Według jej mniemania dostałem się prawie do Królestwa Niebieskiego, jako że każdego dnia witam się z miejscowymi znakomitościami. Oni wprawdzie nie kłaniają mi się w rewanżu, ale to nie ma znaczenia.

Mimo wszystko chciałbym pracować samodzielnie, spróbowałem więc napisać po angielsku artykuł o ulicy Wiecznego Szczęścia, jak nazywają kilka kwartałów ciągnących się wzdłuż Fu-Chou Road. W tamtejszych Domach Śpiewających Dziewcząt bogacze kupują sobie iluzję zakochania.

Małżeństwa w Chinach zawiera się wedle umowy rodzicielskiej, nielegalne

romanse karze się bardzo surowo, a nie jest przyjęte, by przyjaźnić się z żonami i otwierać przed nimi. One żyją w swojej części domu, a mężczyźni w swojej. Dla poważnych panów Dom Śpiewających Dziewcząt to jedno z niewielu miejsc, w których mogą bez skrępowania ujawniać swoje uczucia.

Klient wynajmuje pokój i zaprasza do niego dziewczynę, która wjeżdża do niego na ramionach służących. Jest mocno umalowana, wystrojona w jedwabie i wypachniona cierpkimi perfumami. Kiedy gość je kolację, panna śpiewa mu albo czyta poematy.

Nikt nie może przyjść i zapłacić za dziewczynę jak w zwykłym burdelu. Trzeba za nią chodzić, mówić komplementy i obdarowywać. Czasem trzeba poświęcić kilka tygodni albo i miesięcy, zanim wybranka okaże wzajemność. I chociaż wieczór w towarzystwie ślicznotek kosztuje sześćdziesiąt, siedemdziesiąt dolarów, popyt na ich usługi jest zawsze spory.

Los tych dziewcząt nie jest godny pozazdroszczenia. Kiedy kończą dwadzieścia dwa lata, są wypędzane, a w razie ciąży lub choroby może się to stać jeszcze wcześniej. Jeśli pannie uda się coś odłożyć, otwiera sklep albo własny Dom Śpiewających Dziewcząt, a jeśli nie, kończy w tanim domu publicznym.

Byłem pewien, że napisałem całkiem niezły materiał, ale Edna pokreśliła go we wszystkie strony.

– Jest tutaj wszystko. Szczegóły, uczucia... Brakuje tylko dostatecznej znajomości języka – powiedziała. – Pojęcia nie mam, co z panem robić!

Co robić, to akurat jasne. Siedzę w redakcji do nocy i ćwiczę w nieskończoność. Podpatruję cudze artykuły, a potem próbuję je kopiować z pamięci. Praca idzie ciężko, aż mi czasem ręce opadają. Ale pocieszam się myślą, że talent to nieprzewyciężone pragnienie zajmowania się swoją pasją, mimo wszelkich porażek i braku postępów. Już się jednak nie gubię w czasownikach i przyimkach, a to przecież niemało! Jeszcze niedawno wydawało mi się bowiem, że nigdy nie poradzę sobie z angielską gramatyką.

Mister Green powiedział, że podwyższy Klimowi wynagrodzenie, jeśli ten weźmie na siebie korespondencję z Chińczykami, którzy kupowali gazetę, aby uczyć się angielskiego. Połowa listów kierowanych do redakcji zawierała pytanie: „Nie mogę znaleźć w słowniku takiego słowa. Co ono znaczy?”.

Redakcja musiała odpowiadać, dlatego że chińska młodzież zapewniała gazecie solidny dochód. Wszystko zostało już zbadane i ustalono, że jeśli student przysyłał list ze znaczkiem zwrotnym i nie otrzymywał odpowiedzi, zaczynał kłąć na „Wiadomości Codzienne” na każdym rogu i w proteście zaczynał kupować konkurencyjne pisma. A jeżeli przychodziła do niego korespondencja, szalał z radości i stawał się najlepszym agentem, zachęcającym innych do prenumeraty.

Klim nie zdążył poprzedniego dnia uporać się z pocztą, więc następnego ranka zjawił się w redakcji jeszcze przed świtem. Ledwie usiadł przy biurku, gdy drzwi się otworzyły i na progu pojawił się mister Green – niski, szczupły dżentelmen z potarganą czupryną i brodą.

– Gdzie Edna? – spytał, nie witając się. – Jeszcze w Kantonie?

Klim potwierdził. Tydzień wcześniej Edna pojechała na południe Chin zrobić wywiad z doktorem Sun Jat-senem, zdeklarowanym nacjonalistą, rządzącym prowincją Guandong. Ten polityk miał wielkie plany. Pragnął zjednoczyć kraj, renegocjować niesprawiedliwe umowy z wielkimi mocarstwami i skończyć z wojnami gubernatorów. Chińska młodzież była gotowa nosić Sun Jat-sena na rękach, ale obcokrajowcy nie traktowali go poważnie. Doktor nie miał ani pieniędzy, ani kadr dla stworzenia armii, a bez wojska w Chinach nie można było sobie poradzić w żadnej politycznej kwestii. Wielu twierdziło, że doktor znikował na starość, lecz Edna postanowiła się dowiedzieć, kim właściwie jest i na czym polega jego popularność.

Green schował się w gabinecie, ale niebawem wrócił.

– Rogow, słyszał pan nowinę? – spytał, marszcząc z troską siwe brwi. – Na Błękitny Ekspres napadli bandyci. Trzystu pasażerów wzięli do niewoli, w tym wielu cudzoziemców.

Klim gwizdnął cicho ze zdziwienia. Błękitny Ekspres był dumą chińskich kolei. Zakupiono go w Stanach Zjednoczonych specjalnie po to, żeby zorganizować pewne i wygodne połączenie między Pekinem a Szanghajem, a bilety kosztowały tyle, że stać było na nie tylko bogatych biznesmenów i urzędników.

Green zadzwonił do kogoś.

– Muszę wysłać korespondenta do prowincji Szantung. Michael ma teraz

wolne, Edna jest w Kantonie, więc pan pojedzie. Musi pan dotrzeć do miasteczka Linczeng, w którym organizują sztab kryzysowy. Co znaczy, że pan nie może?! We wszystkich gazetach będą się ukazywać iskrówki, a my co napiszemy? Co z tego, że tam są bandyci? Myśli pan, że codziennie porywają pociągi? Proszę nie strugać wariata, z pana jest po prostu tchórz!

Po obdzwonieniu kilku ludzi, Green cisnął słuchawkę na biurko.

– Rogow, która jest?

– Za piętnaście siódma.

– Niech to diabli! Pociąg odchodzi za dwie godziny, a ja nie mogę nikogo znaleźć!

Klimowi serce zabiło mocniej. Może to jest właśnie ta długo wyczekiwana szansa?

– Ja mogę tam jechać.

Green spojrział na niego ze złością.

– Gdzie się pan pcha?

– Przeżyłem wojnę i nie mdleję na odgłos strzałów. Prowincja Szantung jest krajem rozbójników, co wieś to twierdza. Niech pan zapyta Edny, czy potrafię zbierać materiały...

– Wiem, wiem! – przerwał mu Green. – Dobrze, czasu już i tak nie mam... Niech pan bierze mój wóz i jedzie na Yates Road, tam sklepy są już otwarte. Kupi pan sobie garnitur i od razu uda się na dworzec. Niech przyślą rachunek do redakcji. Kiedy tylko dotrze pan na miejsce, proszę przysłać telegram.

Klim dostał od Greena poświadczenie i pobiegł na dół. Nie miał wątpliwości, że wiadomości na temat Błękitnego Ekspresu znajdą się na pierwszych stronach gazet.

Napędce zorganizowany pociąg wioził do Linczengu dziennikarzy, żołnierzy i urzędników. Wagonem trzęsło, za oknem ciągnęły się sady brzoskwiniowe i zalane wodą pola ryżowe.

Klim dziwił się kaprysom losu. Jeszcze rano był małym biurowym trybikiem, a teraz nagle stał się korespondentem sporej gazety, ubranym w elegancki szary garnitur, kapelusz, z zakupionym w lombardzie srebrnym zegarkiem, na którym widniał wygrawerowany napis „Za znakomitą celność”.

W korytarzu Klim poznał Urszulę, małą czarnooką dziennikarkę z nowojorskiej agencji International News Service. Porozmawiali, poplotkowali o wspólnych znajomych i postanowili sobie pomagać.

– Bardzo możliwe, że Błękitny Ekspres wprowadzili bolszewicy – powiedziała w zamyśleniu Urszula. – Byłam w Rosji i przeprowadzałam wywiady z tamtejszymi czerwonymi przywódcami. Wprost mówią, że budowa socjalizmu w jednym tylko państwie jest niemożliwa, dlatego chcą wywołać światową rewolucję i powołać Wszechświatowy Związek Socjalistycznych Republik. Według nich Chiny są najczulszym miejscem w ekonomii kapitalistycznej. Jeśli tu się zacznie wojna domowa, wielkie mocarstwa poniosą ogromne straty. Na północy Chin już się roi od bolszewickich agitatorów, którzy buntują lud.

– Wątpię, żeby byli na tyle głupi, aby porywać pociągi z cudzoziemcami – odparł Klim. – Przecież to by był oczywisty powód do wypowiedzenia wojny.

Urszula uważała jednak, że bolszewików stać na wszystko.

– Nie powinno się po nich spodziewać logiki! Rosja leży w gruzach, całkiem niedawno na Powołżu i na Uralu panował głód, a sowiecki rząd zamiast zadbać o gospodarkę, traci ogromne środki na propagandę zagraniczną. Żeby pan wiedział, jak się boję wojny światowej!

Jakby przypadkiem, odruchowo, Urszula położyła mu rękę na ramieniu, a on nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Jeśli nie liczyć podchodów Ady, to kiedy ostatni raz kokietowała go dama?

W poprzednim życiu.

Jednakowoż białe koszule i jedwabne krawaty potrafią czynić cuda.

Prowincja Szantung była krajem dzikim i niegościnnym. W krajobrazie dominowały tu strome stoki i urwiska, nieprzebyte lasy i niskie chmury nad górami.

Przedstawicielom prasy pokazano miejsce zdarzenia i opowiedziano, co się stało. O drugiej w nocy maszynista zobaczył podejrzanego cienie na torach, spróbował zahamować, ale było za późno. Skład popędził pod stok – bo szyny zostały rozebrane – śpiący pasażerowie powypadali z łóżek, a na nich runął bagaż.

Rozległy się strzały i straszne wycie. Ochrona Błękitnego Ekspresu uznała, że to nalot, i się pochowała. Napastnicy rozbijali kolbami okna, skakali prosto z siodeł do przedziałów i wyrzucali na zewnątrz rzeczy oraz ludzi. Bosych, ubranych w piżamy jeńców poprowadzili w góry, a grabież trwała do białego rana. Rozkradli wszystko – od walizek po klamki i poręcze.

Przysłani przez gubernatora urzędnicy już przystąpili do badania sprawy, ale na razie udało się ustalić tylko jedno: na pociąg napadli miejscowi bandyci.

Klim chodził wzdłuż podziurawionych kulami wagonów. W jednym z rozbitych okien sterczał odłamek szkła pokryty zaschniętą krwią, a obok na ścianie widać było odbicia dłoni. Ktoś próbował się wydostać na zewnątrz, ale nie dał rady.

Potem dziennikarze wyjechali do Linczengu, maleńkiego miasteczka otoczonego warownym murem.

Po brudnych krzywych uliczkach chodzili żołnierze i urzędnicy. Starcy siedzieli na ganeczkach i odprowadzali obcych otumanionymi spojrzzeniami. Ich brązowe twarze pokrywały zmarszczki, a wokół wpadniętych warg kłębił się biały dym z jakiegoś zielska, którym nabijali gliniane fajki.

Klim nadał do Greena telegram z opisem katastrofy i pierwszymi oświadczeniami oficjeli. Garnizon Linczengu już wysłał oddział na odsiecz porwanym, jednak żołnierze nie mogli nic zdziałać, gdyż bandyci robili sobie z jeńców żywe tarcze.

W biurze telegraficznym Klim znów spotkał Urszulę, a ta powiedziała mu, że z Pekinu przybył przedstawiciel amerykańskiej misji dyplomatycznej, Roy Andersen, który ma prowadzić rozmowy z porwaczami.

– Gdzie się zatrzymał? – spytał Klim.

– Ma własny wagon, bo wszystkie hotele są nabite gośćmi. Jutro o ósmej rano obiecał spotkać się z dziennikarzami.

Klim z Urszulą długo chodzili po mieście, próbując znaleźć jakąś kwaterę, a w końcu ją wzięli do siebie włoscy koledzy, którzy wynajęli na noc kryty furgon.

Dla niego miejsca nie wystarczyło, więc wrócił na stację.

Z Szanghaju przyjechał jeszcze jeden pociąg i całe pobocza ulic zajęli żołnierze, krewni zakładników oraz okoliczni chłopcy, którzy ze strachu przed bandytami, udali się pod osłonę fortu.

Ludzi było tyle, jakby w Linczengu założono wielki obóz wojskowy. Płonęły ogniska, ktoś płakał, ktoś śpiewał, ktoś proponował na sprzedaż chrust, herbatę i zimny ryż.

Nawet pod wagonami siedzieli ludzie. Klim wyjął latarkę kieszonkową. Dobrze widział – między kołami skryło się całe stadko dzieci.

Promień latarki prześlizgnął się po stopniach wagonu i oświetlił damskie pantofle oraz białą połę sukni, wyszywanej w czerwone maki. Klim poświecił wyżej i zamarł. Boże kochany... Nina!

Zasłoniła oczy przed światłem i poprosiła po angielsku:

– Proszę to zabrać!

Klim zgasił latarkę.

– Hello, kochanie.

– To ty? – wykrzyknęła.

Oczy stopniowo przyzwyczajały się do ciemności. W powietrzu zamajaczyła biel sukienki, maki wydawały się teraz czarne, potem Klim mógł dostrzec twarz Niny, okoloną kędziorami – cudowna zjawka, zanesiona na skraj świata.

Czekał, co powie; Nina też czekała.

– W naszym wagonie zgasło światło – przemówiła wreszcie. – Nie ma konduktora, widać gdzieś poleciał.

Dziwiąc się własnej zimnej krwi, Klim wyciągnął do niej rękę.

– Chodź, poszukamy twojego konduktora.

Nie odrzuciła propozycji. Opierając się na ramieniu Klimego, zeszła po schodkach.

W innych wagonach była elektryczność. Nina to wchodziła w złote kwadraty światła, padające na nasyp, to znów ginęła w mroku. Pod nogami chrzęściły małe kamyczki, w chłodnym powietrzu aromat perfum kobiety mieszał się z zapachem dymu.

Co za spotkanie! Klim czuł fale gorąca przebiegające przez ciało, serce biło jak oszalałe, na ustach pojawiał się uśmiech niedowierzania. I wierzył, i nie wierzył w to, co się stało.

– Masz sprawę w Linczengu? – spytał.

– Tak.

– A gdzie mieszkasz?

– W Szanghaju.

– Czym się zajmujesz?

– Wszystkim po trochu.

Nina nie chciała opowiadać o sobie. A zatem nie wolno mu było pytać, nie wolno być zazdrosnym, mógł tylko patrzeć na własną żonę i wzdrygać się w duchu: Jak ją kochałem, tak kocham. Nic się nie zmieniło.

– A niech go diabli, tego konduktora – powiedziała nagle Nina. – Chciałam trochę poczytać, ale i tak zrobiło się już późno.

Ot, i wszystko. Zjawa musi wracać do domu, do swoich baśniowych światów.

– Gdzie się zatrzymałeś? – spytała Nina. – Bo mam w przedziale jedno wolne miejsce.

Zupełnie jakby w pierś uderzył go pocisk artyleryjski.

– A Labuda nie będzie miał nic przeciwko temu? – spytał ponuro.

– A co, mam go może prosić o zgodę?

Klim wszedł z Niną do ciemnego korytarza i włączył latarkę, żeby kobiecie łatwiej było znaleźć przedział. Spodziewał się jakiegoś podstępu, pojawienia się zaspanego kochanka albo drwiącego „Wybacz, tylko żartowałam”. Ale nic takiego się nie zdarzyło.

Odsunęła drzwi.

– Wejdz.

Przedział pierwszej klasy: na wpół opuszczona stora, zmięta pościel, lampka nad wezłowiem.

– Walizkę wrzuc na górę – powiedziała Nina. – Możesz spać na kanapce.

Klim odwiesił marynarkę i poluzował krawat. Boże, po co Nina zaprosiła go do siebie?

– Włącz, proszę, latarkę – powiedziała, uklękła jednym kolaniem na łóżku i pociągnęła w dół storę.

Ciemność była na tyle gęsta, że Klima opanowało poczucie, jakby przebywał w wielkiej przestrzeni, jakby wokół niczego nie było, oprócz pustki wszechświata.

Minęło tyle miesięcy, a każde westchnienie Niny, każdy ruch były znajome. Właśnie wyjęła grzebień z włosów, zrzuciła pantofle...

– Urządziłeś się w jakiejś gazecie? – spytała.

– Tak.

– A gdzie dokładnie?

– W pewnej redakcji. – Klim mimo woli drażnił się z nią, udzielając lakonicznych odpowiedzi.

Co mógł powiedzieć Ninie? Że został gońcem i mieszka w Domu Nadziei razem z piętnastoletnią dziewczyną? Że przez wszystkie te miesiące chodził po mieście i wpatrywał się w twarze przechodniów, mając nadzieję spotkać żonę?

Nina stała przed nim – ukochana, niewidoczna i absolutnie nieosiągalna. Nie powinien sobie robić nadziei – ona nigdy nie wróci!

– Musimy oficjalnie wziąć rozwód – powiedział spokojnie. Lepiej nie

czekać, aż ona pierwsza o tym wspomni.

– Kogoś sobie znalazłeś? – zdziwiła się.

– Małżeństwo jest jak dom. Jeśli w nim nie mieszkasz, trzeba albo wypuścić lokatorów, albo wszystko zburzyć i postawić od nowa.

Ledwie słyszalnie skrzypnęły deski podłogi, a jedwabny skraj sukni prześlizgnął się po kolanie Klima. Nina była tak blisko, że czuł jej oddech na skroni.

– Z rozvodu nic nie będzie – mruknęła. – Nie mamy aktu ślubu, więc moglibyśmy to przeprowadzić, tylko pobierając się na nowo.

Klim jednak już o niczym nie myślał. Posadził sobie Ninę na kolanach. Zawołała cicho „Co robisz?!”, ale on już ją całował w usta.

Zasłona w oknie zabarwiła się czerwonawo, widocznie ktoś dorzucił drewna do ogniska. Niewidoczni ludzie zaśpiewali chórem barbarzyńską pieśń – przenikającą na wskroś i niezrozumiałą.

W głowie Klima panował radosny zachwyty: Niech będzie, co ma być! Jego dłoń podjęła wędrówkę wielkim jedwabnym szlakiem – w dół talii, potem biodra, opiętego tkaniną. Nina ścisnęła go za rękę, jakby nie chciała puścić dalej, ale sama zaczęła rozpinać guziki jego koszuli.

Niezgrabne, zachwycające szczęście: odkryć, że łańcuszki krzyżyków splątały się, a potem przy świetle latarki robić z nimi porządek. Mozolić się jak nastolatki, żeby ułożyć się jakoś na wąskiej kanapce, decydować wspólnie, kto gdzie ma położyć rękę, a gdzie głowę, żeby obojgu było wygodnie. Szeptać coś, śmiać się, próbować oswoić się z tym, co zaszło, i zasypiając, wzdychać błogo:

– Doczekaliśmy się... Nie, tak nie można...

Rozdział 6

Byli małżonkowie

Tony Allman miał rację. Wystarczyła niewielka łapówka, żeby zalegalizować dokumenty w Komisariacie Spraw Zagranicznych. Wkrótce na jednym z domów w pobliżu Tybet Road pojawiła się polerowana tabliczka: „Konsulat Republiki Czechosłowackiej”, a w życiu Niny zaczął się nowy etap – maskarady.

Tamara zabroniła Ninie opowiadać postronnym o grozie bolszewickiego przewrotu.

– W pani sytuacji szukanie współczucia byłoby nie tylko bezsensowne, ale i szkodliwe. Ludzie mogą żałować bliźnich tylko wtedy, kiedy są w stanie wyobrazić sobie siebie na ich miejscu. Przecież nie porusza pani serca wiadomość o huraganie w zachodnich Indiach, prawda? Więc proszę nie oczekiwać współczucia z powodu rewolucji w Rosji.

– Ludzie nam nie współczują, bo nic o nas nie wiedzą! – gorączkowała się Nina. – A ja mogę wiele opowiedzieć...

– I wtedy pani goście uznają, że zalicza się pani do nieudaczników, którzy zmarnowali własny kraj. Dżentelmeni z Klubu Szanghajskiego są pewni, że będąc na miejscu rosyjskich uchodźców, postępowaliby zupełnie inaczej, i gdyby im powierzyć komendę nad Białą Armią, wygraliby bez trudu wojnę domową.

– Każdy głupiec może wygrywać wojny, nie wychodząc z palarni. Chętnie bym popatrzyła na tych wojowników, gdyby nie mieli odwodów i posiłków ani amunicji, ani transportu!

– Zamierza ich pani o tym przekonywać? – uśmiechnęła się Tamara. – Proszę mi wierzyć, będzie o wiele lepiej, jeśli ograniczy się pani do opowieści o życiu europejskiej arystokratki, na ten temat zawsze jest popyt.

Tamara miała roczniki starych rosyjskich gazet, więc Nina uczyła się na pamięć opisów teatralnych premier i przyjęć dyplomatycznych, a potem recytowała to przed lustrem i uczyła się potrzebnych angielskich słówek.

Bal maskowy *Za sto lat* okazał się wielkim sukcesem. Dzięki wskazówkom Tamary, Nina okazała się wspaniałą gospodynią. Chiński urząd skarbowy zwolnił z podatku dziesięć skrzynek szampana, a niebawem don Fernando wręczył Ninie pierwsze honorarium.

– Nieźle pani płacą za tańce, co? Lepiej niż jakiejś balerinie! Proszę sobie tańczyć, a my będziemy zarabiać pieniądze!

Po kilku tygodniach Nina zaprosiła nowych znajomych na maskaradę *Sobowtóry sław*. Ten wieczorek także znakomicie się udał. Pośród gości były trzy czarnoskóre tancerki Florence Mills, dwóch wąsatych impresariów Thomasa

Beechama, cztery aktorki Mary Picford i jeden Lew Trocki, który zaczepiał damy, każąc im zwracać „zgrabione brylanty”.

Przed każdym przyjęciem Tamara dawała Ninie zadanie, żeby wpleść w rozmowę jakieś zdanie lub nieco poflirtować ze wskazanym panem. Czerpała ogromną radość, sypiąc piasek w oczy dawnych przyjaciół.

Wszystko szło doskonale, ale Nina niedługo cieszyła się sukcesem. Trzeba było spojrzeć prawdzie prosto w oczy – Tamara trzymała ją tak, jak bogacze trzymają kochanki. Biała willa, umeblowanie i suknie należały do Tamary, goście byli znajomymi Allmanów, a Nina straciła nawet własny życiorys. Wszystkim mówiła, że przeczekwała wojnę, pływając jachtami po Jeziorze Genewskim.

Przez te niekończące się przyjęcia fałszywy konsulat był zbyt widoczny, a Nina wzdrygała się na myśl, że prędzej czy później zostanie zdemaskowana.

– I bez tego mogę organizować zabawy dla pani znajomych – mówiła Tamarze. – Może lepiej zamknąć tę placówkę?

Ale ta odrzucała podobne rozwiązanie.

– Don Fernando sprzedaje pani szampana sekretarzowi gubernatora. Jeżeli nie będzie konsulatu, Tony straci te kontakty, a nie było łatwo je nawiązać.

Nina zaczęła chodzić do antykwariatów. Piękne drobiazgi były dla niej symbolem bogactwa i pewności jutrzejszego dnia. Na Rue Montova kupiła akwarele, porcelanę i lakowe szkatułki. W sklepach na Broadwayu delikatne hafty i buteleczki do perfum z zielonego i białego nefrytu. Wkrótce jej dom zaczął przypominać muzeum, ale nie dodawało mu to ciepła ani przytulności. W życiu Niny brakowało najważniejszego – nikt jej nie kochał i ona nikogo nie kochała.

Wspominała te chwile, gdy leżała w objęciach Klima w ich ciemnym, woniejącym starzyzną pokoju we Władywostoku. On spał, niczego nie podejrzewając, a ona była gotowa jęczeć z przerażenia przed tym, co miało nadejść. Ściany i sufit w ich norze były gęsto zapisane przekleństwami skierowanymi do bolszewików. Przedtem mieszkał tu chorąży, który pewnego razu spił się do takiego stopnia, że dostał białej gorączki i strzelił sobie w skroń. Gospodyni wynajęła pokój taniej, dlatego że Nina zgodziła się zmyć z pieca zaschnięte kawałki mózgu.

Przyrzekała sobie, że w krótkim czasie zdobędzie łóżko z jedwabną pościelą, przebieralnię i wielką kuchnię z pełną spiżarnią. Dostała, co chciała, ale teraz miała wrażenie, że straszliwie pobłądziła. Nie miała pojęcia, dokąd zmierza i po co, a bez celu nie umiała żyć.

Każdego dnia, goszcząc w domu Allmanów, patrzyła, jak Tony dba o Tamarę, i myślała ze zdumieniem: Przecież miałam to samo! Jak mogłam tego nie doceniać? A teraz jedyne, co jej pozostało, to zazdrościć w milczeniu.

Oczywiście nie porzucała prób znalezienia sobie mężczyzny, ale w towarzystwie obcokrajowców czuła się niezręcznie i nie bardzo potrafiła to ukryć. Gdyby ktoś wiedział, z jaką ulgą żegnała ostatnich gości, którzy zasiedzieli się zbyt długo!

– Jirzi, dlaczego nie potrafimy się dopasować do tutejszego towarzystwa? – Nie mogła zrozumieć. – Ludzie rozmawiają ze mną o psach albo meczach krykieta, a ja mam ochotę ziewać z nudów. Czyżby nie istniały ciekawsze tematy? Jak można być takimi płytkimi?

Jirzi rozkładał ręce.

– Problem tkwi w nas samych. Oduczuliśmy się żyć zgodnie z zasadami świata znajdującego się w stanie pokoju. Uznajemy za głębokie tylko dwie kwestie: naszą emigrację i wspomnienia ojczyzny. Doznaliśmy krzywd i jak poranione dzieci oczekujemy powszechnego zainteresowania. Wojna uczyniła z nas potwornych egoistów.

– To my jesteśmy egoistami? – rozłościła się Nina. – Przecież oni myślą tylko o sobie!

Jirzi potrząsnął głową.

– Kiedy ostatnio ofiarowała pani coś na cele dobroczynne?

– No... Właśnie zamierzałam...

– Właśnie. A pani goście regularnie zbierają pieniądze na przytułki i szpitale. I niech mi pani wierzy, ci „płytcy” ludzie przynoszą o wiele więcej korzyści niż damulki, które okradają chiński budżet.

Spierali się, a po długich bataliach Czech przyznawał, że droczy się z Niną tylko dlatego, iż zazdrości jej energii i umiejętności dążenia do celu.

– Ależ we mnie nie ma żadnej energii! – złościła się. – Najbardziej na świecie chciałabym wygrać na loterii sto tysięcy i zamieszkać w zamku o solidnych murach, żeby nikogo nie widzieć i nie słyszeć.

– To po co pani wygrana? – śmiał się Jirzi. – Trzeba się przyznać policji, a oni odgradzą panią od świata na co najmniej dziesięć lat.

Pewnego razu Nina przyszła w gości do Tamary i zauważyła na stole nową fotografię. Był na niej Tony Allman i jasnowłosy dżentelmen w swetrze z symbolem jachtklubu. Nieznajomy został uchwycony z profilu – Nina od razu dostrzegła jego wysokie czoło i zdecydowany podbródek.

– To Daniel Bernard, jeden z najbardziej zadziwiających ludzi, jakich spotkałam w życiu – powiedziała Tamara. – Wie pani, że w czasie Wielkiej Wojny Chiny opowiedziały się po stronie ententy i odebrały poddanym Niemiec oraz Austro-Węgier domy i przedsiębiorstwa? Biednych Niemców wygnali jak bydło do baraków, a kiedy zaczęła się epidemia hiszpanki, nasi lekarze, powodowani „patriotyzmem”, odmawiali ich leczenia. Tylko mister Bernard okazał miłosierdzie, za własne pieniądze zorganizował tymczasowy szpital dla internowanych. Proszę zauważyć, że jest z pochodzenia Czechem, czyli przedstawicielem narodu, który przed wiekami znalazł się w jarzmie austriackim i niemieckim.

– Z takim człowiekiem dobrze się zapoznać – powiedziała Nina. – Może zaprosimy go na przyjęcie?

– Nie ma go teraz w Szanghaju – odparła Tamara. – Wyjechał za granicę, ale niebawem wróci.

Ni z tego, ni z owego, znajomi zaczęli opowiadać Ninie o mister Bernardzie. Dostarczał do Europy rzadkie gatunki herbaty i wytwory chińskiej sztuki. Jego wykształcenie i subtelność mieszały się z męskimi pasjami: sportem, polityką i myślistwem. Przy tym był miłośnikiem książek, sprawnym przedsiębiorcą i mecenasem.

Im więcej Nina dowiadywała się o Danielu, tym częściej spoglądała na fotografię u Tamary. Wszystko układało się w jedną całość: Nina wymyśliła czechosłowacki konsulat, a Daniel okazał się Czechem. Wyjechał do Europy jakby specjalnie po to, żeby mogła bez przeszkód stanąć na własnych nogach. Był przyjacielem Allmanów, przez których mogła go poznać... Tamara najwyraźniej chciała się zabawić w swatkę. I tym lepiej! Możliwe, że to by była szansa dla Niny!

Kiedy w gazetach pojawiła się informacja, że mister Bernard znalazł się wśród zakładników z Błękitnego Ekspresu, Nina spytała Tamary z przerażeniem:

– Co teraz będzie?

– Chińczyków wykupią krewni, a przedstawiciele wielkich mocarstw zaczną pertraktacje w sprawie uwolnienia swoich obywateli – odparła obojętnie miss Allman.

Nina chwyciła się za serce. Nie będzie miał kto zadbać o Czecha!

– Natychmiast wyjeżdżamy do Linczengu! – oznajmiła Jirziemiu. – Musimy

ratować pańskiego rodaka.

– Czy pani oszalała?! – zirytował się Labuda. – W czym niby możemy mu pomóc? Z jakiej racji?

– Powiedziałam, że wyjeżdżamy! – przerwała mu Nina. Nie mogła spokojnie siedzieć i czekać, aż sprawa sama się rozstrzygnie.

Linczeng powitał ich brudem i chaosem. Okazało się, że pertraktacje trwają nieraz miesiącami, więc Nina z Jirzim zjawili się na darmo.

Miejsc w hotelach nie było, więc przyszło im nocować w wagonie.

– Wiedziałem od razu, że to głupi pomysł! – powtarzał Jirzi.

Nina jakby się ocknęła. Chyba naprawdę oszalałam... Nie ma żadnego Daniela Bernarda, wymyśliłam go sobie.

Długo siedziała w swoim przedziale i rozmyślała o tym, że jej życie jest skończone. Wszystko, co dobre, już minęło, a w przyszłości nie czeka jej romans z pięknym nieznajomym, lecz chińskie więzienie.

Lampka zgasła i wtedy Nina wybrała się na poszukiwania konduktora. A spotkała Klima.

Klim się obudził i odkrył, że Nina przeniosła się na swoje łóżko. Rzeczywiście, kanapa była zbyt ciasna dla dwojga.

Z zewnątrz docierały głosy ludzi i prychanie parowozu. Świeciło słońce, trwała poranna krzątanina. A w przedziale wciąż panował przyjemny półmrok.

Klim uniósł się na łokciu, żeby spojrzeć na śpiącą Ninę. To było niepojęte... Nie miał najmniejszej nadziei, że ją spotka, ale cud się jednak zdarzył, i to w najmniej spodziewanych okolicznościach.

Silna, nieznośna i olśniewająca – Nina nie zmieniła się zupełnie. Cień rzęs drżał lekko, ręka, odrzucona na poduszkę, odcinała się od pościeli perłowym beżem. Boże, jakie to wszystko było drogocenne!

A przecież nigdy więcej nie będziemy rozmawiali szczerze, od duszy – pomyślał ze smutkiem.

Żeby jej nie zniechęcić, powinien sypać piaskiem w oczy, uchylać się od odpowiedzi, samemu nie żądać wyjaśnień. Nina też nie paliła się do zwierzeń. Co teraz mogło ich łączyć? Tylko łóżko?

Klim się rozejrzał. Tak... Głupio było liczyć na pogodzenie się. Ktoś przecież płacił za przedział Niny, za jej perfumy i stroje. Pewnie pokłóciła się ze swoim patronem i postanowiła mu zrobić na złość, a Klim akurat nawinął się pod rękę. Kim byłby przy żonie? Dochodzącym kochankiem? Miała na palcu pierścionek, który był wart więcej niż jego półroczne zarobki.

Spojrzał na zegarek i zaczął się pospiesznie ubierać. Była za pięć ósma, nie mógł przecież przegapić spotkania z Royem Andersenem!

Wziął walizkę z półki, po cichutku wysliznął się z przedziału i stanął na środku korytarza. Może jednak obudzić Ninę! Nie, niech śpi. Wrócę i porozmawiam z nią, a potem zobaczymy – postanowił.

Wyszedł na platformę wagonu i zmrużył oczy przed ostrym majowym słońcem. Obok ludzie pędzili jak do pożaru.

– Słyszał pan nowiny? – Podbiegła do niego Urszula. – Daniel Bernard wy dostał się z niewoli!

– Mąż Edny?

– No pewnie! Nie wiedział pan, że również został porwany? Chodźmy szybciej, zaraz będzie opowiadał o swoich przygodach! Mówią, że ma twarz poparzoną od słońca, więc porywacze uznali, że zaraził się groźną chorobą. Wygnali go, wyobraża pan sobie?

Wokół budynku stacji zgromadził się wielki tłum, ale żołnierze wpuszczali do środka tylko przedstawicieli prasy.

W poczekalni, w szczelnym kręgu fotografów i reporterów, siedział jasnowłosa mężczyzna w brudnej pasiastej piżamie i narzuconym na ramiona płaszczu. Jego twarz była nienaturalnie czerwona, na nosie i nad brwiami skóra mocno się łuszczyła.

Widać było na pierwszy rzut oka, że Daniel Bernard jest śmiertelnie zmęczony. Dwa dni błądził po górach, zanim natknęli się na niego żołnierze i przyprowadzili go do miasteczka.

– Bandyci pognali nas w góry – opowiadał. – Ale trzystu ludzi to zbyt wiele, jak na możliwości tych zbójów. Nie mieliśmy jedzenia, picia, a wielu nawet butów. Dżentelmen, który szedł obok mnie, znał miejscowy dialekt, słyszał, jak porywacze naradzają się, żeby wypuścić kobiety i dzieci. Według nich mężczyźni to o wiele cenniejsza zdobycz, za którą można uzyskać większy okup.

Niewysoka Urszula nie mogła zobaczyć Daniela zza pleców ludzi.

– Władze próbowały przekazać żywność i rzeczy przez parlamentarzystów. Czy zakładnicy dostali z tego cokolwiek? – krzyknęła.

Bernard pokręcił głową.

– Bandyci wyrzucali wszystko, oprócz konserw. Obawiali się, że do jedzenia mogły zostać dodane środki nasenne.

– Czy wysuwali jakiegokolwiek żądania polityczne? – zapytał Klim.

– Nic podobnego. Wiejscy chłopcy stają się bandziorami bez względu na politykę. Miejscowi rolnicy mają po pięcioro, a nawet ośmioro dzieci, żyją w skrajnej nędzy z powodu braku ziemi. Bandyci to młodzież, która nie jest w stanie wyżyć się w żaden inny sposób.

W tłum dziennikarzy wcisnął się niewysoki, pulchny mężczyzna z torbą pod pachą.

– Jestem doktor Piper. Proszę wszystkich o natychmiastowe rozejście się i niedokuczanie panu Bernardowi. Powinien mieć absolutny spokój!

Klim i Urszula udali się do telegrafu, żeby wysłać ostatnie wiadomości, ale ustawiła się tam już wielka kolejka. Trzeba było czekać kilka godzin, bo gdzieś zerwał się przewód i jeszcze go nie naprawili.

– Tak czy inaczej, Edna miała niesłychane szczęście, że jej mąż zdołał się wyrwać z rąk bandytów – powtarzała Urszula.

Klim potakiwał, ale myślał o czymś innym. Jeśli zaproponuje Ninie, aby zaczęli od nowa, co ona odpowie? „Zostanemy przyjaciółmi”? A może jednak przemieni gniew w miłość? Może celowo powiedziała, że z rozwodu nic nie wyjdzie?

Po wysłaniu depeszy Klim prawie biegiem rzucił się ku stacji, lecz gdy wyszedł na peron, wydało mu się, że trafił nie tam, gdzie powinien. Na torach stały puste wagony pociągu towarowego.

– Gdzie skład, który przyjechał wczoraj z Szanghaju? – zapytał młodego

Chińczyka w mundurze kolejarskim.

Ten popatrzył na niego znad okrągłych okularów.

– Już dawno odjechał.

Kobieta zawsze czuje, kiedy jej bliskość staje się dla mężczyzny szczególnym doznaniem i kiedy odczuwa on przenikające całe jestestwo szczęście, mogąc ją objąć.

Poprzedniej nocy właśnie tak się stało, i Nina była bardzo zdumiona, kiedy zobaczyła, że Klim zniknął bez słowa.

Siedziała przy oknie, czekając na niego, ale minęła godzina, potem druga i trzecia, a jego nie było widać. Znalazła tylko jedno wytłumaczenie – pokazał żonie, co straciła, i odszedł, nie chcąc wiązać się z niewierną.

Teraz przeklinała się za to, że tak zwątpiła w Klima. Przecież był inteligentny, utalentowany i zdolny do wielkich rzeczy! Pomyśleć tylko, że nie minęło nawet pół roku, jak urządził się w Szanghaju, i wyglądało na to, że poszło mu o wiele lepiej niż jego żonie.

Porzuciła przecież Klima nie dla innego konkretnego mężczyzny, lecz dla nieistniejącego „bardziej odpowiedniego mężczyzny”, który powinien się pojawić. Niestety, wolność nie przyniosła jej nic, poza niewymuszoną, ale jednak upokarzającą niewolą u Tamary. A co się tyczy historii ze zdjęciem Daniela Bernarda, to było świadectwo zupełnej klęski.

Gdyby nie uciekła z Jirzim, otrzymałaby wszystko, co chciała, a przy tym ocaliła rodzinę, dobre imię i czyste sumienie. A teraz co miała robić? Wrócić do Klima? A czy ją przyjmie, jeśli się dowie, w jaką wplątała się aferę?

Rozległo się pukanie do drzwi, Nina podskoczyła, ale to był tylko Jirzi.

– Daniel Bernard uciekł z niewoli! – powiedział podekscytowany. – Pojedzie do Szanghaju naszym pociągiem!

Rozczarowana Nina klapnęła na kanapę. Niech go diabli, tego Daniela Bernarda! Co ona ma do niego, a on do niej?

W końcu korytarza dał się słyszeć głos konduktora:

– Proszę państwa, pociąg odjeżdża za kwadrans! Proszę przygotować do kontroli bilety powrotne!

Nina spojrzała na zegar – było wpół do drugiej. Klim nie wróci, przecież powiedział, że chce się rozwieść.

– Wszystko w porządku? – spytał zaniepokojony Czech. – Jest pani bardzo blada...

– Jedziemy do domu – odparła Nina słabym głosem.

Jirzi co trochę pukał do Niny i donosił, co się dzieje z Danielem Bernardem. A to chodził do wagonu restauracyjnego, a to w jego przedziale pojawiał się kierownik pociągu.

Nina nie wytrzymała i ukryła się przed Labudą na otwartej platformie ostatniego wagonu, żeby chociaż przez chwilę pobyć sama.

Koła stukały, wiatr pędził chmury nad zielonymi polami sorgo, a Nina stała wczepiona w poręcz i płakała.

Jej poczucie winy zamieniło się w gniew.

– Jeszcze zobaczymy, kto kogo! – szeptała. – Jeszcze będziesz żałował!

Drzwi się nagle otworzyły, Nina spojrzała i odsunęła się przestraszona. Na platformę wyszedł człowiek o purpurowej, łuszczącej się twarzy. To był „bohater jej opowieści”.

Zapalił, podszedł do poręczy i stał długo w milczeniu obok Niny. Od czasu do czasu rzucała na niego niedowierzające spojrzenie. W rzeczywistości mister Bernard okazał się kanciastym, rozczochranym typem o nazbyt ostrych ruchach.

On także popatrywał na Ninę.

– Ma pani bardzo interesującą twarz – powiedział w pewnej chwili. – Nigdy nie widziałem kogoś podobnego.

Nina spojrzała na swoje odbicie w szybie drzwi i jęknęła. Była umazana sadzą jak górnik. Okazało się, że poręcz, którą trzymała, była brudna, a ona, wycierając łzy, zabrudziła sobie policzki.

– Czemu nic mi pan nie powiedział! – oburzyła się. – Ma pan może chusteczkę?

Daniel się uśmiechnął.

– Mam, ale nie dam. Jeśli zmieni się pani w zwykłą kobietę, nie będę miał śmiałości na rozmowę. A tak uzupełniamy się doskonale: czerwone znakomicie pasuje do czarnego.

Nina nie bardzo potrafiła odgadnąć, z kogo on kpi – z niej czy siebie.

– Proszę pozwolić uznać siebie za klejnot ukryty pod niepozorną powłoką – zaproponował pojednawczo Daniel. – Czy słyszała pani kiedyś opowieść o Imperatorskiej Pieczęci Chin?

– Nie ma pan z kim porozmawiać? – Nina nachmurzyła się.

Bernard wzruszył ramionami.

– Wydało mi się, że rozmowa z panią będzie przyjemniejsza niż z kierownikiem pociągu. Jakże mam go dosyć! Niech więc pani posłucha. Dawno temu człowiek o imieniu Bian He znalazł pośród wzgórz duży, lecz niepozornie

wyglądający kawałek nefrytu i zaniósł go do skarbcza władcy. Niestety, nieszczęśnika przegnali z pałacu. Kiedy na tron wstąpił kolejny książę, Bian He zaproponował mu swoje znalezisko, lecz znów nic nie uzyskał. Dopiero trzeci suzeren zrozumiał, że ma do czynienia z wielkim skarbem. Kazał wyrzeźbić z nefrytu symbol nieba, to znaczy rytualny okrąg bi, i niebawem wieść o tym rozniosła się po całych Chinach. Za ten klejnot oddawano miasta i niszczone królestwa, a po setkach lat znalazł się w rękach imperatora Qin Shi Huanga, który uczynił z niego dziedziczną pieczęć. Ten, kto ją posiadał, otrzymywał łaskę Niebios, aby rządzić imperium. Morał z tego taki, aby nie odrzucać pospiesznie niepozornych darów natury.

Daniel najwyraźniej miał na myśli siebie, ale Nina w jego opowieści ujrzała Klimę.

– Gdzie jest teraz pieczęć? – spytała.

– Przeszło tysiąc lat przekazywano ją sobie z pokolenia na pokolenie, a potem zaginęła w niewyjaśnionych okolicznościach. Na pewno wiadomo tylko jedno: ostatnie dwie dynastie nie miały błogosławieństwa Niebios i sprawa zakończyła się rozpadem imperium.

Okazało się, że mister Bernard może w nieskończoność opowiadać o sposobach produkcji porcelany, dawnych zwojach i wielkich katastrofach bibliotek, podczas których zdobywcy miesiącami palili traktaty zgromadzone przez pokolenia mędrców. Te historie były na tyle zajmujące, że Nina zapomniała nawet o sady na policzkach.

Dwie godziny minęły jak z bicza trzaśł. Można było się tylko dziwić, jak szybko Daniel zjednął sobie kobietę. Nina nie mogła się oprzeć jego wspaniałemu wykształceniu i poczuciu własnej wartości, zaprawionemu lekką ironią.

Lecz sprawa była nie tylko w tym. Oboje potrzebowali odrobiny czegoś „przeciwbólowego”, żeby nie myśleć o niedawnych problemach. Nina obawiała się zostać sama z myślami o Klimie, a Daniel musiał dojść do siebie i upewnić się, że nie będzie więcej ani zabójstw, ani poniżających przeszukań, ani wielogodzinnych wędrówek górskich. Teraz mógł stać na platformie wagonu i popalając dobre papierosy, opowiadać towarzysze podróży o historii.

Postanowili zjeść razem kolację. Nina poszła się umyć i zjawiała się w wagonie restauracyjnym z poprawioną fryzurą oraz podmalowanymi ustami.

– Gdyby bandyci nie zabrali mojego bagażu, też bym się przygotował na pani przyście – powiedział Daniel. – Miałem w walizce wspaniałą niemiecką maskę przeciwgazową, którą kupiłem na wielkim bazarze.

Tamara miała rację – mister Bernard był niezwykłym człowiekiem.

Przez całą drogę do Szanghaju Nina prawie nie rozstawała się z Danielem. Był niesłychanie interesującym towarzyszem podróży.

Może to rzeczywiście przeznaczenie? – myślała Nina ze wzburzeniem. Nie umiała na razie wyobrazić sobie, żeby był jej kochankiem, ale przecież oparzenia zejda z twarzy, a do nieprzyjemnie ostrych ruchów można przywyknąć.

Potrzebna mi pilnie nowa miłość – powtarzała sobie Nina. – Klim, tak czy inaczej, nie wróci, a ja nie mogę żyć sama.

Wreszcie pociąg dojechał do Dworca Północnego, pasażerowie wysypali się na peron.

Dudniły głosy, rozlegały się gwizdki parowozów i krzyki tragarzy. Po nogach wiało gorące powietrze, wydobywające się spod rampy.

Nina była tak rozemocjonowana, że zapomniała zupełnie, co zamierzała powiedzieć na pożegnanie. Daniel także milczał, nerwowo obracając w palcach jej wizytówkę.

– Cieszę się, że panią poznałem... – zaczął, ale w tej chwili podbiegła do niego młoda kobieta w kraciastym kostiumie.

– Żyjesz! – zawołała, rzucając mu się na szyję.

Nina patrzyła na nią zdumiona. Boże, zlituj się, a to kto?!

Twarz Daniela stała się obojętna, jakby właśnie znalazł się na spotkaniu w interesach.

– Edno, pozwól, że ci przedstawię miss Ninę Kupinę. Nino, to moja żona Edna.

A zatem miejsce pani Bernard było już zajęte.

Edna przywitała się z Niną i natychmiast zapomniała o jej istnieniu.

– Chodźmy, samochód już czeka! – powiedziała do Daniela.

Poszedł za nią i nawet się nie obejrzał. Wstrząśnięta Nina patrzyła za nimi.

– Czyżby mister Bernard nie przyznał się pani, że jest żonaty? – zakpił Labuda, schodząc po schodach wagonu. – Co za niegodziwiec! A czy pani jemu wyznała, że ma męża? Nie? Widać oboje jakoś o tym zapomnieliście.

– Pewnego dnia wygonię pana precz, marny błaznie! – wycodziła przez zęby Nina, ale Jirzi tylko się roześmiał.

– Proszę się uspokoić, wasza wysokość. Jestem jedynym mężczyzną, na którego pani zasługuje. I w odróżnieniu od pani księżąt, nigdy jej nie porzucę.

Rozdział 7

Awantura w restauracji

Wcześniej żadna z białych dziewcząt w Szanghaju nie zgadzała się tańczyć z Chińczykami, ale po przyjeździe Rosjan wszystko uległo zmianie. Żeby zostać fordanserką, nie trzeba było znać angielskiego, więc setki imigrantek rozlały się po portowych knajpach. Utrzymywały całe rodziny za te fokstroty, tanga i umiejętność wypowiedzenia jednego zdania: *Darling, one small bottle of wine please*. Było im wszystko jedno, kto je prosi do tańca, biali, żółci czy czarni, byle tylko płacili.

Wszystko, co zachodnie, a szczególnie wieczorki taneczne, wywoływało żywiołową ciekawość młodych Azjatów, i właściciele lokali szybko zrozumieli, że na chińskich chłopcach i rosyjskich dziewczętach można nieźle zarabiać.

Sprawy w Hawanie szły kiepsko, więc Marta również kazała ochronie wpuszczać kolorowych klientów.

– Ranga lokalu upada! – złościła się Betty. – Co to się wyrabia! Teraz każdy Chińczyk może zapłacić pięćdziesiąt centów i przyciskać się do białej damy?!

Ona sama była Brazylijką i tylko przy maksimum dobrej woli można ją było określić mianem białej, ale z Betty nikt się nie spierał. Jeśli poczuła się obrażona, potrafiła bić w twarz.

Oświadczyła właścicielce, że za żadne skarby nie zamierza tańczyć ze skośnookimi, a Marta musiała to przełknąć. Betty miała zawsze tylu klientów, że nie warto było w jej przypadku kruszyć kopii.

Pozostałe dziewczęta dostały polecenie, aby nie udawały niedotykalskich, ale fordanserki w tajemnicy dogadały się z kierownikiem sali, żeby wszystkich Chińczyków kierował do potulnej Ady. A ona nie miała się nawet komu poskarżyć, bo Klim wyjechał i zostawił ją samą.

Dziewczyna nie była wystawiona na wstyd tylko w piątki, kiedy marines otrzymywali przepustki i hulali do rana, a wtedy kolorowi nawet nie patrzyli w stronę Hawany.

Z początku Ada miała nadzieję poznać się z jakimś miłym marynarzem, który by się w niej zakochał i zabrał ją do Stanów. Między fordanserkami chodziły słuchy o rosyjskiej piękności z restauracji Czarne Oczy, która wyszła za mąż za kapitana krążownika. Jeżeli jej się powiodło, to dlaczego nie miało się udać Adzie?

Lecz Marta, podsłuchawszy rozmowy dziewcząt, powiedziała, że amerykańscy oficerowie nie biorą za żony portowych dziewczuch, zaś marynarze i marines mogą obiecać wszystko, co się tylko zamarzy. I tak nie mogą zawierać małżeństw bez zgody dowództwa.

– Jeżeli chcesz iść za mąż, przygruchaj sobie lepiej bogatego staruszka, najlepiej łysego i bez zębów – radziła Adzie. – Tacy są przyzwyczajeni, że kobiety

na nich nie patrzą, więc mogą nie tylko z radością się ożenić, ale zapisać ci cały majątek. Pomęczysz się z takim dziesięć lat, a potem owdowiejesz.

Adę aż skreśliło z obrzydzenia.

Ten piątkowy wieczór od początku był nieudany. Ady nikt nie prosił. Do tego w Hawanie zjawili się marynarze z włoskiego krążownika Libia, którzy mieli stare porachunki z Amerykanami, więc fordanserki niepokoiły się, bo co będzie, jeśli klienci zaczną się bić.

Ada siedziała przy barze, pogryzała pestki i patrzyła, jak Włoch tańczy z Betty. Kręcił nią tak, że długie frędzle z paciorkami na jej sukni wyglądały jak bryzgi morskich fal.

Przy sąsiednim stoliku rozwalił się amerykański kapral. Był pijany, palił jednego papierosa za drugim, a na wszelkie zaczepki odpowiadał, warcząc jak stary buldog. Jako pierwszy poprosił Betty, ale uciekła do Włochów, więc teraz inni marines szydzili z niego.

Dobrze, żeby ochrona go wyprowadziła, zanim narobi bałaganu – myślała Ada, szukając wzrokiem kierownika sali.

Rozmawiał właśnie z młodym Japończykiem i wskazywał mu Adę. Sądząc z pliku biletów tanecznych, klient zamierzał wydać w Hawanie niemało pieniędzy.

Ada przygotowała się, przybrała godną pozę, ale Japończyk po drodze otarł się o kaprala. Marine chwycił młodzieńca za ubranie na piersi i z całej siły pchnął go na Włocha. Wszyscy poderwali się z miejsc, muzyka ucichła, tylko perkusista bębnił miarowo.

– Policja! – krzyknęła cieniutko Ada, ale nikt na nią nie zwrócił uwagi.

Włoski marynarz odsunął na bok Betty i najpierw dał w zęby Japończykowi, a potem kapralowi. Marines rzucili się ich rozdzielać, dziewczęta zaczęły piszczeć, a Japończyk zerwał się z podłogi, wydobył rewolwer i strzelił do napastnika.

Huk był tak głośny, że Adzie zatkało uszy. Myślała, że Włoch padnie jak długi, zalany krwią, ale ten nadal bił pokonanego już wroga.

Ada poczuła palący ból w lewej kostce.

– Ona jest ranna! – wrzasnęła Betty, lecz Ada nie wiedziała, o kogo chodzi.

Twarze wokół niej rozplynęły się i straciła przytomność.

Po drodze do szpitala Marta okropnie wyklinała kolorowych, a szczególnie Japończyków, którzy sięgają po broń z byle powodu.

– I tak dobrze, że trafił ciebie, a nie jakiegoś klienta – powiedziała. – Boby mi lokal z miejsca zamknęli.

Ada kiwała głową i pochlipywała, drżąc. Nie tyle trzęsło ją z bólu, ile przerażenia. Przecież mogłam zginąć!

Łysy doktor z monoklem na sznurku założył Adzie szwy i zabandażował nogę.

– Nic strasznego, kość jest nienaruszona – powiedział. – Za miesiąc się zagoi.

Ada chwyciła się za serce.

– Jak będę teraz tańczyć?

– Nijak – uciał doktor. – Będziesz siedzieć w domu, chyba że chcesz stracić nogę.

– Jak miło... – wymamrotała Marta i zaklęła.

Zawiozła Adę do Domu Nadziei i pomogła jej dojść do pokoju.

– Gdzie Klim?

– Nie wiem – odparła ponuro dziewczyna. – Wyjechał dwa tygodnie temu, nie powiedział dokąd.

– Jeśli przyjdą policjanci, powiedz, że skaleczyłaś się o gwóźdź – pouczyła ją Marta na pożegnanie.

Dziewczyna długo siedziała w ciemnościach. Nie mogła nie tylko chodzić po jedzenie, ale nawet przynieść sobie gorącej wody z kuchni. Jak będzie się poruszać po schodach na jednej nodze? Nawet wyniesienie nocnika urastało teraz do rangi zadania ponad siły. Ada pobladła, kiedy policzyła, ile będzie ją kosztowała pomoc chłopców z sąsiedztwa.

Spróbowała stanąć na ranionej nodze. O nie! Zbyt bolało.

Wszystko skończone. Ten Japończyk w istocie rzeczy ją zabił. Klima nie ma i nie wiadomo, kiedy wróci, a sama Ada nie zdoła nic zarobić i niebawem umrze z głodu. Czen przyjdzie po zapłatę i znajdzie wyschniętego trupka pod kocem.

Ada zapaliła świeczkę i wyjęła spod poduszki wymięty święty obrazek.

– Boże mój, proszę, uczyn coś! Przecież przepadnę, czy to rozumiesz?

Pomodliła się, wyplakała, po czym próbowała wejść na swoje górne łóżko, jednak nie dała rady i usnęła na pościeli Klima.

Rano Adę obudziły głosy dochodzące od strony ulicy. Przed bramą Domu Nadziei stała Betty, poirytowana, we wspaniałej spódnicy i czerwonym zakiecie z pierzastym kołnierzem. Czen nie chciał jej wpuścić, ale obdarowała go tak soczystym przekleństwem, że wreszcie ustąpił.

Betty weszła do pokoju z takim impetem, że drzwi wyrznęły w ścianę, i zatrzymała się w progu.

– I po to, żeby mieszkać w taki gołębniku, jesteś gotowa tańczyć z Chińczykami? Głupia dziewczucha!

Podeszła do stołu, wyjęła z torby konserwy, pieczywo i wędzoną kielbasę.

– Masz tutaj na początek. Postanowiliśmy z dziewczętami, że będziemy cię odwiedzać, aż wyzdrowiejesz.

– Dziękuję – wyszeptała wzruszona Ada.

Betty usiadła na taborecie i zapaliła.

– Posłuchaj uważnie. W twojej sytuacji nie mieć pieniędzy jest po prostu niebezpiecznie. Korzystaj z tego, że jesteś małoletnia, i zacznij chodzić na pierwsze piętro. Wiem, o czym mówię, mnie też było trudno, kiedy przyjechałam do Szanghaju. Pracowałam w bufecie na statku, a zwolnili mnie za przystawianie się do pasażerów. Kapitan powiedział, że tu zdechnę, ale nie przepadłam, jak widzisz.

Ada patrzyła na nią takimi oczami, że Betty wybuchała śmiechem.

– A niech cię! Zapamiętaj sobie, że mężczyźni kochają dziewczyny piękne, śmiałe i gibkie. Dasz radę zrobić szpagat? Nie? To się naucz! A zobacz jeszcze jedno, co warto umieć...

Wyrzuciła niedopałek przez okno, zdjęła kapelusik, złożyła się wpół i stanęła na rękach. Spódnica zakryła jej głowę.

Ada ze zdumieniem patrzyła na jej czarne pończochy i śnieżnobiałe pantalonek ze wstążkami.

– I jak? – spytała Betty spod spódnicy.

– Robi wrażenie – powiedział Klim, który pojawił się w drzwiach.

Ada krzyknęła cicho.

Betty stanęła na nogach i kokieteryjnie poprawiła włosy.

– Witaj, witaj! Naczekałyśmy się na ciebie.

Poklepała po ramieniu pąsową ze zmieszania Adę.

– Patrz tylko, jaki się z niego zrobił piękniś. I garniturek nowy, i krawat... No dobrze, gołąbeczki, pójdę już, a wy sobie gruchajcie na zdrowie. Ale ty, Ado, pomyśl o mojej radzie, bo twój kochanek kiedyś zginie i zostaniesz bez grosza.

Wzięła kapelusz i torbę, po czym wyszła.

– Sto razy jej mówiłam, że nie jesteś moim kochankiem! – powiedziała wzburzona Ada.

Klim usiadł obok niej na łóżku.

– Co ci się stało w nogę?

Ada opowiedziała mu o wydarzeniach w Hawanie.

– Wybacz – powiedział, spuszczać wzrok.

Wyglądał tak, jakby siebie obwinił za to, co się stało.

– Mam dobrą wiadomość. Dostałem awans w pracy, teraz będę dostawał trzydzieści dolarów tygodniowo, a potem może nawet więcej.

Ada nie potrafiła sobie wyobrazić tak wielkiej sumy.

– Wspaniale! To znaczy, że nie zginiemy, prawda? – Zadrżały jej wargi. – A przecież Betty namawiała mnie, żebym została prostytutką, i już myślałam, że się zgodzę...

Klim się nachmurzył.

– Obiecuj, że nigdy nie zrobisz czegoś takiego!

– A pan mi obieca, że mnie nie porzuci! Przecież mnie pan kocha, prawda?

– Cóż... Jak cię nie kochać?

Klim wstał i podszedł do okna, jakby się przestraszył, że Ada zaraz rzuci mu się na szyję.

– Gdybyśmy nie byli oboje tacy głupi, moglibyśmy być całkiem szczęśliwi – powiedział w zadumie. – Ale chcemy gwiazdki z nieba. Ty marzysz o Ameryce, a ja bym chciał... – Westchnął i zamknął okno. – Dobrze, nieważne.

– Pan jest naprawdę głupi! – wyrwało się Adzie. – Chce pan do końca życia być wierny swojej Ninie? Jest jej pan potrzebny jak zeszłoroczny śnieg!

– Ale ja też sam sobie nie jestem szczególnie potrzebny – zdenerwował się nagle Klim i wyszedł.

Ada rzuciła za nim poduszką. Jakież to upokarzające, kiedy ktoś kocha tak mocno, ale kogoś innego!

Notatnik. Zyski i straty

Dzięki reportażom z Linczengu sprzedaż gazety podwoiła się i mister Green oficjalnie przyjął mnie do grona dziennikarzy. Od tej pory mam własne biurko, skrzynkę na listy i legitymację „Prasa” z fotografią, na której wyglądam jak żołnierz z plakatu „A co ty zrobiłeś dla zwycięstwa?”.

Wiadomości mamy takie:

Edna wróciła z Kantonu, a jej opowieść o nacjonalście Sun Jat-senie wywarła wielkie wrażenie na czytelnikach. Okazało się, że nieposkromiony doktor znalazł sobie nowego sojusznika – Rosję Sowiecką. Moskwa nie porzuciła planów wywołania światowej rewolucji i obiecała mu nie tylko kredyt na walkę z imperializmem, ale również politycznych i wojskowych doradców. Bolszewicy pomogą chińskim nacjonalistom zreorganizować ich partię Kuomintang w masową organizację bojową, podobną do Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej, a czerwoni dowódcy zorganizują na południu Chin silną armię.

Ale to jeszcze nie wszystko! Na zaproszenie Sowietów chińska młodzież jedzie całymi grupami do Moskwy uczyć się, jak robić rewolucję. Potem tych młodzieńców i dziewczęta rozmieszczą po wielkich miastach, żeby przygotowali grunt dla antyimperialistycznego powstania.

Zasilona sowieckimi pieniędzmi Komunistyczna Partia Chin zaczęła się gwałtownie rozrastać. Całkiem niedawno to była tylko zbieranina wojujących romantyków, a teraz w Kantonie, stolicy prowincji, zaczęły się rozmowy o szczęśliwym sojuszu komunistów i nacjonalistów. Podobno właśnie oni potrafią zjednoczyć wokół siebie naród i przejąć władzę.

Jednych te wielkie zamiary przerażają, innych śmieszą, a ja jestem ciekaw, czy Sun Jat-sen zdaje sobie sprawę, że bolszewicy nie marzą wcale o wolnych Chinach, tylko o wcieleniu ich do Wszechświatowego Związku Socjalistycznych Republik pod przewodnictwem sowieckim oczywiście.

Widocznie doktor nie miał już z kogo wybierać, dlatego wchodzi w porozumienie z tymi, którzy sami oferują mu pomoc.

Długo mógłbym pisać na temat wiadomości ze świata – o dymisji chińskiego prezydenta albo hiperinflacji w Niemczech, ale prawdę mówiąc, niewiele mnie to wszystko obchodzi.

Wystarczy, że chociaż na chwilę zdejmę maskę zdecydowanego i twardego

człowieka, a już Ada zaczyna się nade mną wytrząsać: „Co, znowu pan wspomina żonę?”. Ucinam to z miejsca, ale dziewczyna ma, niestety, rację. Wciąż jeszcze czuję na sobie dłonie Niny, jakby zostawiły na mnie niewidzialne rany. Krwi nie widać, lecz boli.

Cały czas myślę tylko o żonie.

Po co ludzie robią rzeczy, o których z góry wiadomo, że im zaszkodzą? Jesteśmy jak te wieloryby, które pozwalają morzu wyrzucić się na brzeg, a potem umierają pod własnym ciężarem. Kto nas zmusza do czynienia rzeczy szkodliwych? Jaki nieznany instynkt samozagłady?

Nina wzięła moje serce w dłoń i wyrzuciła do kubła na śmieci, a mnie opanowała potrzeba odnalezienia jej i zażądania wyjaśnień dlaczego. Wybacz, ale nie wolno ze mną tak postępować!

Ada zmusiła mnie do wynajęcia dwupokojowej kwatery piętro niżej, więc teraz mamy własną łazienkę i kuchnię, chociaż bez elektryczności. Rana dziewczyny zagoiła się, ale poradziłem, żeby nie wracała do Hawany. Obiecałem, że będę jej dawał kieszonkowe.

Moja dobroć kiedyś doprowadzi mnie do zguby! W pierwszym rzędzie Ada kupiła sobie rozpuszne koronkowe pantaloney i teraz całymi dniami stoi na rękach z wyraźnym zamiarem, żeby mnie skusić. Chowam się przed nią w swoim pokoju, ale ona stuka i prosi, żebym trzymał ją za nogi.

– Chyba nie chce pan, żebym upadła i coś sobie złamała?

Wie doskonale, że kropla draży skałę, a ja muszę co trochę przypominać sobie, że Ada jest małoletnia i nie powinienem sobie brudzić sumienia.

Dzisiaj zawarliśmy umowę. Ona obiecała nie przystawiać się do mnie, a ja w zamian mam jej znaleźć pracę. W razie złamania warunków, natychmiast przestanę ją utrzymywać i przeprowadzę się gdzie indziej. Ada się zgodziła, ale pod warunkiem, że umowa będzie obowiązywać tylko do uzyskania przez nią pełnoletniości. Zapewniła, że za rok zapomnę o Ninie i będzie ze mnie świetny mąż – zamożny, troskliwy i tylko odrobinę gderliwy.

Czuję się trochę, jakbym stał przed kasą w kinie – chciałoby się popatrzeć na *Piękną lady*, ale nie da się trafić na odpowiedni seans, więc wszystko, co mi pozostaje, to film *Zbędna dziewczyna*.

Klim oznajmił Adzie, że znalazł jej pracę. Edna Bernard potrzebowała bystrej i pewnej osoby, żeby zrobiła porządek w jej domowej bibliotece.

– Tylko trzymaj język za zębami, ani słowa, że pracowałeś w Hawanie – przykazał Klim. – Edna należy do Ligi Moralnej Dobroczynności i nie zniosłaby w domu dziewczyny, która pracowała jako fordanserka.

Ada słyszała o tej Lidze. Tworzyły ją bogate damy, marzące o tym, aby zlikwidować prostytutkę w Chinach. Pisały gniewne artykuły, które czytano również w kościołach, wygłaszały namiętne przemowy, a nawet organizowały pikiety przed budynkiem Rady Miejskiej. Jednak ile by te szlachetne panie wojowały, nic z tego nie wychodziło. Zbyt wielu ludzi stanowiących prawo gustuje w usługach prostytutek.

Klim wytłumaczył dziewczynie, jak dojechać do posiadłości Bernardów, i po długiej, upojnej podróży tramwajem dotarła do cichej, zielonej uliczki, na której nie było żywej duszy, jeśli nie liczyć chińskiego ogrodnika, który strzygł żywopłot.

Ada patrzyła wielkimi oczami na wieżyczki z wiatrowskazami i na bramę, ozdobioną żeliwnymi zawijaszami. Zdawało jej się, że trafiła do królestwa elfów i zaraz zostanie wypędzona, jako że dla zwykłych śmiertelników nie ma miejsca w bajkach.

Kiedy młody służący wpuścił Adę do domu, ostatecznie straciła rezon. Nigdy w życiu, nawet w szalonym śnie, nie widziała takiego piękna! W kątach stały posągi, ściany ozdabiałały obrazy, a pod sufitem wisiały wentylatory – wielkie jakby zrobiono je ze skrzydeł prawdziwych wiatraków.

Panie Boże, skąd ludzie biorą takie bogactwo?! Czym się zajmują, że zasłużyli sobie na to?

Służący wprowadził dziewczynę do zawałonego papierami gabinetu, skłonił się i zniknął. Widok gospodyni tego miejsca wstrząsnął Adą do głębi duszy. Włosy miała związane w kok, ale zamiast szpilek sterczały z niego dwa ołówki, ręce były poplamione atramentem, a wokół bosej nogi owinał się czarny kabel. Pani Bernard siedziała i rozmawiała przez telefon.

– Zorganizowaliśmy fundację pomocy zakładnikom z Błękitnego Ekspresu. Bandyci zażądali dwóch milionów dolarów, ale znaleźliśmy pośrednika, który dogadał się z nimi o mniejszą sumę.

Wreszcie Edna odłożyła słuchawkę i odwróciła się do Ady.

– Miss Marshall? Klim Rogow udzielił pani świetnych rekomendacji. Co może mi pani powiedzieć o sobie?

Ada nie umiała opowiadać o sobie. Nie będzie się przecież chwalić: „Jestem

piękna, dobra i bardzo bystra”.

Chwała Bogu, missis Bernard sama zaczęła zadawać pytania i od słowa do słowa Ada opowiedziała jej o swoim dzieciństwie oraz podróży z Izewska do Szanghaju.

– Tak, nie miała pani szczęścia – powiedziała współczująco gospodyni. – Ale jeśli będzie się pani starała, wszystko się ułoży.

Zaprowadziła dziewczynę do wielkiego jasnego pokoju wypełnionego pudłami z książkami. Część zbioru leżała na podłodze i krzesłach, coś tam walało się na półkach, a coś było pochowane po szafach.

– Pani zadaniem będzie sporządzić dokładny katalog i rozłożyć książki tak, żeby można je było łatwo znaleźć – powiedziała Edna. – Będę płacić dwanaście dolarów tygodniowo. Zgadza się pani?

Oszołomiona Ada skinęła głową. Próbowwała znaleźć słowa wdzięczności, ale missis Bernard jej nawet nie słuchała, bo w gabinecie zadzwonił telefon i wybiegła.

– Może się pani brać do pracy! – doleciał tylko jej głos z korytarza.

Ada była wstrząśnięta. Szczęście, o jakim nawet nie śmiała marzyć, spadło na nią tak nieoczekiwanie. Dwanaście dolarów tygodniowo! Można zwariować! W dodatku za to, żeby przychodzić pracować w pięknej willi i przekładać książki! A przecież dziewczyna myślała, że najlepsze, na co może liczyć, to praca bileterki przy karuzeli.

Z drzeniem wzięła pierwszą książkę, potem drugą, trzecią... Prawdę mówiąc, biblioteka Bernardów nieco ją rozczarowała: *Gospodarka rolna w Chinach Centralnych, Angielska rewolucja przemysłowa*. Kogo coś takiego może interesować?

Cały ranek Ada podklejała odrywające się grzbiety woluminów i wypadające kartki, a o dwunastej zapukał do niej starannie ostrzyżony chiński chłopak.

– Mam na imię Sam, jestem boyem numer pięć – przedstawił się. – Nasz kucharz Yun powiedział, żebyś przyszła do kuchni na obiad.

Po drodze opowiedział, że w domu służy pięciu boyów, trzy pokojówki, dwóch koniuchów, stajenny, ogrodnik, praczka, pomywaczka, szofer, pomocnik kucharza, gosposia i posłaniec.

– I to wszystko dla dwojga ludzi? – zdumiała się Ada.

– Jeśli ktoś ma wiele sług, to dobrze – odpowiedział dumnie Sam. – To znaczy, że mamy dom, w którym nie wstyd przyjmować gości. Jesteś tutaj czasowo czy na stałe?

Ada wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Ale chciałabym na stałe.

– W takim razie wymyśl sobie dodatkowe zajęcie i kiedy skończysz z książkami, spróbuj namówić missi, żeby cię zostawiła. Tylko nie wykonuj cudzej pracy, bo inni pomyślą, że chcesz im odebrać zarobek. A jeśli oni cię znienawidzą,

to się ciebie pozbędą. Yun niedawno pokłócił się z pokojówką i po kilku dniach wrzucił jej do jedzenia jakieś ziółko, po którym ją strasznie wzdymało. Nie dało się z nią wytrzymać w jednym pomieszczeniu, więc missi ją zwolniła.

Ada chwyciła się za serce.

– Ja nie chcę...

– Nie tchórz! – uspokoił ją Sam. – Nie zamierzamy cię krzywdzić. Najważniejsze, żebyś z nikim nie zadzierała.

Zaprowadził Adę do drugiej kuchni, nie tej, w której gotowano dla państwa, lecz tej, w której stał biały chiński piec z całą kolekcją okopconych garnków i garnuszków.

W ściennej niszy wisiał wykrzywiony portret boga Czao Wana, patrona domowego ogniska, a nad blatem kuchennym odprawiał swoje czary Yun, miedzianolicy starzec o rzadkiej siwej bródce, zatkniętej za kołnierz fartucha. Wyjmował z kosza cebule, błyskawicznie czyścił je i siekał w kilka sekund na półkoliste plastry. Odgłos uderzeń noża był taki, jakby pracowała maszyna do szycia.

Starsi służący już zjedli i się rozeszli, a kuchcik zbierał naczynia. Na widok Sama i Ady Yun nalał w miski zupy z żółtym makaronem.

– Można łyżkę? – spytała nieśmiało Ada, kiedy podał jej pałeczki.

– Nie wolno! – odezwał się Yun. – Naucz się jeść jak wszyscy!

Przestraszona Ada usiadła obok Sama i spróbowała jeść.

– Pochwal Yuna – szepnęła cichutko Sam.

– Mmm, jakie to pyszne! – powiedziała Ada. Makaron rzeczywiście był smaczny, ale miała problemy z jego łapaniem.

Próbowała jeść tak jak Sam, trzymając miseczkę przy samych ustach, ale wychodziło jeszcze gorzej, tylko się oblała.

– Zaraz będzie drugie danie – zapewnił kuchcik.

Yun wydobył spod stołu okrągłą plecionkę, wziął widelec na długiej ręczce i wyjął spod pokrywki... żywego węża! Szybko odciął mu głowę i zdarł skórę.

Na patelni zaskwierczało masło, z pieca buchnął ogień, a portret Czao Wana okrył obłok pary. Po chwili Yun podsunął Adzie dwa przypieczone kawałki mięsa.

– Jedz!

Dziewczyna siedziała odrętwiała.

– Lepiej nie odmawiaj – mruknął Sam.

Rozległy się kroki, do kuchni wszedł mężczyzna w stroju do konnej jazdy i z hełmem korkowym pod pachą.

– Yun, daj no kilka jabłek!

Sam zerwał się i skłonił.

– Dzień dobry, mister Bernard!

Ada zupełnie osłupiała. Kilka dni przed awanturą i zranieniem widziała tego

człowieka w Hawanie! Wtedy zdawało jej się, że ma nienaturalnie czerwoną twarz, ale teraz wyglądał normalnie.

– Znów będzie pan rozpieszczał konie! – wyburczał Yun, napełniając hełm korkowy żółtymi owocami. – Biali ludzie w ogóle nie mają rozumu. Cały dzień skaczą na koniach albo ganiają piłeczki w upale. Golf to się u nich nazywa...

Pan Bernard nadgryzł z chrzęstem jabłko.

– Nie nudź! Kupiłem nową klacz, ale jest jeszcze nieujeżdżona, trzeba ją przyuczyć.

– A my oswajamy nową bibliotekarkę! – zaśmiał się Yun, wskazując Adę.

Bernard podszedł do niej, a dziewczyna z przerażeniem zrozumiała, że on także ją poznał.

– Czym ją karmicie? – spytał, zaglądając do talerza. – Wąż... Yun, miej ty sumienie, nie znęcaj się nad nieszczęsną dziewczyną!

– Ja?! Znęcać się?! Przecież to najlepsze delikcje na całym świecie!

Mister Bernard mrugnął do Ady:

– Jeśli będzie panią karmił takimi świństwami, proszę zażądać od niego herbaty z mlekiem.

– To jest barbarzyństwo! – jęknął Yun. – Do piwa nawet byście lali mleko!

Kiedy gospodarz wyszedł, Sam cichutko powiedział Adzie, że z przyjemnością zje jej porcję.

Skinęła głową. Serce jej drżało jak liść osiki. Co teraz będzie? Wypędzą ją?

Wracała do biblioteki przez galerię, otaczającą wewnętrzny dziedziniec. Na dole dwóch koniuchów trzymało za wodze czarną, niewysoką klaczkę, a Bernard próbował karmić ją jabłkiem. Nic z tego nie wychodziło – zwierzę patrzyło na niego dzikim wzrokiem i biło przednimi nogami.

Gospodarz zauważył Adę.

– Proszę tutaj zejść!

Umierając ze strachu, spełniła polecenie.

– Wyjątkowy egzemplarz – powiedział pan Bernard, podchodząc do dziewczyny. – Odławiają te konie na mongolskich stepach, a kiedy trafiają do Szanghaju, trzeba czterech miesięcy, żeby przywykły do dobrych pasz. W swojej ojczyźnie żywią się tylko suchą trawą, nie znają nic innego.

Gospodarz zdjął zakurzone rękawice, rzucił je na ziemię.

– Jak się pani nazywa? Miss Marshall? Moja żona będzie wściekła, jeśli się dowie, gdzie pani wcześniej pracowała.

– Więc niech jej pan nie mówi! – Ada się rozżłościła. – Bo zapyta, skąd pan mnie zna, i wyjdzie na jaw, że chadzał pan do Hawany.

– I to prawda. – Mężczyzna się roześmiał. – Dobrze, proszę wracać do pracy.

Po powrocie do biblioteki Ada bez sił opadła na fotel. Co za szaleństwo! Już pierwszego dnia naraziła się gospodarzowi! Przecież to był prawie szantaż z jej strony: „Proszę mnie nie wydawać, to i ja pana nie wydam”.

Ale mister Bernard nie poczuł się urażony. Betty miała jednak rację, że mężczyźni lubią śmiałe kobiety.

Rozdział 8

Polowanie na cudzego męża

Daniel Bernard nie przysłał Ninie bileciku i nie zadzwonił, a po kilku dniach dowiedziała się o bankiecie, jaki odbył się z okazji jego powrotu. Nie zostali z Jirzim zaproszeni.

Nina nie rozumiała, co się dzieje. Daniel przestraszył się, że jego żona będzie zazdrosna? Zawracał Ninie głowę tylko po to, żeby zabić nudę podróży?

Los jakby się z niej naigrawał. Najpierw pokazał jej Klima: „Zobacz, kogo porzuciłaś!”, a potem poznał ją z Danielem: „To na niego chciałaś zamienić swojego męża? W takim razie nie dostaniesz żadnego z nich!”.

Tamara kilka razy zapraszała Ninę w gości, ale ta wymawiała się migreną. Sama myśl o tym, że przyjdzie jej opowiadać o swoich porażkach, przyprawiała ją o dreszcze.

Lecz Tamara umiała postawić na swoim. Poskarżyła się mężowi, a Tony zapytał Ninę wprost:

– Pokłóciła się pani z moją żoną? Przecież pani wie, że nie można jej denerwować!

Nina pojechała do Allmanów jak na egzekucję. Myślała, że Tamara zacznie ją wypytywać o Daniela Bernarda, ale gospodyni słowem o nim nie wspomniała, mówiła jedynie o otwierającym się w mieście studiu filmowym.

– Chciałabym zaprosić na pani wieczorek operatora z kamerą. Niech sfilmuje wszystkich gości, chcę ich sobie potem obejrzeć.

Długo rozprawiała o tym pomysle, ale Nina słuchała jej tylko jednym uchem. Wreszcie nie wytrzymała.

– Po co chciała mnie pani zetknąć z mister Bernardem?

Tamara uniosła w zdziwieniu brwi.

– Kto? Ja?

– Proszę nie udawać! Ostatnio tylko o nim pani mówiła. Chciała pani, żebym pojechała do Linczengu, prawda? Ale przecież on jest żonaty!

Tamara popatrzyła oszołomiona na Ninę.

– Moja droga, tak nie można...

– Sama pani to wszystko urządziła! – przerwała jej Nina. – Podsunęła mi pani nawet zdjęcie tego mężczyzny!

Pokazała fotografię stojącą na szafce i zmartwiała. To było przecież zdjęcie Tony’ego, a Daniel tylko przypadkiem znalazł się w kadrze.

– Zainteresował panią mister Bernard, więc tylko o nim opowiedziałam – rzekła łagodnie Tamara. – Wszystko pozostałe to już pani własne domysły.

Nina milczała zagubiona. Rozgrywali ją sobie? A może faktycznie wszystko

wymyśliła?

– Mogę pomóc, ale tylko jeśli pani powie, co się stało – mówiła dalej Tamara. – Lecz jeśli ta rozmowa sprawia pani przykrość, zapomnijmy o niej.

Jednak Nina nie miała już sił zostawać sama ze swoimi myślami. Nie wspominając o Klimie, opowiedziała o wyjeździe do Linczengu i o tym, że po powrocie do Szanghaju Daniel nie starał się podtrzymać znajomości.

Tamara słuchała i stawała się coraz bardziej posępna.

– Myślę, że spodobała się pani mister Bernardowi – powiedziała wreszcie zmienionym głosem. – Z pewnością zasięgnął języka i dowiedział się, że razem z Jirzim jesteście samozwańcami. Oj, Nino, Nino! Mało sto razy powtarzałam, żeby nie robiła pani niczego bez porozumienia ze mną! Ma pani pojęcie, jak nabroić? Daniel jest z pochodzenia Czechem, stale jeździ do Europy i przyjaźni się ze wszystkim dyplomatami w Szanghaju. Wie doskonale, że nie może tutaj istnieć konsulat czechosłowacki!

– Ale przecież sama pani chciała, żebyśmy się z nim zetknęła!

– Proszę nie opowiadać głupstw!

Nina spuściła głowę. Nie miało sensu się spierać.

– Proszę siedzieć ciszej niż mysz pod miotłą – nakazała Tamara. – Pod żadnym pozorem nie wolno pani szukać okazji spotkania z Danielem. I tak nie zdoła go pani zdobyć tylko dla siebie. Jest żonaty z córką komisarza policji i nigdy jej nie rzuci dla rosyjskiej aferzystki.

Nina jechała do domu swoim nowym, niedawno kupionym fordem.

– Missi, załatwiłem dokument na samochód – powiedział szofer, wielki, ogolony na łyso Chińczyk. – Ale jeśli pani chciała jeździć po chińskim terytorium, trzeba wziąć jeszcze inne zezwolenie.

Nina bezwiednie skinęła głową. Znów jej się zdawało, że Tamara podsuwa ją ku Danielowi: „Spodobała się pani mister Bernardowi?”. Ale i tym razem nie było można przyczepić się do tych słów – Tamara jak mało kto potrafiła ukrywać swoje prawdziwe zamiary.

Przy czym Nina wcale nie zamierzała się wymawiać od znajomości z Danielem. Jej los nie powinien zależeć od wielkoduszności i dyskrecji tego człowieka. Wprawdzie był żonaty i na poważny związek liczyć nie mogła, ale zawsze istnieje szansa zawrócić mu w głowie, a wtedy nie odważy się jej szkodzić.

Nina co trochę spotykała Bernardów u wspólnych znajomych, w teatrze lub na koncertach. Twarz się Danielowi wygoiła, ale na fotografii u Tamary wyglądał i tak lepiej niż w rzeczywistości.

Mężczyzna witał się z nią tylko i robił potem wszystko, żeby uniknąć rozmowy, lecz przyglądał się jej ukradkiem, a to dawało pewną nadzieję.

Żeby ocenić swoje szanse, Nina powoli zbierała informacje o missis Bernard. Edna była wykształcona, odważna i mądra, nie cierpiała, jeśli w jej obecności deprecjonowano w jakikolwiek sposób umiejętności i talenty kobiet.

Pewnego dnia Nina usłyszała, jak Daniel powiedział żartem, że kobiety nie są w stanie stworzyć niczego wielkiego.

Edna natychmiast wybuchła:

– A ty jesteś najlepszym tego dowodem!

Wielu zirytowała jej bezpośredniość i szorstkość, ale Ninę cieszyło, że zarozumiały Daniel dostał po nosie. Przecież sam jako pierwszy obraził damy!

Kobiecość z jej sekretami, miękką siłą i umiejętnością wykorzystywania męskich słabości była Ednie obca. Missis Bernard była zwolenniczką równouprawnienia oraz pełnej uczciwości między płciami, odrzucała więc wszelkie sztuczki, pozwalające zauroczyć i zatrzymać mężczyznę. Pragnęła porozumienia, a nie burzy uczuć, spokojnych i rozumnych stosunków, a nie namiętnych intryg i nieprzewidzianych rozwiązań.

Mama uczyła kiedyś Ninę: „Niech mężczyzna myśli, że o wszystkim decyduje, że jest głową. A ty bądź szyją, która tą głową kręci, i wówczas pokierujesz go tam, gdzie zapragniesz”. Właśnie tym Nina zamierzała się zająć.

Kazała Jirzemu zaprosić Daniela na obiad i zρέcznie sprowadzić rozmowę na podróż z Linczengu do Szanghaju.

– Zorientuje się pan, co mister Bernard o mnie myśli.

Jirzi długo z niej pokpiwał, ale zgodził się zorganizować spotkanie z Danielem.

Ku wielkiej radości Niny mąż Edny przyjął zaproszenie i w wyznaczony dzień nie mogła znaleźć sobie miejsca, czekając na powrót Jirziego.

Daniel mi się nie wymknie – myślała gorączkowo. – Zagarnę go dla siebie, a potem zobaczymy, co na to powie pan Rogow!

Jirzi wrócił dopiero pod wieczór, pijany i zadowolony.

– Co tak długo? – spytała rozdrażniona Nina.

– Proszę o wybaczenie, wasza wysokość, ale byliśmy zajęci. Wspominaliśmy Pragę.

- A o mnie Daniel nie wspomniał?
- Poradził, żeby znalazła sobie pani dziewiątego syna smoka.

Nina się nachmurzyła.

- Co to znaczy?
- Nie mam pojęcia. To pewnie jakaś chińska zagadka.

Znajomy antykwariusz Hou Yaming wyjaśnił Ninie, o co chodzi:

- Dziewiąty syn smoka to Jiaotu.

Pokazał jej brązową starą klamkę odlaną w kształcie zwierzęcego pyska z kółkiem w zębach.

- Jiaotu nie lubi, żeby go niepokoić, i nie wpuszcza do domu nieproszonych gości.

Nina kipiała z wściekłości. Daniel uprzejmie posłał ją do diabła.

W odpowiedzi wysłała mu akwarelę z tradycyjnym chińskim wątkiem: wielką rybą wyskakującą z wody na tle dalekiej bramy, stojącej pośrodku rzeki. Daniel nie mógł nie znać legendy o srebrnym karle, który przewycięzając wszelkie trudności, pokonał wodospad nazywany Bramą Smoka i sam został smokiem.

Czwartego lipca amerykańska kolonia w Szanghaju obchodziła Dzień Niepodległości. W parku miejskim rozstawiono pasiaste dachy, a pod nimi długie stoły przykryte białymi obrusami. Rozłożyły się też namioty z pamiątkami, wędzarnie, karuzele dla dzieci i wielka scena z mównicą, przygotowaną dla konsula generalnego Stanów Zjednoczonych oraz przewodniczącego Rady Miejskiej.

Upał panował taki, że powietrze drżało. Nad tłumem górował aromat lodów waniliowych wraz z zapachem mięsa i wonią prochu. Dźwięki orkiestry dętej zagłuszały salwy i przerażone krzyki dochodzące ze strzelnicy. Tam też Nina rozprawiała się z papierową tarczą, podwieszoną pod sufitem.

Kiedy raz za razem wsadziła pięć kul w sam środek, właściciel strzelnicy zdjął z uszanowaniem kapelusz.

– Pierwszy raz widzę coś podobnego, madame!

Nina oddała mu karabin i poszła do wyjścia. Wiedziała, że mister Bernard ją obserwuje, ale nie odwróciła się w jego stronę. To on powinien zrobić pierwszy krok.

– Miss Kupina, proszę zaczekać! – zawołał Daniel, kiedy Nina wyszła na zewnątrz.

Udała, że jest miło zdziwiona.

– Co za spotkanie? Co u pana słyhać?

– Znakomicie.

Stali w środku tłumu i patrzyli sobie w oczy.

– Zawsze pani trafia w cel? – spytał poważnie Daniel.

– Jeżeli mam podejrzenie, że spudłuję, nie zaczynam polowania – odparła.

Ujął ją za nadgarstek, a był to bardzo intymny i pełen uczucia gest.

– Ostatnio poluje pani na mnie. Czym mogę służyć?

Nina spojrzała na niego z naganą i oswobodziła rękę, jakby mężczyzna zrobił coś nieprzyzwoitego.

– Potrzebuję rady w sprawie sztuki chińskiej. Mój znajomy antykwariusz posiadał niezwykłą kolekcję. Staruszek chciałby ją sprzedać, ale nie wie, jak to zrobić, a przede wszystkim, za ile.

– No dobrze... Obejrzymy tę kolekcję – powiedział Bernard. – Kiedy chce się pani spotkać?

Podbiegła do nich Edna, pstra jak kuropatwa w swojej szarej sukience, zdobionej deseniem drobnych kwiatków.

– Przepraszam, że przerywam, ale czekają na nas w namiocie organizatorów.

Daniel uchylił kapelusza.

– Pani wybaczy.

Nina zacisnęła pięści ze złości. Ta Edna wiecznie płacze się pod nogami!

Ale z drugiej strony wszystko było jasne. Daniel pogodził się z nieuniknionym i pozwolił sobie marzyć o innej kobiecie. Wszystko pozostałe było kwestią czasu.

Zadzwoił dwa dni później.

W przeddzień była hiszpańska maskarada. Nina do trzeciej w nocy tańczyła flamenco i poszła spać dopiero nad ranem.

Długo nie mogła namacać dzwoniącego aparatu, stojącego na szafce nocnej.

– Halo.

– Dzień dobry – rozległ się głos Daniela. – Chce mnie pani jeszcze zabrać do tego antykwariatu?

Nina przyłożyła rękę do czoła. Nie mogła się skupić, a w skroniach pulsowało po nadmiarze alkoholu. Sherry nie poszło jej na zdrowie.

– Spotkajmy się za dwie godziny.

– Zgoda.

Nina wstała z trudem, podeszła do potrójnego lustra. Ślicznotka z niej, ani słowa! Pod oczami ślady makijażu, włosy w nieładzie, a na dodatek ten potworny ból głowy.

– Czin! – zawołała pokojówkę. – Przynieś mi szklankę wody selcerskiej z lodem!

Daniel spotkał się z Niną przy wejściu na targ antykwaryczny, gdzie pośród niezliczonych kramów przeciskali się turyści, gapie i znawcy sztuki.

Pachniało tutaj starym drewnem i dymem z kadzidełek, zapalonych przed maleńkimi ołtarzykami. W głębi sklepików, pośród różnych rupieci siedzieli sztywno sprzedawcy i machali lekko wachlarzami, ozdobionymi symbolami powodzenia. Tu i tam wybuchały kłótnie o ceny, przywoływano do sprawy świadków, bogów i duchy, aż wreszcie towar – para wiekowych foteli, stary pogrzebacz lub świątynny dzwon – przechodził z rąk do rąk.

Nina poprowadziła Daniela wzdłuż rzędów sklepików. Było tu chyba wszystko, co można znaleźć na świecie: czajniczki, posągi, palankiny, latarnie, stara wyszywana odzież, narzędzia tortur, wróżebne kości z prorocत्वami sprzed wieków i wyobrażenia bogini ustronnych miejsc, do której należy się modlić o pomyślność w sprawach rodzinnych.

Sklep Hou Yaminga zajmował parter i piętro w starym domu ze skrzypiącymi schodkami i oknami z kolorowego szkła. Właściciel miał nie mniej niż sto lat, a tak wysechł i pociemniał ze starości, że wydawał się figurką wyrzeźbioną z drewna. Nawet w upale odczuwał chłód i chodził po domu w wiązonym kaftanie i wołokowych pantoflach.

Długo przyglądał się Danielowi i wypytywał Ninę, kim jest oraz czego chce, a potem zgodził się jednak pokazać mu swoją kolekcję.

– Jeden niedobry człowiek przegrał u mnie te rzeczy w karty – powiedział staruszek, kierując się do tylnych pokoi. – Przysiągł, że są warte nie mniej niż trzy tysiące srebrnych taeli, ale nie mogę za nie dostać nawet juana, dlatego że sprzedaż takich przedmiotów jest zakazana prawem.

W pomieszczeniu do sufitu zastawionym pudełkami było ciemno, gorąco i duszno. Nina odsunęła na bok rzeźbiony parawan z popsutymi ściankami i otworzyła okno. Myślała, że gospodarz wyjdzie i zostawi ją samą z Danielem, ale Hou usiadł na taborecie i złożył ręce na gałce laski.

– Można zaczynać – powiedział.

Nina już sobie obmyśliła, co i jak powinno się zdarzyć, kiedy przyprowadzi tu Bernarda. Ale tak ją rozboleła głowa, że wszystkie plany wzięły w łeb. Do tego stary obserwował ją pełnym wyrzutem spojrzeniem, jakby się domyślał, co ona zamierza.

Daniel otworzył jedno z pudełek i wyjął futerał obity jedwabiem. Wewnątrz znajdował się maleńki nefrytowy dysk z wyobrażeniem pięknej dziewczyny, leżącej na dziewięciopłatkowej chryzantemie. Jej obnażone ciało połyskiwało

lekko, oczy były przymknięte, a na wargach zastygł zagadkowy uśmiech.

Bernard zerknął na Ninę, po czym bez słowa wydobył z pudełka porcelanową bransoletkę. Wymalowano na niej ogród z pagodą i łukowatym mostem, a na odwrocie swawolną dziewczynę z wysoko zaczesanymi włosami. Jej kaftan był rozchylony, piersi widoczne, a pas czerwoną zmijką spełzał po brzuchu i znikał między nogami.

W następnym pudełku znajdował się ząb mamuta, na którym wyrzeźbiono coś w rodzaju *Ogrodu ziemskich rozkoszy*.

– Wie pani, ile kosztuje ten drobiazg? – spytał Daniel.

– Nie mam pojęcia – wymamrotała, rozcierając łupiące skronie.

– Tę kolekcję można sprzedać za duże pieniądze, ale nie tutaj. W Europie.

Staruszek nagle zwiesił głowę i zachrapał. Jego siwe wąsy falowały przy oddechu jak pakuły na wietrze.

Nina podeszła do Daniela i szepnęła:

– Gdyby Hou Yaming spróbował wysłać te rzeczy za granicę, zostałby oskarżony o rozpowszechnianie pornografii i wylądowałby w więzieniu. Właśnie dlatego chciałam, żeby pan to zobaczył. Staruszkowi potrzebna jest rada.

– A gdyby tak wywieźć kolekcję jako pocztę dyplomatyczną? – spytał Daniel. – Może pani to przepuścić przez konsulat czechosłowacki i zarobić o wiele więcej niż na szampanie.

Nina poczuła zimny dreszcz. A jednak wiedział, czym się zajmowała!

– Pan jest niebezpiecznym człowiekiem – powiedziała, lekko się zacinając.

Na ustach Daniela zagościł uśmiech.

– Gdybym był naprawdę niebezpieczny, to w tej chwili znajdowałaby się pani nie tutaj, lecz w zupełnie innym miejscu.

– Mogę wszystko wyjaśnić...

– Nie trzeba. Proszę lepiej pomóc mi zestawić listę tych skarbów.

Pozostałe pudełka oglądali razem. Były w nich albumy z miedzianymi okuciami i pikantnymi rycinami, zestawy wachlarzy, na których wymalowano nieprawdopodobne wręcz sceny, porcelanowe figurki, koronkowe rekwizyty do teatru cieni... Daniel oglądał je pod światło i szeptem opowiadał treść znamienitych średniowiecznych romansów. A jej starczało sił tylko na to, żeby kiwać głową i uśmiechać się z trudem.

Daniel pokazał Ninie poźółkły ze starości zwój: samuraj malował kunsztowne hieroglify na biodrze nagiej damy.

– Wie pani, co tam napisano?

*Usnąć na rękawie twoim,
Przechowującym ślad zapachu*

Przed świtem

Zakołysała się zasłona w drzwiach

W mokrej trawie ledwie widoczne są ślady.

Hou Yaming obudził się i z dezaprobatą popatrzył na parę.

– Zajmujecie się drobiazgami! – warknął i wskazał końcem laski wielkie pudło w rogu. – Tam lepiej zajrzyjcie.

Daniel wyjął siodło z ostrym kołkiem sterczącym pośrodku.

– Co to jest?

– Bardzo pożyteczna rzecz – wyjaśnił gospodarz. – Takim siodłem kulbaczone osła i sadzano na nim niewierną żonę tak, żeby kołek znalazł się w miejscu, którym grzeszyła. A potem popędzano zwierzę do galopu.

Nina pociągnęła Daniela za rękaw.

– Wyjdźmy już. Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wyprowadził ją na zewnątrz.

– Nie wiedziałem, że jest pani taka wrażliwa. Ale chyba pani rozumie, że stary drażni się z panią?

Nina skinęła głową, szybko poruszając wachlarzem. Było jej jednocześnie zimno i gorąco, a gęsty zapach pachnideł unoszący się wszędzie wywoływał mdłości.

– Jeśli zgodzi się pani wywieźć tę kolekcję do Europy, zaproszę znajomych, którzyś pewnie zechce ją kupić – powiedział Daniel.

– Dobrze – odparła Nina. – Przepraszam, muszę już iść.

– Czymś panią uraziłem?

– Ależ nie, wszystko jest w porządku.

Nina ruszyła prawie biegiem. Jeszcze trochę, a mogłaby zwymiotować na Daniela.

Po powrocie do domu długo nie mogła przyjść do siebie. Co to było? Jej ciało protestowało przeciwko bliskości mister Bernarda? Jakby chciało powiedzieć: „Nie myśl nawet o wiązaniu się z nim!”.

Niemniej kiedy Daniel znów zadzwonił i zaproponował spotkanie, zgodziła się. Wierzyła w znaki, tylko jeśli podobała jej się cała wróżba.

Rozdział 9

Tylko przyjaźń

Nina miała nadzieję, że między nią a Danielem znów rozpali się poczucie wzajemnego zrozumienia i pokrewieństwa intelektu, jak wtedy, w pociągu. Jednak wszystko poszło inaczej, gdyż uwikłali się w dziwną, ale zajmującą grę, w której zwyciężał ten, kto lepiej udawał obojętność.

Daniel okazał się całkiem nie taki, jak myślała Nina. Po wizycie u Hou Yaminga postanowił, że nie trzeba przy niej koniecznie robić ceremonii i odgrywać nienaganego dżentelmena. Teraz bez skrępowania wyrażał się dosadnie, nie bał się źle mówić o innych, a także nie ukrywał, że uważa Ninę za bardzo pociągającą.

– Chwała Bogu, jestem cynikiem i mizantropem, a przy tym wystarcza mi rozumu, żeby nie wdawać się z panią w romans – kpił sobie.

– To nie pan ma dość rozumu, lecz ja – odpowiadała Nina. – Od żonatych mizantropów lepiej trzymać się z daleka.

Szybko ustaliła, że Daniel nie kocha Edny.

– Chińczycy uważają, że brak talentu u kobiety jest cnotą – mówił. – A Edna, niestety, jest szalenie utalentowana.

– Z czego jest pan niezadowolony? – zdziwiła się Nina.

– Z tego, że nie mogę zakopać jej talentu do ziemi. Przychodzę wieczorem do domu, a moja żona właśnie ma natchnienie. Muza trzyma ją w objęciach jakieś dwie noce i przez cały ten czas Edna wali w klawisze maszyny do pisania.

– Niech pan kupi sobie puzon i ćwicz w sąsiednim pokoju.

– To na nic! Podczas wojny Edna mieszkała w Londynie i nauczyła się nie zwracać uwagi na wycie syreny.

Ale problem nie leżał jedynie w talencie missis Bernard. Jej matka zmarła przy porodzie, ojciec był szorstkim urzędnikiem, więc Edna przywykła szukać pocieszenia w Kościele, wyrosła na religijną fanaticzkę. Dla niej wszystko, co wiązało się ze sprawami łóżkowymi, było wstrętne i grzeszne. Niewiele myśląc, zaproponowała Danielowi „życie w czystości”. Namawiać ją lub coś tłumaczyć uważał za rzecz poniżej godności, więc sprawa zakończyła się banalnie – prostytutkami.

– Niestety, ożeniłem się z flądą. Zimną, płaską i tylko jednostronnie rozwiniętą – wzdychał Bernard.

Ciągnęło go do bujnych, uczuciowych kobiet i Nina korzystała z tego bezwzględnie, wciąż się z nim drażniąc, ale nie dopuszczając zbyt blisko. Daniel nie pozostawał dłużny i natrząsał się z jej marzenia o wielkim bogactwie. Kiedy dzieliła się z nim kolejnym handlowym pomysłem, nie bez zadowolenia ściągał ją z obłoków:

– Proszę mi wyjaśnić, dlaczego tak bardzo chce się pani zajmować męskimi sprawami? Ednę mogę jeszcze zrozumieć, bo ma talent. Ale pani gdzie się wpycha?

Takie zarciki doprowadzały Ninę do wściekłości. Za każdym razem przysięgała sobie, że już nic więcej nie powie Danielowi, ale potem znów pytała go o zdanie w kwestii swoich zamysłów. Była zbyt niepewna siebie, chciała uzyskać czyjeś wsparcie.

Jednak od Bernarda trudno się było spodziewać aprobaty albo pochwały.

– Pan zawsze musi mi zasłonić sobą słońce! – oburzała się Nina po kolejnej dawce szyderstw.

– Próbuję tylko ustrzec panią przed poparzeniem słonecznym. – Daniel wzruszał ramionami. – Przecież chce pani, żeby ją oceniali jako białą lady.

Bernard sfotografował każdy przedmiot z kolekcji i rozesłał zdjęcia znajomym zbieraczom cennych pamiątek.

– Jeśli wszystko się uda, może pani liczyć na komisowe – zaproponował wielkodusznie.

Nina była pewna, że Daniel zakochał się w niej bez pamięci. Niejednokrotnie mówił, że ma ona w sobie tyle kobiecości, iż niezmiernie trudno się jej przeciwstawiać.

– Na szczęście sama pani tego nie wyczuwa, inaczej nie próbowałaby pani zajmować się sprawami dla siebie zupełnie obcymi. Umiałyby pani sobie wyobrazić *Wenus* Botticellego w kancelaryjnych zarękawkach z rozliczeniami pod pachą?

– Ale w czym ją niby sobie wyobrażać? – pytała Nina. – Przecież jest naga.

– Właśnie o tym mówię!

Wszystko zmierzało ku temu, że Daniel rozwiedzie się z Edną, żeby pojąć za żonę Ninę. Niepokoił ją tylko rozwód z Klimem. Brali ślub w cerkwi, jak rozwiązać takie małżeństwo? Do tego w Chinach prawa stały po stronie mężczyzny, więc gdyby odmówił uwolnienia małżonki, nie mogłaby nawet myśleć o nowym legalnym związku.

Może spróbować udawać, że nigdy nie była zamężna z Klimem? Niech Rogow później spróbuje udowodnić, że to nieprawda. Przecież nie zostały żadne dokumenty! A poza tym skąd by się miał dowiedzieć, że Nina wyszła za mąż?

Na wszelki wypadek zapytała Tony’ego, jaki jest los kobiet oskarżonych o bigamię. Odpowiedź ją zupełnie zaskoczyła – otrzymałyby dziewięćdziesiąt uderzeń bambusowymi pałkami.

Z wydarzeń lata 1923 roku Nina mało co zapamiętała, oprócz kłótni, pojednań i zuchwałego flirtu. Miała nadzieję utrzymać swoje stosunki z Danielem w tajemnicy, ale on od razu oznajmił, że nie zamierza „kryć się po kątach”. Nie obchodziło go, co pomyśli o nim Edna i cały świat.

Za każdym razem, kiedy Nina zaczynała narzekać: „Oj, bo nas ktoś zobaczy”, mężczyzna zaczynał się śmiać.

– Ileż pani ma lat? Dwadzieścia parę? Więc czego się pani tak boi?

– Jakby pan nie wiedział! – złościła się Nina. – Nie powinnam ściągać na siebie niepotrzebnie zbytej uwagi.

Ale Daniel zapewniał, że dopóki jest pod jego ochroną, dopóty nic jej nie zagraża. Po prostu nie pojmował, w jak delikatnej sytuacji znajduje się Nina, i nie dawał się przekonać. On niczym nie ryzykował, ale ona mogła stracić bardzo dużo. Damy, które dawniej chętnie przychodziły na przyjęcia, zaczęły w niej widzieć rozpustnicę i zły przykład dla dziewcząt. Coraz częściej Nina otrzymywała bileciki z uprzejmymi odmowami.

Jirzi uważał, że Nina oszalała, wiążąc się z Bernardem.

– Zgubi nas pani! – wrzeszczał na nią. – Co chce pani osiągnąć? Żeby Tamara wyгнаła nas z domu? Skoro Daniel do tej pory nie uczynił pani propozycji, już tego nie zrobi.

Słowa Czecha przeraziły Ninę.

– Kiedy on żyć beze mnie nie może!

– Niechże się pani nie łudzi! Jego teść jest komisarzem policji. Mister Bernard nie jest taki głupi, żeby wchodzić z nim w konflikt.

Muszę postawić Danielowi ultimatum – myślała Nina. – Tak dalej być nie może. Niech albo się ze mną żeni, albo zostawi w spokoju.

Lecz myśl o zwycięstwie wywoływała strach. Nina nie czuła do Daniela namiętności, chciała tylko zabezpieczyć sobie przyszłość. Cały czas coś ją w nim drażniło: pachniało od niego tytoniem, miał nieprzyjemny śmiech, a kiedy się złościł, przewracał oczami, tak że źrenice chowały się pod górnymi powiekami. W dzieciństwie rodzice straszili Ninę „białookim potworem”, który może porwać i unieść w las. Właśnie to sobie przypominała, patrząc na swojego „wybranka”.

A co, jeśli małżeństwo z nim okaże się nieszczęśliwe? Mógłby przecież porzucić Ninę, jeśli się do niej zniechęci albo ona straci swój „kobięcy urok”. Niepodobna było spodziewać się po Bernardzie takiej miłości po grób, jaką prezentował Allman.

Nina zaczęła z nerwów chorować, czuła to słabość, to bóle głowy, to

duszności, czasem tak źle się czuła, że w ogóle nie była w stanie wychodzić z domu.

Wszystko się wyjaśniło na początku września, ale zupełnie inaczej, niż oczekiwała Nina.

Kiedy w Japonii zdarzyło się wielkie trzęsienie ziemi i Edna wyjechała do Tokio, Daniel zadzwonił do Niny i zaproponował jej wyprawę do starej części miasta.

Jednak przechadzka od samego początku się nie udała. Lunął deszcz, więc musieli się ukryć pod zadaszeniem przy wejściu do sklepu z przyprawami.

Daniel zdjął marynarkę, narzucił ją na ramiona Niny i długo stali w półmroku, słuchając szumu deszczu i wdychając cierpkie aromaty ziół.

– Może jakoś dobiegniemy do samochodu? – spytała Nina.

Zdawało jej się, że Daniel patrzy na nią jakoś inaczej – ze złością i zniecierpliwieniem, jakby chybił na polowaniu.

Nagle przyciągnął ją do siebie.

– Nie ma pani dość zabawy we wstydliwą pensjonarkę? Oboje wiemy, czym się wszystko skończy.

Nina nie spodziewała się, że mężczyzna powie to tak wprost. Spróbowała uwolnić się z uścisku.

– Chce się pan o mnie ogrzać? Zwrócę panu marynarkę, bo mi pan całkiem wygniecie sukienkę.

Ale Daniel jej nie słuchał, jego oczy zdawały się zupełnie pijane.

– Bóg widzi, że próbowałem to przerwać...

Położył jej rękę na piersi, a Nina – sama nie wiedząc, co robi – wymierzyła mu policzek.

– Nie wolno!

Daniel się odsunął.

– W takim razie po jakiego diabła?... – zaczął z irytacją, a potem wyszedł na deszcz, nie kończąc zdania.

Oślupiała Nina patrzyła za nim. A on co, rzucił mnie?!

Po chwili samochód Bernarda przejechał obok i zniknął za zasłoną ulewy.

Nina długo szukała rikszy i dotarła do domu już po zmroku. Była całkiem przemoczona, szczękała zębami z zimna.

Co teraz będzie? Daniel na pewno się obraził, ale przecież sam był sobie winien! Kto mu powiedział, że Ninę można traktować jak jakąś prostytutkę?

Kiedy pokojówka przygotowywała gorącą kąpiel, Nina chodziła z kąta w kąt

po sypialni. To modliła się bezmyślnie i bezładnie, to w złości wyrzucała na dywan rzeczy, to wykręcała palce, żeby sprawić sobie ból.

A jeśli Daniel opowie komuś o fałszywym konsulacie? Nie, nie może być aż tak podły! Trzeba się uspokoić, wziąć się w garść i opracować plan działania. Jeszcze nic nie jest stracone... Jutro Daniel zadzwoni, pogodzą się i zapomną o tym głupim incydencie.

Pokojówka pojawiła się w drzwiach.

– Missi, wanna gotowa!

Nina rozebrała się i weszła do pachnącej lawendą wody, a Czin podała jej szpilkę, żeby mogła zawiązać włosy.

– Byłam dzisiaj w świątyni i zapaliłam czerwone świece i kadzidełka przed boginią Guanyin. Mam nadzieję, że usłyszała mnie i będzie miała pani lekki poród.

Nina wzdrygnęła się, popatrzyła na Chinkę.

– Jaki poród? O czym ty mówisz?

Służąca uśmiechnęła się szeroko.

– Oj, missi, nie trzeba się ukrywać. Co to ja, ciężarnych nie widziałam? Pod chiński Nowy Rok będzie miała pani dzieciątko. Powinna też pani pójść do świątyni i poprosić, żeby Guanyin dała pani syna.

Nina przybiegła do Tamary blada i niedbale ubrana. Pani Allman osłupiała z wrażenia, co też się stało ze znaną modnisią.

Nina usiadła na niskiej ławeczce, otoczyła kolana ramionami, jakby ją coś bolało.

– Wszystko stracone! – wyszeptała i podniosła na Tamarę zapłakane oczy. – Daniel mnie rzucił. Dzisiaj rano przysłał mi to...

Podawała Tamarze wizytówkę, na której rewersie widniał napis: „Wyjeżdżam na kilka miesięcy do prowincji Guandong. Proszę na siebie uważać”.

– Nic nie rozumiem – mruknęła Tamara.

– To jeszcze nie wszystko – oznajmiła Nina zrezygnowanym głosem. – Jestem... jestem w ciąży.

Przez pewien czas Tamara milczała, próbując ogarnąć umysłem te nowiny.

– Ale ja nie chcę dzieci! – załkała Nina. – Może ma pani znajomego lekarza... takiego, który... no...

Myśli jej się rozbiegały, to klęła siebie, że nie domyśliła się wcześniej, to rozważała otrucie.

Tamara o mało sama nie rozplakała się z litości.

– No dobrze, dobrze... Wszystko się ułoży. Który to miesiąc?

– Piąty.

– Tak...

Brzucha prawie nie było widać, Nina tylko trochę się zaokrągliła.

– Proszę urodzić dziecko, innej rady dać nie mogę – powiedziała twardo Tamara. – Dzieci to najlepsze, co jest na świecie, a po aborcji stanie się pani bezpłodna albo wdadzą się jakieś komplikacje.

– Ale jak wyjaśnię, skąd się wzięło niemowlę? – zajęczała Nina.

– Coś wymyślimy. Ale proszę obiecać, że nie zrobi pani nic głupiego!

– Dobrze – odparła słabym szeptem Nina.

Wieczorem Tony przyniósł Tamarze orchideę w pękatej doniczce.

– To dla ciebie! Pocałuj swojego zwycięzcę. Dzisiaj wygrałem w sędzie, w polo i na giełdzie!

Tamara ujęła go za głowę i pocałowała w sam czubek. Jego włosy miały szczególny zapach, tak delikatny, że czuła go tylko przy pierwszym wdechu.

– Była u mnie Nina – powiedziała. – Powiedz szczerze, co o niej myślisz?

Tony podniósł na żonę wesole oczy.

– Jest miła. – Ale zaraz zapomniał o pytaniu. – Może po kolacji zagramy w szachy? Jeśli mnie ograsz, będę zdziwiony do końca tygodnia. Dzisiaj mam wielkie szczęście i sprytu tyle, co sam Odyseusz!

Czułość... Miłość... Przyjemnie jednak, kiedy najlepszy z mężów wykazuje pełną obojętność wobec jednej z najatrakcyjniejszych kobiet.

– Nina jest w ciąży – oznajmiła Tamara.

– O Boże, a z kim?

– Z Danielem Bernardem, a z kimże by innym? A szczęśliwy ojciec już wyjechał do Guandongu, żeby nie brać za to odpowiedzialności.

Ta nowina na tyle poraziła Tony'ego, że przez cały wieczór nie mógł zebrać myśli i przegrał w szachy.

Rozdział 10

Kapitan policji

Początkowo Ada bardzo bała się zwolnienia, ale szybko wyszło na jaw, że jej mroczna przeszłość nikogo nie interesuje. Jej wynagrodzenie było relatywnie na tyle niskie, a ona sama tak nierzucająca się w oczy, że wiecznie zalatana Edna nie zastanawiała się, co ta dziewczyna robi jeszcze w jej domu.

Przy czym Ada sama tego nie wiedziała. Książki pana Bernarda już dawno zostały uporządkowane i ustawione na półkach, a teraz jej praca polegała na tym, żeby przez cały czas być na miejscu i na pierwsze zawołanie gospodarzy przynosić im słowniki, księgę adresów lub jeszcze coś innego.

Zgodnie z radą Sama, znalazła sobie dodatkowe zajęcie – chodziła po księgarniach i spisywała nowości, a potem składała państwu sprawozdanie. Czasem wybierali coś dla siebie, ale najczęściej zlecali dziewczynie, żeby zrobiła zakupy wedle własnego uznania. Ada oczywiście wybierała romanse, sama je czytała, a potem opowiadała treść Samowi.

Chłopak słuchał z wielkim zainteresowaniem, a potem dzielił się nowinami z domu.

– Yun otworzył szkołę kucharską. Tylko nikomu nie mów, bo to tajemnica!

Każdego dnia chłopcy w wieku od dziesięciu do piętnastu lat przełazili przez dziurę w ogrodzeniu i przychodzili do kuchni pomagać, aby uczyć się przy tym mistrzostwa kulinarnego.

Kiedyś Ada z Samem schowali się za garażem i podglądali, jak uczniowie wręczają starymu kucharzowi maleńkie koperty.

– To opłata za naukę – wyjaśnił szeptem Sam. – Po dolarze od głowy. Dwadzieścioro dzieci, dwadzieścia dolarów. Po co Yunowi takie pieniądze?

Innym razem kupili wspólnie kupon na loterię i marzyli o wygranej.

– Co zrobisz ze swoją częścią? – spytała Ada.

– Kupię bibliotekę i wynajmę cię, żebyś w niej pracowała – odpowiedział z powagą Sam.

Ada śmiała się i mówiła, że nic z tego nie wyjdzie, bo ona wyjedzie do Ameryki. Potem stali nad globusem i szukali na nim San Francisco, Los Angeles i Nowego Jorku.

Jedynym człowiekiem, który zatruwał Adzie życie, był ojciec Edny, kapitan Hugh Wyer, szef policji Osiedla Międzynarodowego. Raz w tygodniu przychodził w gości, co wprawiało w popłoch cały dom. Tylko mister Bernard nie czuł przed nim strachu, ale nie cierpiał spotykać się ze starym, więc gdy tylko samochód kapitana pojawiał się na alei dojazdowej, brał konia i jechał zaczerpnąć świeżego powietrza.

Najbardziej na świecie ojciec Edny lubił „zaprowadzać porządek”. Odwiedzał wszystkie pokoje po kolei, do wszystkiego się przyczepiał i długo rozliczał służbę. Adzie dostało się już kilka razy – to za nierówno rozstawione książki, to za skrzypiący lufcik. Za każdym razem Wyer doprowadzał ją do łez, a Edna tłumaczyła się za niego.

– Proszę zrozumieć, to już niemłody człowiek, trudno mu zapanować nad sobą.

Sam nazywał kapitana „stęchłą rybą”.

– Przyjdzie i obrzydzi wszystko, czego się dotknie! Kiedy wygramy na loterii, wynajmę bandytów, żeby go zabili.

Kapitan Wyer pojawił się w domu Bernardów równo o ósmej rano. Stukot ciężkich, podkutych butów rozległ się w westybulu, a w lustrze odbiła się wysoka, wyprostowana sylwetka w mundurze koloru khaki. Boy numer dwa z ukłonem przyjął laskę i hełm korkowy.

– Podawajcie śniadanie! – warknął przybyły. – I powiedzcie gospodarzom, żeby schodzili. Czekam.

W kuchni zaczęła się paniczna krzątanina, zadzwięczały naczynia, a po dziesięciu minutach do jadalni wniesiono syczące jajka sadzone żółtkiem do góry, dwa pasy bekonu, pieczone pomidory i ziemniaczane bułeczki.

Kiedy Sam podawał kawę, tak mu drżały ręce, że na dzbanku podzwaniała pokrywka.

– A ty co, pijany jesteś? – Wyer spojrzał na chłopaka złym wzrokiem. – Idź precz, idioto!

Edny wciąż nie było, zatem kapitan zawołał Adę.

– Gdzie pan?

Starła się nie patrzeć staremu w oczy.

– Mister Bernard wyjechał na ekspedycję do prowincji Guandong. Szuka tam dostawców rzadkich gatunków herbaty.

– A temu co się uroiło? Jaka ekspedycja? Niby czemu tak nagle?

– Nie... Nie wiem...

– Suczy syn... – wymamrotał Wyer. – Dobrze, jeszcze sobie z nim pogadam. Co u was nowego?

Ada z wysiłkiem próbowała sobie wyobrazić, o czym by mogła opowiedzieć kapitanowi. A on rzucił na talerz nadgryzioną bułeczkę.

– Ale głupia! Stoi i nie umie wykrztusić słowa!

Wreszcie do jadalni weszła Edna.

– No, pojawiłaś się wreszcie! – zawołał kapitan, wyciągając do niej chudą, żółtą rękę.

Edna przywitała się z ojcem, kazała sobie nalać kawy.

– Miss Marshall, proszę zobaczyć, czy nie przynieśli już poczty.

Kiedy Ada wróciła z listami, innych służących w pomieszczeniu nie było. Zatrzymała się niepewnie na progu, nie wiedząc, czy może przeszkodzić gospodarzom, którzy rozmawiali najwyraźniej o czymś ważnym.

– Te rozpustnice rozbijają silne brytyjskie rodziny! – grzmiał kapitan, wytrzeszczając oczy. – W zeszłym tygodniu w Klubie Szanghajskim zbierano podpisy, żeby wygnać wszystkich Rosjan z Chin za niską moralność.

– W takim razie trzeba wygnać też w ogóle mężczyzn – odezwała się Edna. – Ich moralność też nie jest za wysoka.

– Aha, więc wszystko wiesz?

– Co mam wiedzieć?

– Że twój mężulek zrobił dziecko pani Kupinie i wyjechał, żebyś sama się z tym musiała męczyć.

Edna drgnęła, jakby ją ktoś uderzył.

– To nieprawda – powiedziała ledwie słyszalnie, ale ojciec jej nie słuchał.

– Daniel nie ma z tobą dzieci i doprawdy to nie jest wielki problem, że urodzi mu się potomek na boku. Ale co, jeśli zechce go usynowić? Cały wasz majątek ma przypaść bękartowi?

Ada wycofała się bezszelestnie.

3

Klim został dłużej w redakcji i Ada zmęczyła się czekaniem. Bardzo chciała przekazać mu nowinę o ciąży jego żony.

Wreszcie klucz zazgrzytał w drzwiach, rozległy się kroki i odgłos, jakby coś ciężkiego ciągnięto po podłodze. Ada wyskoczyła do przedpokoju i zobaczyła Klimę taszczącego do mieszkania wielkie pudło.

– Co to jest?

– Gramofon Victrola! – odpowiedział wesoło Klim. – Musimy pomyśleć, gdzie go postawimy. Może w twoim pokoju? Chcesz?

Przeniósł pudło do Ady i wyjął zeń polerowaną skrzynkę.

– Popatrz, jaki piękny! Głośnik jest schowany, a wszystkie detale niklowane!

– Ile kosztował? – spytała Ada.

Klim machnął ręką, wyjął z koperty nowiutką płytę i nakręcił mechanizm.

– Seniorita tańczy?

Z głębi szafki dobiegły dźwięki tanga, Ada położyła dłoń na ramieniu Klimy.

– A pan nie ma już co robić z pieniędzmi? Pewnie całą pensję pan stracił na tę zabawkę.

– Jeżeli w życiu jest tango, to można się obejść bez pieniędzy – roześmiał się Klim.

Ada przylgnęła do niego. To jednak było szczęście, że przychodził do domu, przynosił takie dziwowisko i chciał z nią tańczyć.

Potem siedzieli w kuchni przy kolacji. Ada upiekła pieróg z jabłkami i pierwszy raz wyszedł tak, jak trzeba. Klim pił herbatę z niedawno kupionej malowanej filiżanki i opowiadał o wojnie między dwoma dancingsami w koncesji francuskiej. Do jednego z nich konkurenci przynieśli worek węży i w szczycie

ruchu wyrzucili pod nogi tancerzom. W drugim lokalu wynajęci młodzi ludzie zapluli całą podłogę tytoniem do żucia.

– Czy pan wie, że pańska żona będzie miała dziecko z mister Bernardem? – spytała Ada. – Przy czym kiedy tylko dowiedział się o ciąży, porzucił ją.

Ada podejrzewała, że Klim się rozgniewa albo straci humor, ale powiedział tylko, że to już od dawna wiadomo w całej redakcji.

– Wielu zazdrości Ednie, a teraz mają używanie, gadają, że taki jest los kobiet, które zbyt wiele myślą o pracy, a za mało o rodzinie.

Klim najwyraźniej bardziej troszczył się o reputację Edny niż swoją, długo mówił o plotkarskich, którzy niesprawiedliwie obrażają swoją koleżankę.

– A pan co powie? – nie wytrzymała Ada. – Przecież Nina pana zdradziła.

– Co mi do tego? – Klim wzruszył ramionami. – Od roku nie jesteśmy razem.

Wymówił się, że musi jutro wcześniej wstać, i odszedł od stołu, nie dopijając herbaty.

– Nie mów nikomu, że byliśmy z Niną małżeństwem – poprosił. – Edna nie musi o tym wiedzieć.

Notatnik. Zyski i straty

Na pewno byłoby mi łatwiej, gdybym nie wiedział, kim jest Daniel Bernard. Ale przecież wiele razy odwiedzałem dom Edny i wymienialiśmy uścisk dłoni. Tak to już jest – spotykasz człowieka i nie domyślasz się, że pewnego dnia stanie się kochankiem twojej żony. Jednak świat białego Szanghaju jest nieznośnie mały.

Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak mi wstyd za Ninę. Co ja do tego mam? Pewnie coś podobnego odczuwa człowiek, który oddał ostatnie pieniądze na budowę świątyni, a potem dowiedział się, że jego datek został przepity.

Próbuję nie myśleć o tym, co się stało, ale moje biurko stoi przy drzwiach, więc słyszę wszystko, o czym mówi się nie tylko na korytarzu, ale też w palarni.

Ze wstydu zacząłem unikać Edny, kobiety, której zawdzięczam wszystko. Ona to dostrzega i nie rozumie dlaczego. I bez tego jej trudno, bo kiedy człowieka zdradzają, zawsze mu się zdaje, że otoczenie odsuwa się od niego i cieszy się z cudzego nieszczęścia.

Ale nie umiem się przemóc. Widok Edny, załamanej i zmizerniałej, wywołuje we mnie zupełnie dzikie myśli. Do najdrobniejszych szczegółów pamiętam awantury, jakie urządzał mamie mój ojciec, kiedy ośmieliła się uśmiechnąć do jakiegoś przystojnego i młodszego człowieka. Zła ojцова krew zaczyna się budzić i we mnie, dlatego z wielkim trudem powstrzymuję się przed tym, żeby... Lepiej jednak nie opisywać tego, co przychodzi mi do głowy.

Postanowiłem wreszcie postawić kropkę na końcu tej wstrętnej historii, dlatego zdobyłem adres Niny i poszedłem do niej, żeby porozumieć się co do rozwodu.

Okazało się, że moja żona mieszka w białej willi z zieloną polanką przed gankiem. Dostała wszystko, o czym marzyła, chociaż szkoda, że tak szybko zaszła w ciążę i straciła jakąkolwiek wartość w oczach kochanka. Ale na to nic się nie poradzi, taki już los nawet najwspanialszych kurtyzan.

Ciekawe, co teraz będzie z moją „śpiewającą dziewicą”. Czy komuś będzie jeszcze potrzebna?

Kiedy oglądałem dom, z bramy wyjechał czarny ford z żółtymi reflektorami i kołami. W oknie zobaczyłem Ninę. Albo mnie nie zauważyła, albo nie chciała poznać, więc do spotkania nie doszło.

Przez długie miesiące próbowałem odgadnąć, co sprowadziło Ninę do Linczengu. Teraz wszystko było już chyba jasne: pojechała tam za Danielem Bernardem. Ale jak mogła ot, tak sobie, zaprosić mnie do przedziału? Co się stało

z moją dziewczynką? Jaki diabeł w nią wstąpił? Obawiam się, że nigdy nie otrzymam odpowiedzi na te pytania.

Próbuję pogodzić się z faktem, że Nina będzie miała dziecko z innym... I chociaż już dawno straciłem do niej wszelkie prawa, odczuwam to niczym jakieś świętokradztwo, zbrukanie najważniejszych praw życia. Trudno mi teraz sobie wyobrazić, że siedzieliśmy kiedyś objęci i wybieraliśmy imiona dla naszych przyszłych dzieci. Chciałem, żeby dziewczynka była Katarzyną, jak moja mama, a chłopiec...

Ale o tym nawet nie warto pisać. Rozważanie takich rzeczy jest jak grzebanie zardzewiałym gwoździem w gojącej się ranie.

Duszę ciągnie do awantur i czynów nierozważnych, więc przymówiłem się, żeby prowadzić w gazecie dział kryminalny.

W Szanghaju handlem bronią, ludźmi i narkotykami zajmuje się kilka organizacji przestępczych, z których najpotężniejsza nazywa się Zielona Banda.

Bardzo ciekawa jest historia jej powstania:

Kilka stuleci wcześniej przewoźnicy mieszkający wzdłuż rzeczki Jangcy założyli gildię, której członkowie udzielali sobie nawzajem schronienia i pożywienia na czas postojów. W połowie ubiegłego wieku w Chinach zaczęło się powstanie religijnych fanatyków tajpingów, skutkujące niesłychaną liczbą ofiar. Handel zamarł, przewoźnicy zostali bez pracy, więc aby się utrzymać przy życiu, zajęli się przemytem soli, na handel którą monopol miał cesarz.

Niebawem okazało się, że dostarczanie Brytyjczykom opium jest o wiele bardziej opłacalne, i dzięki temu procederowi przewoźnicy nie tylko wzbogacili się znacznie, ale i zorganizowali w silny, doskonale uzbrojony gang, oparty na zasadach bliskich związków sąsiedzkich.

Jeśli do Szanghaju przyjedzie chłopak ze wsi, to dokąd pójdzie, żeby się urządzić? Do rodaków. Dadzą mu pracę i pomieszkanie, a zażądają za to bezwzględne podporządkowania się. Trzeba wziąć udział w napadzie? Sprzedać kradziony towar? Ukryć rannego bandytę? Wszystkie polecenia braci wyżej stojących w hierarchii muszą być wypełniane bez szemrania.

Zielona Banda zyskała takie wpływy i stała się tak mocna, że nie mogła już być tolerowana w zagranicznych koncesjach, więc handel opium został prawnie zakazany. I stało się jak zawsze – najpierw wypuszczono dzina z butelki, a potem zaczęto myśleć, jak zagnać go z powrotem.

Tego lata nowym dowódcą oddziału do walki z narkotykami wyznaczono doprawdy godnego uwagi człowieka – brytyjskiego oficera w stanie spoczynku nazwiskiem Johnny Collor.

Niewysoki, krępy Johnny nosi wymięty szary płaszcz i kraciatą czapkę, której nigdy nie zdejmuje. Przez całą jego kędzierzawą głowę ciągnie się blizna od uderzenia niemieckiej szabli. Collor nazywa ją swoim głównym zwojem mózgowym.

Naciskał, żeby wydano mu pakiet rozkazów przeszukania z podpisem głównego przewodniczącego Sądu Mieszanego.

– Rubrykę z adresem proszę zostawić pustą, sam wpiszę, co trzeba. Bo jeśli będziemy działać ściśle wedle procedur, to sądowe szczury ostrzegą zaraz handlarzy. Właśnie za to dostają łapówki, żeby bandyci wiedzieli, gdzie i kiedy

będzie rewizja.

Praca jego oddziału jest na tyle sprawna, że w miejskim więzieniu łapią się za głowy, bo nie mają już gdzie umieszczać przestępców. Przy czym z aresztowań pożytku jest niewiele. Handlarze przeprowadzają się na sąsiednie ulice w koncesji francuskiej albo w ogóle do chińskiej części miasta, gdzie poczynają sobie po staremu.

Poznałem się z Johnnym na publicznych debatach dotyczących problemu przestępczości. Okazało się, że mamy miejsca obok siebie.

Edna Bernard w imieniu Ligi Moralnej Dobroczynności opowiadała o tym, że w Szanghaju co piąty mężczyzna pali opium, żądała, aby surowo karać nie tylko handlujących, ale także kupujących.

– Narkomani wynoszą z domów wszystko, do ostatka, a potem ich dzieci muszą żebrnąć o jałmużnę!

Ja i Johnny tylko wymienialiśmy spojrzenia.

Jeśli towar ma duży zbyt, to wszelkie zakazy tylko wpływają na wzrost cen i umacniają bandytów. Nikt nie zabrania Chińczykom palić opium, tak samo jak rosyjskim chłopom nikt nie zabrania pić wódki. To popyt rodzi podaż, a nie na odwrót. Przyczyną narkomanii nie jest dostępność środków odurzających, ale brak takich banalnych rzeczy jak sens życia i poczucie własnej wartości. Jeżeli człowiek nie jest w stanie zmieniać świata zewnętrznego, ucieka w głąb siebie, a ta potrzeba jest tak wielka, że wszystkie policje Ziemi nie byłyby w stanie sobie z tym poradzić.

Według missis Bernard Liga Moralnej Dobroczynności każdego miesiąca otwiera nowe kółka zainteresowań i czytelnie, żeby odciągnąć biedotę od pokus. Rzecz jasna, że to działania potrzebne, ale Johnny powiedział mi, że wielkie środki, które Edna przeznaczona na dobroczynność, biorą się z lichwy, łapówek i właśnie handlu narkotykami. Okazuje się, że jej ojczulek, piastujący stanowisko komisarza policji, dwadzieścia lat zaopatrywał palaczy opium i zdierał skórę z chińskich kupców.

Szanghaj nie przestaje mnie zadziwiać. Dobro i zło nie tylko splatają się tutaj ze sobą, ale nie mogą bez siebie istnieć.

Policjanci w cywilu otoczyli dom z szyldem po angielsku i po chińsku:

APTEKA

CZARODZIEJSKI OBŁOK

DOSKONAŁE ŚRODKI DO LECZENIA

WSZELKICH CHORÓB

Zapadał zmrok. Klim, Johnny i jego zastępca Feliks stali za rogiem, czekając, aż właściciel apteki wróci do domu. Wedle zebranych informacji zawsze można było u niego kupić opium w ilościach detalicznych i hurtowych.

Feliks – wysoki, smagły, o orlim nosie – okazał się Rosjaninem, byłym kadetem.

– To mróz chwycił – warczał, chowając poczerwieniałe dłonie do kieszeni płaszcza. – Ale to jeszcze nic... Nie to, co latem siedzieć wśród beczek na przystani, kiedy z góry piecze, a na dole tną moskity. Po jednej z takich zasadzek dwa tygodnie nie mogłem usiąść.

Johnny wyjrzał za róg.

– Oho, właśnie nadchodzi nasz aptekarz. – Machnął ręką do człowieka po przeciwnej stronie ulicy: „Przygotować się!”.

– Przedwczoraj robiliśmy jedną palarnię opium – mówił dalej Feliks, nie spuszczać wzroku z Czarodziejskiego Obłoku. – Wpadliśmy do pokoju, a tam dwudziestu narkomanów na leżankach, oczy jak guziki. „Panowie, chory jestem, muszę palić opium, doktor mi przepisał”. Znamy tego doktora! Wszystkim pacjentom ordynuje to samo – lufkę z narkotykiem. Małpę trzyma, makaka na łańcuchu, i ta małpa też pali, widziałem na własne oczy. A „lekarstwo” brali właśnie z tej apteki.

Klim robił notatki w małym zeszyciku.

– Nie pchajcie się bez potrzeby na widok – uprzedził ich Johnny. – Tutaj taki narodek, że wsadzą człowiekowi kulę i nawet nie mrugną.

Spojrzał na zegarek, podniósł rękę i zakomenderował:

– Teraz!

Klim pobiegł za innymi, wpadł do apteki i stanął, mrużąc oczy w jasnym świetle lampy. Policjanci sprawnie, jakby na ćwiczeniach, prowadzili przeszukanie. Pod nogami chrzęściło szkło, w powietrzu unosił się popiół z rozgrzebanego paleniska.

Klim z ciekawością oglądał ciasne pomieszczenie. Wzdłuż ścian stały ciemnoczerwone szafy z mnóstwem skrzynek, na półkach tłoczyły się zapieczętowane garnuszki, a na stole obok wagi i przyrządów do pisania leżała wielka biała lalka, utkana długimi igłami. Zaznaczono na niej meridiany, przez które przepływała qi, energia życiowa.

Na schodach dał się słyszeć stuk ciężkich butów.

– Mamy sejf na piętrze! – zawołał sierżant Trots.

Johnny chwycił aptekarza za ubranie na piersi.

– Spytaj, gdzie są klucze – polecił tłumaczowi.

Aptekarz zaczął coś trajkotać, bryzgi śliny poleciały na Collora. Policjant odepchnął Chińczyka z obrzydzeniem.

Tłumacz się skrzywił.

– On nic nie rozumie, sir. Zdaje się, że pochodzi z innej prowincji i nie włada szanghajskim dialektem.

– Łże, łajdak!

Johnny wyjął z kabury pistolet i strzelił w ścianę. Aptekarz jęknął i padł plackiem.

– Słaby naród – wycedził Feliks.

Johnny sprawdził szuflady biurka.

– No proszę, są klucze. Idziemy.

Weszli na górę. W sypialni stało wielkie łóżko z karmazynowymi zasłonami. Na tym łóżku, wbita w najdalszy kąt, siedziała kobieta z dwójkiem przerażonych dzieci.

– Zabierzcie ich. – Johnny skrzywił się, a policjanci natychmiast wyprowadzili rodzinę.

Za łóżkiem znajdował się sejf, nakryty barwną narzutą, na której stały brązowe świeczniki i wazy. Johnny zerwał materiał i otworzył pancerną skrzynię.

Klim wyciągnął szyję, żeby zobaczyć, co jest w środku.

– Niczego sobie – gwizdnął przez zęby, widząc położone jedna na drugiej paczki.

Feliks wyjął z kieszeni scyzoryk i nadciął kilka.

– Indyjskie opium – orzekł, próbując końcem języka. – I kokaina.

Johnny wyjął z sejfu teczkę z papierami.

– Chodź no! – zawołał tłumacza. – Co tu jest napisane?

Policjant przebiegł wzrokiem po hieroglifach.

– Sir, to listy dostawców... i terminy...

Oczy Johnny'ego rozbłysły.

– Oho! – Zaczął kopać w dokumentach. – Jest tutaj też coś po angielsku i francusku. Tośmy przyskrzynili pana aptekarza!

Na schodach znów rozległ się tupot nóg i na podest wypadł chiński chłopak około czternastu lat. Pod zieloną koszulą coś chował.

– Trzymać go! – wrzasnęli z dołu.

Trots wczepił się uciekającemu w ramię, ale ten wyjął zza pazuchy rewolwer i strzelił. Zalany krwią sierżant padł na stopnie. Chłopaczek skoczył do okna, wczepił się w Klimę i znów podniósł broń.

No toś się dochrapał – pomyślał Rogow, a potem wszystko pograżyło się w chaosie. Huk wystrzału, krzyk chłopca i stuknięcie czegoś ciężkiego o podłogę. Dopiero chwilę potem Klim zrozumiał, co się stało: Feliks trzasnął napastnika wazą i złamał mu nadgarstek.

Przybyły posiłki, potem nadbiegli reporterzy i fotografowie. Wszyscy witali się z Feliksem i wypytywali go, ale on chował się za plecami dowódcy.

– Feliks Rodionow to człowiek wyjątkowy – chwalił go Johnny. – Przyszedł na komendę, żeby się zatrudnić, a komisja chciała go odrzucić, tak był wymizerowany. Pytam go, co potrafi robić, a on mi na to, żebym z nożem się na niego rzucił bez krępacji. I co myślicie? Poradził sobie, skurczybyk! Mnie wybił nóż. Mnie! Zawsze mówiłem, żeby w policji zatrudniać ludzi wedle rasy. Lepiej niech służą Rosjanie niż Chińczycy.

Johnny wsiadł na swojego ulubionego konika i zaczął opowiadać o tym, że kolorowym nie wolno ufać, bo zawsze dogadają się za plecami białych.

– Ponad dwie trzecie zatrudnionych u nas to Chińczycy i sikhowie. W koncesji francuskiej jest to samo, tylko zamiast sikhów mają Wietnamczyków.

Johnny rozpałał się, dziennikarze zapisywali jego słowa, a Klim, który słyszał to już tysięczny raz, poszedł pogadać z Feliksem.

Rosjanin siedział na ławeczce na tylnym ganku, palił i głaskał rudą kotkę, łaszcząc się do jego nóg.

– Dziękuję panu za uratowanie życia – powiedział Klim, siadając obok.

Feliks pociągnął nosem.

– Nie ma za co. I nie trzeba mi mówić, nie jestem jakimś wielkim jegomościem.

Zaczęli rozmawiać. Feliks był sierotą z Omska, wraz z innymi kadetami został ewakuowany najpierw do Władywostoku, a potem do Szanghaju.

Jeden z kupców oddał kadetom swój dom i mieszkali tam w strasznej ciasnocie, nawet spać musieli wedle kolejności. Nie było za co żywić siedmiuset

chłopców, więc francuski konsul postanowił zorganizować loterię na rzecz młodszych sierot. Z tego się utrzymywali. Absolwenci zarabiali jako grabarze i strażnicy magazynów, tylko nielicznym, jak Feliksowi, udało się urządzić na dobrej posadzie.

– Mógłbym się dochrapać nawet inspektora – westchnął w rozmarzeniu. – Inspektorom płacą po trzysta dolarów na miesiąc i udzielają urlopu, jak kto woli: albo siedemnaście dni w roku, albo siedem miesięcy co pięć lat. Ale trzeba się odznaczyć.

– Już wiesz jak? – spytał Klim.

Feliks potwierdził.

– Znajomy pracuje jako wykidajło w knajpie Trzy Rozkosze. Powiada, że cały alkohol, jakim handlują, kupiony jest bez podatku, a dostarcza go czechosłowacki konsul. Od dawna namawiam Johnny'ego, żeby się za niego wziąć, ale on nie chce tam wchodzić, bo to francuskie terytorium. Ale przecież Jirzi Labuda mieszka w Osiedlu Międzynarodowym, co oznacza, że jest naszym klientem.

– Jak powiedziałeś? Jirzi Labuda? – spytał oszołomiony Klim.

– Tak się nazywa konsul – odparł Feliks. – Jeśli chcesz, możemy go razem obserwować. Ty będziesz miał materiał dla gazety, a mnie może awans się trafi. Sprawa jest obrzydliwa, bo pracownik dyplomatyczny okazał się taką gnidą!

Klim nie wiedział, co o tym myśleć. Ciekawego przyjaciela sobie wybrała Nina.

– A sprawa będzie prosta. – Feliks namawiał Rogowa. – Ten Labuda to taki typ, że jak mu w mordę dasz, całkowicie wystarczy. Tylko że cały czas z szoferem jeździ, a ten jest wielki byk. Ale we dwóch z łatwością ich załatwimy.

– No dobra, zapołujmy – powiedział Klim po chwili wahania.

Twarz Feliksa pojaśniała.

– W takim razie przyjdź jutro do Trzech Rozkoszy. O siódmej.

Rozdział 11

Areszt domowy

Przez ciążę Nina odmówiła urzędzania przyjęć i Jirzy zrobił jej awanturę.

– Jak mamy płacić rachunki? Z pani jest taka matka, jak ze mnie Napoleon. Niech się pani wyskrobie, póki nie jest za późno!

Nina miała ochotę go zabić.

– Niech pan się nie waży wspominać o moim dziecku!

Don Fernando też był niezadowolony, że Nina wypadła z gry, i próbował znaleźć nowy sposób, jak zarobić na konsulacie.

– Madame, mam genialny pomysł! – mówił do Niny. – Może robić dostawy alkoholu pod pozorem ładunku dyplomatycznego? W Ameryce mają teraz prohibicję, więc ceny szybują pod niebiosa. Proponuję wytwarzać tutaj „francuskie wina” i przetrzucać je do Stanów przez Kanadę.

Z nim Nina też rozprawiła się ostatecznie.

Działo się z nią coś niesłychanego – jakieś trzęsienie ziemi, kataklizm i sama myśl o tym, żeby narażać się przez alkohol, zdawała się wstrętą.

Świat zmieniał się w oczach. Uliczne zapachy – benzyna, tytoń i masło orzechowe – wywoływały mdłości, a zebrzące matki z dziećmi przyprawiały ją o panikę. Nina nie potrafiła myśleć o niczym prócz swego dziecka. Największą przyjemność miała, wchodząc do sklepu z zabawkami albo zakładu, w którym szyto ubranka dla niemowląt. A największy ból sprawiała jej myśl o obywatelstwie. Kiedy dziecko się urodzi, jak załatwić mu dokumenty?

Przeszłość i przyszłość nabrały zupełnie innego znaczenia. Całkiem niedawno zerwanie z Danielem zdawało się prawie katastrofą, lecz teraz była temu nawet rada. Chwała Bogu, nie zamierzał się ze mną żenić. To by dopiero było, gdyby rozwiódł się z Edną, a potem dowiedział, że jestem w ciąży.

O Klimie starała się nie myśleć. Gdyby go znalazła i powiedziała o wszystkim, uznalby, że próbuje mu wcisnąć cudze dziecko. Przecież dobrzy ludzie na pewno mu doniosą, że spotykała się Danielem Bernardem.

Chciała, aby dziecko było ważne nie tylko dla niej samej, czuła neodpartą potrzebę mówić o nim nawet ze służbą. Ale ludzie dawali jej takie rady, że się gubiła. Zgodnie z ich poglądami młoda matka nie powinna wychodzić z domu, myć głowy, szyć i stać na wietrze.

Nina jeździła do Tamary, która na szczęście również straciła zainteresowanie przyjęciami i była gotowa godzinami rozmawiać o kwestiach karmienia czy wychowania.

– Z pewnością wszyscy mnie potępiają za to, że postanowiłam urodzić dziecko nie wiadomo kogo – wzdychała Nina. – Teraz żadna porządna kobieta nie

wpuści mnie za próg. Oprócz pani, oczywiście.

– Nikt przecież, oprócz mnie, nie jest pani potrzebny! – odpowiadała wesoło Tamara.

Nina dziękowała jej za dobroć, a sama myślała o tym, że teraz naprawdę nie ma nikogo oprócz pani Allman. Nowego męża nie znajdzie, o własnych pieniądzach mogła zapomnieć. Wszystko, na co mogła liczyć, to pańska łaska.

– Muszę pojechać na Yates Road – powiedziała Tamara mężowi. – Chcę wybrać wyprawkę dla dziecka Niny.

Tony się przeraził: „Dysk może ci się jeszcze przesunąć!”, ale w końcu zamówił dla Tamary specjalną lektykę. Zanim ją posadzono w środku, położył na siedzeniu jajko i długo gonił tragarzy wokół domu, żeby się upewnić, czy jajko się nie rozbije.

Kiedy słudzy wynieśli Tamarę na zewnątrz, zaczął padać śnieg. Kobieta mrużyła oczy z rozkoszy i pełną piersią oddychała zimnym powietrzem.

– Aż strach pomyśleć, ile czasu przesiedziałam w zamknięciu!

Anglicy nazywali Yates Road ulicą Tysiąca Nocnych Koszul, a Amerykanie aleją Spodniową. Można było tutaj znaleźć odzież na wszelkie okazje, od narodzin do pogrzebu.

Tragarze nieśli Tamarę szybkim krokiem wzdłuż ozdobnych witryn, za nimi w samochodzie Allmana jechała Nina, a za nimi w ariergardzie podążali służący z taczkami. Mieli za zadanie odwieźć zakupy do domu przyszłej matki.

– Naprzód, do pana Boockersa! – zawołała Tamara z lektyki.

Szofer pokiwał głową i powoli jechał za nimi, nie zwracając uwagi na klaksony wyprzedzających go samochodów. Nina śmiała się na tylnym siedzeniu, tak zabawnie wyglądała ich procesja.

Sklep Boockers & Co. był prawdziwym rajem dla ciężarnych kobiet. Nina rozglądała się nieco zagubiona po ladach, oglądała atlasowe kołderki, firanki nad łóżeczko, białą, pięknie wyszywaną bieliznę i srebrne grzechotki. Były tu tysiące rzeczy, od których topniało matczyne serce.

– Można dostać oczopląsu – westchnęła, owijając brzuch lisią szubą. – Sama nie wiem, co wybrać.

– Niech pani siedzi i odpoczywa – rozkazała Tamara. – Sama wszystko załatwię.

Subiekci rozłożyli przed nią stosy dziecięcych ubranek, ale nie zdążyła nawet ich obejrzeć. Nina jęknęła. Miała mokrą spódnicę, a pod nią lśniła kałuża.

Tamarze zabiło serce.

– Wody pani odeszły! Szybko do auta!

Nie zdążyli dotrzeć do domu. Na rogu ulic zderzyły się dwie ciężarówki, ruch się zatrzymał, dobre pięćdziesiąt samochodów stało w korku.

Córeczka Niny urodziła się na tylnym siedzeniu samochodu. Poród przyjął szofer, Tamara mówiła mu, co ma robić ze swojej lektyki, a tragarze odganiali ciekawskich.

Knajpa Trzy Rozkosze mieściła się przy małej uliczce, którą nazywano Krwawą Aleją. Nie było tu jednego dnia bez awantur, ale niewzruszeni wietnamscy policjanci wtrącali się tylko w razie bójek na noże lub strzelanin.

Każdego wieczoru Feliks zostawiał służbowy motocykl przy koniowiązie, kazał chłopaczkowi strzec maszyny i razem z Klimem szli do knajpy czekać na pojawienie się czechosłowackiego konsula.

Przy porzniętych stołach zbierały się szumowiny: marynarze wszelkich stopni i narodowości, chińscy generałowie bez armii i portowe bandziory. Między nimi chodziły spocone, wymięte dziewczyny i próbowały siadać na kolanach klientom. Czasem z mroku wyłaniał się karzeł Malajczyk i proponował fajki z opium.

– Jeśli nie macie pieniędzy, zawsze można kupić wodę opiumową za pięć miedziaków – kusił.

„Wodę” przygotowywał na miejscu, to znaczy wytrząsał z fajek resztki opium i rozcieńczał je wrzątkiem.

– Działa lepiej niż kokaina! – zaklinał się i krzywił twarz, pokazując, jak wspaniałych doznań dostarcza jego towar.

Feliks pił piwo i opowiadał Klimowi o swoich przyjaciółach kadetach. Ostatnio wielu z nich przebąkiwało o powrocie do ojczyzny, jako że w Chinach nie było dla nich miejsca, a w Rosji mogli liczyć na bezpłatne kursy zawodowe i zostać chociażby maszynistami lub technikami dentystycznymi. Takie właśnie informacje zawierały karteczki rozrzucane w domu gościnnym cerkwi Objawienia Pańskiego.

– W policji wiemy doskonale, kto drukuje te ulotki – gorączkował się Feliks.
– Bolszewicy specjalnie wysyłają do Szanghaju agentów, żeby przeciągali młodzież na ich stronę. Im biali emigranci stoją kością w gardle. Na Kremlu boją się, że zbierzemy siły i odbijemy Rosję.

– I co, są tacy, co wierzą bolszewikom? – zdziwił się Klim.

– Zdziwiłbyś się ilu! Mój przyjaciel popłynął do Władywostoku i obiecał przysłać wiadomość, jak wygląda sytuacja. Umówiliśmy się, że jeśli w Rosji jest dobrze, przyśle fotografię, na której będzie stał. A jeśli źle, zrobi sobie zdjęcie na krześle. Wiesz, jaką mi przysłał wiadomość? Leżał na podłodze!

Pan Labuda pojawił się w Trzech Rozkoszach po paru tygodniach, wystrojony w jedwabny cylinder i ciemnozielony płaszcz z bobrowym kołnierzem.

Klim patrzył na jego odbicie w nachylonym lustrze nad barem. Jirzi spotkał się z wysokim jednookim Chińczykiem, następnie zamówił piwo, posiedział nad kuflem około dziesięciu minut, po czym wymknął się do korytarza prowadzącego na zaplecze.

– Chodźmy popatrzeć, co wymyślił! – szepnął Feliks.

Szybko przeszli przez zadymioną kuchnię i obok paru drzwi, zza których dobiegał kobiecy śmiech. Na podłodze obok tylnego wyjścia leżał jakiś człowiek, czy to pijany, czy martwy. Feliks przeszedł nad nim i wyjrzał na zewnątrz.

– Za mną! – zawołał Klima i pobiegł z powrotem na salę. – Labuda ma tam samochód pełen skrzynek z alkoholem!

Wyskoczyli na zatłoczoną marynarzami ulicę i o mało nie wpadli pod koła forda, wyjeżdżającego z podwórza. Klim zamarł – to było auto Niny!

Feliks zabrał spod koniowiązu motocykl, skoczył na siodełko.

– Jedziemy!

Pędzili ulicą, zręcznie omijając ciężarówki i konne zaprzęgi. Klim czuł drżenie serca. Czy Nina bierze udział w aferach Labudy? Przecież dopiero urodziła! Gdzie ją poniosło?!

Po kilku minutach ford przekroczył granicę Osiedla Międzynarodowego.

– Teraz weźmiemy tego Labudę! – zawołał podniecony Feliks. – Czechów nie obejmuje prawo eksterytorialności, więc się nie wywinie!

Kiedy samochód skręcił w jedną z pustych ulic w pobliżu hipodromu, Klim zrozumiał, że Jirzi kieruje się do Niny. Na ciemnej drodze nikogo nie było, w głębi zaśnieżonych ogrodów majaczyły światła okien bogatych willi.

Klim nachylił się do ucha Feliksa.

– Trzeba go brać teraz! Inaczej dotrze do przyjaciół, a z nimi sobie nie poradzimy.

Feliks skinął głową, a potem wyprzedził forda, zagroził mu drogę. Zapiszczały hamulce i maszyna zatrzymała się, o mało nie wypadając z drogi.

– Ty co, ślepy jesteś?! – wrzasnął szofer, wychylając się przez okno, i z miejsca się cofnął, widząc w ręce Feliksa policyjną blachę.

Klim zeskoczył z motocykla, otworzył gwałtownie tylne drzwi samochodu.

– Jakim prawem! – krzyknął przestraszony Jirzi.

Feliks podsunął mu pod nos rewolwer i wskazał dłonią zawałone skrzynkami siedzenia.

– Co pan tu wiezie?

– N-nic...

Klim wyjął składany nóż, podważył wieko i zamarł. Wewnątrz zobaczył lufy pistoletów maszynowych.

– To nie moje! – jęknął Jirzi. – Zmusili mnie! To Kupina jest winna...

Klim popchnął go mocno.

– Zamknij się!

Feliksowi świeciły się oczy.

– Nie ma dokumentów na broń? To doskonale. Pojedziemy porozmawiać na komendę. – Usiadł z tyłu, obok Jirziego, i przystawił rewolwer do głowy przerażonego szofera. – Jedź na Nankin Road! Spróbujesz czegoś, zastrzelę. Klim, bądź przyjacielem, odstaw motocykl na komendę.

Trzasnęły drzwi, samochód ruszył i zniknął w zimnej mgle.

Klim stał pośrodku ulicy, patrząc za maszyną. Labuda na pewno zacznie wszystko zrzucać na Ninę i ją aresztują...

Klim nie miał pojęcia o jeździe motocyklem, więc trochę czasu zajęło mu odprowadzenie maszyny do komendy.

Na wartowni czekał Feliks.

– Tośmy schwytali ptaszka! – zakrzyknął. – Zażądaliśmy od Labudy dokumentów i adresu jego kierownictwa w Pradze i wiesz, co się okazało? To samozwaniec! Sam siebie mianował konsulem i namotał w głowach chińskim urzędnikom, żeby nie płacić cła za wyroby alkoholowe.

– A skąd miał kulomioty? – spytał Klim.

– Twierdzi, że od Niemców. Ale według mnie kłamie. Wszystkie egzemplarze były produkcji rosyjskiej. Zamierzał je sprzedać znajomym bandytom.

Klimowi trochę ulżyło. Wyglądało na to, że nie powiedział nic o Ninie.

– Zaczął histeryzować. – Uśmiechnął się Feliks. – Nie uwierzysz, ale płakał jak bóbr i walił głową w ścianę. Kazaliśmy go odprowadzić do celi, żeby trochę się uspokoił, a ja sporządziłem raport dla Wyera.

Podszedł do nich Johnny Collor i poklepał Feliksa po ramieniu.

– Medal ci się należy, chłopie!

Klim został przesłuchany w charakterze świadka, a kiedy protokoły były podpisane, Johnny wysłał go do komisarza policji.

– Wyer chce z tobą pogadać.

Gabinet szefa policji był zastawiony tanimi meblami i ozdobiony portretami królów oraz prezydentów.

– Proszę siadać! – rozkazał Wyer Klimowi, wskazując sfatygowane krzesło.
– To pan prowadzi kronikę kryminalną w „Wiadomościach Codziennych”?

– Ja. – Klim skinął głową.

Wyer był przeziębiony, dlatego co chwila z chrypieniem przeczyszcział gardło.

– Kiedy będzie pan pisał artykuł o dzisiejszym aresztowaniu, niech pan koniecznie doda, że przestępca mieszkał wspólnie z kobietą o nazwisku Nina Kupina i to on zdaje się być ojcem jej dziecka. Wyrażam się zrozumiale?

I to jeszcze jak zrozumiale. Wyer chciał ratować honor Edny i zrzucić na Jirziego grzeszki swojego zięcia.

– Ta kobieta niedawno rodziła, więc zastosowaliśmy względem niej areszt domowy – mówił dalej kapitan. – Labuda zeznał, że to właśnie ona zmusiła go do zorganizowania fałszywego konsulatu. Mam nadzieję, że o tym także nie zapomni pan wspomnieć.

Klim poczuł chłód. Kapitan najwyraźniej zamierzał wpakować Ninę do więzienia. A kto go naprowadził na ten ślad? Klim Rogow i Feliks Rodionow.

– Do dobrego reportażu potrzebne są szczegóły – powiedział Klim. – Muszę spojrzeć na dom, w którym mieszkali przestępcy, porozmawiać z ochroną.

– A to po co? – nie rozumiał kapitan.

Nigdy przedtem i nigdy potem Klim nie musiał wygłaszać takich płomiennych mów na temat sensu dziennikarskiej pracy. Opowiadał o nowoczesnych wymaganiach stawianych reportażom i zapewniał kapitana, że redaktor naczelny nie przyjmie od niego materiału, jeśli nie będzie w nim komentarzy policjantów, którzy pilnują podejrzanego.

– Co za wierutne bzdury! – burknął Wyer, ale napisał do dowódcy warty, żeby współpracował z panem dziennikarzem.

Po przybyciu do domu Niny Klim zażądał, żeby mu pozwolono rozmawiać z aresztantką, lecz brzuchaty sierżant nie chciał o tym w ogóle słyszeć.

– Proszę przyjść jutro, teraz jest już późno.

– Ale ja muszę właśnie teraz! – Klim wsunął mu w rękę srebrny zegarek z grawerunkiem „Za doskonałe oko”.

Sierżant zważył przedmiot na dłoni.

– No dobrze, niech pan spróbuje. Tylko że ona i tak pana nie przyjmie. Gdzie jej do wywiadów.

Wartownicy grali w karty w spustoszonej rewizji przedpokoju. Na widok dowódcy zerwali się i stanęli na baczność.

– Missi jest u siebie, nie było żadnych zdarzeń!

Z piętra dobiegł płacz dziecka. Klim, nie czekając na pozwolenie, popędził na górę.

Nie od razu znalazł sypialnię Niny w ciemnej amfiladzie pokoi, zdawało mu się, że dziecięcy płacz dochodzi zewsząd. Wreszcie zobaczył drzwi, spod których wydobywało się słabe światło. Zastukał i wszedł.

– Czego jeszcze chcecie? – jęknęła Nina i zamilkła, wpatrując się w gościa.

Siedziała na łóżku rozczochrana, pobrzydła, pod oczami miała ciemne kręgi. Na jej rękach wiło się łkające niemowlę.

Również tutaj policjanci wszystko przewrócili do góry nogami. Dywan był skołtuniony, na podłodze wały się papiery, bielizna i złamane krzesło.

– Nina... – powiedział cicho Klim.

Przycisnęła dłoń do ust i zapłakała, drżąc na całym ciele.

Klim patrzył na nią, nie wiedząc, co robić: dziecko krzyczy, matka też płacze...

Zrzucił płaszcz i usiadł obok kobiety, nie patrząc w ogóle na dziecko.

– Nie mogę karmić Katii – poskarżyła się przez łzy Nina.

A jednak dała córce na imię tak, jak kiedyś postanowili.

Dziewczynka trącała noskiem nienaturalnie dużą pierś matki, ale nie mogła uchwycić sutka.

– Podłóż jej coś pod plecki – poradził Klim. – Niewygodnie ci ją tak trzymać.

Długo się męczyli, przekładając niemowlę, co i raz szepcząc ze złością:

– Ty co, nie widzisz, że ją trzeba unieść?

– Ale jej tak niewygodnie!

Wreszcie Katia zorientowała się, co z czym. Nina odrzuciła głowę na

poduszkę. Ze zmęczenia oczy same jej się zamykały.

- Jeśli mnie aresztują, zatroszczysz się o małą?
- Nie zostawię twojej córki – odparł Klim bezbarwnym głosem.
- Przecież to twoje dziecko!

Tylko tego brakowało... Teraz, oprócz Daniela i Jirziego, również on został przyjęty w poczet ojców.

– Nie musisz kłamać, żeby uzyskać, co chcesz – powiedział. – Skoro obiecałem, to zrobię.

Wargi Niny zadrżały.

- Zabieraj się do diabła! Z takiego ojczulka nie będzie pożytku!

Klim ledwie się powstrzymał, żeby na nią nie nawrzeszczyć, ale teraz nie był czas dochodzić prawdy.

- Masz adwokata? – spytał.

Nina skinęła głową.

- Nazywa się Tony Allman. Już tu był i obiecał uratować nas oboje z Jirzim.

- To prawda, że ty wciągnęłaś Labudę w aferę z konsulem?

– Nie miałam wyjścia! Pieniądze się kończyły, nie miałam pojęcia, jak można zarobić.

- I dlatego zaczęłaś handlować też bronią?

Klim opisał, w jakich okolicznościach został aresztowany Jirzi, a Nina spieszyła się i przestraszyła.

– Nic o tym nie wiem! Sprzedawaliśmy tylko szampana i koniak, a w ogóle zabroniłam Jirziemiu się tym zajmować, dopóki nie urodzę i nie wrócę do pracy.

– To znaczy, że cię nie posłuchał – westchnął Klim. – Teraz Wyer chce przedstawić sprawę tak, jakbyś zaszła w ciążę z Labudą, a nie Danielem.

– A ty mu nie powiedziałaś, że spotkaliśmy się w Linczengu? Od tamtej pory minęło równo dziewięć miesięcy.

- Nina, przestań już!

– Rozumiem, że zawiniłam względem ciebie... Ale przecież nie wolno się tak mścić! Przecież specjalnie zrobiłaś wszystko tak, żebym zaszła w ciążę!

- Ja zrobiłem?!

– A potem zniknąłeś, nie zostawiając mi nawet liściku. Czekałam na ciebie i czekałam...

Klim tak przywykł uważać się za pokrzywdzonego, że słowa żony nie chciały mu się ułożyć w głowie.

– Spóźniłem się! To ty przyjechałaś do Linczengu dla rozrywki, ja miałem robotę!

Sama myśl o tym, że w uczynkach Niny nie było złego zamysłu, sprawiła, że zupełnie stracił rozeznanie.

- Co tam tak długo?! – krzyknął z korytarza sierżant. – Zaraz mi się kończy

zmiana!

Klim wstał, wciąż jeszcze rozgorączkowany kłótnią, zły i nieugięty.

– Muszę już iść.

Podniósł z podłogi płaszcz, skierował się do drzwi, ale Nina go zatrzymała.

– Poczekaj! Ja... tak w ogóle... Dziękuję, że przyszedłeś!

Po raz pierwszy od półtora roku, nie licząc Linczengu, Nina dała do zrozumienia, że docenia męża.

– Wrócę jutro – obiecał Klim i wyszedł.

Tramwaje już nie kursowały, więc musiał dotrzeć do domu piechotą. Szedł szybko przez czarno-białe miasto i próbował uporać się z myślami. Zakłopotanie przenikało się to z oburzeniem, to z nadzieją: a może Katia to naprawdę jego dziecko? Klim nie był przygotowany na tę myśl i nie miał pojęcia, co powinien teraz zrobić.

Zawsze chciał mieć dzieci, ale kiedy o tym myślał, wyobrażał sobie, że jest dom, dostatek i ukochana oraz kochająca żona, której wierności może być absolutnie pewien. A teraz co będzie? Z jednej strony nie mógł przysiąc, że tamtej nocy byli z Niną dość ostrożni, ale z drugiej – wierzyć jej na słowo mógłby tylko człowiek naiwny. Nina nieraz już pokazała, że pojęcia uczciwości nie uważa za szczególnie ważne.

Niepojęte było, że, wiedząc to wszystko, i tak umierał od przedziwnej, trudnej do wytłumaczenia radości, bo Nina jednak wróciła do jego życia! A gdyby nawet urodziła dziecko Bernarda? Trudno. Wielu ludzi wychowuje cudze dzieci, świat się od tego nie kończy.

Żeby tylko Nina nie trafiła do więzienia! Labuda na pewno będzie wszystko zrzucił na nią, a kapitan chce za wszelką cenę zemścić się za nieszczęście córki.

Do jakich bogów się modlić, żeby sprawa dobrze się skończyła? Jakie ofiary składać?

Klim spojrzał na piękne zimowe niebo. Nad dachami tłoczyły się niezliczone gwiazdy, niczym publiczność w Koloseum, czekająca na wynik walki.

Rozdział 12

Dwie dziewczyny

Nina poruszała się jak w malignie. Ciało nie bardzo chciało jej słuchać, a musiała sobie poradzić w areszcie domowym i urządzić wszystko tak, żeby Katia miała czyste pieluszki, zaś ona sama jedzenie i węgiel do pieca.

Służba rozbiegła się w przestrachu, policjanci w każdej chwili mogli wtargnąć do pokoju, telefon został odłączony i Ninie zdawało się, że została odcięta od całego świata. Nie wiedziała nawet, o co jest oskarżona i co jej grozi.

Jak Jirzi mógł się wplątać w handel bronią? Przecież był bierny jak owca, jedyne, na co mu wystarczało odwagi, to kpić z Niny.

Pewnie don Fernando go namówił! – myślała. – No, ja im dam, kiedy mnie wreszcie wypuszczą!

Klim znów przyszedł w odwiedziny, a Nina od razu zrozumiała, że on nie chce nawet patrzeć na Katię. Nie próbował wziąć jej na ręce, nie pytał, co z nią, a kiedy Nina zaczęła mówić coś o dziecku, niezręcznie spróbował zmienić temat.

– Teraz najważniejsze to oczyścić cię z oskarżeń.

Dla Klima Katia nie była darem losu, lecz problemem, a to obrażało Ninę do głębi duszy.

– Dlaczego chcesz mi pomagać? – spytała wprost. – Uważasz, że kłamię i Katia nie jest twoja. Ale w takim razie czego od nas chcesz?

– Niczego – rzucił ze złością Klim, ale zaraz zaczął wymyślać tłumaczenia: – W jakiejś mierze czuję się odpowiedzialny za to, że zostałam aresztowana. Oczywiście dawno się rozstaliśmy, ale nie jesteś dla mnie obca... Tym bardziej że dopiero rodziłaś... I w ogóle... Przecież sama rozumiesz.

Lecz Nina niczego nie rozumiała. Klim bawił się w dobroczynność? Próbował odkupić winę? A może znów chciał udowodnić, jaką Nina była idiotką, odchodząc od niego?

Po odejściu Klima zjawił się Tony Allman.

– Mam dwie wiadomości. Jedną dobrą, drugą złą. Od której zacząć?

– Od dobrej! – poprosiła z nadzieją Nina.

Tony wprowadził co sypialni Chinę z uśmiechniętą, pomarszczoną twarzą.

– To jest niania – oznajmił. – Będzie pani pomagać przy dziecku.

Nina nie chciała słyszeć o tym, żeby powierzyć Katię obcej kobiecie, ale Tony upierał się przy swoim.

– Jeśli będzie pani chodzić zmordowana z niewyspania, nagada pani głupot podczas przesłuchań i skończy z wyrokiem.

Nina wbrew sobie pozwoliła niani zabrać dziewczynkę.

– Ta kobieta chodzi, a za nią się kręci zimne powietrze! – wyjęczała, kiedy za nianią zamknęły się drzwi. – Czego się pan śmieje? Przecież tak można przeiębić dziecko!

Tony ani jej nie osądzał, ani nie próbował przekonać.

– Po porodzie Tamara też szalała przez każdy drobiazg. – Uśmiechnął się.

– Jaka jest zła wiadomość? – spytała Nina.

Twarz Allmana pociemniała.

– Wczorajszej nocy Jirzi umarł w celi.

– Jak?!

– Powiedziano mi, że dostał wylewu.

Tony ujął Ninę za rękę i popatrzył jej w oczy.

– To, co powiem teraz, wyda się pani szczytem cynizmu, ale to jedyne dla pani wyjście. Wszystko powinniśmy zrzucić na Labudę. Nie wtajemniczał pani w swoje machinacje, nie miała pani pojęcia, że konsulat czechosłowacki nie jest prawdziwy. O handlu alkoholem i bronią też nic pani nie wie. Don Fernanda nie ma teraz w mieście, szofer niczego się nie domyślał, więc policjanci nie mają punktu zaczepienia.

– Rozumiem – powiedziała Nina drżącym głosem.

Tony lekko poklepał ją po ramieniu.

– My z Tamarą weźmiemy na siebie sprawę pogrzebu Jirziego. Szkoda chłopaka, ale któż jest winien tego, co się stało?

– Ja jestem winna – chlipnęła Nina. – To ja go zmusiłam, żeby został konsulem.

– Jirzi wiedział, na co się pisze, więc proszę nie brać na siebie więcej, niż może pani unieść. Tamara prosiła, żeby pani do niej zadzwoniła, kiedy tylko pozwolą pani korzystać z telefonu. Przekazuje pani pozdrowienia.

Notatnik. Zyski i straty

Nie doczekawszy się artykułu o aresztowaniu czechosłowackiego konsula, Wyer zadzwonił do mnie i zażądał wyjaśnień. Bez owijania w bawełnę powiedziałem mu, że Katia jest moją córką, więc nie mogę pisać, jakoby spłodził ją zmarły Labuda.

Myślałem, że Wyer ucieszy się z takiej informacji, ale gdzież tam! Wrzeszczał tak, że musiałem odsunąć słuchawkę od ucha. Usłyszałem o wszystkim: kiepskiej narodowości, hańbie mojej ojczyzny i moich osobistych niedostatkach.

– Ile ci zapłacili za gadanie takich łgarstw?!

Kapitana tak wzburzył fakt, że nie wykonałem jego rozkazu, że nie dotarło do niego, jak bardzo moje „łgarstwo” ułatwia życie jemu i Ednie. Nie spierałem się z nim, tylko przerwałem połączenie. Mam nadzieję, że taka bezczelność nie przyprawiła go o atak serca.

Niedługo potem Edna poprosiła mnie, żebyśmy się przeszli po nabrzeżu.

– Ojciec powiedział, że przyznał się pan do dziecka Kupiny – powiedziała nieco zmieszana. – Oczywiście jestem wdzięczna, ale nie musi pan brać na siebie win mojego męża. Plotkarzy i tak się nie uciszy, uznają, że wziął pan ode mnie pieniądze za przysługę. Zna pan chociaż tę Ninę?

Musiałem wyznać, że kobieta, która przyczyniła Ednie tyle cierpień, jest moją żoną.

– Dlaczego wcześniej nic pan nie mówił? – spytała Edna i nagle twarz jej się zmieniła. – Już chyba wszystko rozumiem. Poznał się pan ze mną, zobaczył, że mój mąż ma pieniądze, i podsunął mu swoją Ninę. To bardzo sprytnie wcisnąć Danielowi swoją córkę, a potem zażądać, żeby się wykupił!

Nie miało sensu przywoływać logicznych argumentów. Edna nie potrafiła już myśleć zdroworozsądkowo. Chciała znaleźć winnego swojego nieszczęścia, a przecież nie mógł nim być jej rozpustny mąż.

– Ojciec mnie ostrzegał, że wszyscy Rosjanie to oszuści bez zasad! – krzyczała. – Ale nic nie dostaniecie, żeby pan wiedział! Daniel dobrze zrobił, wyjeżdżając.

Po powrocie do redakcji Edna zebrała rzeczy i oświadczyła Greenowi, że się zwalnia.

– Może się pan cieszyć! – powiedziała mi na pożegnanie. – Dałam panu pracę, a pan mnie stąd wyrzucił. Mogłabym urządzić skandal i pokazać wszystkim,

jaki pan jest naprawdę, ale brzydzę się przebywać z panem w jednym pokoju.

Co mogłem odpowiedzieć? Że Edna oszukuje samą siebie i szuka pretekstu, aby odejść z pracy i schować się w ciemnej norze, żeby nikogo nie widzieć? A może powinienem wyprzeć się Niny i mówić, że nie mam z tym wszystkim nic wspólnego?

Niesprawiedliwe oskarżenia doprowadzają mnie do wściekłości, nie potrafię biegać za kimś i udowadniać, że prawda wygląda inaczej. Napisałem do Edny list, ale nie odpowiedziała. Nie wiem, czy w ogóle czytała moje wyjaśnienie, czy od razu wrzuciła pismo do kosza.

Być może w innych okolicznościach znalazłbym sposób, żeby się z nią pogodzić, ale teraz nie mam do tego głowy. Nie potrafię w żaden sposób pomóc Ninie, a poczucie bezsilności w zderzeniu z tępą i nieruchawą maszyną prawną wyciąga ze mnie wszystkie soki.

Chciałem porozmawiać z Feliksem o postępach śledztwa, ale zniknął. Ani Johnny, ani chłopcy na komendzie nie wiedzą, gdzie przepadł, przypuszczają, że dostał nadzwyczajny urlop.

Ale jak mógł wyjechać, nic nikomu nie mówiąc?

Podczas przesłuchań Nina upiera się przy swoim: „Nie mam pojęcia, nie pamiętam, o niczym nie wiedziałam”. Miała wielkie szczęście z tym Allmanem, bo to rzeczywiście znakomity adwokat i wynalazł chytrą sztuczkę prawną: okazuje się, że policja Osiedla Międzynarodowego nie powinna prowadzić sprawy, ponieważ pani Kupina nie dokonywała przestępstw na jego terytorium.

Tony uważa, że jeśli wywrze wpływ na sędziego, który podpisywał decyzję o aresztowaniu, Ninę muszą uwolnić. To jest ironia losu. Zawsze brzydziłem się kumoterstwem i różnymi haczykami, a teraz jestem gotów się modlić za spryt Allmana i jego układy.

Nina wciąż jeszcze rozpacza po Jirzim i ma wyrzuty sumienia, ale ja nie jestem w stanie współczuć łajdakowi, który zrzucił całą winę na młodą matkę, cokolwiek by się tam między nimi działo.

Po długich kłopotach i wystawaniu pod drzwiami dostałem pozwolenie na chrzest Katii i przyprowadziłem do Niny ojca Serafina.

W Szanghaju mieszkają setki rosyjskich duchownych, niemających gdzie służyć. Utrzymują się z wykonywania obrzędów i przypadkowych dochodów. Ojciec Serafin jest wielki jak niedźwiedź i występuje na ringu w centrum rozrywkowym Wielki Świat. Pracuje jako coś w rodzaju chłopca do bicia – publiczność wpada w zachwyt, kiedy chiński zawodnik zwycięża takiego ogromnego „białego diabła”.

Ojciec Serafin był bardzo skonfundowany z racji swojej rozkwaszonej twarzy, ale powiedziałem, że my z Niną absolutnie go nie potępiamy, przecież musi z czegoś żyć.

Tak naprawdę była bardzo niezadowolona, że Katię chrzczył pop-bokser z siniakiem pod okiem. Miałem nadzieję, że wspólne troski nas zbliżą, ale wszystko wróciło w stare koleiny – ja wszystko robię nie tak, jak trzeba, a Nina jeśli nawet nie gani mnie otwarcie, tak właśnie myśli.

Przychodzę do niej opanowany, zdecydowany i poważny, wiecznie muszę być ostrożny jak saper, który musi rozbroić diabelską machinę. Wybuch może nastąpić w każdej chwili i z nieznanых przyczyn.

Kiedy Nina się dowiedziała, że mieszkam razem z Adą, z miejsca urządziła scenę. „Wszystko jasne” – oświadczyła takim tonem, jakbym był alkoholikiem, który obiecał skończyć z nałogiem i upił się tego samego wieczoru.

Tak jak w przypadku Edny, nie ma sensu powoływać się na logikę. „A ty co, masz mnie za głupią?!” – to wszystko, co mogę usłyszeć w odpowiedzi. Do tego Nina jeszcze uważa, że powinienem zapomnieć o Jirzim i Danielu Bernardzie.

Ednie jest łatwiej jako osobie religijnej. Na pewno wymyśli coś o przebaczeniu i modlitwie za wrogów. Ja powoli zamieniam się w wilkołaka, który za dnia żyje nikomu niepotrzebną miłością, a ku wieczorowi przybiera postać ponurego, nieufnego zwierzęcia, które nienawidzi całego świata.

Nie mam pojęcia, co będziemy robili, kiedy zostanie odwołany areszt domowy Niny. Powie mi „Dzięki, jesteś już wolny”? A może jednak spróbujemy jeszcze wspólnego życia?

Ale co z Adą? Nie mogę jej porzucić, jeszcze nie jest dość dorosła, do tego jej honorarium nie wystarczy na wynajęcie dobrego mieszkania. A jeśli umieszczę moje damy razem, miss Marshall od razu zacznie okazywać zazdrość, a rozdrażniony podrostek to dopiero wspaniały prezent od losu. Nina też nie ścierpi w pobliżu młodej panienki, domagającej się mojej uwagi i potrzebującej pieniędzy.

Ada na razie nie wie, że w pewnej mierze pogodziłem się z żoną. Późne powroty tłumaczę nawałem spraw. Nie mogę powiedzieć jej prawdy, bo zaraz zacznie mi udowadniać, że zostałem obarczony cudzym dzieckiem, a ja muszę przyznać, że nie mogę już nawet myśleć na ten temat.

Mawia się zawsze, że niemowlak jest podobny do jednego z rodziców. Bardzo chciałbym ujrzeć w małej swoje rysy, ale w odróżnieniu od Niny, jest blondynką i jeśli jest do kogokolwiek podobna, to tylko do innych noworodków.

I w mojej, i w Niny rodzinie było pełno jasnowłosych, ale nie zapominam o złocistej czuprynie Daniela Bernarda i klnę tę dziką niesprawiedliwość, że kobieta prawie zawsze wie, z kim ma dziecko, a mężczyźni pozostaje tylko wierzyć jej na słowo.

Staram się sam siebie przekonywać, że powinienem machnąć ręką na kwestie pokrewieństwa. Jakkolwiek by było, dzięki Katii mam pretekst, aby przychodzić do żony i mieć nadzieję, że niebawem wrócimy do siebie.

Green urządził Klimowi burę:

– O czym pan myśli? Gdzie ma pan głowę?

Klim obiecał napisać artykuł o złodziejach grasujących w szatniach chińskich łaźni, ale go nie przyniósł.

– Nie poznaję pana! – wściekał się Green. – Może jest pan niezdrowszy? A może ma jakieś problemy osobiste?

Klim patrzył nad jego ramieniem. Na dworze lał deszcz, śnieg stopniał, a miasto ubrało się w odcienie szarości i brązu.

– Proszę wracać do domu i nie pokazywać mi się na oczy do poniedziałku! – nakazał Green.

Klim w milczeniu założył płaszcz, wyszedł z redakcji i wszedł do tramwaju.

Naprawdę nie mógł myśleć o pracy. Dzięki zabiegom Allmana sprawa przemytu broni i fałszywego konsulatu została umorzona, dzisiaj Ninę powinni zwolnić z aresztu domowego.

Klim zarazem wierzył i nie wierzył, że w jego życiu znajdą wreszcie długo oczekiwane zmiany.

Poprzedniego dnia kupił dla Katii wózek wyłożony różowym jedwabiem. Nina była zachwycona.

– Nie myśl sobie, że niczego nie zauważam i nie doceniam – powiedziała, kiedy Klim zbierał się do domu. – Po prostu zbyt wiele na mnie spadło, miotam się cały czas... Przyjdź jutro, dobrze? Do jedenastej powinnam wrócić z sądu.

Na skrzyżowaniu Nankin Road i Tybet Road Klim zeskoczył z platformy i zobaczył tłum pośrodku jezdni. Chłopcy powłazili na latarnie i przekrzykiwali się.

– O, niczego sobie! Widziałeś? Widziałeś?

Na asfalcie widać było ślady opon, a na mokrym klombie, ledwie porośniętym młodą trawą, leżał wózek dziecięcy, wyłożony różowym jedwabiem.

Policjant w płaszczu przeciwdeszczowym wszedł między ludzi.

– Są świadkowie?

W tłumie zaszumiało.

– Nikt niczego nie zdążył zauważyć.

– Potrącił ich czarny automobil!

– Odjechał, nawet się nie zatrzymał, a niańkę z dzieckiem od razu na śmierć.

Klim podszedł bliżej. Wiatr zacinał marznącym deszczem, odbłaski wystaw w kałużach pływały przed oczami. Kątem oka dostrzegł dwie postacie na jezdni –

większą i maleńką. Klim już zrozumiał, co się stało i kto to, ale nie potrafił spojrzeć na ciała.

Notatnik. Zyski i straty

Czuję, jak w środku wszystko mi kamienieje i zastyga w kruche słone kryształy.

Nic już nas z Niną nie łączy, oprócz straszliwego, nieodwracalnego nieszczęścia. Po co mielibyśmy się spotykać? O czym rozmawiać? O głębi smutku?

Nina to rzuca się w histerii, to szuka winnych i patrzy na mnie tak, jakbym to ja był zabójcą Katii. Bo gdybym nie kupił tego przeklętego wózka, Nina by nie wysłała niani na spacer.

– Przecież chciałeś, żeby mojej córki nie było na świecie! – powiedziała dzisiaj, a potem padła na łóżko i zaczęła szlochać: – Wybacz... Po prostu nie mogę tak żyć! Nie mam celu, nie widzę sensu...

Ja oczywiście nie mogę być dla niej sensem życia.

Na pogrzeb Katii przyszło nieoczekiwanie dużo ludzi. Wielu chciało zobaczyć z ciekawości skandalizującą panią Kupinę.

Nina niczego już nie rozumiała i nie odczuwała. W cerkwi, a potem na cmentarzu stała oddzielnie, delikatna i krucha, w gęstym czarnym woalu na kapeluszu.

– Zostawcie mnie w spokoju – powtarzała bez życia, jeśli ktoś podchodził z kondolencjami.

Po pogrzebie Klim zawiózł ją do Domu Nadziei, żeby nie musiała mieć do czynienia ze „współczującymi”.

Weszła za nim do mieszkania i od razu usiadła na taborecie w kuchni.

Przestraszona Ada patrzyła na nią wielkimi oczami.

– Och, co ma pani na piersi? – spytała, wskazując dwie niewielkie plamy na żałobnej sukni.

Nina spojrzała na dziewczynę nieprzytomnie.

– To mleko dla mojej córki.

Lepiej by było, gdyby płakała.

Zapadał zmrok. Ada chciała zapalić światło, ale nafta do lampy się skończyła.

Klim wstał.

– Pójdę do sklepu.

Musiał coś ze sobą zrobić, nie mógł siedzieć tak obok Niny i umierać z rozpacz.

Wziął parasol i wyszedł na ulicę. Ze świątyni buddyjskiej na rogu dochodziły niskie głosy śpiewających mnichów, przed bramą nawoływali przekupnie z przenośnymi kuchniami.

– Komu świeżej kaszy z migdałowca i ziaren lotosu! Gorąca zupa z krewetek! Makaron! Makaron ryżowy!

Przez te krzyki Klim usłyszał płacz niemowlęcia. No to zaczęły się halucynacje słuchowe...

– Aromatyczne jajka marmurowe! – wrzeszczeli sprzedawcy. – Pierożki! Pestki arbuza!

Klim poszedł wzdłuż ogrodzenia świątyni i prawie potknął się o tłumoczek leżący pod latarnią. Sam nie wiedząc, po co, odgarnął gałgan końcem parasola i wzdrygnął się z zaskoczenia.

To była nowo narodzona chińska dziewczynka z jeszcze nieodciętą pępownią. Już nie płakała, tylko poruszała gwałtownie posiniałymi rączkami.

Klim się rozejrzył. Matka oczywiście dawno uciekła. Prostytutki i żebraczki często kładły niechciane dzieci na ulicy, w nadziei, że ktoś je weźmie, a jeśli nie, to trudno. Ile taki noworodek będzie się męczył? Godzinę, dwie, a potem od razu do nieba. W Szanghaju codziennie znajdowano nawet czterdzieści dziecięcych zwłok – bezdomnych oraz porzuconych niemowląt.

Klim rozpiął płaszcz i wsunął dziecko za pazuchę niczym szczeniaka.

To było coś mistycznego, kiedy dobrzy chińscy bogowie zlitowali się nad nim i przenieśli duszę Katii do nowego ciała. Niestety, nie mieli białej dziewczynki, to poza ich kompetencjami.

Klim popędził do Domu Nadziei, wbiegł na piętro i wpadł do mieszkania. W kuchni już paliło się światło, bo Ada znalazła cerkiewną świeczkę i postawiła ją na półce z naczyniami.

Rogow porwał z gwoździa fartuch Ady, położył go na stole i ostrożnie wydobył dziecko.

Nina patrzyła przerażona na wielkogłową istotkę ze skośnymi oczami.

– Skąd to wzięłeś?! – jęknęła. – Odnieś z powrotem!

– Za późno – odparł, dysząc ciężko. – W Chinach jest zwyczaj, że jeśli się kogoś uratowało, trzeba o niego dbać do samej śmierci. Dziecko trzeba nakarmić, a ciebie piersi bolą od mleka, ulży ci.

– Całkiem oszalałeś!

– Ono umrze!

– Niech sobie umiera! Chcesz zamienić Katię na... na to?!

Ada wzięła się pod boki.

– Jeśli się panu wydaje, że będę znosić we własnym domu wrzeszczącego dzieciaka, to się pan głęboko myli. Trzeba odnieść toto do przytułku klasztornego, oni przyjmują podrzutki.

– Będzie moja! – powiedział Klim z uporem.

– A jak pan chce ją karmić? – krzyknęła Ada. – Przecież pracuje pan całymi dniami!

Nie spuszczając z Klina na wpół oszalałych oczu, Nina dotknęła dłonią piersi.

– Rzeczywiście, muszę coś zrobić z mlekiem.

Ada zawyła z obrzydzenia.

– To na pewno ma wszy!

– Sama je miałaś, kiedy tu przyjechaliśmy! – warknął Klim. – Bądź tak dobra i wyjdź!

Ada wyniosła się obrażona z kuchni, tak trzaskając drzwiami, że zgasła świeczka.

Nina chlipała w ciemnościach.

– Naprawdę chcesz wziąć to dziecko? – Miała taki głos, jakby chciała odebrać sobie życie, ale mimo wszystko żywiła jeszcze nadzieję na ratunek.

– Nie wyobrażam sobie, jak mielibyśmy być razem, gdyby nie... – Klim się zaciął.

W ciemności zaszurał taboret, dziecko cicho pisnęło i zaczęło cmokać. Klim odetchnął z ulgą: a jednak Nina wzięła się do karmienia.

Znalazł zapalki i znów zapalił świecę. Nina siedziała z zamkniętymi oczami, po policzkach płynęły jej łzy.

– No widzisz, też się o nią zatroszczyłaś – powiedział, próbując się uśmiechnąć.

– To zniewaga dla pamięci mojej córki – odparła Nina. – Nikt jej nie zastąpi.

– Nie chcę jej w żaden sposób zastępować! Po prostu musimy mieć dziecko, bo inaczej w sercu będzie ziała straszna dziura.

Nina długo milczała.

– To ja jestem winna śmierci Katii – oznajmiła wreszcie. – Nie mówiłam ci, ale trzy dni temu Wyer zadzwonił do mnie i poradził, żebym wyjechała z Szanghaju. Powiedział tak: „Nie interesuje mnie, z kim ma pani to dziecko. Ale ludzie uważają, że jego ojcem jest Daniel Bernard, a ja nie pozwolę, aby obrażano moją rodzinę”. Odmówiłam wyjazdu, a wtedy kazał mi uważać na siebie.

– Myślisz, że to Wyer wynajął zabójcę? – spytał Klim, czując lodowaty chłód.

– Samochód specjalnie wjechał na chodnik i uderzył w nianię z wózkiem. Gdybym tego dnia sama poszła z małą na spacer, nie byłoby mnie już wśród żywych.

Nina zapięła sukienkę, ujęła niemowlę wygodniej, wstała.

– Niech dziecko na razie zostanie u mnie, bo nie wiem, co zrobić z mlekiem.

Klim powoli pokiwał głową. Nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał.

Wynajął taksówkę i odwiózł Ninę. W każdym napotkanym kierowcy widział mordercę.

– Musisz być bardzo ostrożna – powtarzał. – Nikomu nie otwieraj drzwi, zamknij okiennice... A może naprawdę wyjechać z miasta?

– Za co będziemy żyć? – zaprotestowała Nina. – Możesz pracować tylko w dużej gazecie albo agencji informacyjnej, więc pozostaje nam albo Pekin, albo Hongkong. Tyle że tam trzeba dotrzeć, a nie mamy pieniędzy.

Sytuacja była rzeczywiście bez wyjścia. Klim żył od wypłaty do wypłaty, a wszystkie oszczędności Niny skonfiskowała policja. Po dotarciu do willi ubrali chińską dziewczynkę w ubranka pozostałe po Katii. Dziwnie było widzieć ją leżącą w łóżeczku, w którym niedawno sypiało zupełnie inne dziecko.

Nina znów się rozplakała, więc Klim pospiesznie wyprowadził ją z pokoju dzieciennego.

– Nie poddamy się i nie pozwolimy złamać! – szeptał, ściskając ją za ramiona. – Przecież życie się nie skończyło, prawda?

Klim bał się, że Nina powie, iż nie ma żadnego „my” i nie może być, ale milczała. Nieco pokrzepiony, zaczął wyjaśniać, co teraz powinni zrobić, żeby przetrwać zły czas. Nieustannie powtarzał też zakłęcie: „Wszystko będzie dobrze... Wszystko się ułoży...”.

Nina patrzyła na niego zdumiona.

– Tobie bez różnicy, to dziecko, czy tamto, ale po co mi to opowiadasz? Szczególnie teraz?

Klim się spieszył.

– Próbuję pomóc!

– No właśnie. – Nina wyswobodziła się z jego objęć. – To nie twoja rozpacz... Nie jesteś ze mną, tylko tam, gdzie wszyscy inni. Stoisz z boku. Nigdy byś nie podsunął mi chińskiej dziewczynki, gdybyś uważał Katię za swoje dziecko. Patrzyłeś na nią, jakby była moją zabaweczką. Wszystko przecież jedno, jaką lalką się zajmuję? Jedna się zepsuła, to znajdziemy drugą.

– Bądźże sprawiedliwa! – zaczął Klim. – Kocham cię...

– Nieprawda! – przerwała mu gniewnie. – Nie akceptujesz mnie tak samo, jak nie akceptowałeś Katii. Jestem dla ciebie tylko samicą, którą szkoda oddać innemu!

Klim poczuł, jak wszystko się w nim rwie na strzępy.

– A ja dla ciebie kim jestem? Tymczasowo pełniącym obowiązki Daniela Bernarda? Gdyby cię nie porzucił, za próg byś mnie nie wpuściła!

Zacząła się wstętna, szalona i bezsensowna awantura. Wrzeszczeli na siebie, już wcale się nie krępując.

– Chcesz, żebym cię kochał nie jak samicę tylko żonę? – śmiał się Klim. – Wybacz, moja droga, ale do tego potrzebna by była chociaż odrobina szacunku.

Nina nie pozostawała dłużna.

– Na ciebie jakby ktoś rzucił przekleństwo! Czego się dotkniesz, zamienia się w jakieś łajno! Twoja żona staje się kurwą, a dziecko bękartem... Nawet swojej Ady nie potrafiłeś uszczęśliwić.

– Możesz być spokojna, do ciebie nie zamierzam się zbliżyć!

Wyciągali wszystko na wierzch, uderzali w najboleśniejsze miejsca, kalecząc się bez litości i bez reszty.

Wreszcie Klim ruszył do pokoju dziecięcego.

– Jeśli nie chcesz dziecka, zabieram je. Żyj sobie, jak chcesz.

Nina stanęła mu na drodze.

– Wynoś się stąd i nie waż nigdy wracać!

Klim wyszedł na ulicę i długo patrzył na okna willi. W jego duszy panował ciemny chaos. Zamiast się pocieszyć nawzajem, nagadali sobie tak, że nie da się już tego wybaczyć.

Nina miała rację – Klim dawno przestał na nią patrzeć zakochanym wzrokiem. Oczekiwała ciepła i bliskości, a on nie był w stanie jej tego dać. Irytowała się więc, a on jeszcze bardziej zamykał się w sobie.

Już mu się zdawało, że zdołają się wyrwać z tego koszmarnego kręgu, a przynajmniej spróbują. Lecz śmierć Katii wszystko przekreśliła, a chińska dziewczynka nie mogła tu nic pomóc.

Będzie moja! – powtarzał sobie uparcie, wracając do domu. – Skoro nie potrafiłem pokochać własnego dziecka, to pokocham cudze, porzucone.

Rozpacz stopniowo zmieniała się we wściekłość. Wyr przeorał los Klimy i zrujnował mu życie nie dlatego, że życzył mu źle, bo w ogóle nie myślał o Rogowie, ale dlatego, że komisarz policji Osiedla Międzynarodowego przywykł załatwiać wszelkie sprawy za pomocą siły. Uważał, że mu wszystko wolno, a jeśli ucierpią przy tym jacyś tam imigranci, to niech ich diabli biorą. Nikt ich przecież nie zapraszał do Szanghaju.

Bóg mi świadkiem, że go jeszcze dorwę! – rozmyślał ponuro Klim. – Nie pomogą mu ani urząd, ani godności.

Rozdział 13

Tajna operacja

Tego wieczoru, kiedy Klim wyszedł po naftę, Ada opowiedziała Ninie plotki, usłyszane w domu Bernardów.

W młodości Edna i Tamara były najlepszymi przyjaciółkami i obie zakochały się w Danielu, który właśnie przyjechał do Szanghaju z Europy. Oświadczył się Ednie, ale służba podejrzewała, że nie w porwywie serca, lecz ze względu na władzę i znajomości jej ojca.

Missis Bernard wiedziała, że jej mąż od czasu do czasu nawiedza przybytki otoczone złą sławą, ale nigdy go nie upomniała. Nie mogła zabronić mu włóczenia się po burdelach i mściła się za swoje poníženie nie na mężu, lecz na prostytutkach. Właśnie na tym zasadzała się jej żarliwa i uparta walka o moralność.

Kiedy jej powiedziano, że Daniel ma kochankę, która zaszła w ciążę, Edna o mało nie umarła ze zgryzoty.

– Gdyby pani wiedziała, Nino Wasiliewna, jak ona pani nienawidzi! – westchnęła Ada. – Myśli, że jest pani kobietą fatalną.

– Ja fatalną? – Uśmiechnęła się Nina. – Jestem taką samą głupią babą, jak twoja Edna. Tylko w odróżnieniu od niej, nie mam ani pieniędzy, ani wpływowego ojczulka, gotowego się za mną ująć.

Teraz już Nina nie miała najmniejszych wątpliwości, że jej znajomość z Danielem Bernardem nie była przypadkiem. Tamara nie wybaczyła dawnej przyjaciółce, mimo iż sama była o wiele szczęśliwsza w małżeństwie. Zapewne pogłoski o nieślubnym dziecku rozpuściła właśnie ona. Przy czym wątpliwym było, czy spodziewała się, jak daleko zajdzie ta gra. Po prostu nuda ją zabijała, więc zabawiała się jak mogła.

Nina chciałaby wykrzyczeć jej prosto w twarz: „To ty zgubiłaś moją córkę!”, ale nie mogła sobie pozwolić na coś podobnego. Jej dom należał do Allmanów, a gdzie miałyby się udać? Do Klima i jego Aduni?

Do tego Tony obiecał Ninie zwrócić pieniądze skonfiskowane przez policję, a gdyby z nimi zadarła, mogłaby się już pożegnać z tą sumą.

Kiedy Tamara zadzwoniła kolejny raz, Nina powiedziała, że nie może przyjść do niej w gości.

– Zaadoptowałam chińską dziewczynkę znalezionej na śmietniku, więc gdybym do pani z nią przyszła i zaczęła jeszcze karmić piersią, ludzie mogliby pomyśleć Bóg wie co.

– Po co to pani zrobiła? – zachnęła się Tamara. – Wszyscy się od pani teraz odwrócą! Jeszcze niech pani małpkę zaadoptuje!

– Za późno, już się zhańbiłam – odpowiedziała Nina z ukrytą złą radością.

Mimo wszystko z maleńkiej Chincezki była niewątpliwa korzyść – pomogła Ninie wyrwać się spod opieki Tamary, a jednocześnie nie pokłócić się z nią.

Przez kilka miesięcy sprawę zabójstwa Katii Rogowej i jej niani przekładano z jednego biurka na drugie, a na koniec śledczy uznał, że podejrzany ukrył się na chińskim terytorium i niepodobna go odszukać.

Nina próbowała pocieszać się myślą, że prawie wszystkie kobiety muszą się borykać ze śmiercią dzieci: a to poronienie, a to aborcja, a to śmierć już po urodzeniu. Ale nie było jej wcale łatwiej. Każdej nocy śniła o rodzonej córeczce, a rano musiała brać na ręce Kitty, jak Klim nazwał znajdę.

Znajomi uważali, że Nina postradała zmysły, adoptując małą Chinę. Przecież od razu było wiadomo, że czeka ją bardzo trudny los. Kolorowe dziecko nie miało szans na dobrą szkołę dla białych i nie zostanie zaproszone na jakiegokolwiek przyjęcie w przyzwoitym domu. Kitty całe życie będzie chodziła niczym zebra w stadzie koni, bo do chińskich społeczności się nie wciśnie, szczególnie z takimi rodzicami, a i biali jej nie zaakceptują.

Ale Nina od razu pojęła, że jeśli odrzuci małą, to straci Klima i zostanie zupełnie sama. Kłócić się z nim z powodu znajdy było bez sensu. Nina widziała w jego oczach znajomą upartość. W najtrudniejszych momentach Klim nagle podejmował decyzje, które wpływały znacząco na jego losy i już nic nie mogło go skłonić do zejścia z wybranej drogi. Wiele lat wcześniej pokłócił się z ojcem i uciekł z domu, rezygnując z pieniędzy i pozycji. Dla Niny został w rewolucyjnej Rosji. Wszystko to kosztowało go bardzo drogo, ale on miał swoje poglądy na to, co jest słuszne, a co nie jest.

Chociaż Nina kazała mu nie wracać, przychodził jak przedtem, przynosił pieniądze i zmieniał ją, żeby mogła się wyspać. Ale przy tym patrzył na nią tak, jakby była tylko mamką jego córki. Tak było mu łatwiej, bo pozbawił swoją miłość prawa głosu i założył na nią kaftan bezpieczeństwa, niczym na niebezpiecznego szaleńca, którego nie wolno wypuszczać na wolność.

Nina zamieniła się z nim rolami. Teraz ona potajemnie była zazdrosna o dziecko i wypełniała obowiązki rodzicielskie bez ochoty i zaangażowania, a Klim zachowywał się tak, jakby nie istniał dla niego nikt droższy od Kitty.

Najbardziej upokarzające było to, że już więcej nie starał się o Ninę.

Będzie tak mnie odwiedzał od czasu do czasu? – myślała z niepokojem. – A może uważa, że kiedy mała podrośnie, przestanę być potrzebna? Nie oddam mu dziecka, niech nawet o tym nie marzy.

Notatnik. Zyski i straty

Ada każdego dnia próbuje mnie przekonać, że daremnie tracę siły na Kitty i z mojej przybranej córki nic dobrego, tak czy inaczej, nie wyrośnie.

Mówię jej, że jest po prostu zazdrosna. „Nieprzyjemnie, kiedy twoje marzenia urzeczywistniają się u innych? Wybacz, ale nie mogę zaadoptować dziewczyny, która pchała się do mnie z pocałunkami”. Wtedy Ada robi się zielona ze złości i zaczyna kląć, używając bez skrępowania bogatego słownictwa fordanserek.

Ada nie ma bladego pojęcia o dzieciach. Kitty zmieniła się w uroczonego malucha. Ma okrągłą buzię z czarnymi jak onyks oczkami, małym noskiem i delikatnymi brewkami, podobnymi do małych chmurek. Niedawno wyrznęły jej się dwa dolne zęby i wypróbowała je na wszystkim, czego tylko może sięgnąć, poczynając od własnych palców, a kończąc na rachunku za światło, którego Nina zapomniała wziąć z krzesła.

Dziwnie myśleć o tym, że kiedyś zastanawiała mnie kwestia pokrewieństwa z dzieckiem. Przecież to nieważne! Kitty świeci szczęściem jak żaróweczka. Rozśmiesza mnie nieustannie i sama zaśmiewa się do rozpuku. Anglicy nazywają niemowlęta *bundle of joy* – „pakuneczkami radości”, i to określenie najlepiej pasuje do mojej córeczki.

Nina też nie dała rady obronić się przed urokiem Kitty, a przecież z początku patrzeć na nią nie mogła. Teraz śpiewa jej piosenki, uczy jeść kaszkę za mamę i tatę, prowadzi z nią zabawne rozmowy.

– A cóż to za dziewczynka? Gdzie dzisiaj była? Chodziła z mamą wynająć tragarzy, żeby przewieźli nam meble.

Kitty uważnie wpatruje się w Ninę i na każde pytanie odpowiada głośnym „A-a-a...” w najróżniejszych intonacjach, od zachwyconych do przerażonych. Cała służba przybiega patrzeć na takie przedstawienie.

O ile ja i Nina zadziwiająco szybko zżyliśmy się z Kitty, o tyle nasze wzajemne stosunki pozostawiają wiele do życzenia. Żyjemy jak w jakimś filmie – wszystko dookoła jest czarno-białe, a bohaterowie z grubą warstwą makijażu nie mogą ze sobą rozmawiać z przyczyn technicznych.

Obraz przypomina coś w rodzaju westernu, gatunku tak miłego sercom szanghajskiej publiczności. Pięknej damie przytrafiło się nieszczęście, a samotny kowboj przysiągł ją pomścić.

Nie pytajcie, po kiego diabła mu to potrzebne, bo on sam tego nie wie. Jego

zemsta niczego nie zmieni i nie pomoże damie, ale kowboj nie może ścierpieć bezczelnych wybryków złego szeryfa. Proszę państwa, łajdak powinien zostać ukarany.

Wyer przebywa w Szanghaju na prawach poddanego Korony Brytyjskiej, a ja nie mam w zasadzie praw. Wszystko mu wolno – mnie nic, nawet żądać sprawiedliwości. Ale za to mogę pisać najbardziej złośliwe artykuły i publikować je w chińskich gazetach studenckich, w których materiały dotyczące złych białych urzędników przyjmuje się bez najmniejszej nawet selekcji. Nina powiedziała, że niszczy wszystko, czego się dotknę, więc zamierzam sprawdzić jej teorię na panu kapitanie.

Stałem się wielkim specjalistą od jego biografii. Okazało się, że w młodości mieszkał w Londynie, ale go stamtąd „wyszanghaili”. W tamtych dawnych czasach nikt nie chciał jechać do Chin z obawy przed egzotycznymi chorobami, a marynarzy statki handlowe zatrudniały tak, że werbownicy spijali ich w knajpach portowych, a budzili się już na pokładzie, gdzie mogli się poskarżyć co najwyżej Panu Bogu na swój los.

Po przybyciu do Szanghaju młody Wyer uciekł i wstąpił do miejscowego oddziału samoobrony, który stał się zaczątkiem policji Osiedla Międzynarodowego. Z początku handlował opium, potem ochraniał interesy innych, a kiedy opium zostało zakazane, sam zaczął „walczyć” z handlarzami.

Szczerze dziwię się temu, co zachodzi w mózgu owego jegomościa. Dlaczego paskudzi tam, gdzie jada? Przypuśćmy, że ma gdzieś miasto, któremu służy, planuje po przejściu na emeryturę wrócić do Londynu. Ale zostanie tutaj jego córka. Czyżby chciał, aby żyła pośród narkomanów, łapówkarzy i bandytów? A może wcale o tym nie myśli?

Żeby skompromitować kapitana Wyera, nie trzeba niczego wymyślać, wystarczy zapisać jego wypowiedzi na jakimkolwiek bankiecie i dać je do przetłumaczenia chińskim studentom.

„Imperializm przynosi pozostałym narodom zdobycze współczesnej wiedzy i nauki Chrystusa. Używamy siły w stosunku do Chińczyków, bo nie chcą dobrowolnie wyrzec się ciemnoty i brudu. Dlaczego życie Chińczyka kosztuje dwa miedziaki? Bo w istocie rzeczy jest tyle warte. Zwykły kulis niczego nie potrafi robić, trzeba go zastępować, więc jeśli zginie, wszyscy tylko odetchną z ulgą: chwała Bogu, zwolniło się miejsce!”

Nakłady studenckich gazet są niezbyt wielkie, ale każdy numer jest rozwieszany w setkach zakładów pracy i czyta go mnóstwo ludzi. Studenci opracowali wyjątkowy specyfik, który tak solidnie przykleja kartkę do deski albo muru z cegły, że niełatwo ją zerwać. Władze próbują zamalowywać więc te pisma, ale po paru godzinach pojawiają się one na następnym rogu.

Wyer wie, że Chińczycy obrażają go drukiem, ale choćby nie wiadomo jak

się złościł, nic nie wskóra. A w dodatku nienawidzą go wszyscy, włączając w to policjantów zmuszonych wykonywać jego rozkazy. Zatem nie ma nawet kto bronić jego tak zwanego dobrego imienia.

Prócz tego Wyer sam przyłożył rękę do zbudowania społeczności, w której wszystko da się załatwić za łapówkę. Jeśli zamyka się niewygodną gazetę, po tygodniu zaczyna ona wychodzić pod nowym tytułem. Studenci mają pieniądze. Część otrzymują od patriotycznie nastawionych kupców, a część daje im rząd sowiecki, który ma nadzieję tym sposobem osłabić system kolonialny.

Za dziesięć lat będę opowiadał dzieciom porażające historie: „I wtedy wraz z bolszewikami postanowiliśmy zrzucić komisarza policji Osiedla Międzynarodowego...”.

Chociaż w moim przypadku mówić o dzieciach w liczbie mnogiej to niesłychana bezczelność. Skąd się mają wziąć, jeśli zgodnie ze scenariuszem kowboj nie ma prawa nawet pocałować pięknej damy? Niestety, takie sceny są wycinane przez cenzurę i nie podlegają rekonstrukcji.

Im dłużej zajmuję się sprawą Wyera, tym ciekawsze szczegóły wychodzą na jaw.

Okazuje się, że w więzieniu Osiedla Międzynarodowego urządził gospodarstwo niewolnicze, w którym każdy osadzony ma swoje zadania: jeden plecie maty, inny szyje mundury policyjne, kolejny wykonuje nagrobki.

Szeregowi strażnicy nieźle zarabiają, dostarczając do cel opium, tabakę, jedzenie i listy, a niższe dowództwo dostaje jeszcze więcej, wydając zwolnienia z ciężkich robót i organizując więźniom widzenia z żonami czy prostytutkami. Lecz największe dochody mają firmy należące do kapitana Wyera. Właśnie do nich idą kontrakty na wykorzystanie darmowej pracy skazanych.

Opowiedziano mi, że za więzieniem jest niewielki staw, w którym osadzeni piorą obrusy z restauracji. Kiedy tam przyszedłem, okazało się, że pilnuje ich nie kto inny, jak mój dobry znajomy Feliks Rodionow.

Siedział pod drzewem i obserwował skutych łańcuchem aresztantów. Klęcząc na pozieleniałych od szlamu kładkach, okładali kijankami mokry materiał. To okropny widok – skołtunione, nieczesane włosy, spocone plecy z wystającymi żebrami, szare, spękane pięty.

Feliks ucieszył się na mój widok, jakby przyszedł do niego bliski krewny. Okazało się, że Wyer jeszcze zimą wysłał go do Hongkongu na wymianę doświadczeń z tamtejszą policją, a kiedy Rodionow wrócił, przenieśli go do służby więziennej. Biały chłopak nie oczekiwał takiej „nagrody”, ale przecież nie mógł się wyklócać z Wyerem. Przy obecnym bezrobociu ludzie trzęsą się o każdą pracę, jakakolwiek by ona była.

Wyjaśniłem Feliksowi, że chcę napisać artykuł o więziennych porządkach i potrzebuję jakiegoś dobrego przykładu z życia osadzonych.

Opowiedział mi o białogwardzistach aresztowanych za napad na pracownię artysty, który zgodził się namalować herb sowiecki na budynku dawnego konsulatu rosyjskiego. Chiny nie chcą wchodzić w konflikt z bolszewikami i próbują ich ugłaskać, przekazując im cały majątek Imperium Rosyjskiego. To do głębi duszy porusza naszych emigrantów. Nie mogą nic z tym zrobić, dlatego wyładowują złość na „rzodkiewkach”, czyli białych gotowych przybrać się w czerwień dla pieniędzy albo innych korzyści.

Niestety, nie można o tym pisać w gazetach. Wprawdzie Rosjanie to trzecia liczebnie – po Chińczykach i Japończykach – nacja w Szanghaju, ale bariera kulturowa i językowa oddziela nas od innych nie mniej skutecznie niż wysoki ostrokół. Wszystkich interesują tylko ich własne sprawy, a sąsiedzi przyciągają

uwagę jedynie wtedy, gdy się bardzo wzbogacą albo popełnią straszną zbrodnię.

Postanowiłem umieścić w studenckiej gazecie historię chińskiego snycerza, który potrafi robić kaczki-przynęty prawie nieodróżnialne od prawdziwych zwierząt. Już od dwóch lat toczy się przeciwko niemu śledztwo. Nie ma krewnych, którzy by mu pomogli, a sam jest niegramotny i nie może napisać o łaskę. Kiedy jego celę odwiedza komisja z Rady Miejskiej, próbuje zwrócić na siebie uwagę gestami, ale tłumacz więzienny nie tłumaczy jego słów, co rzuca cień na komendanturę. Kapitan Wyer lubi polowania na kaczki i nie zamierza rozstawać się z rzemieślnikiem. Rozkazał, żeby go nie krzywdzono, ale też nie wypuszczano.

Feliks przysłał mi karteczkę: „Przyjdź natychmiast”. Pomyślałem, że ma dla mnie coś nowego, więc zostawiłem wszystkie sprawy i poleciałem nad staw. Ale to, co usłyszałem, przeszło moje najśmielsze oczekiwania.

– Dzisiaj starszy nadzorca przyszedł na służbę pijany i wychłapał, że Jirzi Labuda został uduszony z rozkazu Wyera. Widocznie składał nie takie zeznania, jak trzeba, więc wyprawili go na tamten świat.

Feliks sam nie mógł uwierzyć w tę informację.

– Wychodzi na to, że Wyer specjalnie wysłał mnie z Szanghaju, żebym nie zadawał pytań o aresztowanego.

Przypomnieliśmy sobie znane nam szczegóły i spróbowaliśmy połączyć wszystko w całość. Najpierw Wyer postanowił podnieść do rangi skandalu sprawę konsulatu czechosłowackiego i kazał mi stworzyć materiał o Ninie i Jirzim. Ale potem uznał, że wygodniej będzie wyciszyć tę historię, a w tym celu, by zrealizować nowy plan, potrzebował usunąć Czecha, zupełnie jakby go nigdy nie było.

Długo nie mogłem pojąć, dlaczego kapitan pozostawił Ninę w areszcie domowym, na pewno nie z litości. Najpewniej nie chciał przyciągać uwagi do fałszywej placówki dyplomatycznej. Nina była znana, więc gdyby trafiła do więzienia, na dodatek z dzieckiem, reporterzy zawsze łasi na takie dramaty zaczęliby grzebać w sprawie i coś by znaleźli.

Wyer zgodził się nawet wypuścić Ninę, jeśli ta wyjedzie z miasta, ale odmówiła i wówczas postanowił urządzić „nieszczęśliwy wypadek”, żeby pozbyć się Katii.

Sprawa Jirziego Labudy została pogrzebana. Dziecka, które rzucało cień na Daniela Bernarda, już nie było, więc Wyer po prostu zapomniał o istnieniu Niny. Uważał, że szkoda na nią czasu.

Nie mogliśmy dojść z Feliksem, czym właściwie Jirzi tak bardzo przestraszył komisarza policji. Wszystko wskazywało na to, że chodziło o zeznania związane z handlem bronią. Postanowiłem spytać Niny, czy nie domyśla się, kto dostarczał Labudzie karabiny.

Kiedy zadałem pytanie, Nina zbladła.

– Nas to nie dotyczy! Proszę cię, na rany Chrystusa, zostaw to! Wyer jeszcze ciebie zniszczy!

Możliwe, że z kobiecego punktu widzenia Nina ma rację. Powinniśmy brać życie takim, jakim jest, i nie walczyć z posiadającymi władzę. Ale ja tak nie umiem. Nie zgadzam się na to, że nie mamy żadnych praw i powinniśmy tylko się

wycierać, kiedy nam plują w twarz.

Wyer zabił Katię. Jeśli władze odmawiają mi sprawiedliwości, dobiję się jej siłą.

Dwa dni później Nina oświadczyła, że musimy porozmawiać o Jirzim. A jednak, podobnie jak ja, niczego nie zapomniała i nie wybaczyła.

– Mam znajomego przemytnika nazwiskiem Fernando Jose Burbano. Wiem, że handlował bronią, mógł mieć jakieś wspólne sprawy z Jirzim.

Powiedzieć, że się zdziwiłem, to jakby nic nie powiedzieć. A przecież pamiętam don Fernanda z dawnych czasów. Piętnaście lat temu zdarzało nam się siedzieć przy jednym karcianym stoliku i całkiem miło spędzaliśmy czas.

– Nie rób nic bez porozumienia ze mną – poprosiła Nina, kiedy jej o tym powiedziałem. A potem nagle dodała: – Nie myślałam, że Katia była ci droga.

I ja, i Nina, podobnie jak wszyscy niezbyt szczęśliwi małżonkowie, nie zauważamy rzeczy oczywistych, a zamiast tego przypisujemy sobie intencje, których absolutnie nie mamy.

Założyłem nową teczkę i zacząłem kompletować dossier don Fernanda.

Urodził się w Meksyku, ale jego matka wydała się za Chińczyka, pracującego przy budowie kolei, po czym wyjechali wraz z synkiem do Szanghaju. Tu wyszło na jaw, że jej ślubny ma drugą żonę i całą czeredkę dzieciątek, więc seniora Burbano mogła liczyć co najwyżej na status nałożnicy.

Dobra katoliczka nie mogła tego ścierpieć. Porzuciła zatem kochliwego małżonka i zatrudniła się jako pomywaczka w klasztornej jadłodajni, gdzie pracowała za przywilej spania w spiżarni pod schodami. Wszystkie nadzieje wiązała z synem, każdego dnia modliła się o niego do Maryi Dziewicy.

Fernando zaczął karierę od drobnych kradzieży, ale potem zajął się przemytem broni i znacznie się wzbogacił. Interesy idą mu znakomicie. Chińscy gubernatorzy bezustannie walczą ze sobą, a szmuglerzy wszelkiej maści pasą się na dostawach dla obu stron.

Jutro odwiedzę Burbana i spróbuję wyjaśnić, jaki jest związek między nim, Jirzim i kapitanem Wyerem.

Rozdział 14

Sztuka erotyczna

Nad rzeką woniejącą szlamem i olejem silnikowym świeciło oślepiające słońce, a stojące przy doku jednostki handlowe prawie rozplywały się od gorąca. Skrzypiały liny, przekrzykiwały się mewy, gdzieś w oddali stukwały młotki nitowaczy, kładących poszycie statku.

Klim przyplął do doku na sampanie i kazał się odstawić do nisko osadzonego parowca ze złotym napisem na burcie: „Święta Maria”.

– Widzisz ten sztormtrap z boku? – powiedział Klim do przewoźnika, wskazując drabinkę linową z drewnianymi szczeblami. – Spróbuję po nim wejść, a ty czekaj na mnie.

Przewoźnik skinął głową. Gdy tylko Klim wszedł na najniższy szczebel, ponad nim szczęknął kurek.

– Ty kto? – spytał cicho jednooki Chińczyk, celując do intruza z rewolweru.

Przewoźnik tylko jęknął i zaczął odpływać, a Klim zawisł nad wodą.

– Nazywam się Rogow, jestem starym przyjacielem don Fernanda – przedstawił się pospiesznie.

Jednooki krzyknął coś przez ramię w dziwnym dialekcie. Zadudniły kroki i po kilku chwilach Klimowi pozwolono wejść.

Pokład zawalony był skrzyniami i pakami. Malutkie ptaszki skakały po nich i coś wybierały z włochatych sznurów.

– Właściciel czeka na ciebie – oznajmił Jednooki, wskazując Klimowi przejście między skrzyniami.

Fernando w kapeluszu, nieświeżym podkoszulku i podwiniętych do kolan portkach siedział pod daszkiem, jedząc arbuza. Obok w pełnych szacunku pozach stali chińscy boye.

– O, kogo ja widzę! – zawołał gospodarz, wyrzucił skórę za burtę i chwycił Klimę w objęcia. – Gdzie cię nosiło przez ten cały czas?

– *En Argentina y Rusia* – odparł Klim z uśmiechem.

– Ach, po naszymu się odezwałeś! – wykrzyknął Burbano, przechodząc na hiszpański. – Opowiadaj, opowiadaj! Kawy chcesz? Mam nie taką zwykłą, ale rozpuszczalną, wyprodukowaną wedle nowoczesnej technologii wojskowej.

Don Fernando słuchał o przygodach gościa i rechotał radośnie. A w pewnej chwili zapytał:

– Słuchaj, dałbyś radę przełożyć na angielski dokumentację techniczną? Widziałeś, ile mam dobra? – Wskazał skrzynię. – Jutro muszę płynąć do Kantonu, a połowę papierów mam po rosyjsku.

Klim wzruszył ramionami.

– Spróbujmy.

Zajrzał do przyniesionej przez boya teczki, zaczął czytać pomięte kartki, zapisane ołówkiem. To był wykaz sprzętu wojskowego – granaty, pociski artyleryjskie, maski przeciwgazowe, łącznice polowe i tak dalej. Listy sporządzone jeszcze według zasad starej ortografii.

– Skąd to masz? – spytał.

– Kupiłem od waszych kozaków. Przy forcie Woosung stoi białogwardyjski parowiec Mongugaj. Przybył już po wszystkich innych i władze chińskie zabroniły kozakom lądować w mieście. Nie mogli odpłynąć, bo maszyny im zupełnie padły, nie mają czego jeść, więc rozprzedają swój arsenał.

– A ty chcesz to odsprzedać w Kantonie?

– Tam dojrzewa sobie piękny konflikt, więc popyt na broń jest ogromny. Sun Jat-sen umordował kantońskich kupców podatkami na cele wojenne, więc Izba Handlowa zorganizowała własne wojsko, żeby się przed nim bronić.

Don Fernando kazał podać Klimowi pióro, kałamarz i kartkę.

– Siadaj pod daszkiem i pisz! Przedtem tłumaczył mi wszystko jeden Czech, który świetnie znał rosyjski. Chciał wrócić do domu, do Pragi, a pieniędzy nie miał, więc zgodził się pomagać mi za udział w transakcjach. Ale go, niestety, wyprawili na tamten świat.

Klim nie zdołał ukryć uśmiechu. Sprawa rozwijała się o wiele szybciej, niż sądził.

– Kozacy siedzą na statku prawie cały rok – paplał don Fernando, zapalając cygaro. – Chiński gubernator zażądał, żeby mu oddali za darmo broń, a tam jest tego za dobre sto tysięcy dolarów, jeśli nie więcej. Rosjanie, rzecz jasna, odmówili, więc teraz marynarka wojenna trzyma Mongugaj pod lufami i czeka, aż tamci wzdychają z głodu.

– A co mówią w zagranicznych koncesjach?

– Nic. Biały Szanghaj udaje, że nic nie wie.

Głupcy! – rozeźlił się Klim. – Chciwość całkiem im rozum odebrała! Nie dość, że niepotrzebnie męczą ludzi, to jeszcze broń, którą mogli przejąć za bezcen, dostanie się Sun Jat-senowi.

Tłumaczył dokumenty prawie do wieczora.

– Ach, całkiem zapomniałem o avro! – Nagle Burbano stuknęła się w czoło. – Kozacy zaproponowali mi dwumiejscowy aeroplan, zupełnie nowy, jeszcze w fabrycznym opakowaniu. Ale jest za duży i nie wziąłem go na Świętą Marię. Trzeba by znaleźć na niego kupca. Jednooki, przynieś papiery od Rosjan!

Klim nie rozumiał ani słowa z dokumentacji samolotu.

– Musiałbym mieć słownik techniczny – powiedział. – Mam taki w domu,

więc jutro mógłbym przynieść tłumaczenie.

– Niech będzie! – zgodził się Fernando. – Ile chcesz za pracę?

Klim schował opis do portfela.

– Chciałbym przeprowadzić z tobą wywiad dla jednej gazety.

Don Fernando wymienił spojrzenia z Jednookim.

– Oho, prasa już o nas pisze! Dobrze, jutro dostaniesz i wywiad, i honorarium, i zyskasz moją wdzięczność. Tylko się nie spóźnij, odpływamy o dziesiątej rano.

Tony Allman zadzwonił do Niny i powiadomił ją, że udało mu się odzyskać skonfiskowane pieniądze.

– Proszę przyjść je odebrać.

Po półgodzinie szofer przywiózł Ninę na Pekin Road. Przy podjeździe i na schodach prowadzących do kancelarii adwokackiej stała długa kolejka młodych Chińczyków.

– Co to za ludzie? – spytała Nina, wchodząc do gabinetu Allmana.

Machnął tylko ręką.

– Aktorzy.

Wyjaśnił, że wytwórnia filmowa Metro-Goldwyn-Mayer zwróciła się do jego kancelarii z prośbą o zdobycie dwóch bawołów do filmu w chińskich dekoracjach. Ale okazało się, że bawołów nie można wywozić z Chin, dlatego zdjęcia przeniesiono do Szanghaju. Przyplłynął reżyser i zażądał znalezienia tubylców do głównych ról.

Allman długo się sprzeciwiał: „Nie jestem agencją aktorską!” i ustąpił dopiero, kiedy obiecano mu prawa do dystrybucji filmu w Chinach. Poza Ameryką to Szanghaj był największym rynkiem zbytu dla kinematografii.

– Nie mam sił do tych aktorów! – skarżył się Tony, odliczając pieniądze dla Niny. – Daliśmy ogłoszenia w chińskich gazetach: „Wyłącznie całkiem zdrowe osoby w wieku lat dwudziestu, o miłej powierzchowności, świetnie mówiące po angielsku”. I jak pani myśli, kto się zgłasza? Przychodzą starzy, pryszczaci, z obandażowanymi nogami, a po angielsku słowa nie rozumieją. Na co oni liczą?

Zadzwonił telefon.

– Halo! To nie moja sprawa, że nie potrzebujecie już bawołów! Zostały kupione i są teraz w moim ogrodzie. Wyżerają moją trawę i niszczą moje rośliny, proszę je zabrać!

Nina pomachała mu ręką i wyszła z gabinetu. Była bardzo zadowolona, że miała wreszcie jakieś własne pieniądze. Duma nie pozwalała jej brać od Klima nawet centa na swoje potrzeby i stęskniła się za możliwością kupowania i w ogóle robienia tego, co się chce, a nie tego, co należy.

Przy wjeździe zauważyła wózek z drobnym towarem: papierosami, gazetami i kalendarzami z rozmarzonymi panienkami. Sprzedawczyni była Rosjanką, bo kto inny białej rasy handlowałby na ulicy w taki upał?

Nina kupiła żurnal i od razu zaczęła go czytać. Aha, nastała moda na kloszowe kapelusze w kształcie dzwonka, talia w sukienkach wciąż obniżona, ale spódnice zrobiły się krótsze.

– Nie chce pani kalendarza? – spytała kobieta, machając sobie przed poczerwieniałą twarzą otwartą dłonią. – Biali panowie chętnie je biorą.

Nina spojrzała na nią.

– A Chińczycy?

– Oni tego nie rozumieją, im białe dziewczęta nie wydają się piękne.

Do podjazdu zbliżyła się riksza, wysiadła z niej młoda Chinka w malinowym kapelusiku i w eleganckiej szarej sukience, ozdobionej granatowymi koralami. Stopy miała normalne, nie zniekształcone.

Sprzedawczyni się ożywiła.

– Wie pani, kto to? Hua Bingbing, aktorka. O niej pisali nawet w angielskich gazetach! Wystąpiła tylko w jednym obrazie i od razu stała się sławna.

– Jaki to film? – spytała Nina.

– O dziewczynie, która na przekór ojcu uciekła do Szanghaju ze studentem. U Chińczyków to nie do pomyślenia, u nich małżeństwa zawiera się według umowy między rodzicami.

Nina się zamyśliła.

– Niech mi pani da po jednym z tych kalendarzy. I proszę zaznaczyć, które sprzedają się najlepiej, a które w ogóle nie idą.

Po powrocie do domu Nina rozłożyła kalendarze na podłodze w pokoju gościnnym i długo nad nimi stała, wpatrując się w twarze o różowych policzkach.

A co, gdyby obrazki Europejek zamienić na Chinki w stylu tej Bingbing? Na ulicach Szanghaju pojawiało się coraz więcej dziewcząt z krótkimi włosami i w modnych sukienkach. Jeśli ludziom podoba się współczesny styl, popyt na kalendarze z takimi panienkami powinien być spory.

Nina spróbowała policzyć, ile by potrzebowała na wydanie kalendarzy. Trzeba będzie znaleźć modeli i artystów, wynająć pracownię, zapłacić za druk, magazyny, dystrybucję. Suma wychodziła niemała, większa niż aktywa Niny.

W banku kredytu nie dostanie, nie chciała zaciągać długu u Tamary... Ale mogłaby spróbować u Hou Yaminga.

Przez całą drogę do domu Klim łamał sobie głowę nad tym, jak pomóc kozakom z Mongugaja. Gdyby rzecz szła o kobiety i dzieci, można by napisać łązawy artykuł i wzywać ludzi dobrej woli do przekazywania pieniędzy na zapewnienie bytu uchodźcom. Ale komu w mieście potrzeba jeszcze kilkuset mężczyzn, zdziczałych od wojny, nieróbstwa i beznadziei?

Dawniej uchodźcy mogli się żywić w stołówce przy cerkwi, ale została zamknięta na żądanie sowieckiego konsula. Pekin podjął kontakty dyplomatyczne z ZSRR i podpisał pierwsze w swojej historii równoprawne porozumienia z krajem europejskim. Dla Chińczyków było to bardzo ważne wydarzenie, dlatego we wszystkim ulegali bolszewikom.

Przy tym traktat z Pekinem absolutnie nie przeszkadzał Moskwie pomagać buntownikowi Sun Jat-senowi ani prowadzić w wielkich miastach rewolucyjnej propagandy. A czemuż mieli się krępować, skoro w stolicy siedział rząd burżuazyjny? Burzuje to nie ludzie, zatem dane im słowo nie jest warte więcej, niż gdyby je dać psu. Do tego niebawem miała wybuchnąć rewolucja światowa, a jak wiadomo, zwycięzców się nie sądzi.

Czarny ford z żółtymi kołami dogonił Klimę prawie pod samym domem.

– Wsiadaj! – rozkazała wzburzona wyraźnie Nina, otwierając tylne drzwi. – Musimy porozmawiać.

Klim wsiadł posłusznie.

– Coś się stało?

– Na pewno uznasz, że zwariowałam, ale przecież ryzyko to świetna sprawa, prawda?

Nina złączyła palce na kolanie i spojrzała na męża spode łba.

– Właśnie wracam od Hou Yaminga. Wyjeżdża na północ do syna i proponuje mi swoją kolekcję za tysiąc dolarów.

– A po co ci ona? – zdziwił się Klim.

– Te rzeczy są co najmniej dwadzieścia razy cenniejsze! Tony zwrócił mi pieniądze i jeśli włożę je w antykwariat, a potem sprzedam go, będę miała dość środków, żeby otworzyć wydawnictwo z kalendarzami.

Nina powiedziała, że objeżdżyła już z dziesięć sklepów i magazynów poligraficznych. Dowiedziała się wszystkiego o cenach, popycie, wielkości dostaw i tak dalej. Kolumny liczb miała zapisane w „książeczce balowej”, do której wcześniej wpisywała nazwiska kawalerów, żeby nie zapomnieć, komu obiecała

fokstrota, a komu tango.

Boże drogi, jak dawno Klim nie widział Niny tak natchnionej! Niech robi, co chce – zajmuje się kalendarzami albo handluje pornografią – byle tylko nie opuszczały ją zapal i chęć przenoszenia gór!

Nina spojrzała na niego podejrzliwie.

– Czego się śmiejesz? Myślisz, że nie powinnam zajmować się interesami?

Klim ścisnął jej dłoń.

– Moim zdaniem powinnaś. Jedźmy do twojego antykwariusza.

Postanowił nie mówić na razie o spotkaniu z Burbanem, nie było sensu jej niepokoić. Niech żyje swoją nadzieją i nie wspomina przeszłości.

Klim niezbyt się orientował w sztuce azjatyckiej, ale od razu zrozumiał, że kolekcja Hou Yaminga jest sporo warta.

Kiedy oglądał albumy i figurki, Nina w napięciu śledziła wyraz jego twarzy.

– Wiem, o czym myślisz. – Uśmiechnęła się nerwowo. – Nikt nie zechce tracić pieniędzy na takie obrzydlistwo.

– Przeceniasz wielbicieli obrzydlistwa – odparł Klim. – Mam znajomą właścicielkę burdelu, do której co i raz zaglądają bogaci dżentelmeni, łasi na egzotykę. Jeśli damy jej dobre komisowe, z pewnością da radę sprzedać to dobro.

– A skąd ją znasz? – nachmurzyła się Nina. – Co, korzystałeś z jej usług?

Klim się roześmiał.

– Znam też paru handlarzy narkotyków, płatnych morderców i panie szyjące biustonosze. I wyobraź sobie, że jakoś nigdy nie korzystałem z ich usług.

Nina ni to usprawiedliwiała się w zmieszaniu, ni to dziękowała Klimowi za wsparcie.

– Żebyś wiedział, jak się boję! Zupełnie jakby kazano mi wyprowadzić statek na pełne morze, a ja nie znam się zupełnie na nawigacji.

Dała pieniądze antykwariuszowi, obiecała przysłać ciężarówkę i tragarzy, żeby przewieźli kolekcję do jej domu.

W drodze powrotnej zaczęła się znowu denerwować.

– A co, jeśli nic od nas nie kupią i zostanę bez pieniędzy, za to z trzydziestoma pudłami pornografii?

– Nie zostaniesz – zapewnił Klim. – Jutro pojedę do Marty i wszystko obgadam. Może otworzy przy burdelu muzeum i będzie brała pieniądze za oglądanie ekspozycji?

Trącił w ramię szofera.

– Proszę się zatrzymać i skoczyć do sklepu tytoniowego po papierosy.

– Po co ci one? – spytała Nina, kiedy zostali samu. – Zacząłeś palić?

– Przy szoferze krępowiałem się ciebie całować – odparł Klim i przyciągnął Ninę do siebie.

Objęła go za szyję gorącą, nieco drżącą ręką i pocałowała po chwili wahania – z początku ledwie dotykając warg, a potem już z prawdziwą namiętnością.

– Nie porzucaj mnie więcej!

– Ale ja nie zamierzałem... – zaczął Klim, jednak Nina nie dała mu mówić dalej.

– Odchodzisz ode mnie nie w dal, ale w głębinę. Kiedy jesteś fizycznie obok, ale nawet na mnie nie spojrzysz, nie wiem zupełnie, co robić, i zaczynam

wariować.

Klim przycisnął ją do piersi.

– Postaram się nie odchodzić.

Wrócił szofer, podał mu zieloną paczkę z czerwonym kołem na opakowaniu.

Klim mrugnął do Niny, wskazując nazwę papierosów.

– Lucky Strike, czyli Szczęśliwy Traf. Trzeba zachować na szczęście.

– Pojedziemy do mnie? – zaproponowała Nina.

Pokusa była wielka.

– Jeśli przyjadę, to tylko na zawsze – odparł Klim. – Żeby już nie było drogi z powrotem. Teraz udam się do domu, bo muszę zrobić mały przekład, a jutro przyjdę po pracy i powiesz mi, co postanowiłaś.

– Dla mnie wszystko jest już jasne!

– Rozważ to jeszcze raz. Jeśli się rozmyślisz, uznamy, że nie jesteśmy razem, ale po prostu nam teraz po drodze. To też dobry powód, żeby przebywać obok siebie.

Klim dotarł do Domu Nadziei, mając w głowie chaos. Zmiany zachodziły zbyt szybko i nieoczekiwanie.

Przez te wszystkie miesiące prowadził trudne pertraktacje i wojnę pozycyjną nie tyle z Niną, co z wyimaginowaną kobietą, która tylko czekała, żeby wbić mu nóż w plecy. Zmordował się tymi walkami, zupełnie jak żołnierz, któremu zaczyna być obojętne zwycięstwo i pragnie tylko jednego – rzucić karabin w przydrożne krzaki i wrócić do domu.

Nina też wiodła w głowie nieskończone spory z mężem i analizowała każde wypowiedziane przez niego słowo, szukając jakiegoś podstępu. Zastanawiała się, czy mówiąc to czy tamto, nie miał na myśli czegoś, co mogło ją obrazić.

Dlaczego staliśmy się tacy źli i nieufni? – myślał Klim, wchodząc po schodach. – Otoczyliśmy się zwojami drutu kolczastego, nastawialiśmy min i sami wciąż na nie wpadamy.

Rozstanie z żoną przyczyniło mu tyle bólu, że nie mógł dopuścić, aby powtórzyła się historia z Władystokiem. Już lepiej zawczasu odsunąć się i udawać, że nie bardzo mu zależy.

Ze swojej strony Nina gorzko żałowała tego, co się stało, i żyła wciąż w oczekiwaniu na zasłużoną karę. Nie mieściło jej się w głowie, jak można kochać zdrajczynię, dlatego wciąż doszukiwała się w zachowaniu męża oznak nadciągającej katastrofy.

Poraniliśmy się nawzajem, głupi – myślał Klim z rozrzewnieniem. – Cóż, będziemy się teraz leczyć. Innego wyjścia nie ma.

Ada wyszła z kuchni na jego spotkanie.

– Co pan taki zadowolony? Portfel znalazł pan na ulicy? – spytała, wycierając ręce w fartuch. – Był tutaj goniec od pana Greena, kazał natychmiast zjawić się w redakcji. Pójdzie pan czy najpierw zje kolację? Udusiłam chińskiej kapusty.

Klim spojrzał na zegarek – była już prawie dziewięta. Co się stało, że naczelny zwołał zebranie tak późno?

– Niedługo wrócę – obiecał i wyszedł.

Tramwaj był wypełniony wesołą publiką wracającą z restauracji. Na zakręcie wóz lekko przyhamował i na pierś Klima upadła nietrzeźwa damulka o jaskrawo wymalowanych ustach.

– Och, przepraszam! – powiedziała, patrząc na odcisk szminki na klapie. Klim syknął. Jak teraz to odczyści?

Dotarł na miejsce już po zmroku. Okna w nowym, niedawno wyremontowanym budynku redakcji z jakiegoś powodu nie jaśniały. Czyżby zebranie już się skończyło i wszyscy poszli do domów?

Stary odźwierny wpuścił Klima do pogrążonego w półmroku westybulu.

– Ma pan coś, żeby wyczyścić tłustą plamę? – spytał Klim.

Odźwierny przyniósł mu puszkę, na której pysznił się napis:

BŁYSK

CUDOWNY ŚRODEK DO STOSOWANIA W DOMU

NIE PIĆ I TRZYMAĆ Z DAŁA OD OGNIA

„Błysk” z pewnością został wyprodukowany w sąsiedniej piwnicy z mieszaniny ryżowej wódki i wody z kanału, ale marynarce już nic nie mogło zaszkodzić.

Klim wszedł na piąte piętro. Zdziwił się, że nikogo nie ma w pokoju redakcyjnym. Może Ada skłamała o tym zebraniu, bo zaprosiła w gości Betty i postanowiła ją ukryć, a jego się pozbyć, żeby nie był zły?

Przekład dla don Fernanda nie był zrobiony, kłapa upačkana... Wspaniały początek romantycznego wieczoru! Klim, kipiąc ze złości, rzucił marynarkę na stół i zalał plamę „Błyskiem”.

Chemiczna woń uderzyła z taką siłą, że Klim zakaszłał. Wątpliwe, żeby zapach wywietrzył do jutra. Rano sekretarki przyjdą do pracy i podniosą lament.

Na korytarzu rozległy się kroki, a do pomieszczenia wpadło dwóch wielkich Chińczyków.

– Wy do kogo? – Zdziwił się Klim i urwał w pół słowa. Za osilkami zobaczył kapitana Wyera z wielkim cygarem w ustach.

– Siadaj! – rozkazał. – Musimy pogadać.

Klim rzucił się do drzwi, ale Chińczycy wykręcili mu ręce i zmusili, aby usiadł za stołem.

Kwadratowa szczęka Wyera powoli się poruszała, zupełnie jakby coś przeżuwał.

– A czym tutaj tak śmierdzi?

Otworzył okno, przez pokój przeleciał świeży powiew. Papiery na stołach zaszeleściły, a pod sufitem zakołysały się lampy na długich kablach. Cień jednej z nich przesunął się po ścianie niczym wahadło.

– Pewnie myślałeś, że studenci cię nie wydadzą? – Uśmiechnął się Wyr. – Pomyłka! Żaden Chińczyk nie będzie ryzykował życiem dla drugorzędnego białego diabła.

Wyjął z kieszeni buteleczkę.

– Jestem humanitarnym i bogobojnym człowiekiem, dlatego cię nie zabiję... W każdym razie jeszcze nie teraz. Wiesz, co w tym jest? Lekarstwo, które wyleczy cię z bezczelności, a mianowicie cztery uncje wody cholerycznej. Skoro tak ci się podoba paskudzenie, właśnie tym zajmiesz się przez najbliższe dni. Myślę, że przyswoisz lekcję. Oczywiście jeśli nie zdechniesz od sraczki.

Klim patrzył nieruchomym wzrokiem na niebieski dymek unoszący się nad cygarem.

– Można zapalić przed egzekucją? – spytał ochryple i wyjął paczkę papierosów. – Cholera, zapomniałem zapalniczki.

Wyr rzucił mu pudełko zapalek.

– Zapal, jeśli cię to uspokaja!

Klim potarł zapalkę i rzucił ją na nasączoną „Błyskiem” marynarkę. Podsycone przeciągiem płomienie buchnęły pod sufit. Chińczycy odskoczyli zaskoczeni, a Klim wypadł jak pocisk na korytarz.

– Nie dajcie mu wyjść z budynku! – wrzasnął Wyr.

Klim popędził na dół, przeskakując po kilka stopni naraz. Wpadł w pełnym rozpędzie na drzwi wejściowe, wyskoczył na zalany światłami Bund. Roztrącając przechodniów, pobiegł w stronę mostu.

– Łapać złodzieja! – usłyszał za sobą.

Obejrzał się i zobaczył biegnących Chińczyków. O mało nie wpadł pod samochód, kiedy przeciął ulicę, a już na moście zagroził mu przejście regulujący ruchem policjant w czerwonym turbanie.

Otrzymawszy uderzenie w szyję bambusową pałką, Klim upadł na ciepłą, pachnącą żelazem jezdnię. Funkcjonariusz zagwizdał i samochody się zatrzymały.

Klim wstał, a potem rzucił się ku poręczy mostu. W dole nieskończonym strumieniem płynęły kutry i sampany. Nie namyślając się, ścigany przeskoczył przez poręcz i skoczył na pierwszy lepszy pokład.

Uderzenie było tak silne, że łódka prawie się wywróciła. Siedząca na rufie Chinka patrzyła na Klima przerażona.

– Ktoś ty?! Czego chcesz?!

– Stój, bo będę strzelać! – wrzasnął ktoś z mostu.

– Uciekaj stąd albo nas zatopią! – krzyknął Klim.

Motorówka szarpnęła do przodu i po kilku sekundach wyrwała się na szeroką gładź rzeki. Rozległy się strzały.

Rozdział 15

Zapiski zbiega

Notatnik. Zyski i straty

Łódka dowiozła mnie do Świętej Marii, a don Fernando, gdy dowiedział się, że ścigają mnie ludzie Wyera, zaproponował, abym płynął z nim do Kantonu. Nie miałem wiele czasu na rozważania, zgodziłem się. Wtedy, rozpalonemu jeszcze przeżyciami i pogonią, wydało mi się, że odsunę nieszczęście od bliskich, jeśli opuszczę miasto.

Strach o moje dziewczęta przyprawia mnie o szaleństwo. Jak Nina poradzi sobie z kolekcją? Za co będą żyć z Kitty? Co się stanie z Adą? Ale najbardziej obawiam się tego, że Wyer zechce się na nich mścić.

Czy powinienem zabrać je ze sobą? Na statek z kontrabandą, który w każdej chwili ryzykuje znalezienie się pod ostrzałem?

Ale przecież i tak nie mógłbym ich ściągnąć, a Nina nie zgodzi się rzucić wszystkiego i uciec, szczególnie z małym dzieckiem na rękach.

Wyobrażam sobie, jak by na mnie popatrzyła. „Prosiłam, żebyś nie zadzierał z Wyerem! Znów wszystko zepsułeś!”

Boże, żeby tylko wiedziała, że opuściłem Szanghaj nie z własnej woli! Co za straszliwy pech! Ledwie się pogodziliśmy, a znów wszystko legło w gruzach.

Już trzeci dzień Święta Maria płynie przez Morze Wschodniochińskie, a ja z Burbanem zabijamy czas grą w karty.

Nie mam za co żyć w Kantonie, więc Fernando zaproponował mi pracę tłumacza. W prowincji Guandong znajdują się dziesiątki wojskowych specjalistów z Rosji. Fernando chciałby się z nimi zaznajomić i załatwić sobie zamówienia na dostawy dla armii Sun Jat-sena. Ale we mnie obrzydzenie budzi sama myśl o tym, żeby brać udział w przygotowaniach do wojny domowej.

Fernando nie zwraca zupełnie uwagi na moje protesty. „A gdzież się podziejesz?” – podśmiewuje się ze mnie i zaraz składa propozycję:

– Słuchaj, a może byś się wyuczył jeszcze niemieckiego? Skoro masz takie zdolności do języków, szybko ci pójdzie. Żebyś wiedział, jak potrzebuję tłumacza z niemieckiego!

Zgodnie z tym, co mówi Fernando, Niemcy biorą bardzo aktywny udział w kantońskich sprawach. W czasie Wielkiej Wojny Niemców wygnano z Chin, postanowili więc powetować sobie straty z pomocą Sun Jat-sena.

Berlin sprzedaje mu potajemnie sprzęt wojskowy: niemieckie statki zawijają do sąsiednich portów, a Fernando przemyca towar do Kantonu. Wcześniej wszystko legalizował jako pocztę dyplomatyczną, ale po śmierci Labudy taka możliwość znikła.

Przypominam sobie, że Jirzi zeznał, jakoby otrzymał karabiny maszynowe od Niemców, ale na razie nie udało mi się ustalić żadnych szczegółów. Mimo naszej umowy, Burbano ostro odmówił odpowiedzi na moje pytania.

– Jesteśmy kwita. Płacisz za przejazd? Właśnie. To siedź cicho.

Pozostaje mi tylko liczyć na wrodzoną gadatliwość Fernanda.

Noce spędzamy na górnym pokładzie, śnią mi się Nina z Kitty. Budzę się jak porażony prądem i długo patrzę w niebo, do połowy przesłonięte skrzyniami i paczkami. Gwiazd jest tyle, że wyglądają jak świetlista ulewa, która zastygła nad światem. Piękne widoki i złudzenia optyczne to wszystko, co mi pozostało.

Kiedy przepływaliśmy obok wyspy Formoza, dopadł nas tajfun. Zapadaliśmy się w kipiącą otchłań, gradzie trzeszczały, a nad zielonkawymi falami tańczył tuman złożony z drobnych bryzgów, wyglądając zupełnie jak tłum morskich demonów.

Sam nie wiem, jak zdołaliśmy dotrzeć do Hongkongu. Statek płynął na oparach paliwa. Z naszym ładunkiem nie mogliśmy dokować, stanęliśmy na redzie, czekając, aż Fernando porozumie się z odpowiednimi ludźmi w mieście.

Z nudów przyglądałem się przez lornetkę porośłym lasem skałom, niezliczonym wyspom i kolejce statków czekających na rozładunek. Upał panował taki, że powietrze przypominało gorący kisiel. Zdawało mi się, że wilgocią nasąca się nie tylko bielizna, ale też skóra i włosy.

Bardzo pragnąłem zejść na ląd, żeby wysłać Ninie telegram. Ale Fernando nie chciał o tym słyszeć. Obawiał się, że powiem coś o ładunku i celnicy wejdą na Świętą Marię. A żebym nie wynajął jakiejś łódki, kazał mi zabrać wszystkie pieniądze, także te, które wygrałem od niego w karty. Bandyta zawsze będzie bandytą.

Wreszcie wszystko zostało załatwione, ale Fernando nie spieszył się z odpływaniem. Wedle ostatnich wiadomości kantońscy kupcy ostatecznie pokłócili się z Sun Jat-senem i Fernando pomyślał, że im bardziej będzie się rozpalał konflikt, tym wyższe ceny za broń da się uzyskać.

Podnieśliśmy kotwicę, dopiero kiedy do zatoki wszedł sowiecki parowiec Łotrzyk. Bolszewicy też zaopatrują Sun Jat-sena w kontrabandę. Według listów przewozowych dostarczają fortepiany, a w pakach są kulomioty albo amunicja luzem.

Fernando uznał, że trzeba dotrzeć do Kantonu przed konkurencją, rozwinął na rufie flagę Meksyku i popłynęliśmy w górę Rzeki Perłowej.

Zawsze myślałem, że południowe Chiny to królestwo dżungli. Nic podobnego! Lasy wzdłuż brzegów zostały wycięte, a ziemia podzielona na kwadraty pól ryżowych. Nad zaroślami trzcin krążą stada ptaków. Krętorogie bawoły odprowadzają statki zdziwionymi spojrzeniami, a mali poganiacze skaczą po ich garbatych grzbietach niczym po sterczących z wody kamieniach.

Nie dopływając do Kantonu, Święta Maria zatrzymała się przy wyspie Whampoa, na której znajduje się akademia wojskowa przygotowująca oficerów dla armii Sun Jat-sena.

Po długich, głośnych pertraktacjach po kantońsku, z którego nie rozumiem ani słowa, pozwolono nam zejść na brzeg.

– Muszę się spotkać z kimś od Rosjan – powiedział Fernando. – Będziesz tłumaczył.

Stwierdziłem, że nigdzie nie pójde, zanim nie zwróci mi pieniędzy. Z ciężkim sercem odliczył mi sto dolarów w walucie Hongkongu.

– Udław się, nudziarzu! Zdaje się, że niepotrzebnie ratowałem cię przed Wyerem.

On już bywał na Whampoa, poprowadził mnie więc placami, na których odbywali zajęcia mali, smągłokórzy kadeci. Na oko mogli mieć piętnaście do siedemnastu lat i w mundurowych szortach, koszulkach z krótkimi rękawami, sandałach i czerwonych krawatach przypominali nie żołnierzy, ale nieszkodliwych skautów.

W głowie się nie mieściło, że można takie dzieci posłać do walki. Przy czym od dawna wiadomo, że podrostki to najbardziej oddani żołnierze. Dorośli i doświadczeni wojacy nie rzucają się do ataku dla idei, a smarkaczom zawsze się zdaje, że zdołają przewrócić świat do góry nogami.

Instruktorami na Whampoa są dowódcy Armii Czerwonej i byli niemieccy oficerowie. Kadeci uczą się chodzić w szyku i strzelać do słomianych tarcz, a w klasach odbywają się zajęcia z marksizmu, nacjonalizmu i pewnej siebie lekkomyślności. Czego jeszcze potrzeba, żeby zmienić młodocianych półanalfabetów w mięso armatnie?

Okazało się, że przybyliśmy na wyspę niestety bardzo w porę. Po kolejnym starciu z Izbą Handlową Sun Jat-sen przeniósł się na Whampoa i zaczął organizować kontrnatarcie. Naczelnik akademii, Czang Kaj-szek, kiedy dowiedział się, że Fernando dostarczył broń, wezwał go natychmiast, a ja czekałem w cieniu bananowca. Znalazł mnie tam młody człowiek imieniem Nazar, przysłany z Moskwy na staż w bolszewickiej anglojęzycznej gazecie „Trybuna Ludu”.

Rosjanie natychmiast rozpoznają się na obczyźnie. Nawet jeśli spędziłeś wiele lat za granicą, w twarzy i zwyczajach pozostają wyraźne oznaki „swojego człowieka”. Mechanizm tego rozpoznawania to dla mnie wielka zagadka. Pewnie właśnie tak podobne do siebie ptaki czują, kto swój, kto obcy.

Nazar ma dziewiętnaście lat, jasne włosy, różowe policzki i jest ruchliwy jak jagnię. Powiedziałem mu, że jestem korespondentem gazety „Wiadomości Codzienne Północnych Chin”, a chłopak z jakiegoś powodu uznał, że to sowiecka prasa.

– Mamy szczęście, żeśmy się tutaj znaleźli! – wykrzyknął. – Kanton to obecnie główna arena walki ze światowym kapitalizmem!

Kiedy powiedział, że mieszka nie na wyspie, ale w mieście i niedługo przyślą po niego motorówkę, postanowiłem płynąć z nim. Po pierwsze, musiałem dotrzeć do telegrafu, żeby wysłać wiadomość Ninie, a po drugie, postanowiłem uciec od apodyktycznego Fernanda.

Kanton wprowadził mnie w osłupienie. Dzielnice ńędzy nie znajdowały się na lądzie, lecz na łodziach zapełniających niezliczone kanały i zatoki. W Szanghaju widziałem ludzi mieszkających na sampanach, ale tutejsze pływające wioski to było zupełnie coś innego. Według Nazara zamieszkuje je około dwustu tysięcy ludzi. W tej samej rzece piorą i czerpią z niej wodę pitną, wrzucają do niej nieboszczyków, także zmarłych na choroby zakaźne.

Nieskończone wianki i szeregi płaskodennych łodzi z półokrągłymi trzciniowymi zadaszeniami wypełniają całą przestrzeń rzecznych zatok, chodzi się po nich jak po ulicach. Tutaj też siedzą rybacy z sieciami i wędziskami, tutaj łążą kury, przywiązane sznurkami za nogi. Małe dzieci też się tak przywiązują, żeby nie wpadały do wody, a funkcję kamizelki ratunkowej spełnia suche polano, przymocowane do pleców.

Nazar poprowadził mnie na wyspę Shamian, na której znajduje się dzielnica zagraniczna i telegraf, ale nie mogłem się tam dostać. Gdy tylko odezwałem się do żołnierzy pilnujących mostu, jeden z nich wycelował we mnie rewolwer.

– Ruski? Komunista? Zabieraj się stąd!

W związku z ostatnimi wydarzeniami na Shamian ogłoszono stan oblężenia i wszystkich, którzy mówili z rosyjskim albo niemieckim akcentem, automatycznie uznawano za wrogów.

Za późno było na szukanie innego telegrafu. Kiedy okazało się, że nie mam dokąd pójść, dobry Nazar zaprosił mnie do siebie, do hostelu dla sowieckich pracowników.

Na miejsce dotarliśmy w lektykach. Nazar długo się usprawiedliwiał, że jesteśmy zmuszeni wykorzystywać ludzi pracy, ale słońce już zaszło, a chodzenie nocą po Kantonie to ryzyko. Panuje tu tak wielka nienawiść do „białych diabłów”, że Rosjanie i Niemcy muszą nosić na rękawach opaski ze specjalnym znakiem, żeby od razu było wiadomo, kim są. W dzień można jeszcze liczyć na ich skuteczność, ale w ciemności kto to dostrzeże?

Wsiedliśmy do budek z rzeźbionymi kratkami w oknach, tragarze chwycili żerdzie i pobiegli, grzechocząc o bruk drewnianymi sandałami.

Zaułki w Kantonie są tak wąskie, że w niektórych miejscach można dosięgnąć przeciwległych ścian, wyciągając ręce na boki. Nie mogłem pozbyć się uczucia, że znajdujemy się w katakumbach, z których nie ma wyjścia.

Wreszcie dotarliśmy na cichą uliczkę, gdzie w dwupiętrowym budynku z balustradą znajdował się sowiecki hostel.

Nazar mieszkał w pokoju, w którym za całe wyposażenie służyły portret Lenina, chińskie biurczko i maty z niebieskimi porcelanowymi zagłówkami u wezłowi. Nazar powiedział, że to miejscowy odpowiednik poduszek

i znakomicie chłódzą potylicę.

Łazienka też zrobiła na mnie spore wrażenie. Stała tam gliniana kadź sięgająca mi do pasa, ale tak wąska, że można było się w niej myć tylko na stojąco.

Nazar dał mi kawałek czarnego, kleistego mydła i lizol, środek na insekty.

– Dodaj do wody nie mniej niż łyżkę stołową, inaczej załapiesz świerzb albo nawet coś gorszego.

Gdy wróciłem do pokoju, śmierdziało w nim okropnie, a zapach pochodził z tłącego się kadzidełka, skręconego na podobieństwo węża.

– To środek na komary – wyjaśnił Nazar.

Miał moskitierę, ale przed wyruszeniem na Whampoa schował ją do szafy i pokryła się czarną pleśnią. Chłopak bał się jej nawet dotknąć, bo nigdy nie wiadomo, co w niej się mogło zasiedlić.

Położyliśmy się, a Nazar zaczął opowiadać o życiu i obyczajach w sowieckiej komunie.

Mieszkają w tym młodzieńcu dwaj różni ludzie: jeden to zupełnie rozumny, gadatliwy młodzik, który ceni dobrodziejstwa cywilizacji, podział pracy i komfort. W ogóle nie konfunduje go to, że pokoje w sowieckim hostelu sprząta służba, a ubrania idą do praczek. To nie jest dla niego wyzysk.

Druga natura Nazara jest nie z tego świata. Jest pozbawiona autoironii, wierzy święcie w to, że nie powinna istnieć prywatna własność, a wyzysk człowieka przez człowieka należy dusić w zarodku.

„Drugi Nazar” rozmawia wyłącznie gazetowymi sloganami. W jego oczach każdy nędznie odziany osobnik jest „uciemiężonym człowiekiem pracy, z nadzieją patrzącym na Rosję Sowiecką”. Każdy bogacz to „protegowany światowego imperializmu”, a rosyjski emigrant z definicji „sprzedajny łajdak, bezustannie przygotowujący prowokacje przeciwko ZSRS”.

Dodałem też określenie, które pasowałoby właśnie do mnie. Z pewnością „burżuazyjny potakiwacz, trzęsący się z wściekłości, widząc, jak nieustannie rośnie prestiż Związku Radzieckiego”.

Niebawem chłopak zaczął sapać przez nos, ale ja nie mogłem zasnąć. Siedzę teraz przy oknie i w świetle ogarka uzupełniam dziennik.

Gdzieś obok biegnie linia kolejowa, co dziesięć minut przejeżdżają ze stukotem pociągi. Śpiewają cykady, rechoczą żaby, od strony kanału dochodzą syreny kutrów i trele gwizdków.

Rzeczywiście, wszystko w życiu ocenia się i poznaje przez porównanie. Kiedyś mieszkałem w lokalu, w którym nad uchem hałasowała mi tylko Ada, gdzie ubranie można było odwiesić do szafy bez obawy, że przez noc zgnije od wilgoci. Miałem dobrą pracę, codziennie widywałem się z Niną i Kitty, a przecież było we mnie tyle bezczelności, żeby ubolewać nad swoim życiem. Być może chińscy bogowie postanowili ukarać mnie za niewdzięczność.

Nie wyobrażam sobie, co będę tutaj robił i jak długo potrwa moje wygnanie.

W czasie, kiedy powstawała Moskwa, Kanton był już miastem o tysiącletniej historii. Tutaj zaczyna się morski Szlak Jedwabny, prowadzący z Chin na Środkowy Wschód. Tutaj budowano wielkie statki, zdobiono misternie kość słoniową, bursztyn i drogocenne drewno.

Kanton to miasto rzemiosł. Tutejsi mężczyźni haftują jedwabiem płótna niezwyklej piękności, a kobiety trudnią się produkcją znakomitych kantonkich kapeluszy z długimi frędzlami. Ta sztuka trafiła tutaj z Portugalczykami i niebawem stała się ważną gałęzią eksportu. A przy tym sami Chińczycy nie noszą kapeluszy.

W rejonie Xiguanu na każdej ulicy handlują czymś innym: srebrem, haftowanymi pantoflami, brokatowymi kaftanami albo grzebieniami z żółwich skorup. Piętra domów wystają nad chodnikami, chroniąc je przed słońcem, a mieszkańcy chodzą tymi cienistymi przejściami, dzierżąc w dłoniach żelazne kółka z haczykami i zawieszonymi na nich zakupami. To taki ekwiwalent koszyka na produkty.

Są lokale handlowe z witrażami w oknach i ladami z polerowanego drewna. Są sklepiki, w których pod sufitami wiszą oblepione muchami świńskie tusze. Na ziemi piętrzą się beczki z rybami, klatki z żabami, węzami, kurami i świerszczami. Nieco z boku stoją maleńkie figurki Buddy, przed którymi palą się cienkie świece i kadzidełka. Gorący wiatr pędzi po chodnikach opadłe płatki kwiatów i opalone papiery – wszystko, co pozostało po wczorajszych obrzędach na cześć bogów.

Chciałbym opowiedzieć Ninie o Kantonie, ale nie śmiem pisać do niej otwartym tekstem, bo jeśli Wyer kontroluje jej pocztę, nie powinien się niczego domyślić.

Mój telegram brzmiał tak: „Pani zamówienie nr 040789 (data moich urodzin) zostało dostarczone do magazynu i zostanie Pani przekazane po okresie kwarantanny”.

Mądra Nina odpowiedziała prawie natychmiast: „Jeśli trzeba, proszę ładunek ubezpieczyć. Najważniejsze, aby trafił do mnie nienaruszony”.

To była jednak wielka ulga upewnić się, że wszystko zrozumiała.

W Kantonie każdego dnia zdarzają się starcia między ludźmi Sun Jat-sena a kupcami, których doprowadzono do rozpaczyny niesłychanymi podatkami. Najpierw słyhać z oddali okrzyki, bębny i stukot drewnianych sandałów, a zaraz potem cała ulica zapełnia się demonstrantami. Jedni trzymają portrety Marksa i chińskich nacjonalistów, drudzy wizerunki przywódców z Izby Handlowej. Niebawem zaczyna się bijatyka, którą mieszkańcy obserwują z balkonów. Robią

zakłady, kto zwycięży, a potem rzucają sobie przegrane pieniądze – wprost nad głowami leżących rannych.

Przebiegają strażnicy i zabierają tych, którzy nie zdążyli uciec, a po kilku minutach pojawiają się chłopcy od handlarzy starzyzną i zabierają zdeptane portrety.

Postanowiłem zostać w Kantonie jeszcze parę tygodni, a pod koniec października spróbować wrócić do Szanghaju, żeby zabrać Ninę i Kitty. Jeszcze nie wiem, dokąd się udamy. Wojna światowa w sposób niespotykany podzieliła narody, a to spowodowało zaostrzenie prawa wizowego, więc w innych krajach nas nie przyjmą. Osiedliśmy w Chinach tylko dlatego, że władze w Pekinie nie mają ani sił, ani czasu, żeby zajmować się problemem imigrantów.

Mam mało pieniędzy i jestem bardzo wdzięczny Nazarowi, że umieścił mnie w swoim pokoju. Spytałem, jak mogę mu się odwdziaczyć, a on powiedział, że najlepszym prezentem jest wspólna walka w imię rewolucji.

Przyszło mi więc napisać o zamieszkach w Kantonie i zanieść artykuł do „Trybuny Ludu”. Bardzo mnie tam chwalili i dostałem nagrodę – trzeci tom zebranych dzieł Lenina.

– To znakomicie, że może pan pisać po angielsku! – powiedziała redaktorka, miła amerykańska dziewczyna zakochana w socjalizmie. – Może pisałby pan tygodniowe sprawozdania o wiecach i demonstracjach w mieście?

Gdyby zaoferowała jakieś honorarium, może bym się i zgodził, ale pracować tylko po to, żeby dostać jeszcze jedną książkę Lenina, jakoś nie mam ochoty. Jedna mi w pełni wystarczy, bo jest nieco bardziej miękka od porcelanowej cegły i służy mi za poduszkę.

Sowieccy pracownicy w Kantonie nazywają siebie „Grupą Południowochińską” i prowadzą trudne, duchowe i zamknięte życie zakonów rycerskich, z tą tylko różnicą, że państwo bolszewickie płaci im pensje i pozwala zakładać rodziny.

Z ciekawością obserwują swoich sąsiadów. Są młodzi i gorąco oddani rewolucji. Wielu przywiozło ze sobą żony. Część z tych kobiet pracuje jako stenotypistki i tłumaczki, część zajmuje się stołówką, opieką nad dziećmi i gazetką ścienną.

Na Zachodzie uważa się, że bolszewicy są wyznawcami materializmu. Ale gdzież tam! Ich życie jest uregulowane surową obrzędowością z pieśniami, kazaniami i świątecznymi rytuałami, a wszelkie kwestie rozważa się wedle cytatów ze świętych ksiąg: „starego testamentu” Karola Marksa i „nowego testamentu” Włodzimierza Lenina.

Moi sąsiedzi to dobrzy chłopcy i można się z nimi porozumieć, ale gdy tylko rzecz zaczyna dotyczyć walki, zamieniają się w srogich krzyżowców, którzy nie mają krzty litości dla niewiernych.

Jeśli średniowieczni fanatycy wszędzie wietrzyli diabła, to bolszewikom majaczy się ustawicznie „sieć spisków przeciwko ZSRS”. Rolę szatana odgrywa u nich tłusty jegomość w cylindrze i monoklu, czyli wszechobecny i szkodliwy imperializm. Ma swoje sługi, w tym emigrantów, którzy „zdradziecko przeszli do obozu wrogów postępu człowieczeństwa”. Złe siły marzą o zniewoleniu wszystkich i gdyby nie zbawiciel Lenin, świat dawno pograżyłby się w ciemnościach.

Na parterze naszego hostelu wisi szalenie interesująca mapa świata. ZSRS jest na niej zaznaczony czerwonym kolorem, a Moskwa gwiazdą, od której rozchodzą się jaskrawe promienie. Wszystkie pozostałe kraje pomalowano na czarno. Dawniej właśnie tak rysowano mapy ze świętym centrum w Jerozolimie i ziemiami pogan na peryferiach.

Zabawne, że bolszewicy nazywają „rewolucyjną świadomością” skrajny konserwatyzm i podporządkowywanie się życzeniom kierownictwa, a „reakcją” najmniejsze odstępstwo od dogmatu. Prawda została już określona i nie trzeba szukać niczego nowego – wszystko wyjaśnia „pismo święte”. Za wszelkie nieprawomyślne pomysły heretyk powinien „odpowiadać przez ludem”, to znaczy złożyć publiczną samokrytykę na zebraniu partyjnym.

W ogóle zagadnienie winy i odkupienia wydaje się kluczową sprawą w życiu hostelowej społeczności. Moi sąsiedzi kierują „szkwał proletariackiej krytyki”

jeden przeciwko drugiemu, a potem siedzą sobie razem w kuchni i piją herbatę, zupełnie jakby nic się nie stało. Są w tym jakieś ślady biczowania: ty uderzysz mnie, ja ciebie, ból odkupi nasze grzechy i zbawimy się nawzajem.

Dziwny paradoks – celem komunizmu jest świetlana przyszłość, ale w chwili obecnej nikt nie ma prawa do szczęścia. Dobry człowiek ma obowiązek nie cieszyć się życiem, ale cierpieć za lud – i tym właśnie zajmują się moi sąsiedzi. Wyjeżdżają na koniec świata, żeby narażać się na niebezpieczeństwa, cierpieć piekielny żar i komary oraz regularnie chorować na przypadłości skóry i żołądka. Jest im trudno i strasznie, czują się odcięci od reszty świata, właśnie tak jak pierwsi misjonarze, którzy przyjechali do Chin stulecia wcześniej. Przy tym są absolutnie przekonani do swojej racji.

Nie dowierzam, szczerze mówiąc, czy naprawdę mają nadzieję na dokonanie przewrotu w kraju, którego nie znają i nie rozumieją. Nikt z nich nie mówi po kantońsku, nie mają możliwości zawarcia znajomości z miejscową ludnością. Skąd mają wiedzieć, o czym marzą Chińczycy? Kto im powiedział, że ten wielomilionowy naród pragnie urządzić u siebie taką samą ohydę jak w Rosji?

Nasuwa się tylko jedna odpowiedź: żyjemy w czasach, kiedy żaden kraj na świecie nie może sobie pozwolić na izolację. Wszyscy mają interesy do wszystkich, wszyscy uważają, że są uprawnieni, aby wtykać nos w cudze sprawy. Wcześniej kula ziemską wydawała się „wioską”, w której każdy miał swoją chatę i gospodarstwo, a teraz przemieniliśmy się w mieszkańców wielorodzinnego domu. Mamy wspólny podjazd i wejście, światło i kanalizację. Oczywistym jest, że każdy lokator marzy o urządzeniu domu po swojemu i albo siłą, albo pertraktacjami przeciąga innych na swoją stronę. Nie ma sensu pytać, czy to moralnie dobre, czy złe. Taka jest cena za postęp i wygody.

W rzeczy samej żadnego „zachwyty ideami proletariackimi” w Kantonie nie będzie, wyłączając jedynie sam proletariat. Kanton to miasto pełne rzemieślników, rybaków i kupców. Zebracy całym tłumem wodzą oczami za białym człowiekiem i wypraszają jałmużnę. Tutaj portrety Marksa ozdabia się kwiatami tak samo jak wizerunki Buddy, a większa część miasta wygląda, jakby została wyjęta z szesnastego wieku.

Wyczuwam całym sobą gotowość Kantonu do przemocy, ale jeśli powstanie naprawdę się zacznie, to na tle nacjonalistycznym albo spowodują je właśnie klanowe. Bolszewicy są tutaj bogatymi wujaszkami na cudzym weselu, których zaproszono tylko dlatego, że dają cenne prezenty.

W hostelu nikt nie pyta nikogo o przeszłość i teraźniejszą pracę, dlatego że każdy wypełnia tajne zadanie po linii partyjnej, wywiadowczej, Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych, Kominternu i Zjednoczonego Państwowego Zarządu Politycznego.

Dzisiaj podszedł do mnie młody człowiek, przedstawił się jako gospodarz

budynku i zaczął ostrożnie wypytywać, kim jestem i skąd. Popatrzyłem na niego surowo i poprosiłem, aby nie zadawał zbędnych pytań.

Na moje szczęście w Grupie Południowochińskiej nie wie lewica, co czyni prawica. Można taki brak uzgodnienia łatwo wyjaśnić: wiadomości telegraficzne z ZSRS są bardzo drogie i wiele urzędów wydziela środki na dziesięć, góra piętnaście stron maszynopisu rocznie. Kurierzy z Kantonu docierają do Moskwy w ciągu trzech, czterech tygodni, więc jeśli ktoś by o mnie zapytał, to jeszcze nie uzyskał odpowiedzi.

Tak czy inaczej, muszę opuścić sowiecki hostel, bo jeszcze ktoś znajdzie mój notatnik albo zorientuje się, że „Wiadomości Codzienne” to wcale nie taka proletariacka gazeta.

Notatka sporządzona nieco później

Przyszła mi do głowy znakomita myśl. Trzeba wysłać ten dziennik Adzie, ale nie do Domu Nadziei, gdzie mogliby go przejąć ludzie Wyera, tylko na adres Bernardów. Na kopercie mogę napisać, że to katalog jakiegoś wydawnictwa.

Poproszę Adę, żeby przekazała zapiski Ninie. Myślę, że to najlepszy sposób, aby zyskała świadomość, co mi się przydarzyło.

Nazar zaproponował Klimowi napisanie materiału o pilotach mieszkających przy lotnisku na wyspie Dashatou. Ludzie Sun Jat-sena werbowali ich po całej Europie, więc w Kantonie zgromadził się prawdziwy międzynarodowy aeroklub.

– Będziecie mieli wspaniały materiał dla „Trybuny Ludu”! – namawiał chłopak. – Ci piloci są prawdziwymi bohaterami. Latają bez komunikatów meteorologicznych i orientują się w terenie po szczytach gór i według linii kolejowej, bo nie mają nawet map! Wy byście zaryzykowali start bez mapy?

Szczególnie imponował Nazarowi towarzysz Krüger, który zarządzał technicznym zabezpieczeniem lotniska.

– To Niemiec z pochodzenia, ale wychował się w Pradze, a inżynierię studiował w Ameryce. Przybył do Chin w czasie wojny światowej i bardzo mu pomogło to, że władza czeskim oraz angielskim. Podał się za Czecha i nikt się nie domyślił, kim jest naprawdę.

– A po co przyjechał tutaj? – zdziwił się Klim.

– Niemcy musieli zaopatrywać swoją armię, a połączenia z koloniami uległy zerwaniu. Zwycięstwo na wojnie nie może zależeć od byle drobnostki – powiedzmy, że nie będzie proszku do czyszczenia kotłów parowozowych i transport stanie. Krügera wysłali więc do Chin, żeby przerzucał wszelkie dobra do Niemiec i Austro-Węgier. Rosjanie i Niemcy ucierpieli bardzo podczas wojny i teraz pomagamy sobie nawzajem z tak zwanymi wielkimi mocarstwami. Krüger to niesamowity człowiek. Nie tylko postawił na nogi nasze lotnisko, ale nauczył się latać jak prawdziwy as. Kocha samoloty, a to przecież przeszłość wojen!

Klim sam miał ochotę poznać się z lotnikami Sun Jat-sena, zgodził się więc zrobić z nimi wywiad.

Do wyspy dopłynął w deszczu, a potem musiał biec przez zalaną wodą płytę lotniska do „stołówki”, jak nazywano długi stół i ławki pod trzcinowym dachem.

Zebrało się tak już z dziesięciu ogorzałych, pobrudzonych smarem pilotów.

– Czołem prasie! – krzyknęli, wymienili z gośćmi uściski dłoni, posadzili Nazara i Klima na honorowych miejscach, czyli beczkach po paliwie.

Deszcz wyglądał jak lita ściana i pod zadaszeniem zrobiło się ciemno, jakby już nastał wieczór. Przemoknięci zupełnie służący przynieśli garnuszki z ryżem, podgrzaną konserwą i warzywami. Zamiast talerzy piloci używali liści bananowca, a zamiast szklanek wojskowych żelaznych kubków.

Bułgar Konstantin porozlewał bajjiu, chińską wódkę zbożową.

– Za zwycięstwo socjalizmu! – wzniósł toast.

Wszyscy wypili i zaczęli mówić, przekrzykując się – jeden po rosyjsku,

drugi po angielsku, jeszcze ktoś po niemiecku.

Klim zapisywał w notesie historie pilotów. Pochodzili z najróżniejszych krajów, ale ich losy były dziwnie podobne. Trafili na front zaraz po szkole i nauczyli się przetrwania, śmiali się w twarz niebezpieczeństwu i cenili sobie braterstwo broni ponad wszystko na świecie. Kobiety stały się dla nich zdobyczą, dzieci ciężarem, a wszelka cywilna praca wydawała się koszmarnie nudna.

– Jaki z ciebie, cholera, mężczyzna, jeśli boisz się bójki? – pieklił się kędzierzawy Pierre, zbieg. Całą pierś miał w medalach, ale po zakończeniu Wielkiej Wojny nie udało mu się znaleźć stałej pracy. Kierownictwu nie podobało się, że zbyt często wchodzi w spory z klientami.

– O co właściwie chcecie walczyć? – spytał Klim.

– O sprawiedliwość – odezwał się Austriak Richard i zaraz zaczął opowiadać o wojskowej operacji przeciw buntownikom. – Wtedy robię zwrot i daję serię po celu! Samochód w drzazgi, cysterna wybuchła, a żołnierze wysypali się z paki! A portki im się na dupach pała!

Piloci zarechotali. Tutaj, w Kantonie, czuli się bogami wojny, latającymi na chmurach i siejącymi strach w szeregach wroga.

– Żeby zaczął się marsz dla zjednoczenia Chin! – wykrzyknął Konstantin. – Ale najpierw Sun Jat-sen musi rozgromić „papierowe tygrysy” z Izby Handlowej.

– Nie jestem pewien, czy mu się uda – odparł ostrożnie Klim. – Kupiecka gwardia zajęła rejon Xiguanu i nie wpuszcza tam sił rządowych. A tam są biura, sklepy i magazyny, więc Sun Jat-sen nie może zmusić ich do płacenia.

– To nic, uderzymy artylerią i załatwione! – zawołał pokraśniały od wódki Nazar. – Czang Kaj-szek ma górskie armaty! Co prawda pociski, które mu dostarczono z Szanghaju, do nich nie pasują, ale nasi żołnierze ręcznie skracają każdą łuskę, więc niebawem pokażemy im wszystkim, gdzie raki zimują!

– Czang Kaj-szek zamierza ostrzelać własne miasto? – upewnił się Klim.

– Nie całe miasto, tylko zdrajców z Xiguanu.

Skądś wyskoczył mokry, umazany błotem basset.

– A to nasz Mucha! – zaśmiał się Nazar, opędzając się od psa, który próbował polizać go w twarz. – Idź ty do diabła, ścierwem od ciebie jedzie!

Pod dach wszedł człowiek w przeciwdeszczowej pałatce, a Klim nie mógł uwierzyć własnym oczom. To był Daniel Bernard!

– Towarzyszu Krüger, niech pan zabierze to bydłę! – prosił ze śmiechem Nazar, ale Daniel nie odpowiedział.

– Co tutaj robi ten typ? – spytał, wskazując na Klimę. – To białogwardyjski szpieg! Znam go, zdarzało nam się spotykać w Szanghaju!

Klima obszukali i wrzucili do ciemnej wartowni, obwieszanej zawilgłymi plakatami. Dach przeciekał tu i ówdzie, a na podłodze były rozstawione puszkami konserw, do których z głuchym odgłosem kapłała woda.

Dwóch żołnierzy z mauzerami stanęło za Klimem.

– Edna kazała ci mnie śledzić? – spytał Daniel.

Klim spojrzał ponuro, jak tamten kopie w jego rzeczach, rozłożonych na stole.

– Nie miałem pojęcia, że jest pan w Kantonie.

Sprawa była nieprzyjemna. Daniel najwyraźniej nie chciał, żeby w Szanghaju dowiedziano się o jego podwójnej grze, a na to był jeden sposób – zakopać znajomka w najbliższym dole.

Klim z najwyższym trudem zachowywał spokój.

– Zostałem poproszony o napisanie dla „Trybuny Ludu” artykułu, dlatego...

Za ścianą rozległ się pijany głos Nazara:

– Spotkałem go w akademii Whampoa i pomyślałem, że to nasz, radziecki...

A-a-a! Za co?! Nie bijcie mnie!

Klim poczuł chłód. Chwała Bogu, że zdążył wysłać do Szanghaju notatnik. Gdyby go przetłumaczyli, Klim zostałby rozstrzelany jako wróg rewolucji.

Deszcz przybrał jeszcze na sile i krople zabębniły po puszkach jak oszalałe. Basset Mucha spróbował się schronić w stróżówce, ale Daniel na niego warknął.

– Wynoś się!

Wyjął z portfela Klima złożone na cztery kartki, podszedł do okna i zaczął je uważnie oglądać.

– Avro-504. – Uśmiechnął się. – A mówisz, żeś nie szpieg! Posłali cię, żebyś zobaczył, jakie mamy samoloty?

– Ta maszyna należała do białych kozaków, którzy utknęli w Szanghaju – odparł Klim. – Poprosili Fernanda Burbana, żeby znalazł na nią kupca, a ja pomagałem przy tłumaczeniu.

Daniel spojrzał ze zdziwieniem.

– To Fernando przyplłynął do Kantonu? Wreszcie coś!

Wyszedł na zewnątrz i powiedział coś do żołnierzy.

A Klimowi spadły łuski z oczu. Burbano i Jirzi znali się z Danielem i pracowali razem z nim. Nina poznała ich ze sobą, a oni zaczęli wykorzystywać fałszywy konsulat jako przykrywkę dostaw broni dla Sun Jat-sena. Kiedy Labudę aresztowali, zaczął zeznawać przeciwko Danielowi i dlatego Wyer zamknął mu usta – żeby nie rozeszło się, iż jego zięć okazał się Niemcem i pomaga

bolszewikom oraz chińskim nacjonalistom.

– Don Fernando może za mnie poręczyć – powiedział Klim, kiedy Daniel wrócił. – Znamy się od piętnastu lat, potwierdzi, że nie jestem szpiegiem.

Daniel wziął dokumentację avro.

– Zamierzam to wyjaśnić.

Kiedy poszedł, żołnierze posadzili Klima na ławce, skrępowali mu ręce za plecami i zaczęli grać w karty.

Czas płynął koszmarnie powoli, aż wreszcie Rogow stracił wszelką nadzieję na ocalenie. Nawet jeśli Fernando jeszcze nie opuścił Kantonu, na pewno nie zechce ręczyć za Klima. Przecież uciekł z pokładu! Czekąca go kula w łeb i tyle...

Woda z przepełnionych puszek rozlewała się po podłodze, ale żołnierze nie zwracali na to uwagi. Tak zapamiętane łupali kartami, jakby próbowali pozabijać pełzające po stole owady.

Ciekawe, czy Edna wie, czym zajmuje się jej mąż. Najpewniej nie wie. Tak to bywa – żyjesz z człowiekiem wiele lat i nawet nie podejrzewasz, że jest kimś innym, niż się wydaje. Nina też nacięła się na tego łajdaka... Szkoda, że nikt jej nie opowie, czym poskutkowało ta znajomość.

Wreszcie rozległo się chlupotanie kałuż i głosy.

– Sukinsyn! – wrzasnął Burbano, stając w drzwiach. – Wymokłem przez ciebie jak foka! Taki kawał drogi musiałem zrobić! Nie mam nic lepszego do roboty, jak wyciągać cię z aresztu!

Podszedł do Klima, chwycił go za ubranie na piersi i postawił.

– Ej, wy, rozwiązać go!

Tłumacz, smagły chłopaczek w lnianych wojskowych szortach, powiedział coś do strażników i ci przecięli sznur na nadgarstkach Klima.

– Dzięki – powiedział ze wzruszeniem, rozcierając zdrętwiałe dłonie.

Fernando kopnął puszkę.

– Sam cię łańcuchem skuję! Jako palacz będziesz tyrał razem z Chińczykami! Idziemy!

Na zewnątrz czekali strażnicy z parasolami.

– Teraz jedziemy do Michaiła Borodina – oznajmił don Fernando. – Przysłali go z Moskwy na głównego politycznego doradcę Sun- Jat-sena. Będziesz tłumaczem! A spróbuj tylko znów uciec, osobiście ci wszystkie żebra połamię! Zrozumiano?

– Zrozumiano. – Klim skinął głową. – Jestem twoim dłużnikiem.

– Co powiedziałaś Danielowi Bernardowi? – spytał, kiedy łódka odbiła od brzegu.

– Dałem mu słowo honoru, że nie wrócisz do Szanghaju i nie będziesz gadał

o tym, czym się tu zajmujemy – odparł Burbano. – Płyniemy do Władywostoku, mój mały! Bolszewicy chcą zrobić rewolucję w Chinach, a dla nas to możliwość zarobienia dużych pieniędzy na przerzutach i ludzkiej głupocie.

Coraz lepiej! Ale cóż, to nie był czas na kłótnie. Najważniejsze to znaleźć się jak najdalej od Bernarda.

Deszcz ucichł, między nisko idącymi chmurami pokazało się jasne niebo.

– Po jaką cholere uciekłeś? – warknął don Fernando. – Chciałem cię poznać z pożytecznymi ludźmi w sztabie Sun Jat-sena. Naprawdę nie rozumiesz, jaką szansę zmarnowałeś?

– Pięć lat spędziłem w kraju objętym wojną domową. – Klim zmarszczył brwi. – Mam takich rzeczy po czubek głowy.

– Po prostu znalazłeś się nie po tej stronie! – zaśmiał się Burbano. – Gdybyś miał rozum, przeszedłbyś do czerwonych.

Motorówka dotarła na miejsce. Klim wysiadł za Fernandem i jego ochroniarzami.

– Pójdziemy piechotą, to niedaleko – zarządził Burbano.

Skierowali się w górę po zalanej wodą ulicy. Wokół nie było żywej duszy, na sklepach wisiały kłódki, a okna zasłaniały drewniane okiennice.

Klimowi zdawało się, że na jednym z dachów dostrzegł cień. Popatrzył tam, przykładając dłoń do czoła, i prawie potknął się o trupa z poderżniętym gardłem. Obok leżały jeszcze trzy ciała... Woda ściekająca jezdnią była czerwona.

– Co za... – zaklął Fernando, pośliznąwszy się na mózgu.

– Panie, trzeba uciekać! – powiedział jeden z ochroniarzy, blednąc.

Rzucili się w wąską uliczkę, półmroczną za sprawą mnogości transparentów z reklamami i daszków rozwieszonych nad oknami. W głębi ulicy coś się poruszyło i w tej chwili poszła seria karabinowa. Echo zagrzmiało jak w studni, reklamy zaczęły spadać na dół, zaczepiając jedna o drugą.

Klim stoczył się do rynsztoka i zasłonił głowę rękami. Potoki deszczówki przelewały się przez niego, a on czuł, jak nurt porusza koszulą na jego plecach.

Z ulicy podnosił się opar, to tu, to tam rozjaśniony złocistymi słupami światła. W oddali pojawiły się ludzkie sylwetki z karabinami w rękach i sądząc po odgłosach, zaczęły dobijać kogoś bagnietami.

– A-a-a! – jęknął głośno Fernando.

Klim odwrócił głowę. Don Fernando miotał się w kałuży krwi z ręką na biodrze.

Ochroniarzy nie było.

– Burbano, milcz! Udawaj trupa! – syknął Klim, ale tamten był nieprzytomny z bólu, nic nie rozumiał. Oczy wyszły mu z orbit, na przemian płakał i oddychał spazmatycznie.

W Klimie wszystko ścisnęło się w jeden kłębek nerwów. Zabijają! Jak nic,

zabiją!

Podpełznął do Fernanda, chwycił go pod ramiona i powlókł do niszy w murze, w której stała wielka złocona figura bogini Guanyin.

Z ogromnym trudem udało mu się wcisnąć Fernanda w wąską przestrzeń między rzeźbą i ścianą. Sam nie miał się gdzie ukryć.

– Siedź tutaj i postaraj się nie jęczeć – wyszeptał.

Don Fernando nie odpowiedział. Oczy mu zgasły, na ustach pojawiła się piana.

Rozległ się plusk wody i tupot drewnianych trepów. Silne ręce wyrwały Klima na zewnątrz, z całej siły uderzył o kamienną kadzielnicę stojącą przed boginią. Czarne cienie pochyliły się nad nim, błysnął zakrwawiony bagnet... I w tej chwili rozległ się ogłuszający huk.

Ostatnie, co zobaczył Klim, to zbliżające się do niego szybko oblicze Guanyin.

Chce mnie pocałować? – pomyślał ze zdziwieniem i stracił przytomność.

Rozdział 16

Chińska aktorka

Kiedy Klim powiedział, że jest gotów się przeprowadzić, Nina wróciła do domu, nie posiadając się z radości. Wszystko będzie dobrze! Wydawanie kalendarzy przyniesie sporo pieniędzy, wystarczy nie tylko na dobre wykształcenie dla Kitty, ale też na własny dom i podróżę po świecie.

Przywieziono pudełka od Hou Yaminga i Nina zaczęła przenosić je do składziku na piętrze. Trzeba je było posortować, ale Nina tak była pochłonięta myślami o nadchodzącym szczęściu, że nie mogła się skupić na interesach.

Bóg z nimi, z pieniędzmi! Wszystko, czego potrzebowała, to żeby mogli być razem. Zwierzać się sobie, pomagać, rozśmieszać, dbać o siebie nawzajem. To najważniejsze! Zamykać drzwi sypialni i drząc z niecierpliwości, całować się. Jeszcze powinna urodzić dziecko, a najlepiej dwoje, żeby rodzina była duża i silna...

O dziewiątej rozległ się dzwonek, a po chwili do gabinetu wpadła przestraszona służąca.

– Policja do nas przyszła!

Nina zbiegła na dół, gdzie w przedpokoju czekał na nią ponury oficer i trzech sikhów.

– Szukamy Klima Rogowa.

Krew odpłynęła Ninie z serca.

– Nie ma go tutaj. A co się stało?

– Musimy z nim porozmawiać – odparł policjant i zażądał, żeby mu pokazać dom.

Nie przedstawił nakazu, a kiedy Nina zaczęła protestować, po prostu ją odepchnął.

– Proszę nie plątać się pod nogami, damulko, bo panią zabierzemy na posterunek.

Co z Klimem? Za co go chcieli aresztować? Nie miało sensu pytać, bo policjanci nie odpowiadali.

Bezczelność funkcjonariuszy sprawiła, że Nina poczuła, jakby ziemia usuwała jej się spod nóg. Ze wstydem i przerażeniem zrozumiała, że nie może się wziąć w garść. W głowie jej się kręciło, a mięśnie stężały tak, że każdy ruch wykonywała z wysiłkiem.

Jeden z sikhów zaczął wypytywać służącą, ale udawała, że nie wie, o co chodzi.

– Szukacie naszego szewca? Ale on nie nazywa się Rogow, tylko Isiro, to Japończyk. Niepotrzebnie się go czepiacie. Wprawdzie cały jest w bliznach, ale to dobry człowiek!

Po obejrzeniu parteru, policjanci weszli do pokoju dziecięcego. Kitty zapłakała, Nina wzięła ją z łóżeczka.

– Cicho... cicho, maleńka...

Gdy oficer otworzył drzwi do składziku, w którym stały pudełka od Huo Yaminga, Nina omal nie straciła przytomności. Nie daj Boże, żeby funkcjonariusze zobaczyli zawartość! Ale nie sprawdzali. Potrzebny był im tylko Klim.

– Gdyby Rogow się pojawił, proszę dać nam znać – powiedział na pożegnanie oficer.

Odjechali, a Nina jeszcze długo stała na ganku, oniemiała i bez sił. Z czarnych drzew dochodził jękliwy śpiew i ciche dzwonienie rytualnych dzwonków. Chińczycy obchodzili jedno ze swoich niezliczonych świąt.

– Niech pani wejdzie do domu, missi – powiedziała Czin. – Dzisiaj wyszło na wolność wiele głodnych duchów... Słyszysz pani głosy? To ludzie starają się je ugłaskać. Śpiewają im, palą wonności i rozsypują po ulicach ryż. Może do nas przyszli wcale nie policjanci, tylko duchy? Powiadają, że są zdolne do wszystkiego.

– Zamilcz, proszę! – zirytowała się Nina.

Po dziesięciu minutach zadzwonił telefon. Nina chwyciła słuchawkę i wstrzymała oddech, słysząc głos kapitana Wyera:

– Jeśli się dowiem, że Rogow do pani przychodził, a pani do mnie nie zadzwoniła, wsadzę panią do chińskiego więzienia, z którego wyjdzie pani bez zębów i z zaawansowanym syfilisem. Jasno się wyrażam?

Nina milczała w osłupieniu.

– Moi chłopcy będą się pani przyglądać – mówił dalej Wyrer – więc niech pani nie robi głupstw.

Nina całą noc przesiedziała u Kitty, nie mając odwagi zostawić jej samej. To zaczynała się modlić, to płakała bezgłośnie. Klim na pewno dowiedział się czegoś o komisarzu policji, a ten postanowił się z nim rozprawić.

O świcie, w północy, Ninie zdawało się, że za oknem wisi na wpół przezroczyste coś i cierpliwie czeka na okazję, żeby wlecieć do domu. Ledwie żywa ze strachu podeszła do okna i rozsunęła firanki, ale okazało się, że to u sąsiadów coś się paliło i słup dymu unosił się pod sam dach.

Kątem oka Nina zobaczyła swoje odbicie w lustrze. Nie miała w twarzy kropli krwi. Ocknęła się nieco. Dobrze, nie taki diabeł straszny, jak go malują. Trzeba się uspokoić i chociaż spróbować wyjaśnić, co się stało.

Pół godziny później Nina siedziała w kuchni u Ady.

– Klim wzwali do redakcji i już nie wrócił – powiedziała zapłakana dziewczyna. – A potem przyszli policjanci na rewizję.

– Powiedziałaś im o mnie i Kitty? – spytała Nina.

Ada popatrzyła na nią z oburzeniem.

– Oczywiście, że nie! Powiedziałam, że nie mam pojęcia, z kim się przyjaźni i gdzie chodzi po pracy. Zaczęli naciskać, ale zagroziłam, że poskarżę się na nich pani Bernard.

Nina uścisnęła Adzie rękę.

– Dziękuję! Jeśli dowiesz się czegoś o Klimie, zawiadom mnie zaraz.

W „Wiadomościach Codziennych” powiedziano jej, że nie było w dniu wczorajszym żadnego zebrania. Stary odźwierny mający dyżur poprzedniej nocy także przysięgał, że Klim nie przychodził do redakcji.

Z ciężkim sercem Nina wróciła do domu.

– Missi, węgiel nam się kończy – powiedziała Czin, wychodząc jej naprzeciw. – I ludzie od strzyżenia trawnika pytają, kiedy się pani z nimi rozliczy.

– Później – odpowiedziała Nina bezbarwnym głosem.

Poszła na górę, do składziku z pudełkami. Jak się teraz tego pozbyć? Zaproponować pierwszemu lepszemu burdelowi? Ale przecież na pewną ją oszukają albo jeszcze gorzej, doniosą na policję.

Koniec... Doиграли się. Nawet jeśli Klim zdoła umknąć Wyerowi, nie może do niej już wrócić.

Każdego dnia Nina z biciem serca przeglądała pocztę w nadziei na wiadomość od Klima. Ale jednocześnie obawiała się, że policjanci mogą przysłać jej podrobiony list, żeby przekonać się, czy doniesie, czy nie.

Zmęczyła się wreszcie tym niepokojem i niepewnością. Wciąż prowadziła wyimaginowane rozmowy z mężem, spory z Wyerem i układała przemowy przed sądem, do którego zawłoka ją, jeśli nie za pornografię, to za cokolwiek innego. Sytuacja nie ulegała zmianie, tylko inkasenci coraz częściej pojawiali się przed drzwiami.

Służąca postanowiła z nią porozmawiać.

– Kiedy umarł mój mąż, poszłam do mnichów i powiedziałem, że bardzo tęsknię. Odpowiedzieli mi, że jestem głupią kobietą i próbuję zmienić to, czego się zmienić nie da. Jeśli mucha chce cukru, a okno do kuchni jest zamknięte, nie powinna bić o szybę. Trzeba poszukać jedzenia gdzie indziej, może nie tak słodkiego, ale sytego.

Nina wzdrygnęła się na dźwięk słów „kiedy umarł mój mąż”. Sama przecież nieraz zastanawiała się, czy Klima nie zabito. Ale tak czy inaczej, Chinka zmusiła ją do zastanowienia się. Z samotnością i troską o męża rzeczywiście nic nie była w stanie zrobić, ale mogła zarobić i ustrzec się lęku przed nędzą.

Przeglądając gazetę, zobaczyła artykuł o jezuitach, którzy zbierali datki na szkołę artystyczną dla sierot. W murach klasztornych wyrosło niemało świetnych artystów, których prace były poszukiwane nie tylko w Chinach, lecz także w Europie.

Ninie przyszła do głowy szalona myśl – a gdyby zaproponować jezuitom kolekcję Hou Yaminga? Skoro zajmują się sztuką, powinni mieć kontakty z kolekcjonerami. Oczywiście mnisi mogli wydać Ninę policji, ale wiedziała, że święci ojcowie nie są zanadto pruderyjni, jeśli sprawa dotyczy zysku. Zajmowali się wszystkim – od reklam teatralnych po produkcję kiełbas. Automaty do gry w szanghajskich barach należały do Zgromadzenia Świętego Franciszka Salezego. Pod protekcją augustianów produkowano podrabiane perfumy, a w innych misjach „przerabiano” sumy przysyłane przez Mussoliniego na propagowanie języka włoskiego i katolicyzmu – te lokowano w nieruchomości.

Nina przeczytała wszystko co mogła o klasztorze Jezuitów położonym w rejonie Zikawei na granicy koncesji francuskiej. Został założony około sześćdziesięciu lat wcześniej i przez ten czas stał się miastem w mieście. Było tutaj kilka college’ów, obserwatoria, muzea, biblioteka, internaty, szpitale i świątynie. Szczególny powód do dumy dla jezuitów stanowiły słynne przytulki dla dzieci,

gdzie przynoszono nawet do czterystu podrzutków. Śmiertelność wśród nich panowała zatrważająca, ale te dzieci, które przeżyły, otrzymywały wykształcenie i zawód. Chłopcy zajmowali się ciesielką i pracowali w gospodarstwie pomocniczym, a dziewczynki szyły, haftowały albo uczyły się przejętej od Europejczyków produkcji koronek. Życie wiedli surowe, sieroce, ale przynajmniej było to życie, a nie śmierć. A szczególnie uzdolnione dzieci uczyły się w pracowniach artystycznych, najlepszych w całych Chinach.

Nina pojechała tam, niczym namolna syrenka w gości do morskiej wiedźmy: Niech stracę głos, niech mój pomysł wyda się głupi, ale chcę wreszcie stanąć na nogach!

Zostawiła auto w cieniu platanów, weszła po rozpalonych stopniach i zastukała do drzwi głównego budynku klasztornego. Nowicjusz zaprowadził ją do gabinetu ojca Nicolasa, eleganckiego siwowłosego zakonnika w ciemnym habicie.

– Proszę się czuć jak u siebie w domu – powiedział po francusku.

Nina czuła się, jakby to był pokój dyrektora gimnazjum. Wokół stały szafy z książkami i zakurzonymi wypchanymi zwierzętami, po kątach były powciskane zwinięte w rulony mapy.

Nina jeszcze w domu postanowiła, że będzie się zachowywała jak beznamiętny znawca sztuki, ale kiedy przedstawiła ojcu Nicolasowi swoją propozycję, tak się zawstydziała, że nie umiała mu spojrzeć w oczy.

– Musiałbym obejrzeć te przedmioty – powiedział jezuita, a Nina położyła na biurku rzeźbiony kieł mamuta.

Duchowny długo oglądał go przez lupę.

– Ma pani pełny opis kolekcji?

– Proszę.

Czytał bez pośpiechu, a Nina czekała z lękiem, kiedy jezuita dojdzie do słów „Męski narząd płciowy, ametyst, kolor bżowy”. Boże, wtedy zacznie się awantura, na krzyk zbiegną się bracia, a ona trafi do więzienia.

Była gotowa rzucić już to wszystko i uciec na koniec świata.

– Powinienem naradzić się z braćmi – powiedział ojciec Nicolas, odrywając się od papierów. – To nie jest prosta sprawa, ale jeśli inne rzeczy są równie cenne jak ten kieł, dogadamy się.

Nina nie pamiętała, jak znalazła się na ulicy i wsiadła do samochodu. Czyżby się udało? Jednocześnie chciało jej się śmiać i płakać, tak wielką poczuła ulgę. Kto powiedział, że nic jej się nie uda? Najważniejsze to odważyć się, aby zrobić pierwszy krok, a potem jakoś się ułożyć.

Przez dwa tygodnie Nina żyła jak w odurzającym oparze – co postanowią jezuici?

Nawet jeśli dadzą ci pieniądze, to je po prostu przejesz – szeptał głos wewnętrzny. – Wiesz, że nie osiągniesz sukcesu. Kup lepiej maszynę do szycia, żeby robić prześcieradła. Właśnie taki los ci zapisany, jak rodzicom.

Wreszcie zadzwonili z Zikawei.

– Chcielibyśmy wziąć pani kolekcję – powiedział ojciec Nicolas. – Niestety nie mamy gotówki, żeby się rozliczyć, ale może pani wziąć jakikolwiek towar z klasztornych magazynów. Na przykład koronkowe parasolki albo kołnierzyki. Jest pani przedsiębiorcza, sprzeda je pani bez trudu.

Jezuici się domyślili, że położenie Niny jest rozpaczliwe, postanowili więc zbyć ją byle czym. Ale była gotowa wziąć cokolwiek, czym mogłaby handlować legalnie.

Pojechała do klasztoru, a ojciec Nicolas oprowadził ją po magazynach.

– Niech pani weźmie wyobrażenia Jezusa i Świętej Dziewicy – proponował, wskazując sterty plakatów, pachnących farbą drukarską. – Teraz wszyscy modlą się o pokój, więc taki towar nie będzie zalegał.

Ninę zdumiała jakość plakatów. Były doskonale zaprojektowane i wydrukowane na świetnym papierze.

– To prace naszych uczniów – wyjaśnił ojciec. – A drukujemy je tutaj, w Zikawei. Niedawno zakupiliśmy najnowocześniejszy sprzęt.

Nina poprosiła, żeby zaprowadził ją do pracowni artystycznych. Tam, w niewielkich jasnych pomieszczeniach pracowały dziesiątki młodych Chińczyków. Tylko część zajmowała się malowaniem świętych, pozostali robili szyldy, pocztówki i afisze kinowe.

Do pracowni wszedł niewysoki krzywonogi Chińczyk i stanął przy sztalugach. Nina spojrzała na jego pracę: na płótnie jak żywy pysznił się wąsaty generał.

– Jak ma na imię ten artysta? – spytała ojca Nicolasa.

– To Shao. Pożyczył u nas sporą sumę i nie mógł oddać, więc podsuwamy mu zamówienia, żeby mógł odrobić dług.

Po powrocie do gabinetu Nina oznajmiła, że zgadza się „ofiarować” kolekcję klasztorowi, jeśli dostanie pięćset dolarów gotówką, pozwolą jej wziąć Shao i jeszcze czterech artystów, a także dadzą kredyt na druk. Postanowiła jednak rozpocząć produkcję kalendarzy.

Papiery zostały podpisane, a chłopcy przysłani przez ojca Nicolasa wynieśli

z domu pudełka Hou Yaminga.

Nina zadzwoniła do Allmana i spytała, czy nie zna chińskich aktorek, które zgodziłyby się pozować do kalendarzy.

– Niech pani się zwróci do Hua Bingbing – poradził Tony. – To moja dawna klientka, bardzo dobra i mądra dziewczyna z dobrej rodziny.

Opowiedział, że ojciec Bingbing był postępowym człowiekiem i zabronił bandażować jej nogi, a gdy podrosła, wysłał ją do katolickiej szkoły, aby uczyła się obcych języków i matematyki. Jednak po śmierci ojca brat zabrał dziewczynę i wydał za mąż za dyrektora kopalń daleko na północy. Uważał, że wykształcenie jest kobietom niepotrzebne.

Małżonek był starszy od Bingbing o trzydzieści lat, miał już dwie żony, które znienawidziły ją za „wielkie łapy” i za rozpaczliwą tęsknotę do szkoły oraz przyjaciół. Nie ceniła tego, co stanowiło sens ich życia, czyli miłości ich pana. Za każdym razem płakała, kiedy dawał jej szczęście, pozostając w należących do niej pokojach.

Po miesiącu uciekła z powrotem do Szanghaju. Brat odmówił jej gościny, matka krzyczała, że na wieki zhańbiła rodzinę, a mąż przysyłał telegramy z pogrozkami: „Jeśli nie wrócisz, pożałujesz, że przyszedłeś na świat”.

Dyrektor wytwórni filmowej Biała Gwiazda zobaczył Bingbing na ulicy i zaproponował jej rolę w nowym filmie. Długo się wahała, czy gra ku uciesze publiczności nie będzie zupełnym upadkiem, ale tak bardzo potrzebowała pieniędzy, że wreszcie się zgodziła.

Sukces filmu okazał się dla dziewczyny nieszczęściem. Brat podał ją do sądu, jako że zbrukała honor rodziny i skałała pamięć przodków. Gdyby Allman jej nie wybronił, zostałaby przekazana członkom rodziny do ukarania.

– Kobiety w Chinach mają tak niski status społeczny, że krewni mogą je zabić za naruszenie tradycji – wyjaśnił Tony. – Doszliśmy do porozumienia. Bingbing zmieniła prawdziwe nazwisko na Hua i przysięgła, że nigdy nie będzie wspominać o swoich związkach rodzinnych.

Nina ustaliła, że spotkają się z Bingbing na Bundzie, i przysłała nieco wcześniej. Chodziła tam i z powrotem przed brązowymi lwami u wejścia do Korporacji bankowej Hongkongu i Szanghaju. Lwie łapy były wypolerowane przez turystów, którzy dotykali ich na szczęście. Nina nie wytrzymała i też pogładziła nagrzone słońcem pazury.

Jak rozmawiać z Bingbing? Jak równy z równym? A może nie tracić dostojęstwa białej damy? Nina już półtora roku mieszkała w Szanghaju, a przecież, jeśli nie liczyć Kitty, służby i sprzedawców, nigdy jeszcze nie obcowała z Chinką.

Obok z dudnieniem przejeżdżały samochody, na przystani kulisi rozładowywali beczki, na budowie nowego gmachu urzędu celnego wbijano pale. Nina niecierpliwie kręciła parasolką opartą na ramieniu i wpatrywała się w twarze przechodniów. Już nie wierzyła, że jej zamiary się powiodą. Bingbing albo odmówi pozwania do kalendarzy, albo zażąda ogromnej sumy.

– Dzień dobry! – usłyszała wreszcie kobiecy głos.

Bingbing miała okrągłą twarz, delikatny rysunek brwi i jasnoróżowe wargi. Dwa czarne pukle uwolniły się spod kapelusika i zawinęły się w kółka pod uszami.

Nina nie wiedziała, czy należy podawać rękę, czy nie. Może to by było faux pas? Tony mówił, że Chińczycy nie cierpią dotyku obcych.

– Może pójdziemy do parku i omówimy sprawę? – zaproponowała Nina.

Bingbing zmierzyła ją spojrzeniem pełnym niedowierzania.

– Psom i Chińczykom wstęp do miejskich parków jest wzbroniony. Są tylko dla białych.

Nina się zmieszała. Bingbing z pewnością pomyślała, że chciała ją poniżyć.

Przeszły przez ulicę i w milczeniu poszły wzdłuż nabrzeża, ale Chinka na szczęście wymyśliła sposób na przerwanie ciszy.

– Prawie nic nie wiem o Rosji. To dziwne, bo mamy przecież długą granicę, ale nawet wykształceni Chińczycy nie potrafią wymienić choćby trzech rosyjskich miast.

– U nas też niewiele wiadomo o Chinach – odpowiedziała ostrożnie Nina. Nieco jej ulżyło, bo wyglądało na to, że dziewczyna się nie obraziła.

Zacęły sobie opowiadać, co Rosjanie myślą o Chińczykach i vice versa.

– Nigdy nie pokazujecie, co myślicie – powiedziała Nina. – Zupełnie nie wiadomo, czy po prostu nie chcecie z nami rozmawiać, czy coś ukrywacie, czy w ogóle nic nie czujecie.

– W Chinach uważa się za nieprzyzwoite wystawiać się na widok publiczny

– wyjaśniła Bingbing.

– Z pewnością biali wydają się wam straszliwie niewychowani?

– Rozumiemy, że jesteście inni.

Kiedy Nina sprowadziła rozmowę na chińskie kino, lody ostatecznie stopniały.

– Do premiery filmu myślałam, że ta historia nikogo nie zaciekawi, bo w każdym domu jest takie „kino” – opowiadała Bingbing. – Ale wielu dostrzegło w bohaterach siebie albo swoje córki, a ci, którzy nigdy nikomu nie współczuli, nagle zaczęli rozumieć, jak to jest być rzeczą z bijącym sercem. Sztuka to jedyne, co zmusza tyrana do spojrzenia na świat oczami ofiary i zwątpienia w swoje racje.

Nina nie oczekiwała usłyszeć takich przemyśleń od chińskiej dziewczyny. Zrobiło jej się nawet nieswojo, bo co będzie, jeśli propozycja wyda się Bingbing zbyt przyziemna? Przecież kalendarze z ładniutkimi aktorkami nie mogą zostać uznane za prawdziwą sztukę.

Ale kiedy Nina przedstawiła swój pomysł Bingbing, ta się rozpromieniła.

– Na tym z pewnością można zarobić! Kolorowy obrazek to jedyna ozdoba w domu biedaka, a ilu jest takich w Chinach?

Zażądała jedynie pięć dolarów za dzień. Okazało się, że aktorzy w Szanghaju nie dostawali wysokich honorariów.

– Załatwione! – zawołała Nina i uścisnęła z radości dłoń Bingbing.

Ta nie tylko nie cofnęła się, ale odpowiedziała mocnym uściskiem.

Stał się cud! Nina dostała wiadomość od Klima, co ostatecznie podniosło ją na duchu. Żył! Chociaż dzieliły ich setki mil, chociaż przyszłość była niepewna do bólu, ale Nina nie śmiała się już skarżyć na los.

Wymieniwszy się telegramami, pełnymi aluzji i alegorii, porozumieli się, że Klim wróci potajemnie do Szanghaju i przeniosą się gdzie indziej. Do tego były potrzebne pieniądze, więc Nina całkowicie oddała się sprawom wydawnictwa.

Na pracownię wynajęła niewielki domek przy Bubbling Well Road. Na modelki Bingbing zaprosiła przyjaciółki, a Nina zagoniła malarzy do pracy.

Nie było wiele czasu na malowanie. Handlujący kalendarzami zjeżdżali się do Szanghaju w listopadzie i zbierali się w herbaciarni Pawilon Zielonego Lotosu, żeby obejrzeć obrazki i określić ceny, biorąc pod uwagę kończący się rok.

Shao, gbur i pesymista, powiedział, że dziesięć lat temu ktoś już próbował sprzedawać kalendarze z Chinkami, przedstawionymi w stylu europejskim, ale interes upadł.

– Tracimy tylko czas – burczał, żując koniuszek cienkiego pędzelka.

– Czasy się zmieniają! – irytowała się na niego Bingbing. – Na premierę mojego filmu trzeba było ludzi ściągać, obiecując im podczas upału ręczniki zmoczone w wiadrze z lodem, a pierwszą szpulę puszczano zupełnie za darmo. Do tego czasu nikt nie robił nic podobnego, ale spróbowaliśmy i osiągnęliśmy sukces! Na dalszą część filmu chcieli patrzeć wszyscy!

Ninie było przyjemnie, że Bingbing ujmuje się za jej pomysłem. Chciałaby widzieć w dziewczynie nie tylko najemnego pracownika, ale i przyjaciółkę. Wiele ich łączyło, ale różnic również nie brakowało. Nina marzyła o otwartości, zapale do pracy i nocnych rozmowach od serca. Bingbing chciała wróżb i gwarantowanego obiadu o dwunastej. Trudno było powiedzieć, czy stara się dogodzić właścicielce, czy rzeczywiście ważne jest dla niej powodzenie przedsięwzięcia.

Chinka szybko zrozumiała, że Nina zabrała się do interesu, o którym nie ma pojęcia, a to ją wyprowadzało z równowagi.

– Dlaczego kazała pani modelce założyć ręce za głowę? – pytała.

– A ma siedzieć jak w cerkwi? – peszyła się Nina.

– Chińczycy to cnotliwy naród, więc jeśli poza będzie dla nich wulgarna, kalendarze kupią tylko pijani żołnierze.

– Ręce za głowę są wulgarne?

– Oczywiście! To zapraszający gest!

Oprócz tego nie mogły rozmawiać o polityce. Bingbing uważała, że Chinom potrzebna jest rewolucja, która zmiecie zbrodniczych gubernatorów

i wspierających ich „białych diabłów”.

– Pani nie rozumie, czym się to kończy! – mówiła żarliwie Nina. – Rewolucja to głód i samowola tysiąc razy gorsza od gubernatorów!

– A to nie samowola, że Chińczyków nie uważają za ludzi w ich własnym kraju? – oburzała się Bingbing. – Co według pani trzeba zrobić, żeby biali zaczęli się zachowywać jak goście, a nie zdobywcy?

Lepiej było nie zaczynać takich tematów, żeby nie kończyło się kłótnią.

Na początku okresu handlowego miały gotowe dwanaście kalendarzy, a kupcy z Pawilonu Zielonego Lotosu zgodzili się wziąć próbne partie. Nina i Bingbing były tak szczęśliwe, że urządziły w pracowni przyjęcie dla artystów i modelek.

Shao z obawą próbował rosyjskich bułeczek i mówił, że świat oszalał, skoro ludzie jedzą nie wiadomo co, robią nie to, co trzeba i zapominają o modlitwach do duchów przodków.

– Zobaczycie, że dobrze się to nie skończy! – burczał po swojemu, głaszcząc się po pełnym brzuchu.

Następnego dnia Nina wysłała do kantonu telegram: „Towar zszedł, czekamy na przyjazd dostawcy, aby uzgodnić plan pracy”. Ale Klim nie odpowiedział ani na tę wiadomość, ani na następne.

Rozdział 17

Niemiecki agent

Daniel Bernard pracował w niemieckim wywiadzie wojskowym i uważał, że człowiek jego profesji może wchodzić w związki, ale nie powinien się przywiązywać. Dla każdej ze swoich kobiet był szczodry i ujmujący, jednak natychmiast je porzucał, jeżeli ograniczały jego wolność.

Ożenił się z Edną tylko dlatego, że potrzebował wejść w szanghajskie społeczeństwo i nawiązać kontakty z kapitanem Wyerem. To był nieskomplikowany typ i pozwalał sobą manipulować. Bał się silnych, gardził słabymi, a przy tym wciąż mu się myliło, kto jest kim. Co do siebie też się mylił – zdawało mu się, że jeśli ludzie schodzą mu z drogi, dzieje się to za sprawą szczególnego szacunku, jakim się cieszył. Wyerowi nawet nie przychodziło do głowy, że to samo się dzieje, kiedy do tramwaju wsiądzie cuchnący pijak i wszyscy odsuwają się od niego, bojąc się pobrudzić i złapać wszy.

Daniel wmówił teściowi, że pochodzi ze znamienitej rodziny, a to okazało się dostatecznym powodem, aby mógł liczyć na pomoc policji w najróżniejszych sprawach. Jak wszystkie nowobogackie gbury, kapitan odczuwał przed arystokracją święty respekt. W czasie wojny z dumą opowiadał o wielkich operacjach, które prowadził jego zięć, nie domyślając się, że bawełna, jedwab, ołów, miedź i inne surowce wywożone przez Daniela z Chin nie są wcale przeznaczone dla neutralnej Hiszpanii, ale dla walczących na dwóch frontach Niemiec i Austro-Węgier.

Daniel próbował być troskliwym mężem, czuł się zobowiązany wobec Edny, ale ona tak bardzo nie pasowała do jego ideałów, że czasami ledwie mógł ją znieść. Miała w sobie nie więcej kobiecości niż wielbłądzica.

Po tym, jak Wielka Wojna skończyła się klęską Niemiec, Bernard na długo wpadł w przygnębienie, nie bardzo wiedząc, co dalej robić. Mógłby się stać dobrym biznesmenem, ale nie pociągały go pieniądze jako takie.

Na początku 1923 roku został wezwany do Berlina. Niemcy marzyły o rewanzu i dlatego zaczęły po cichu wspierać chińskich nacjonalistów, poszły nawet na współpracę z Rosją Sowiecką, przez której terytorium niemieckie towary dostawały się na Daleki Wschód. Dla Sun Jat-sena Niemcy były wzorem postępu i modernizacji. Z ich pomocą miał nadzieję stworzyć armię, zdolną zjednoczyć Chiny i wyrzucić z nich bezczelnych cudzoziemców. Daniel otrzymał rozkaz wstąpienia na służbę przywódcy buntu i robienia wszystkiego, żeby zakupy dla rodzącej się chińskiej awiacji były realizowane w niemieckich firmach.

Wracał z Europy, spodziewając się trudnej, ale ciekawej pracy. Wreszcie mógł opuścić zimną Ednę i przenieść się do kipiącego życiem Kantonu! Ale

w czasie napadu na Błękitny Ekspres bandyci przejęli dokumenty, plany i pieniądze, które Daniel miał dostarczyć do sztabu Sun Jat-sena, musiał więc spędzić kilka miesięcy w Szanghaju, czekając, aż dowództwo zorientuje się w sytuacji.

Bóg widział, że nie zamierzał nawiązywać romansu z Niną Kupiną, ale ta kobieta przyciągała go niczym błędny ognik w ciemnym lesie. Przypominała mu lisice z baśni, potrafiące przybierać żeńską postać. W Chinach nazywano je *huli jing*, a w Japonii *kitsune*.

Lisica-przemieniec omamia mężczyzn i rozkochuje ich w sobie, a biada temu, kto nie dostrzeże lisiej kity pod jedwabnymi szatami. Nawet jeśli sama pokocha zwykłego śmiertelnika, nic dobrego z tego wyniknąć nie może – prędzej czy później odsłoni swoją prawdziwą naturę.

Daniel z przyjemnością odkrywał w Ninie cechy takiego demona: ostro zarysowany podbródek, wysokie kości policzkowe i lekceważenie ludzkich praw. Posiadała nawet coś na podobieństwo „gwiazdnej kulki”, dającej zdolności do czarowania, bo nosiła na szyi małą perłę.

Bernard próbował sprowadzić wszystko do gry dwojga dorosłych ludzi poszukujących wyszukanych radości życia, ironicznych rozmów i upojonej, ale niezobowiązującej rozpusty. Lecz Nina była nastawiona poważnie, a to go onieśmielało. Na co liczyła? Na małżeństwo? Ale to przecież absurd!

– Niepoprawnie interpretuje pani pojęcie cnoty – mówił jej nieraz. – Wiele bym dał, żeby pani bardziej respektowała prawo, a była mniej cnotliwa.

– Wszystko w pana rękach – podpuszczała go Nina.

Daniel z ciężkim sercem czekał na rozkaz wyjazdu i zawczasu czuł, że jego życie stanie się skłębioną materią, niczym świąteczny namiot, w którym ktoś podetnie główny maszt. Nie będzie ani męcząco-radosnego oczekiwania na nowe spotkanie, ani spojrzeń, ani wymiany dwuznacznych i błyskotliwych złośliwości, które tak miło potem wspominał.

Próbował znaleźć wyjście. Może zabrać Ninę do Kantonu? Ale w jakim charakterze? Rola kochanki jej nie satysfakcjonowała, a nie zamierzał brać rozwodu. No i nie byłoby dobrze, gdyby Nina się dowiedziała, gdzie i komu służy „towarzysz Krüger”!

Okropna scena, kiedy wlepiła mu policzek, stanowiła godny finał ich stosunków.

Po przyjeździe do Kantonu nie wychodził praktycznie z kabiny samolotu, spał po sześć godzin na dobę i jadł cokolwiek, celowo harując tak, by nie mieć czasu na wspominki. Jaki jest sens żałować czegoś, co spełnić się nie mogło?

Sun Jat-sen długo zwlekał z działaniami przeciwko Izbie Handlowej, bo sam surowo osądzał wojskowych gubernatorów, którzy okrutnie tłumili powstania na podległych im terytoriach. Ale sowieccy doradcy polityczni przekonali go, że jeśli

nie rozprawi się z „papierowymi tygrysami”, dzieło jego życia legnie w gruzach.

Ostoja opozycji, handlowy rejon Xiguan, został ostrzelany z armat górskich. Zginęło około dwóch tysięcy ludzi, a pożary strawiły majątek wart miliony dolarów. Ludność masowo opuszczała Kanton, ale autorytet Sun Jat-sena nie tylko nie ucierpiał, lecz nawet wzrósł. W Chinach nie sądzi się zwycięzców – skoro ktoś wygrał bitwę, to znaczy, że siły Nieba były po jego stronie, a one lepiej wiedzą, kto ma rację.

Don Fernando, przez którego szły wszystkie dostawy dla lotniska, pojawił się w Xiguanie właśnie w chwili, kiedy zaczęły tam padać przywiezione przez niego samego pociski. Został ciężko ranny, a lekarz orzekł, że spędzi w szpitalu co najmniej pół roku.

Daniel musiał wracać do Szanghaju i osobiście kontaktować się z przemytnikami. Nie mógł odkładać wyjazdu, bo Rosjanie od pewnego czasu chcieli sobie podporządkować lotnictwo kantońskiej armii, a gdyby się dowiedzieli, że Daniel nie może zapewnić im uzbrojenia i części zamiennych, natychmiast odsunęliby go od spraw.

Michaił Borodin, najbliższy doradca Sun Jat-sena, starał się umieścić komunistów na wszystkich kluczowych stanowiskach, a Berlin poważnie się obawiał, że właśnie ten człowiek stanie się główną polityczną postacią w południowych Chinach. Gdyby tak się zdarzyło, Niemcy mogliby zapomnieć o wpływach na Dalekim Wschodzie. Rosjanie widzieli w nich „pożytecznych burżujów”, którzy pomagają w walce z wielkimi mocarstwami, i od początku było jasne, że po rozprawieniu się z najważniejszymi wrogami bolszewicy zwrócą się przeciwko niedawnym sojusznikom.

Daniel widział w sowieckich „kolegach” walecznych, ale prymitywnych fanatyków. Twierdzili, że patrzą w przyszłość, ale za sprawą marnego wykształcenia nie zauważali, że wszelkie ich hasła dotyczą przeszłości. Starali się urządzić społeczeństwo na wzór imperium Inków z jego centralnym planowaniem i pełną zależnością ekonomiczną obywateli od władzy.

Zasadniczym zadaniem bolszewików, kierowanym na zewnątrz, było wywołanie rewolucji światowej, to znaczy włączenie do Związku Sowieckiego nowych socjalistycznych republik. To był cały czas ten sam imperializm, jedynie pod innymi sztandarami. Poza tym złoty wiek podbojów terytorialnych już dawno przeminął, teraz do rządzenia imperium trzeba było całych armii policjantów, żołnierzy i urzędników, a w rezultacie potęga zaczynała pożerać siebie od wewnątrz, tracąc cenne zasoby nie na własny rozwój, ale na podtrzymanie istniejącego porządku. Bolszewicy próbowali wsiąść do wykolejonego pociągu.

Nie chcąc mieszać się otwarcie w chińskie sprawy, Niemcy działały precyzyjnie, wręcz niezauważalnie. Po co trząść jabłonią i łamać gałęzie, jeśli przy prawidłowym doglądaniu owoc sam wpadnie w ręce? Niech Sowiety płacą za

wszystko i wykonują brudną robotę, niech Chińczycy walczą z mocarstwami, a Niemcy będą potajemnie pomagać im i zdobywając zaufanie partii Kuomintangu, założonej przez Sun Jat-sena, powolutku załatwią dla siebie najlepsze kontrakty.

Po powrocie do Szanghaju Daniel znów grał rolę biznesmena i nienagannego dżentelmena. Nikt się nie domyślał, że za jego sprawą w porcie założono tajną bazę przeładunkową na potrzeby dostaw broni, paliwa i części zamiennych.

Razem z bolszewikami przeprowadził wspaniałą operację. Dali mu środki na zakup samolotu Avro, a on namówił kozaków z parowca Mongugaj, żeby wydali pieniądze na węgiel oraz naprawę statku. Konsul generalny ZSRS obiecał im amnestię, jeśli wrócą do kraju, i łatwowierni prostaczkowie odpłynęli do Władywostoku. A tam już przy schodzeniu na ląd aresztowali ich czekiści.

Bolszewicy za jednym zamachem rozprawili się z białogwardzistami i przejęli parowiec z bronią, a Daniel otrzymał avro i teraz każdego dnia latał nim, żeby obserwować ruchy okrętów na Huangpu i Jangcy. Te informacje były niezmiernie istotne dla sztabu Sun Jat-sena, a ich zdobywanie bardzo wzmacniało autorytet „towarzysza Krügera”.

Kiedy dziecko Niny zginęło, Edna z przerażeniem uświadomiła sobie, że ją to cieszy, a przecież dobra chrześcijanka nie powinna żywić podobnych uczuć. Zaczęła więc z podwójną energią zajmować się dobroczynnością.

Po tym, jak w Wielkiej Brytanii wprowadzono ograniczenia pracy nieletnich, specjalne niskie maszyny, na których przedtem pracowały dzieci, zostały przewiezione do Chin i teraz stały przy nich tutejsze maluchy. Edna i jej przyjaciółki próbowały wymóc zakaz na takie wykorzystywanie młodocianych, chociażby tylko na terenie Osiedla Międzynarodowego, ale sprawa nie ruszała z martwego punktu. Wielu ojców miasta zatrudniało dzieci, bo po pierwsze, można było im mniej płacić, a po drugie, dzieci nie strajkowały.

Edna postanowiła, że kiedy Daniel wróci, ani słowem nie napomknie o jego romansie. Powinni zacząć wszystko od początku, a najlepiej zająć się wspólną sprawą, na przykład ratowaniem dzieci, które są wykorzystywane w fabrykach. Nie wątpiła, że mąż zainteresuje się tą ideą, przecież zawsze był gorącym zwolennikiem postępu.

Ale wszystko poszło nie tak, jak liczyła. Daniel wciąż się gdzieś spieszył, wieczorami zaś przepadał w Klubie Szanghajskim.

Na próżno tam wydzwaniała.

– Czy mój mąż u was jest?

– Nie, missi – odpowiadał portier. – U nas nigdy nie bywają żadni mężowie.

Wiedział, że nie tylko go nie zwolnią za grubiaństwo, ale jeszcze dostanie pochwałę. Szanghajski klub był terytorium wolnym od natrętnych żon.

Edna zupełnie utraciła spokój. Daniel każdego dnia ją obrażał. Nie słowami, lecz chłodem i otwartą niechęcią do zostania sam na sam. W ogóle jakby przyjechał nie do domu – to było widać na każdym kroku: kiedy rozmawiał ze służbą, kiedy szukał i nie mógł znaleźć krawata we własnej garderobie... – nawet nie „w gości do Edny”, ale do „hotelu”, stanowiącego czasowy przystanek, który dla niego nic nie znaczył.

Daniel znów zabawił gdzieś do nocy i Edna położyła się, nie czekając już na niego.

Łowiła uchem najmniejsze dźwięki dochodzące z ulicy. Przejechał samochód, ktoś przeszedł... Daniel wrócił? Nie, to sąsiedzi.

Ednie bardzo chciało się pić, więc wyszła z sypialni i skierowała się do stołowego. Dom był ciemny i cichy, przywodził na myśl stary cmentarz. Dywany zdawały się miękkie jak mech, a ciemne zarysy mebli przypominały nagrobki.

Widząc przy oknie człowieka, krzyknęła.

– To ja – powiedział obojętnie Daniel. – Czemu nie śpisz?

Podeszła do niego, usiadła na parapecie. W ogrodzie śpiewał nocny ptak, pachniało dymem tytoniowym i wilgotną ziemią.

Daniel odsunął się w cień i Edna nie mogła dostrzec jego twarzy.

– Chciałaś o coś zapytać? – zagadnął.

Edna wiedziała, że jej słowa zabrzmiały nieadekwatnie do sytuacji, bo jak omawiać projekt ustawy ciemną nocą? Ale co mogła powiedzieć mężowi? „Proszę, nie dręcz mnie”? „Pokaż, że jeszcze do mnie coś czujesz”?

Daniel poszedł w stronę drzwi, a ona się przeraziła, że zaraz odejdzie i żadnej rozmowy nie będzie.

– Właściciele fabryk włókienniczych zmuszają małe dziewczynki, aby wyląwiały z wrzątku kokony – powiedziała. – Mają zawsze poparzone rączki, a my nosimy jedwabną bieliznę i nie chcemy widzieć, jaką cenę przychodzi im za to płacić! Liga opracowała projekt ustawy, zabraniający wykorzystywania małoletnich, ale okazało się, że sami Chińczycy nie chcą ratować własnych dzieci!

Daniel wziął zapałki z półki nad kominem. Pomarańczowy płomień przez kilka sekund oświetlił jego twarz, kiedy zapalał papierosa.

– Ale wiesz, że często te dzieciaki są jedynymi żywicielami dużych rodzin? Dorośli nie mogą znaleźć pracy, więc jeśli jeszcze pozwalacie dzieci, wszyscy zostaną skazani na śmierć głodową.

Edna się speszyła.

– To co proponujesz? Zostawić wszystko, jak jest? Niech dzieci chodzą z oparzeniami, niech oddychają bawełnianym pyłem w halach? Nie bawią się, nie uczą, a jeśli umierają, ich miejsce zajmują następni malcy, przysłani z wiosek. Nie mają żadnych perspektyw!

– Żeby u biednych pojawiły się perspektywy, rodzice powinni mieć możliwość przynajmniej wykarmić swoje dzieci – westchnął Daniel. – Jaka nauka? Tutaj nawet dorośli mają wiedzę na najbardziej prymitywnym poziomie. Ich

marzeniem jest tylko zabrać pieniądze bogatym.

– No właśnie! – wykrzyknęła Edna. – Jeżeli nic się nie będzie robić, biedacy zamienią się w komunistów! Nasza bibliotekarka, Ada, ma przyjaciela, który mieszka w Kantonie. Przesłał jej list, w którym napisał, jak żył wśród bolszewików.

– Jak ma na nazwisko?!

Głos Daniela zabrzmiał tak dziwnie, że Edna się przestraszyła.

– Nie wiem, jej spytaj. A o co chodzi?

Daniel wrzucił niedopałek do komina, podszedł do Edny i ujął ją za rękę.

– Chodźmy spać, już późno – powiedział łagodnie.

Edna nie wiedziała, co myśleć. Minutę wcześniej stał przed nią skończony snob, który wyjaśniał głupiotkiew kobiecie najprostsze sprawy, a nagle jakby go ktoś podmienił: odprowadził Ednę do sypialni i nawet ją pocałował, życząc spokojnej nocy.

Tak odzwyczaiła się od przejawów czułości, że z miejsca odtajała: A jednak mnie kocha! Po prostu zmęczył się i potrzebuje odpoczynku.

Ada spotkała na ulicy Betty, a ta zaprosiła ją do kawiarni na gorącą czekoladę.

– Opowiadaj, co tam u ciebie!

Ada powiedziała, że Klim już nie mieszka w Domu Nadziei, a sama nie ma środków na opłacanie dwupokojowego lokalu. Czas płynął, a gospodarz zaczął grozić, że zabierze jej rzeczy na poczet długu.

Żeby wycygnąć od pani Bernard podwyżkę, Ada zaproponowała, że założy jej akwarium z rybkami.

– Mogłabym o nie dbać.

Ale Edna nie miała do tego głowy. Daniel wrócił, sprawy między małżonkami się nie układały. Służba szeptała, że mister Bernard znów ma kochankę.

– Właśnie taka jest głupota białych – warczał kucharz Yun. – Chińczyk przyprowadziłby nałożnicę i wszyscy byliby szczęśliwi. Pomagałaby naszej missi w gospodarstwie i słuchała jej. A tak tylko pieniądze z domu wychodzą na obce baby.

Betty długo się śmiała, słuchając opowieści Ady, a potem powiedziała poważnie:

– Jeśli wasz Daniel rzeczywiście jest taki kochliwy, powinnaś go skusić. Wtedy podniesie ci pensję i będzie dawał prezenty.

Pomysł Betty na tyle zdumiał i poraził Adę, że odtąd całymi dniami rozmyślała o panu Bernardzie.

Parę tygodni wcześniej dostała przesyłkę z Kantonu. Znalazła w niej zapieczętowaną paczkę – Klim prosił, żeby przekazać ją Ninie. Ale Ada nie myślała spełniać tej prośby. Tak tęskniła za Klimem, tak się o niego martwiła, a on napisał do niej wszystkiego trzy linijki, a i one były w rozkazującym tonie: idź i zrób, czego mężczyzna chce!

Ada sama nie wiedziała, jak to się stało, że otworzyła cudzą przesyłkę. Była ciekawa, co Klim wysłał żonie.

Okazało się, że to jego dziennik, a to, co w nim przeczytała, doprowadziło ją do łez. Klim nazywał ją „zbędną dziewczyną” i „denerwującym podrostkiem”.

Ech, jakby to było dobrze, gdyby gospodarz naprawdę zakochał się w Adzie. Utańczyłaby nosa Klimowi i jego cudownej małżonce! Nina z pewnością zzieleniałaby z zazdrości, gdyby się dowiedziała, że mister Bernard woli od niej młodą bibliotekarkę!

Oczywiście Ada nie chciała urazić Edny, ale przecież państwo i tak nie

mogli się dogadać. Co by było złego w tym, gdyby choć dwoje z trojga nieszczęśliwych ludzi połączyła miłość?

Ta myśl ostatecznie uspokoiła Adę. Postanowiła czekać na okazję.

Daniel od razu się domyślił, że kantońskim przyjacielem miss Marshall mógł być tylko Klim Rogow. Przecież to on przyprowadził do nich bibliotekarkę. Bernardowi nie dawało spokoju pytanie, kiedy Klim wysłał list – przed ich spotkaniem na lotnisku czy po nim.

Przez parę dni obserwował Adę i szybko zauważył, że zaczęła przychodzić do pracy z pomalowanymi ustami. Ledwie wyszedł ze swoich pokoi, a ona już opuszczała bibliotekę i robiła wszystko, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

– Mister Bernard, widział pan nowy katalog z księgarni?

Albo:

– Czytał pan Edmunda Husserla? Napisał *Idee czystej feno... fenimoro... A*, już wiem! *Idee czystej fenomenologii i fenomenologicznej filozofii*. Na pewno się panu spodoba.

Daniel zaczął się drażnić z nieszczęsnym dzieckiem. Kiedy spotkał Adę, z rozmarzeniem mrużył oczy, a potem nagle odwracał wzrok, jakby nie miał sił patrzeć na taką piękność. Ada rumieniła się i uciekała do siebie.

Pewnego razu, kiedy poszła na obiad, Daniel zajrzał do biblioteki i zobaczył na stole bibułę, szczelnie zapełnioną sercami, gołębiami i inicjałami „D.B.”.

Edna wybrała się na zebranie Ligi Moralnej Dobroczynności i nakazała obsłudze iść wcześniej do domów. Daniel widział przez okno, jak Ada, wymachując torbą, wyskoczyła za bramę i ruszyła ulicą.

– Przeprowadzić samochód – nakazał Samowi.

Dogonił Adę na skrzyżowaniu. Chciała wejść do sklepu z warzywami, ale otoczyła ją gromadka żebrzących dzieci.

– Nie ma mamy, nie ma taty, nie ma whisky z sodą – recytowały i wyciągały ręce.

Ada przycisnęła torbę do piersi i cofnęła się przestraszona.

– Wynocha! – warknął Daniel na chińskie dzieci i kilka razy zatrąbił klaksonem. Maluchy poszły w rozsypkę.

– Niech pani wsiada! – polecił Adzie, a ona pospiesznie zanurkowała do samochodu. – A pani co, nie umie sobie poradzić z małymi dziećmi?

– Boję się tych żebraków strasznie! – odparła. – Mogą ugryźć, a roznoszą w ślinie różne rzeczy, nawet szaleństwo. Dlaczego się pan śmieje? W gazecie o tym pisali!

Daniel rzeczywiście nie mógł powstrzymać uśmiechu. W tej dziewczynie dziwnym sposobem łączyły się przerażenie osaczonego zwierzęcia i pewność co do własnego rozumu i uroku.

– Odwieźć panią do domu? – zaproponował Daniel.

Ada osłupiała na chwilę.

– Ależ nie warto! Po co tracić benzynę?

Daniel jednak wziął od niej adres i poprowadził wóz w stronę koncesji francuskiej.

Całą drogę Ada siedziała cicha i wzburzona, niczym uczennica, która nieoczekiwanie otrzymała wyższą ocenę, niż się spodziewała.

– Edna powiedziała, że zarabia pani dwanaście dolarów tygodniowo – rzekł Daniel, kiedy zatrzymali się przed bramą Domu Nadziei. – Jak pani może wyżyć za takie pieniądze?

Ada poczerwieniała.

– Oczywiście, że mi nie wystarcza... Pewnie mnie stąd niedługo wyrzucą.

– Proszę mi pokazać swoje rachunki – poprosił Daniel.

Wszedł za nią do skromnego, ale czystego mieszkania, pachnącego zwiędłymi kwiatami. Ada przyniosła mu cały pakiet ostrzeżeń i gróźb od gospodarza domu.

Daniel przejrzał je szybko.

– Nie ma pani przyjaciół ani krewnych, którzy mogliby pomóc?
– A komu jestem potrzebna? – nachmurzyła się Ada. – Dawniej miałam sąsiada, Klima Rogowa, ale wyjechał do Kantonu.
Danielowi mocniej zabiło serce – miał rację!
– Wiem, że Rogow przysłał pani jakieś papiery. Można w nie zerknąć?
Ada zmarszczyła brwi.
– A po co one panu? Przecież nie zna pan rosyjskiego.
– Prowadzę interesy na południu, muszę wiedzieć, co się tam dzieje. –
Daniel wyjął z portfela dziesięć dolarów. – To pani honorarium za tłumaczenie.
– Nie mogę, to osobiste notatki! – zaprotestowała Ada. – Klim wysłał je nawet nie do mnie, lecz do Niny Kupiny!
– A ona co ma do tego?
– Pobrali się jeszcze w Rosji. Ale ona go nie szanowała. Zresztą innych mężczyzn też.
Daniel wyjął papierosa, ale nie mógł sobie poradzić z zapaleniem. Ada usłużnie podała mu ogień.
– Jak rozumiem, nie oddała pani dziennika Ninie? – spytał Bernard, głęboko się zaciągając.
– Nie miałam kiedy. Całymi dniami jestem w pracy.
Odliczył jeszcze czterdzieści dolarów.
– Wystarczy tego, żeby się pani rozliczyła ze wszystkich należności. Proszę mi przetłumaczyć, co napisał Klim.
Ada spojrzała na pieniądze, potem na Daniela i prawie płacząc, powiedziała:
– Dobrze.

Ada siedziała przy otwartym oknie i płacząc słowa, tłumaczyła zapiski z niewielkiej książeczki z wytartymi rogami.

Dziennik Klima Rogowa oszołomił Daniela. Teraz zrozumiał aluzje, jakie czynili znajomi. Okazało się, że Nina urodziła córkę, a biały Szanghaj uznał, że ojcem jest mister Bernard.

Co chwila zaciskał do bólu pięści i szczęki, głośno oddychał, próbując się odprężyć, ale po chwili napięcie wracało.

Czuł palącą, duszącą zazdrość, przed którą nie było ratunku. Ale o kogo był zazdrosny? O kobietę, którą sam postanowił zostawić? O pechowego bezpieczeństwa?

Dotarłszy do każdego kolejnego wyznania miłosnego, Ada podnosiła na Daniela oczy.

– Na pewno to pana interesuje?

A on nieodmiennie się uśmiechał.

– Proszę dalej.

Chwała Bogu, Klim nie wspomniał ani o towarzyszu Krügerze, ani o kantońskim lotnisku. Ada doczytała dziennik do końca i chciała go schować, ale Daniel jej nie pozwolił.

– Proszę mi to dać!

Ada w milczeniu podała mu notatnik.

– Zwiększę pani pensję, żeby mogła pani płacić za mieszkanie – obiecał, a potem pożegnał się sucho i wyszedł.

Na podwórzu Filipinki rozwieszały pranie, a z otwartego okna dochodziło rzępolenie skrzypiec.

Daniel fizycznie odczuwał mdłości, zupełnie jakby podano mu truciznę. Nie pamiętał, jak wszedł do samochodu, dotarł do domu i zamknął się w gabinecie.

Okazało się, że lisiczka doprowadzająca go do szaleństwa była w ciąży z innym. Daniel to wpadał w złość, przeklinał siebie i Ninę, to śmiał się ochryple, to przeglądał dziennik Klima, wypełniony drobnym, niezrozumiałym dla niego pismem.

Och, trzeba było od razu zastrzelić tego sukinsyna!

Tego wieczoru wysłał do Kantonu telegram z żądaniem ustalenia, gdzie przebywa Rogow.

Sam nie widział, dlaczego wybuchła w nim nagle tak wielka zazdrość

o Klima. Przecież nie miał mu czego zazdrościć! A jednak czuł się niczym garbaty potwór, który przypadkiem podpatrzył, jak wspaniały tancerz prowadzi piękną damę.

Bernard realizował cudze cele w imię abstrakcyjnych ideałów. Nieznani mu ludzie w Berlinie decydowali, gdzie i z kim znajdzie się następnego dnia, co jest możliwe, a co nie do wykonania.

Życie Klima Rogowa nie było naznaczone szczególnym sensem, ale za to istniały w nim wspaniałe wzloty i spektakularne upadki, niewiarygodna pełnia uczuć i namiętny romans z kobietą, o której Daniel mógł tylko marzyć.

Klim miał o czym pisać w dzienniku!

A mister Bernard, przy całym swoim bogactwie i wielkim znaczeniu, nie miał prawa rozporządzać własnym czasem ani sercem. Wszystko, na co mógł sobie pozwolić, to dziewczęta, które dawały ze sobą robić wszystko za parę dolarów. Odchodziły, a co zostawało?

Pustka.

Rozdział 18

Yin i yang

Burbano przysłał Danielowi odpowiedź, że Rogow wpadł razem z nim pod ostrzał, na głowę zwała mu się rzeźba bogini Guanyin i zginął. Siły niebios najwyraźniej postanowiły wspomóc Bernarda.

Teraz już zupełnie nie rozumiał, jak można było oddać Ninę innemu. Na co ją zamienił? Na służbę dla Sun Jat-sena? Na małżeństwo z Edną? Czyżby jej ojczulek był tego wart?

Wtedy, w roku 1923, Daniel mógł wywieźć Ninę pod byle pretekstem. Przecież była gotowa na miłość, wiedział to na pewno. Że brzemienna? I co z tego? Zrobiliby skrobankę.

Danielowi zdawało się, że zmarnował szansę, jaką ma się raz w życiu. Miał trzydzieści osiem lat, czekała go wojna i być może śmierć, a jeszcze nigdy nie zaznał uczucia, które by chociaż odlegle przypominało miłość, jakiej doświadczał Klim Rogow.

Zobaczył Ninę w nowym świetle. Wcześniej widział tylko baśniową lisiczkę, niezupełnie realną i w pewnym stopniu wrogą. Nie miało sensu snuć o niej marzeń, dlatego że z nią wszystko było niezupełnie realne. Cackać się z nią też nie było warto, gdyż przemienicy nie mogą mieć ludzkich uczuć. Ale okazało się, że Daniel wszystko to wymyślił jako formę samoobrony, aby nie uwikłać się w związek, który mógłby stać się dla niego nazbyt ważny.

Dopiął swego, nie uwikłał się. I co?

Pojawił się u niego nowy nawyk: po starcie samolotem przelatywał nad domem Niny. Czasami widział na dole kobiecą postać i za każdym razem serce mu zamierało.

„Zdobędę ją” – powtarzał sobie, ale nie mógł zdobyć się na odwagę, żeby ją odwiedzić. A co, jeżeli po tym, co się stało, nie wpuści go za próg?

Przez Allmana dowiedział się, że Nina zaczęła wydawać kalendarze i wynajęła jako modelkę aktorkę nazwiskiem Hua. Bingbing pragnęła sama kręcić filmy i napisała scenariusz o dziewczynie wydanej w dzieciństwie za chłopca z sąsiedniej wsi. Narzeczony umarł, ale zgodnie z umową dziewczynę poślubiono z deseczką, na której wypisano imię nieboszczyka.

Na zdjęcia potrzebne były pieniądze, a nie miała ich skąd wziąć. Kino to niepewny interes – jednego dnia film odnosi sukces, a innego nie, więc niewielu można znaleźć chętnych zaryzykować poważne środki. Właściciele kin nieszczególnie chcieli zamawiać chińskie produkcje, woleli te z Hollywood, bo nie dotyczyły tutejszej polityki i nie dotyczyły spraw związanych z tradycją. A temat, który chciała poruszyć Bingbing, był bardziej niż kłopotliwy, więc cenzura mogła

po prostu zabronić dystrybucji obrazu.

Daniel wymyślił sposób na zapoznanie się z Bingbing. Opowiedział o jej pomysły żonie, a Edna od razu nabrała ochoty na tak szlachetną sprawę.

Bingbing nie wiedziała, jak dziękować Bernardom. Zaczęła przygotowywać się do zdjęć, więc od rana pracowała przy kalendarzach, a wieczorem robiła próby z zaprzyjaźnionymi aktorami. Teraz zamiast do Klubu Szanghajskiego, Daniel jeździł do niej na plan zdjęciowy i w przerwach wypytywał o Ninę.

Okazało się, że z początku sprawy wydawnictwa szły zupełnie nieźle. Pierwsze wydanie rozeszło się, więc Nina mogła zawrzeć kilka kontraktów reklamowych. Na nowych plakatach w środku znajdowała się dziewczyna, poniżej kalendarz, a po rogach winietki z obrazkiem lawendowego mydła, grzebieni albo proszku do zębów.

Wszystko było gotowe do druku, ale jezuici nie realizowali zamówienia. Odpracowywali przecież dług, a zatem zawsze mieli coś pilniejszego do zrobienia dla klientów płacących gotówką. Ojciec Nicolas zrzucił winę na niedbałość wykonawców, wykonawcy na złe kierownictwo, a sprawa nie ruszała się z miejsca. W dodatku konkurencja zorientowała się, że na kalendarze z Chinkami jest popyt, i pchała na rynek podobny towar.

– Wątpię, czy miss Nina sobie poradzi – wzdychała Bingbing. – Ostatnio wszystko jej leci z rąk, czeka na wiadomości od kogoś, a ten człowiek nie pisze. Biedaczkę ogarnia szaleństwo z niepokoju.

Daniel uznał, że nie należy dłużej odkładać wizyty.

Nina odmówiła przyjęcia Bernarda. Długo stał przed jej domem i rozmyślał, co robić. Ziemia była usłana białymi kwiatami akacji, a Daniel długo rysował butem wśród nich znaki zapytania.

Z góry doleciał szelest, podniósł głowę i zobaczył na piętrze kołyszącą się firankę.

Zdjął kapelusz.

– Dzień dobry, Nino!

– Czego pan chce? – spytała ze złością.

– Musimy porozmawiać. Wiem, że jest pani na skraju bankructwa przez jezuickich złodziejasków.

Nina zmieniła zdanie, pozwoliła mu wejść. Poszedł za pokojówką, a przemierzając dom, zwracał uwagę na szczegóły egzystencji Niny. W stojaku nie było męskich parasoli, na podłodze leżały klocki, serwetki i grzechotki. Na wszystkim odciskało się piętno pośpiechu i niedbałości, jak to bywa u gospodarzy, którzy nie mają czasu zajmować się domowymi sprawami.

Nina czekała na zalonym słońcem tarasie. Siedziała na wyplatanej kanapie, blada i napięta. W jej dłoni poruszał się lekko czarny, atłasowy wachlarz.

Fotel dla gościa stał przy schodkach prowadzących do ogrodu, jak można było najdalej od Niny, ale Daniel usiadł obok niej na kanapie.

– Proszę opowiedzieć, co się dzieje.

Z początku Nina odpowiadała dumnie, że sama sobie poradzi z problemami, ale potem nagle się poddała i wyznała, jak się sprawy mają: mówiła o upadku czechosłowackiego konsulatu, o swojej Kitty, o próbach zarabiania na kalendarzach.

– Mnisi korzystają z tego, że nie mogę podać ich do sądu – oburzała się. – Przecież musiałabym się wówczas przyznać, że handlowałam pornografią. A poza tym jakie miałabym szanse wygrać z jezuitami?

Daniel patrzył na nią ze wzruszeniem. Co za głupiutka dziewczynka! Po co pchała się w takie sprawy? Naprawdę myślała, że ktokolwiek potraktuje ją poważnie?

– Jeżeli pani pozwoli, pomogę – powiedział miękko.

Nina zamknęła wachlarz i skrzyżowała ręce na piersi.

– A czego pan zażąda w zamian? Zagrajmy od razu w otwarte karty, żeby potem nie było nieporozumień. Jak ostatnio...

– Nie wierzy pani w bezinteresowność?

– Ani trochę.

– Gdzie jest telefon?

Poszli do gabinetu, a Daniel wykonał dwa połączenia – z generalnym konsulem Francji i z przeorem Zikawei.

Po kwadransie ojciec Nicolas zadzwonił do Niny z radosną nowiną: „Pani kalendarze jutro idą do druku”. Przy tym długo przepraszał i prosił o przekazanie gorących pozdrowień panu Bernardowi.

Nina odłożyła słuchawkę i spojrzała ze zdumieniem na Daniela.

– Powinno się pana zapisać w poczet cudotwórców!

Wyszła z pokoju, ale niebawem wróciła, trzymając w dłoni niewielki dysk z kości słoniowej.

– To jedyna rzecz, jaka pozostała mi z kolekcji Hou Yaminga. Spodobała mi się ta kobieta śpiąca na chryzantemie. Proszę wziąć na pamiątkę.

Daniel nie mógł uwierzyć własnym oczom – to była japońska lisica *kitsune*! To, co Nina uznała za płatki chryzantemy, było w istocie rzeczy dwunastoma ogonami, znakiem najwyższej mądrości i magicznej siły stworzenia.

– Wie pani, co to takiego? – spytał.

Nina pokręciła głową.

– To *netsuke*. W Japonii używają tego do mocowania przy pasie specjalnych woreczków na różne drobiazgi. Kimono nie ma przecież kieszeni.

Daniel nie powiedział Ninie, że *netsuke* mogą być też amuletami. I tutaj wszystko zaczęło się zgadzać: nie należy prosić *kitsune* o materialne dobra. W każdym przypadku podsunie zamiast monet kamienie albo korę drzewa. Ale za uprzejmość kobieta-lisica może zaoferować coś o wiele cenniejszego, to znaczy amulet przynoszący szczęście w miłości i umożliwiający czytanie myśli.

Żegnając się z Danielem, Nina nie zaprosiła go na kolejną wizytę, ale on wiedział, że następnym razem nie każe mu stać przed drzwiami.

Bernard uparcie szukał możliwości spotkania się z Niną, a ona za każdym razem dawała mu do zrozumienia, że nic między nimi być nie może, oprócz przelotnych rozmów i przyjacielskich przysług.

Wciąż jeszcze była zła na Daniela? A może Bingbing miała rację i czekała na wiadomości od Klima? Nigdy o nim nie wspominała, więc nie mógł wiedzieć na pewno.

Wypuściła nową partię kalendarzy, ale za późno, i jej sprawy szły coraz gorzej. Mała firma nie mogła konkurować z wielkimi wydawnictwami, które odkupywały od siebie artystów i modelki. Koszty własne stopniowo rosły, a zyski spadały. Nina zaczęła zatrzymywać wypłaty swoim pracownikom i już dwa razy wypisywała Danielowi weksle, pożyczając od niego pieniądze na bieżące wydatki.

On także się denerwował. W każdej chwili mogli go wezwać do Kantonu, a co wtedy? Znów opuścić Ninę? Wyjście było tylko jedno – zabrać ją ze sobą. Ale jak namówić tę kobietę, żeby wszystko rzuciła i pojechała do na wpół spalonego, pełnego bolszewików miasta? I co zrobić z Kitty? Umieścić ją w jakimś zamkniętym pensjonacie dla dziewcząt? Ale Nina nigdy się na to nie zgodzi, Daniel widział, jak wodzi oczami za swoją Chincezką. Na pewno ją pokochała.

Robił ostrożne aluzje, że wydawnictwo kalendarzy jest zupełnie nierentowne, więc im prędzej Nina je porzuci, tym lepiej.

– Jeśli nie będzie miała pani mocnego protektora, nie przetrwacie do lata. Konkurencja was zniszczy.

– To pan nazywa „przyjacielskim wsparciem”? – nachmurzyła się Nina.

Daniel jednocześnie bał się zarówno dać jej nadzieję, jak i ją odepchnąć.

– Jestem zachwycony, z jakim uporem stara się pani wywalczyć swoje miejsce pod słońcem. Ale jeśli drogi mi człowiek popełnia błąd, powinienem uprzedzić go o niebezpieczeństwie.

Sprawa skończyła się tym, że dystrybutorzy odmówili współpracy. Niebiańska Peonia, największe wydawnictwo w mieście, dawała półroczny termin spłaty należności, a Nina nie mogła sobie na to pozwolić.

Była zrozpaczona i Daniel nie wiedział, co powinien zrobić. Przypomnieć, że ją uprzedzał? Znów poradzić, żeby zamknęła przedsiębiorstwo? Powinien się cieszyć, bo jeśli Nina nie będzie miała pieniędzy, stanie się bardziej podatna na perswazję. Ale postąpił wbrew wszelkiej logice.

– Dam pani kredyt, żeby utrzymać firmę na powierzchni – powiedział, przeklinając się w duchu od najgorszych. – Jutro cały dzień będę na zawodach wioślarskich. Proszę tam przyjechać, przywiozę pieniądze.

Anglicy w Szanghaju co roku organizowali „królewskie regaty” na zasadach takich samych, jak wspaniałe wyścigi w pobliżu miasteczka Henley-on-Thames.

Na zawody przyjechała bodaj cała społeczność białych. Na brzegu ustawiono trybuny, a na wodzie pojawiła się cała armia sampanów, wynajętych przez kibiców. Grała orkiestra, dzieci piszczały radośnie, nad zdeptaną trawą snuł się niebieskawy dym – kucharze kręcili na roznach baranie i wieprzowe tusze.

Daniel przyglądał się w napięciu siedzącym z parasolkami damom. Niny nigdzie nie było. Powinien być sędzią zawodów, ale nie mógł się na niczym skupić, więc poprosił o zastępstwo.

Kiedy dano znak do startu, Daniel zszedł z trybuny i powoli poszedł między pustymi stołami przygotowanymi na uroczysty obiad. Nina nie przyjechała, nie miał na co czekać.

Gubił się w domysłach. Postanowiła nie wiązać się z nim i znalazła innego kredytodawcę? A może coś jej się stało?

Nagle w białej altanie stojącej z dala od trybun dostrzegł znajomy kapelusz z karmazynowym piórem. A jednak była tutaj! Ruszył ku niej prawie biegiem.

– Już straciłem nadzieję, że panią zobaczę! – powiedział, siadając obok niej na ławeczce.

Nina przywitała się i wyjęła z torebki czarny atlasowy wachlarz, tę dziwną żalobną rzecz, która absolutnie nie pasowała do jej białej sukienki z czerwonym pasem.

– Przyniosłem całą sumę – oznajmił Daniel, wyjmując z kieszeni paczkę pieniędzy. – Proszę przeliczyć, jest tutaj pięć tysięcy dolarów.

Nina uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Dziękuję, ale nie trzeba. Mówił pan, że niebawem jedzie do prowincji Guandong. Proszę zabrać ze sobą mnie i Kitty!

Daniel był gotów na wszystko, ale nie na to.

– Pani żartuje?

– W żadnym razie.

Chciał ją pocałować w rękę, ale nie wytrzymał i objął mocno.

– Tak się cieszę, że już się pani nie gniewa!

Spróbowała się uwolnić.

– Ludzie nas widzą!

– Niech widzą!

– Jak pan dotrze do Kantonu? Statkiem? – spytała, wyswobadzając się z jego objęć. – Wiem, że na południu jest teraz niespokojnie, więc taka podróż nie jest

wskazana dla kobiety z małym dzieckiem. Ale jeśli pan mnie weźmie, zyska moją wielką wdzięczność.

Daniel patrzył długo w jej oczy.

– Coś wymyślę.

Wszystko było jasne. Nina wybierała się do Kantonu, żeby odnaleźć Klima Rogowa.

W nocy Daniel nie mógł zasnąć. Powiedzieć Ninie, że nie znajdzie już męża wśród żywych? Ale wówczas zaczną się pytania, a kobieta może zrezygnować z wyjazdu.

Siedział przy oknie i palił, aż zrobiło mu się niedobrze. Doskonale wiedział, czym kończą się azjatyckie baśnie. Jeśli kobieta-lisica jest ranna, potrzebuje mężczyzny, który podzieli się z nią siłą życiową. Wówczas się odrodzi, a on postrada zmysły. Kim trzeba być, żeby składać samego siebie w ofierze?

Rano Sam zameldował o przyjeździe kapitana Wyera.

– Nie ma mnie w domu – powiedział Daniel i szybko wyszedł do stajni.

Pachniało w niej sianem i końskim potem. Przez wąskie okienka pod sufitem wpadały słupy światła.

Stajenni wyprowadzili z boksu złocistorudego Anioła, ale gdy tylko Daniel włożył nogę w strzemię, w drzwiach pojawił się Wyer.

– Wynosić się! – warknął na stajennych, a ci natychmiast zniknęli.

Daniel chwycił konia za uzdę.

– Nie wiedziałem, że jesteś.

– Wiedziałeś doskonale – szczechnął kapitan. – Ale mam gdzieś, że uciekasz przede mną jak złodziej. Chodzi mi o Ednę. Idźże do prostytutek, jak wszyscy przyzwoici ludzie, to nikt złego słowa nie powie. Ale nie bierz sobie kochanek!

Twierz Daniela spurpurowiała. Puścił wodze, a przestraszony Anioł wrócił do boksu.

– Proszę się zająć swoimi sprawami, nie moimi! – powiedział cicho Bernard.

– Inaczej na stare lata może się pan nie tylko obudzić bez grosza, ale trafić pod sąd!

– Grozisz mi? – uśmiechnął się Wyer.

– Jeżeli Londyn się dowie, że osłania pan przemytników i handlarzy narkotyków, nie tylko pana odwołają, ale wsadzą do więzienia.

– Ciebie osłaniam, suczy synu!

Wyer wyjął z mapnika jakieś zdjęcia, podał je zięciowi. To były zdjęcia zrobione pod domem Niny. Fotograf udokumentował każdą wizytę Daniela.

Wczorajsze spotkanie też zostało zarejestrowane. Na jednej fotografii Daniel proponował Ninie pieniądze, na drugiej ją obejmował, a na trzeciej razem wsiadali do samochodu.

– Już dawno śledzę twoją kochankę – powiedział Wyer. – Jeżeli chociaż jeszcze raz ktoś cię z nią zobaczy, pokażę te zdjęcia Ednie. Kiedy się z tobą rozwiedzie, ruszymy sprawę czechosłowackiego konsulatu i przypomnimy sobie, co zeznał na twój temat Jirzi Labuda. Przemyśl więc dobrze, jak ta historia może

się skończyć.

Nie mówiąc ani słowa, Daniel oddał zdjęcia kapitanowi.

– Zrozumiałeś, że nie żartuję, mam nadzieję – powiedział Wyr i wyszedł.

Przez jakiś czas Daniel stał pośrodku stajni, uderzając się lekko pejczem po cholewie buta. Mogło być gorzej. Wyr na pewno nie wiedział o działalności „towarzysza Krügera”. W każdym razie musieli z Niną jak najszybciej opuścić Szanghaj.

A gdyby tak samolotem? Nie mógł nim lecieć do Kantonu, do tego potrzeba by było map z wyznaczoną trasą. No i gdzie tankować po drodze? Na południe od Szanghaju ciągnęła się nieskończona chińska prowincja, tam nie mieli nawet elektryczności.

Przed wejściem Daniel spotkał się z Adą.

– Dzień dobry, sir – przywitała się.

Spojrzał na nią uważnie. Na wszelki wypadek należało zarejestrować samolot na kogoś innego, koniecznie neutralnego i nieorientującego się w technice wojskowej. Kiedy don Fernando się podleczy, da radę przetransportować avro morzem.

– Miss Marshall, będę jutro potrzebował pani pomocy – rzekł. – Przyjadę po panią o szóstej rano.

– A dokąd pojedziemy? – zdumiała się Ada.

– To będzie niespodzianka. Tylko nikomu ani słowa.

Biedna dziewczyna tak się zmieszała, że ledwie potrafiła wypowiedzieć: „Tak, sir... Jak pan każe...”.

Daniel mrugnął do niej porozumiewawczo i poszedł do siebie. Po godzinie, przechodząc obok biblioteki, zajrzał przez uchylone drzwi. Ada tańczyła, nucąc popularną piosenkę *Tak długo czekałam, mój miły*. Ręce trzymała tak, jakby obejmowała niewidzialnego mężczyznę.

Rozdział 19

Studencka demonstracja

Klima odszukali wolontariusze z Czerwonego Krzyża, którzy sprawdzali zawałiska w rejonie Xiguanu. Złocona bogini Guanyin rozbiła mu głowę, ale równocześnie osłoniła kamiennym ciałem przed odłamkami.

Klim miał niebywale szczęście. Ponieważ był biały, odwieziono go do szpitala zorganizowanego w hotelu Victoria na wyspie Shamian. Kilka dni leżał bez przytomności na korytarzu, gdzie natknął się na niego Jednooki, który przyszedł odwiedzić swojego szefa.

Na żądanie Fernanda Klima umieszczono razem z nim w luksusowym pokoju.

– Tylko mi teraz nie umieraj! – szeptał czule przemytnik. – To by było nieładnie, żeś mnie uratował, a sam skończysz w drewnianym pudle. Patrz, jakie nam się dostały apartamenty! Mamy tutaj bar, balkon i gramofon z płytami! Kiedy staniemy na nogi, pójdziemy do łaźni. Mówią, że tam są krany w kształcie gołych bab.

Niebawem do szpitala przyjechał sławny angielski chirurg.

– Ozłocę cię! Na wieki będę twoim dłużnikiem, tylko ocal mojego najlepszego przyjaciela! – błagał go don Fernando.

Doktor powiedział, że i bez tego zrobi swoje, po czym zabrał Klima do sali operacyjnej.

Później don Fernando przeczytał zapis w jego karcie: otwarty uraz czaszkowo-mózgowy, kluta rana piersi, a do tego imponująca lista drobniejszych rozcięć i stłuczeń.

– Niedobrze, że dostał po głowie – powiedział Jednooki. Kiedyś pracował jako kat i orientował się w ranach lepiej od wszelkich doktorów. – Jeżeli przeżyje, może się okazać, że coś ma z głową. To pamięta, a tamtego nie... Albo jeszcze gorzej.

Klim przez cały czas majaczył, bredząc na przemian po rosyjsku, hiszpańsku i angielsku, a don Fernando zdumiał się niepomierne, gdy pojął, że jego wybawca jest mężem Niny Kupiny.

– Też nie miał się z kim związać! – wściekł się. – Pewnie, że wygląd u niej należyty, ale brać taką za żonę? Boże uchowaj! Ty co, nie wiesz, że kręciła sobie romans z Danielem Bernardem?

– Wiem – odezwał się cicho Klim.

Burbano aż podskoczył.

– Odpoczywaj, odpoczywaj! Nic takiego nie mówiłem, wszystko ci się przyśniło.

Otrzymałszy telegram od Daniela, Fernando odpowiedział, że Rogow zginął podczas bombardowania. Wątpił, czy mister Bernard życzyłby konkurentowi szybkiego powrotu do zdrowia, a Burbano przysiągł odpłacić się Klimowi dobrem za dobro.

W kolorowym i bardzo wiarygodnym majaku Rogow widział, jak przerzucają go na nosze i chowają w grobie.

– Napisz do Niny, że się chyba wykaraskam – prosił co rusz.

Don Fernando uspokajał go:

– Napisałem, uspokój się! Już pięć listów wysłałem i dziesięć telegramów. – Stał się przesądny jak chińska babka i bał się nawet zająknąć o śmierci.

Całymi dniami modlił się do Świętej Dziewicy, żeby pozwoliła Klimowi przeżyć.

– Co cię kosztuje uratować go? Jeśli chcesz, różaniec zmówię tysiąc razy. Albo podaruję naszym zakonnikom skórzane zelówki do trzewików. Mam spory zapas w magazynie!

Fernando doszedł do tego, że obiecał Maryi wejść na dobrą ścieżkę i więcej nie mieć interesów ze światem przestępczym. Po tym postanowieniu Klim od razu zaczął się poprawiać na zdrowiu.

– Jesteśmy teraz jak bracia! – cieszył się don Fernando. – Ty mnie wyniosłeś spod kul, a ja cię wymodliłem od śmierci. Nie jesteś przecież katolikiem? No to od razu trafiłbyś do piekła. A tak jeszcze pożyjesz i nacieszysz się światem.

Ale Klim daleki był od radości. Stał się burkliwy i ponury, każdego dnia po rozdaniu listów odwracał się do ściany i nie chciał z nikim rozmawiać.

Burbano domyślał się, że Klim czeka na wiadomości od żony, ale nie śmiał mu powiedzieć, że odpowiedzi nie będzie.

Czytać bowiem umiał, ale pisać nie za bardzo, więc wysyłając list do Niny, przekręcił adres. List wrócił, a Fernando każdego dnia przysięgał sobie, że poprosi Klimę, żeby napisał na kopercie nazwę ulicy. Było mu jednak tak wstyd, że wciąż o tym „zapominał”. Do tego uważał, że Nina nie jest dobrą partią dla jego przyjaciela. Przynosiła mu pecha.

W kraju zaszły ważne zmiany. Nieoczekiwanie Sun Jat-sen zmarł na raka wątroby, a jego doradcy zaczęli się wyklócać, kto ma zostać następcą. Partia Kuomintang rozpadła się na dwa obozy: lewy ciągnął ku sojuszowi z komunistami, a prawy na czele z Czang Kaj-szekiem nie chciał zmieniać jednych obcych „protektorów” na drugich.

Klima to wszystko niewiele obchodziło.

– Nie ma wiadomości z Szanghaju? – pytał za każdym razem, kiedy Burbano zaczynał rozmowę o polityce.

Don Fernando udawał, że nie wie, o co chodzi.

– Postanowili zabronić wykorzystywania dzieci, zwiększyć opłatę

cumowniczą dla drobnych kupców i wprowadzić cenzurę w chińskiej prasie. Studenci każdego dnia protestują i organizują wiece z mordobiciem, więc całkiem w porę wyjechaliśmy z tego gnojowiska. Proponuję zostać w Kantonie i zacząć uczciwe życie. Zaopatrzymy na nowo Świętą Marię i będziemy łowić ośmiornice.

Ale Klim chciał wrócić do Szanghaju.

– I co ja mam z nim począć? – skarżył się don Fernando Świętej Dziewicy. – Jeśli nie odstawię go do Szanghaju, dostanie się na statek z kulisami, złapie jakąś chorobę i znów zacznie umierać. Widziałaś przecież, że z niego tylko skóra i kości zostały. Beze mnie przepadnie.

Na próżno Fernando zęgnął się znakiem krzyża i słał w sufit eteryczne pocałunki. Święta Panienska nie odpowiadała.

– W takim razie też pojedę do Szanghaju! – postanowił zatem. – Tylko pamiętaj, że tam z mojej pobożności nic nie zostanie.

O świcie Daniel podjechał pod Dom Nadziei i zatrąbił trzy razy. Ada zeszła po chwili, klapnęła na tylnie siedzenie.

– Dzień dobry, sir!

Nie można na nią było patrzeć bez rozczenia. Gustu nie miała za grosz. Nie doceniała swojego najważniejszego bogactwa – młodzieńczego uroku – i ze wszystkich sił starała się upodobnić do artystek kinowych. Brwi miała wyskubane w cieniutką linię, wargi pomalowane czerwonym kancelaryjnym ołówkiem, a na jej szyi kołysała się czerwona atlasowa kokardka. Daniel widział ją na pudełku z prezentem, który przyniosły Ednie przyjaciółki.

– Dokąd jedziemy? – spytała Ada. Wyjęła z kieszeni landrynkę i włożyła ją do ust. W samochodzie zapachniało miętą. Przewidująca Ada najwyraźniej szykowała się do pocałunków.

Daniel zerknął na jej ostre kolanka, wystające spod nieco pomiętej spódniczki.

– Zaraz sama pani zobaczy – zapewnił.

Mimo wczesnej pory na ulicach dawali się zauważyć chińscy studenci w tradycyjnych długich kaftanach. Jeden niósł zwinięte sztandary, inny rozklejał plakaty. Wielu zbierało się przy kuchniach obnośnych handlarzy i coś omawiało z zapalem.

– I dlaczego nie chcą żyć spokojnie? – dziwiła się Ada. – Gdybym ja miała bogatych rodziców, którzy by mogli zapłacić za naukę, siedziałabym cicho jak mysz pod miotłą.

Daniel skręcił w wąską uliczkę. Z jednej strony ciągnął się żywopłot, z drugiej nieskończony rząd chińskich domów krytych dachówką.

Ada dostrzegła wśród gałęzi lakierowane skrzydło i aż podskoczyła na siedzeniu.

– To przecież lotnisko! Będziemy oglądać aeroplany?

– Nie tylko – odparł Daniel.

Podjechał pod bramę z cienkich bambusowych prętów przeplatanych drutem. Stróż pospiesznie otworzył, żwir zagrzechotał pod kołami samochodu, który pojechał wzdłuż lądowiska.

Ada przylepiła się do szyby, oglądając samoloty.

– Możemy podejść bliżej? Oj, żeby można się było przy takim sfotografować! Do śmierci bym takie zdjęcie trzymała!

– Potem się pani sfotografuje – odpowiedział z uśmiechem Bernard. – Dzisiaj polecimy do Suzhou.

– To znaczy jak? – spytała Ada słabym głosem. – My? Ja?...

Po wyjściu z samochodu Daniel poprowadził ją do pomalowanych na czerwono hangarów.

– Naprawdę chce pan lecieć? – ekscytowała się Ada. – Ale aeroplan nie spadnie? A co będzie, jeśli zabłądzimy w niebie? – Przepęłniały ją to strach, to niedowierzanie, to żądza przygód. – Pan na pewno sobie ze mnie żartuje! Jak panu nie wstyd?

Technicy wytoczyli z hangaru avro, Daniel pomógł Adzie założyć pilotkę i skórzany płaszcz, bo w górze mogło być zimno.

Założyła gogle.

– Jestem podobna do ważki?

– Kubek w kubek – potwierdził Daniel i wskazał jej miejsce. – Niech pani wsiada!

Usadził dziewczynę, potem wskoczył na fotel pilota i kazał zapuścić śmigło. Avro pojechał, podskakując, po lądowisku, rozpędził się i uniósł ku niebu.

– Aaaa! – zapiszczała przestraszona Ada.

Daniel zrobił zwrot i poleciał nad miastem, usianym cieniami chmur. Z góry rzeki przypominały połyskujące w słońcu klisze filmowe, a budynki były podobne do rozsypanych kostek barwnego domina.

Przelatując nad domem Niny, Daniel z nawyku wyobraził sobie, jak zrzuca niewidzialną bombę, która powinna zburzyć jego dawne życie i złe wspomnienia.

– Wszystko załatwię i wszystko urządzę – wyszeptał. – Możesz być spokojna.

Po dotarciu do Suzhou, miasta łukowatych mostów i płaczących wierzb, Daniel zabrał Adę na wodną przejażdżkę po wąskich kanałach, wykopanych jeszcze w poprzednim tysiącleciu.

Przewoźnik, smagły chłopiec, powoli pracował wiosłem, a przy każdym ruchu na wodzie pojawiały się maleńkie wiry.

Ganeczki pobielonych domów wychodziły prosto na mostki, przy których cumowały pociemniałe ze starości płaskodenne łódki. Z otwartych okien dobiegały głosy dzieci i śmiech kobiet.

Ada, zmęczona strachem po przelocie, siedziała na dziobie razem z Danielem. Pod jej nogami leżały rzeczy kupione w sklepiku po drodze: jedwabny kaftan, lusterko i haftowany wachlarz.

Już odczuwała lęk na myśl o tym, że mogłaby zostać kochanką mister Bernarda. A jeśli Edna by się dowiedziała? Przecież wówczas mogłaby nie tylko stracić pracę, ale też narazić się na zemstę kapitana Wyera. Ada słyszała, jak wrzeszczał o Ninie: „Już ja ją załatwię!”.

– To miasto ma dwa i pół tysiąca lat, jest rówieśnikiem Konfucjusza – powiedział w zamyśleniu Daniel. – Kiedyś było stolicą księstwa Wu, słynnego z jedwabi i pięknych kobiet.

– Z takich? – Ada zaśmiała się nerwowo, wskazując grubą kobietę płuczącą w kanale bieliznę.

– Niezupełnie. – Daniel wskazał odbicie dziewczyny w wodzie. – Raczej w tym rodzaju. Wie pani, jest taki wiersz:

*Daleki dzwon, na łódkach latarnie,
Liliowy wieczór jest długi nieznośnie.
Sen znów do świtu mnie nie ogarnie,
Patrzeć na dachy pagody w oddali
Będę, o milej mej myśląc zazdrośnie.*

*Za to, by móc zobaczyć ją znowu
Wszystko na świecie jam oddać gotowy.*

– To już wszystko? – Ada uniosła brwi. – Cały wiersz? Aż się nie chce

wierzyć.

– Jeśli pani chce, podaruję jej aeroplan – powiedział cicho Daniel. – Na pewno już w dzieciństwie chciała się pani nauczyć latać. Dlaczego by nie spełnić takiego marzenia?

Propozycja była tak niedorzeczna, że Ada tylko machnęła ręką.

– Niechże pan już przestanie!

– Dlaczego? Mogę nawet zaraz zalegalizować dokumenty na panią. Tylko proszę, żeby pani poczekała z nauką do mojego powrotu, bo niedługo wyjeżdżam w interesach i nie będzie mnie kilka miesięcy.

Ada zamrugnęła z niedowierzaniem.

– Albo jest pan kłamcą, jakiego jeszcze świat nie widział, albo całkiem oszalał...

Daniel uniósł jej dłoń do ust.

– Tak, straciłem rozum. I bardzo jestem z tego rad.

Do ostatniej chwili Ada była przekonana, że mężczyzna żartuje, ale rzeczywiście poszli do chińskiego urzędnika, który wręczył jej dokument poświadczający, iż aeroplan Avro-504 od tej chwili jest jej własnością.

Wrócili do Szanghaju taksówką. Daniel powiedział, że samolot lepiej zostawić w Suzhou, aby Edna nie dowiedziała się o ich sekrecie.

– Mister Bernard, ja tak nie mogę! – powtarzała Ada. – Jest pan dla mnie taki łaskawy... Przez cały czas robi pan dla mnie coś dobrego, a ja nie wiem, jak się panu odplacić.

Daniel tylko się uśmiechał:

– Niczego od pani nie żądam.

Wjechali do miasta i podążali Bubbling Well Road. Ledwie minęli hipodrom, kiedy ruch stanął. Na Nankin Road tłum studentów zagroził przejazd. Kierowcy trąbili, rikszarze klęli, ale młodzież nie zwracała na nich uwagi i wykrzykiwała chórem hasła.

– Czego chcą? – spytała Ada.

– Równouprawnienia, sprawiedliwości i zmiany praw, które pogarszają sytuację biedoty – wyjaśnił Daniel.

Zapłacił kierowcy i wysiadł.

– Chodźmy, inaczej długo nam przyjdzie tutaj czekać.

Poszła za nim między trąbiącymi samochodami, przyciskając prezenty do piersi.

Naprzeciwko posterunku policji tłum zgęstniał. Byli tutaj studenci, zakonnicy, pracownicy biur i kulisi. Na słupie ogłoszeniowym siedział chudy chłopaczek i potrząsając pięścią, płomiennie przemawiał. Tłum klaskał frenetycznie.

Kiedy Daniel i Ada dotarli na przeciwną stronę ulicy, przy bramie posterunku wybuchła awantura. Studenci zaczęli rzucać kamieniami, kogoś przewrócili i zaczęli kopać.

Daniel obejrzał się i zobaczył oficera w korkowym hełmie.

– Ostatnie ostrzeżenie! – krzyknął tamten, wskazując oddział sikhów uzbrojonych w karabiny. – Jeśli się nie rozejdziecie, nie odpowiadam za to, co się może stać!

Bernard nie bardzo wiedział, po co oficer się wysiła. Zgromadzeni i tak nie rozumieli po angielsku.

Wzięła Adę za rękę. Trzeba stąd uciekać! I wtedy zabrzmiała salwa.

Tłum z wyciem poszedł w rozsypkę, rzucił się do ucieczki, zmiatając wszystko na swojej drodze.

– Stratują nas! – krzyknął Daniel, dysząc, kiedy ciżba przycisnęła ich do ściany.

Naparli na wąskie, odrapane drzwi i znaleźli się w restauracji, gdzie jedli obiad Chińczycy w długich niebieskich kaftanach. Nad miseczkami unosiła się para, pod sufitem kręcił się stary wentylator.

Na widok białych wielki pracownik lokalu ruszył ku nim.

– Nie wolno tutaj!

Chciał ich wypchnąć, ale wtedy wpadli do środka przerażeni ludzie, upadając. Na wierzchu tej kupy Daniel zauważył rozczochraną jasnowłosą kobietę. Spęzła na podłogę i zasłoniła głowę zakrwawionymi rękami.

– Edna! – krzyknął.

Ada rzuciła prezenty, podbiegła do niej

– Missis Bernard! Co z panią?

Zanieśli ją do kuchni.

– Daj jakiś ręcznik, nie widzisz, że krwawi? – warknął Daniel do osłupiałego kucharza.

Ten rzucił mu mokrą ścierkę.

– Po kiego czorta tam polazłaś? – wściekał się Bernard, wycierając skórę wokół głębokiego rozcięcia na czole żony.

Patrzyła na niego dzikimi oczami, wargi jej drżały, grzywka lepiała się od krwi.

– Zbieranie wiadomości to moja praca...

– Trzeba ją stąd zabrać! – wyszeptwała Ada. – Nie daj Boże Chińczycy poznają, że to córka Wyera!

Wzięli Ednę pod rękę i wyprowadzili ją przez tylne drzwi na zawałone śmieciami podwórze, a potem, błędząc krętymi zaułkami, dostali się na pustą ulicę.

Przez korony drzew przeświecało jaskrawe słońce, gdzieś daleko brzmiały policyjne gwizdki i ryczały samochodowe klaksony.

Daniel nigdy nie chodził tą ulicą piechotą i dopiero widząc znajomą białą willę, zorientował się, że to dom Niny.

Nagle Edna straciła przytomność.

– Umarła! – pisnęła Ada.

– Niech pani nie wrzeszczy! – burknął Daniel.

Położył żonę na trawie.

– Niech pani tu zostanie, ja zaraz wrócę! – powiedział, a potem pobiegł do willi i zabębnił w drzwi.

Otworzył szczupły, ciemnowłosy mężczyzna.

– Czego potrzeba? – odezwał się zimnym głosem z rosyjskim akcentem.

– Nina jest w domu? – spytał Daniel i dopiero się zorientował, że stoi przed nim nie kto inny, jak Klim Rogow.

Notes. Szkicownik, nowy dziennik Klima Rogowa

W młodości nieraz wyobrażałem sobie własny pochówek. Uczestniczyło w nim nie mniej niż pięćset osób, wojskowa orkiestra i umierająca z rozpaczy piękna dziewczina. A co mógł mi zaproponować Kanton? Dwóch kulisów z łopatami i Fernanda w charakterze płaczki?

Z pewnością przeżyłem dzięki chęci protestu. Bardzo nieprzyjemnie jest myśleć, że twoje drogocenne życie skończy się tak głupio. W każdym razie powinienem się dowiedzieć, co u Niny i dlaczego do mnie nie pisze. Przecież Fernando wysłał do niej kilka listów!

Przed odjazdem starałem się wysłać wiadomość, ale nic z tego nie wyszło. W Kantonie idzie walka ze szpiegami na całego i bez wylegitymowania się nie można skorzystać z telegrafu.

Jechałem z powrotem, przygotowując się na najgorsze. Coś się stało z Niną? Wyer aresztował ją przeze mnie? A może znalazła sobie kolejnego wielbiciela i postanowiła o mnie zapomnieć?

Trzydziestego maja 1925 roku Święta Maria zawięła do Szanghaju i Fernando łaskawie zgodził się podwieźć mnie do Niny.

– Jeśli zastaniesz żonę z kochankiem, wracaj do mnie – powiedział i odjechał.

Byłem napięty do ostatnich granic. Słońce przypiekało, ptaki śpiewały, było przepięknie! A ja czułem się tak, jakbym miał usłyszeć wyrok śmierci.

W tej chwili Kitty z opiekunką wróciły ze spaceru. Moja córeczka tak wyrosła, że ledwie ją poznałem. Przecież kiedy wsiadłem na statek przemytnika, jeszcze nie chodziła.

Kitty wzięła z ziemi gałązkę i podała mi. Ukucnąłem i zacząłem ją wypytywać, co u niej, jak się ma, a ona odpowiadała mi w swoim dziecięcym, zupełnie niezrozumiałym języku.

Służąca wezwała Ninę, a ta wybiegła na ganek w białym szlafroku, z mokrymi włosami. Zanim zdążyłem powiedzieć choć słowo, rzuciła się ku mnie i rozplakała: „Dlaczego nie pisałeś?!”.

Okazało się, że nic nie wiedziała o moim zranieniu. Nie doczekawszy się na wiadomość, postanowiła mnie poszukać. W gościnnym już stały walizki, a na stole leżała mapa Kantonu i z tuzin przewodników.

Oboje byliśmy oszołomieni i zmieszani. Przez te miesiące każde z nas rozmyślało o zdradzie i śmierci, trudno nam było uwierzyć, że nic takiego nie

nastąpiło. Przecież w naszych głowach to wszystko rozgrywało się każdego dnia!

– Wyer cię nie nachodził? – spytałem.

Nina opowiedziała, co się stało. Chwała Bogu, kapitan ograniczył się do gróźb, ale i tak jej było niewiarygodnie trudno. Oszukiwali ją jezuici, rujnowała konkurencja, a pieniędzy było zbyt mało. Jak moja dzielna dziewczynka to wszystko przetrwała?

Także opisałem jej moje przygody. Dowiedziawszy się o moim spotkaniu z Danielem Bernardem, wykrzyknęła:

– Ani słowa mi o tym nie powiedział!

Poczułem, jakby w środku ktoś wyrwał mi przewód wysokiego napięcia, a jego koniec upadł i poraził prądem wszystko wokół.

– Daniel przychodził do ciebie?

Nina przestraszyła się i zaczęła tłumaczyć, że ona nie chce go znać. Rozległo się stukanie do drzwi, a na progu pojawił się sam mister Bernard.

Czy trzeba wyjaśniać, jaki wszyscy mieliśmy wyraz twarzy? Nina pierwsza przyszła do siebie i postanowiła wyprosić niespodziewanego gościa.

– Proszę sobie iść!

Widziałem, jakimi oczami Daniel na nas patrzył. Moja żona złamała mu serce.

– Słyszeliście strzały? – zaczął. – Na Nankin Road policjanci rozgonili demonstrację. Edna jest ranna, straciła przytomność...

– Każę szoferowi, żeby zawiózł was do szpitala – powiedziała Nina.

Dosłownie wypchnęła go na zewnątrz i zatrzasnęła drzwi.

– Trzeba zobaczyć, co z Edną – powiedziałem, ale Nina stanęła mi na drodze.

– Nie chodź tam! Służba poradzi sobie bez nas. Nie rozumiesz, że zaraz się pozabijacie?

Widziałem przez okno, jak szofer wyprowadził samochód. Daniel wsadził do niego Ednę z Adą i odjechali.

– Muszę odejść, żeby nie sprowadzić na ciebie i Kitty nieszczęścia – powiedziałem. – Mister Bernard postara się mnie pozbyć, a Wyer też na pewno nie zapomni o mnie.

Ale Nina była pewna, że mamy w zapasie jeden dzień. Policjanci nie powinni mieć teraz do nas głowy, a Daniel rozumie, że już wszystko opowiedziałem żonie, i nic z tym nie może zrobić.

Bardzo chciałem wypytać Ninę o jej związki z Bernardem, ale postanowiłem siedzieć cicho. Te szczegóły nie przyniosą nam nic dobrego. Musimy zacząć wszystko od nowa, więc postanowiłem, że chociaż będziemy udawać szczęśliwą rodzinę.

W dzieciństwie nie ma znaczenia, kim człowiek jest w rzeczy samej – każdy

chłopiec może zostać bohaterem, a każda dziewczynka piękną księżniczką. Jeśli będą gotowi widzieć siebie nawzajem w nowym świetle, zabawa przyniesie im niewypowiedzianą przyjemność.

Do samego wieczoru świętowaliśmy, bawiliśmy się z Kitty, tańczyliśmy i całowaliśmy się. Nasze egzystencje szybko wrastały w siebie, a to wstrząsnęło mną do głębi. Najbardziej codzienne sprawy, jak wspólne mycie, prośby o podanie mydła za prysznicową zasłonę, nabierały nowego znaczenia. Kto by pomyślał, że mam do tego prawo!

Teraz około północy po ciele rozlewa się błogie zmęczenie, ale nie mogę zasnąć. Siedzę w sypialni Niny przy toaletce i odsunawszy na bok pędzelki i puzderka z perfumami, piszę nowy dziennik. *Zyski i straty* zaginęły gdzieś w czeluściach chińskiej poczty, ale nie żałuję tego. Warto zapomnieć o niektórych szczegółach swojej biografii.

Wciąż mam ochotę patrzeć na żonę, żeby sprawdzić, czy jest obok, czy mi się to wszystko nie przyśniło. Teraz śpi, a moskitiera kołysze się lekko niczym kłęby mgły. Moje serce śpiewa dziękczynne hymny, a ja okropnie żałuję, że nie mogę zadzwonić do Boga, aby mu podziękować za dobroć.

Rozdział 20

Strajk generalny

Notes. Szkicownik

Trzydziestego maja na Nankin Road zginęło trzynastu studentów, a kilkudziesięciu odniosło rany. Następnego dnia chińskie związki zawodowe ogłosiły strajk generalny, więc teraz w koncesjach zagranicznych nie działają telefony, nie wychodzą gazety, wodociągi też nie funkcjonują.

Właściciele stacji benzynowych nie sprzedają paliwa obcokrajowcom, nie jeżdżą tramwaje, a rikszarze odmawiają wożenia białych pasażerów. Pewnie dlatego, jak do tej pory, nikt nas nie niepokoi. Bandziory Wyera z pewnością strajkują, a Daniel Bernard nie ma ochoty chodzić piechotą w taki upał.

Nina ma kolejny pomysł na interes. Chciałaby założyć agencję ochrony i zatrudniać byłych białogwardzistów, żeby pilnowali i nas, i klientów. Popyt na takie usługi jest niemały, bo teraz każdy, kto ma pieniądze, boi się napadów. W szczególnie trudnej sytuacji znajdują się bogacze, którzy przyjechali z ogarniętych wojną prowincji. Nie mają w Szanghaju ani przyjaciół, ani krewnych, policja strajkuje, a wynajmowanie Chińczyków wiąże się z ryzykiem, jako że własni ochroniarze mogą się okazać po prostu członkami bandy.

W takiej sytuacji Rosjanie to idealny wariant. Nie mówią w miejscowym dialekcie, zatem nie mogą mieć związków z przestępcami. Przy tym posiadają bojowe doświadczenie, a prócz tego są wymęczeni beczynnością i traktują swoje obowiązki bardzo poważnie.

Nina już orientuje się trochę w biznesie. Ze znajomością rzeczy kreśli schematy i podlicza, jakie środki trzeba włożyć w wynajęcie pomieszczeń i szkolenie. A ja ją obserwuję i myślę, że otworzenie własnej firmy to twórczość podobna do literackiej, malarskiej albo wynalazczej. Jakkolwiekby bolszewicy wyklinali na biznesmenów, to właśnie ci ludzie tworzą nowe miejsca pracy w całym chaosie życia, oferują produkty i usługi, bez nich nie znalazłbyśmy nie tylko parowozów i telegrafu, ale nie mielibyśmy nawet guzików.

Pora pomyśleć, co będę robił, kiedy moja żona zacznie zarabiać więcej ode mnie. Ja mierzę sukces nakładami, a Nina zyskiem, dlatego jeśli będziemy wykonywali swoją pracę jak trzeba, mnie czeka sława, a ją bogactwo i nie będę za nią w stanie nadążyć. Cóż, uznamy w takim razie, że dbałem o Ninę bardzo długo, niczym ogrodnik o ulubioną różę, a ona pewnego pięknego dnia rozkwitła.

Wracając do Szanghaju, przygotowywałem się na długie bezrobocie, ale strajk był mi bardzo na rękę, jako że zapotrzebowanie na wiadomości z Chin osiągnęło niebywałe szczyty, i zatrudniłem się jako korespondent Reutera.

Wcześniej informacje z Państwa Środka nie bardzo interesowały międzynarodową opinię publiczną, ale teraz jak nigdy widać, na ile wszystko jest powiązane. Strajk generalny w Szanghaju doprowadził nie tylko do spadków giełdowych, ale na przykład do nowojorskich fabryk włókienniczych nie dotarła przędza jedwabna, do paryskich domów towarowych nie dowieźli porcelany, we Włoszech jest zastój w dokach, a w angielskich country clubach nie podają przyzwoitej herbaty. I tak dalej w nieskończoność. Teraz świat czeka na wytłumaczenie, co się tutaj stało.

Pracy nie mam łatwej – Chińczycy niezbyt chętnie rozmawiają z białymi dziennikarzami, a czasem wręcz przeganiają nas ze swoich wieców, bo i tak „wszystko przekręcimy”. Od policji też nam się dostaje. Do rozganiania manifestacji przyjeżdżają konne oddziały i polewaczki strażackie, więc już nieraz wracałem do domu posiniaczony i przemoczony.

Biały Szanghaj przyczaił się i nastroszył niczym zagoniony w kąt jeżozwierz. Została ogłoszona mobilizacja pułku ochotniczego, a z zagranicznych okrętów zostali wysadzeni na ląd marynarze. Chińczycy widzą w tym nie zamiar obrony, ale przygotowania do okupacji, więc napięcie tylko rośnie.

Kapitan Wyer stał się dla mieszkańców miasta symbolem niesprawiedliwości, okrucieństwa i lichwiarstwa, to jego uważają za głównego winowajcę zajść z trzydziestego maja (choć tamtej soboty polował na kaczki i dowiedział się o wszystkim dopiero następnego dnia).

Zdaje się, że nie na darmo poświęciłem tyle sił na Wyera. Rzucone przeze mnie ziarno wydało całkiem obfity plon i teraz pan kapitan jest najbardziej znienawidzonym człowiekiem w Szanghaju. Całe miasto zostało oklejone plakatami „Śmierć komisarzowi policji!”.

Nie pragnę krwi Wyera, bo to w końcu ojciec Edny. Niech po prostu wyjedzie, żeby ślad po nim nie pozostał.

Policja odmawia przyjęcia na siebie winy za śmierć studentów. Według funkcjonariuszy winni są podżegacze, którzy skłonili tłum do ataku na posterunek.

Johnny Collor i inni zagorzali rasiści uważają, że z Chińczykami w ogóle nie warto pertraktować.

– Zrozumcie, że chcą nas stąd wygnać! – opowiada. – Jeżeli dzisiaj ustąpimy, to jutro zażądają nacjonalizacji naszych domów i przedsiębiorstw. Komuniści i nacjonaści z Kuomintangu grają na najniższych instynktach tłumy i nastawiają go przeciw nam. Każdego dnia dostajemy meldunki o tym, co się dzieje na zebraniach robotników. Oni chcą naszej krwi!

W głowach rasistów nie może się pomieścić idea równouprawnienia. W ich świecie jeden musi być koniecznie panem, a drugi niewolnikiem, jeden agresorem, a drugi ofiarą. Po chińskiej stronie też nie ma woli porozumienia i zrozumienia, więc na razie nie widać wyjścia z sytuacji.

Życie stało się ciekawe, trudne i przerażające.

Wszystkie polityczne niepokoje ostatnich dziesięcioleci to bitwa o Marzenie. Dawniej, kiedy bogactwo zależało od ziemi, rolnik nie chciał zbyt wiele i był zadowolony, jeśli miał słomiany dach nad głową oraz garść ryżu na kolację. Rozumiał doskonale, że nigdy nie zostanie ziemianinem, a na zmianę mógł liczyć dopiero w życiu pozagrobowym.

Teraz przesady stanowe umierają, światowa gospodarka rozwija się w niesłychanym tempie, więc młodzież nie chce żyć tak jak dziadkowie i babcie.

W związku z położeniem geograficznym, gęstością zaludnienia i różnorodnością Szanghaj zamienił się w poligon, na którym kształtuje się przyszłość człowieczeństwa. Jak się będziemy ze sobą porozumiewali? Co mamy zrobić z martwymi porządkami, które ciągną nas wstecz? Jak urządzić sprawiedliwe społeczeństwo? Jak zlikwidować wzajemną nienawiść i strach?

Myślę, że narąbiemy sporo drew, zanim osiągniemy jakiegokolwiek rezultaty. Johnny bez wątpienia ma rację, kiedy mówi, że ciemni chłopci razem z okowami porzucają też resztki umiłowania pokoju. Zabijają i ograbiają każdego białego, uważając, że to jest walka o wolność Chin. Jest im zupełnie obojętne, na kogo trafią – na mnie, kapitana Wyera czy mniszki rozdające zupełę głodnym sierotom.

Niestety w tym konflikcie nie mogę brać niczyjej strony, dlatego za „swoich” uważam jedynie żonę, córkę i kilku dobrych znajomych.

Zdaje się, że pomysł Niny na ochroniarzy przyszedł wyjątkowo w porę.

Po Osiedlu Międzynarodowym krążą plotki, że robotnicy kamienują zagranicznych majstrów i grabią sklepy Chińczyków podejrzanych o współpracę z „białymi diabłami”. Na fali wszechobecnego strachu przed pogromami Nina od razu otrzymała oficjalne zezwolenie na otwarcie agencji ochrony i zebrała trzydziestu białogwardzistów, mieszkających przy Joffre Avenue.

Nowy interes zupełnie ją wciągnął. Nie ma kiedy zajmować się kalendarzami, zostawiła więc wszystko Bingbing, a sama całymi dniami chodzi po klientach i podpisuje umowy o ochronie magazynów, sklepów i uroczystości ślubnych.

Wieczorami, zmęczeni i zadowoleni, spotykamy się w pokoju dziecięcym, żeby pobawić się z Kitty; urządzamy a to tańce we trójkę, a to przedstawienia z pluszakami.

Nauczyłem się już trochę rozumieć małą. Okazuje się, że mówi w trzech językach: rosyjskie słowa są przeznaczone dla rodziców, angielskie wiąże z zabawkami i placem zabaw, a szanghajski dialekt, którego uczy się od opiekunki, idzie w ruch podczas jedzenia, kąpeli i siedzenia na nocniku.

Kto by mógł mi powiedzieć trzy lata wcześniej: „Nie lękaj się! To, co teraz uważasz za nieprawdopodobne nieszczęście, stanie się osnową dla głębokiej, mocnej i bezwarunkowej miłości”.

Teraz śmieszyło mnie oglądanie się wstecz i wspomnianie, jakim byłem bałwanem. Brak zaufania i zniewagi były podobne do kurzu na oknach – jeśli się go nie zmywa, to po jakimś czasie nie widać, co się dzieje na zewnątrz, z braku światła nie można należycie oceniać wydarzeń. Człowiek myli się raz za razem, a w pokoju robi się coraz mroczniej i mroczniej. Ale wówczas wini się wszystkich, tylko nie siebie.

Szkoda, że Ada powtarza moje błędy. Byłem u niej w Domu Nadziei, ale nie chciała ze mną rozmawiać, nawet nie otworzyła mi drzwi. „Nienawidzę pana! Porzucił mnie pan!”. To wszystko, co mi powiedziała.

Ada nie dopuszcza do siebie myśli, że nieprawidłowo zinterpretowała wydarzenia, a dopóki sama nie zechce sobie tego uporządkować, dopóty niczego nie udowodnię. Niech żyje, jak chce, jest już dużą dziewczyną, a ja, jeśli mam być szczerzy, nie mam czasu na układanie z nią stosunków.

Nie możemy z Niną nacieszyć się naszym szczęściem. Znów przekonuję się, jak to dobrze natknąć się pod kołdrą na jej rękę i tak po prostu ją gładzić.

Mamy też jeszcze jeden zwyczaj, który zaprowadziliśmy całkiem niedawno.

Nina kładzie głowę na mojej piersi, a mój oddech usypia ją dosłownie w minutę. Ja jeszcze długo leżę z otwartymi oczami i przebieram palcami w jej kędziornach.

Służba Allmanów przyłączyła się do strajku, więc wieczorami Tamara i jej chłopcy siedzieli sami, czekając na powrót Tony'ego. Służył w pułku ochotniczym i po pracy w kancelarii patrolował miasto.

Przez ostatnie półtora roku Tamara czuła się winna względem Niny. Zupełnie jak Pandora z ciekawości otworzyła puszkę nieszczęść, ale nie swoich, lecz cudzych. Teraz sama nie umiała powiedzieć, co właściwie chciała osiągnąć. Zemścić się na Ednie? Zranić Daniela?

W rzeczy samej, Tamara już dawno straciła zainteresowanie byłą przyjaciółką i jej mężem. Po prostu zagalopowała się, przegapiła moment, w którym maskarada się kończy, a sprawy przyjmują poważny obrót.

Teraz została w otoczeniu dzieci, psów i ptaków – zupełnie bezradna i nikomu niepotrzebna. Telefon milczał, a w czasie strajku żadna z jej przyjaciółek nie zaproponowała pomocy.

Przy drzwiach wejściowych zabrzmiał dzwonek.

– Tatuś wrócił! – krzyknął Roger i pobiegł otworzyć.

Ale to była Nina. Poważna i zdecydowana. Weszła do pokoju i postawiła na stole maszynkę naftową.

– Pomyślałam sobie, że u was nawet nie ma na czym zagotować wody. Zaraz zjemy kolację.

Synowie Tamary patrzyli wielkimi oczami, jak Nina warzy kaszę. Nigdy nie widzieli, żeby biała kobieta gotowała.

– Za pięć minut wszystko będzie przyrządzone – oznajmiła Nina. – Chłopcy, noście talerze!

Nie zdążyli usiąść do stołu, kiedy wpadł Tony, a powietrze wypełnił od razu zapach stajni, ogniska i słodkiej pomady do wąsów.

– Witajcie, panie! O, miss Nina, cieszę się, że panią widzę! Mam ciasto. Dobroczynicy z Komitetu Antystrajkowego obdarowali dzisiaj wszystkich ochotników.

– Jak sprawy w kancelarii? – spytała Tamara.

Tony machnął ręką.

– Wprawdzie nakryliśmy partię przemyczanych płyt, ale chińscy stróże prawa strajkują, więc towar za dwanaście tysięcy został bez ochrony. Z reguły dogadują się z właścicielami. Wypłacają rekompensatę, a my zwracamy towar. Ale jeśli magazyn rozkradną, wszyscy stracimy.

– Jeśli pan chce, mogę przysłać moich chłopców – zaproponowała Nina. – Założyłam agencję ochrony, pracują u mnie białogwardziści, mogę zastąpić waszych strażników. Tak przy okazji, rosyjscy bezrobotni mogą rozwiązać problemy z wodociągami i elektrycznością. Może ich zatrudnić w miejsce strajkujących Chińczyków?

Tony odłożył serwetkę.

– Jest pani pewna, że można ich szybko zebrać?

– Jeśli dać ogłoszenie w cerkwi, za godzinę nie opędzicie się od chętnych.

Tony poderwał się, z hałasem odsunął krzesło.

– Tamaro, ja i pani Kupina musimy natychmiast jechać do Rady Miejskiej i porozmawiać z mister Sterlingiem! Chłopcy, zadbajcie o mamę! Niedługo wrócimy.

Notes. Szkicownik

Z początku mieszkańcy białego Szanghaju byli pewni, że strajk generalny nie potrwa długo. Chińczycy muszą coś jeść, więc nie mogą się obyć bez pracy.

Ale strajk zaczęli finansować chińscy przedsiębiorcy, ponieważ niszczy zagraniczną konkurencję i zwiększa popyt na miejscową produkcję. Cała chińska prasa drukuje ogłoszenia o chęci kupna wyłącznie tutejszych produktów, a zwykli ludzie są gotowi na wiele, żeby tylko dokuczyć zniechęconym kolonizatorom.

Można się przerazić tym, jak ludzie są nielogiczni. Walka o szczęście ludu w przyszłości zawsze rozpoczyna się od pozbawienia go szczęścia w teraźniejszości. Niewielkie podniesienie opłaty cumowniczej doprowadziło Chińczyków do wściekłości, ale kiedy podczas strajku ceny mocno wzrosły, nikt się nie oburza, chociaż skutek jest dziesięć razy bardziej opłakany.

Robotnicy bali się, że jeśli zabroniona zostanie praca dzieci, rodziny będą pozbawione ważnego źródła utrzymania, ale teraz nie mają żadnych dochodów, oprócz ryżu, rozdawanego przez dobroczyńców.

Czy ktoś myśli o tym, co się stanie po wszystkim? Jeśli ludzie zniszczą swoich pracodawców, gdzie znajdą nową pracę? Przecież darmowy ryż kiedyś się skończy.

Związki zawodowe zgodziły się przerwać strajk, jeżeli zostaną zrewidowane umowy, które nie gwarantują równouprawnienia, ale Rada Miejska to tylko organizacja samorządowa, nie ma możliwości zmieniać dokumentów międzynarodowych. Organizatorzy strajku doskonale to rozumieją i specjalnie nakręcają konflikt, udowadniając prostym ludziom, że „białe diabły” nie chcą pokojowego rozwiązania problemów. Im więcej krzywdy uczyni się kolonistom, na tym większe ustępstwa będą mogły liczyć związki zawodowe.

Nina wystąpiła jako pośrednik między Radą Miejską a naszymi imigrantami. Dzięki niej w ciągu trzech dni udało się uruchomić wodociągi i pocztę. Natchniony tym sukcesem Komitet Antystrajkowy zorganizował dla byłych białogwardzistów giełdę pracy i zaczął ich rozmieszczać po fabrykach.

W ciągu kilku lat obywatele wielkich mocarstw kręcili nosem na Rosjan hańbiących dumne imię „wyższej rasy”, ale ojcowie miasta musieli przyjąć do wiadomości nieprzyjemną prawdę, że białe społeczeństwo, tak samo jak chińskie, dzieli się na wykształconych i analfabetów, ludzi prostych i inteligentów, rozsądnych i nierozsądnych.

To, że na Dalekim Wschodzie biali zapracowali sobie na reputację potężnych

bogaczy, posiadających wiedzę tajemną, nie jest zasługą rasy, lecz okoliczności. Bilet do Azji drogo kosztuje, więc biedni po prostu się tu nie pchają. Ale jeśli przysłać do Chin dużą, przypadkową grupę w rodzaju rosyjskich uchodźców, mit o wyższości białych od razu się rozwieje.

Białogwardziści nie mogą załatać wszystkich dziur w gospodarce miasta, gdyż w chwili obecnej strajkuje ponad dwieście tysięcy Chińczyków, a Rosjan jest w Szanghaju dwadzieścia razy mniej. Ale i tak łamistrajki nieco ułatwiają nam życie. Szanghaj i przedtem nie odznaczał się szczególną schludnością, ale kiedy kulisi przestali czyścić szamba, po ulicach zaczął rozchodzić się odór zgnilizny. Teraz, chwała Bogu, można chociaż okna otworzyć.

Przewodniczący Rady Miejskiej, mister Sterling, obiecał nagrodzić Ninę za zasługi i załatwić nam amerykańskie obywatelstwo. Modlimy się, żeby nic złego się nie zdarzyło, bo z taką ochroną nawet Wyrer nam niestraszny. W ostatnich dniach nigdzie go nie widać i nie mam pojęcia, gdzie się podziewa.

Przez czas strajku Szanghaj zbrzydł, niczym człowiek zarażony groźną chorobą. Za to po odwiedzających cerkiew Objawienia Pańskiego od razu widać, że Rosjanom się polepszyło. Ludzie są lepiej ubrani i pogodniejsi, a z dziedzińca znikły namioty, w których mieszkali najbardziej pokrzywdzeni.

Stary żebrak, wujek Wania, mieszkający w kruchcie, zdobył gdzieś harmonię i teraz wyprasza jałmużnę pod muzykę.

*Drodzy moi państwo,
Nie patrzcie tu krzywo.
Dajcie groszy parę
Na szaszłyk i piwo.*

Na Joffre Avenue też widać zmiany. Pojawiły się rosyjskie sklepiki spożywcze, salony dla kobiet i nawet przedszkole. Gdy tylko moi rodacy zaczęli otrzymywać wynagrodzenie, otworzyły się lokale, w których można je przetracić.

Nina mogłaby przypisać sobie wszystkie te osiągnięcia, ale nie jest jej dane zostać zbawczynią narodu. Do Rady Miejskiej zaczęli przychodzić przewodniczący związków kozackich, prawosławnych i innych, bo to oni, a nie jakaś tam Kupina, powinni reprezentować interesy rosyjskich imigrantów przed obliczem społeczności międzynarodowej.

Słyszałem, jak w cerkwi Ninę nazywano uzurpatorką i grozono, że znajdzie się na nią paragraf, a Feliks Rodionow przekazał mi plotki, że moja żona pracuje dla bolszewików z OGPU.

Ninę strasznie boli niegodziwość i niesprawiedliwość tych oskarżeń. Próbuje doszukać się logiki w działaniach nieprzychylnych jej ludzi i dochodzi do niezmiennego wniosku: „Nie czyń dobra, wówczas nie doświadczysz zła”.

W rzeczy samej, logika jest tutaj bardzo prosta. Oficerów sztabu generalnego i najbardziej wpływowych kupców oburza sam fakt, że Sterling prowadzi rozmowy nie z nimi, ale z damulką, która nie wiadomo skąd się wzięła i nie wiadomo kogo reprezentuje. Zupełnie nie mogą zaś przeżyć faktu, że oni w najlepszym razie jeżdżą na taksówkach, a Nina nie tylko założyła firmę, ale w dodatku firma ta dobrze prosperuje.

Większość Rosjan nie ma pojęcia, dlaczego Rada Miejska zaproponowała im pracę. A ci, którzy wiedzą, że stoi za tym Nina, podziękują jej raz i na tym się

kończy. Tylko głupcy i zazdrośnicy nie dają jej spokoju. Nie wiedzą, przez co Nina przeszła i jak długo pracowała na to, żeby osiągnąć jaki taki sukces. Obwiniają ją o to, że jako jedna z nielicznych zdołała wejść w wyższe kręgi Szanghaju. Przecież jeśli taka kobieta robi coś dobrego dla swoich rodaków, to tylko po to, żeby ich oszukać i okraść! Dobrze, że Nina nie ma czasu na usprawiedliwianie się i wyklócanie. Musi załatwiać tysiące spraw, jej ludzie potrzebują zatrudnienia, mundurów i broni, a na każdy drobiazg potrzebne jest oficjalne zezwolenie.

Ninie bardzo udało się z pułkownikiem Łazariewem, który zgodził się dowodzić jej ochroniarzami. To świetny dowódca i organizator, cieszy się wielkim autorytetem wśród białogwardzistów. Byłem zobaczyć, jak trenuje przyszłych ochroniarzy, i muszę powiedzieć, że takie widowisko robi wielkie wrażenie!

W opuszczonej hali fabrycznej z wysokimi sklepieniami zbiera się kilkudziesięciu mężczyzn. Siadają w kręgu i z uwagą wpatrują się w krzywonosego oficera, podobnego do nastroszonego orła.

– Jeżeli ryzyko jest duże, klient nie powinien wyjeżdżać z domu bez eskorty dwóch opancerzonych samochodów i osobistej ochrony – wyjaśnia Łazariew rekrutom. – Kiedy przyjedzie na miejsce, ochroniarze stają w szeregu i tworzą żywy korytarz od samochodu do drzwi wejściowych. Szczególnie należy obawiać się członków Zielonej Bandy i innych grup przestępczych. Bandyci lubią posługiwać się tajnymi znakami i hołdują najróżniejszym rytuałom. To ich słaby punkt. Bądźcie szczególnie uważni, jeśli człowiek załamuje rondo kapelusza na jedną stronę albo podwija rękawy kaftana i pokazuje mankiety. Musicie zwracać uwagę na wszystko: jak ludzie się wachlują, jak chodzą z papierosem przyklejonym do wargi. Każdy drobiazg może okazać się umownym sygnałem dla napastników.

Wszystko to jest opisywane nie tylko słowami, ale też gestami i grymasami, tak że przed kursantami odbywa się całe przedstawienie.

Współpracownicy w firmie nie chcą się przyznawać, że kieruje nimi kobieta, więc stale podkreślają, że dowódcą jest pułkownik Łazariew i nikt inny. Nina zdradziła mi, że drwią sobie z niej i nawet wymyślili dla niej przezwisko „Wojennica”.

Nie wie, jak ma się do tego odnosić. Nie zwracać uwagi? Zwolnić najbardziej aktywnych? Niepewność co do własnych sił tak ją martwi, że czasem przesadza, starając się zdobyć szacunek. Niepotrzebnie tylko dręczy siebie i innych.

Pragnie podzielić się swoimi troskami z przyjaciółkami, ale Tamara uważa, że damie w ogóle nie przystoi zarabiać pieniędzy, a Bingbing obraża się, bo Nina zupełnie porzuciła sprawę wydawnictwa.

Kalendarze wiszą u szyi mojej żony jak kamień.

– Tyle czasu próbowałam uprawiać ten ugór, ale ile by człowiek podlewał,

nic na nim nie chce rosnać – skarży się.

Ale podlewa nadal, bo jeśli zwolni artystów, za co utrzymają rodziny?

Zbyt wiele wzięła na siebie, jest jej trudno, a jedyne wyjście, jakie widzi, to przekazać część swojego brzemienia mnie. Rzecz jednak w tym, że ja nie chcę zajmować się interesami.

Wcześniej uzgodniliśmy, że nie będziemy się nawzajem zmuszać do robienia czegoś, co nas nie interesuje. Dziennikarstwo nie jest szczególnie dochodowym zajęciem i Nina wie, że to mnie boli. Trudno mi wytłumaczyć sobie i innym, dlaczego moja żona zarabia więcej niż ja. Ona stara się nie poruszać tego tematu, ale widzę, że w głębi duszy uważa swoje sprawy za ważniejsze. Drażni ją, że tracę czas na „różne głupstwa”, zamiast jechać z nią do biura.

Kiedyś jej się wyrwało: „A Daniel mi pomagał!”. Zaraz się zreflektowała i przeprosiła mnie za nietakt.

Powiedziałem, że mam na tyle rozsądku, żeby nie obrażać się za takie przypadkowe powiedzonka.

Ale tak naprawdę – nie mam.

O ile wiem, Daniel wyjechał z Szanghaju na początku strajku, ale za każdym razem, gdy słyszę to imię, ogarnia mnie smutek. Mister Bernard stał się dla mnie symbolem wszystkich nieszczęść, jakie zwały nam się na głowy: zdrady, choroby i śmierci.

Rozdział 21

Dowody materialne

Kiedy Daniel znów wyjechał, Edna nawet się ucieszyła. Nie musiała się już zastanawiać, gdzie i z kim znika.

Co prawda teraz każdego dnia męczyła się spotkaniami z ojcem, który otrzymał urlop „do czasu wyjaśnienia wszelkich okoliczności”. Pragnął współczucia i uwagi, a jego wizyty kosztowały Ednę mnóstwo nerwów.

– Rosyjscy komuniści chcą obalić prawowitą władzę w Szanghaju i buntują Chińczyków! – dudnił, rozpalając się z każdym słowem. – W mieście jest pełno broni i gdy tylko znajdzie się okazja, komuniści wzniesą powstanie. Uprzedzałem o tym Sterlinga, ale nie chce słuchać!

Do tego policjanci wspierający strajk opowiedzieli reporterom, jak kapitan Wyer brał łapówki od przemytników i nakazywał nie pilnować zanadto magazynów z bronią, która docierała z Rosji Sowieckiej.

Co Edna mogła powiedzieć? „Tato, sam jesteś sobie winny”? Ale on nigdy, w żadnych okolicznościach nie uważał się za winnego. Zdawało mu się, że jest uosobieniem postępu, imperium brytyjskiego i prawości, a występować przeciw niemu mogą tylko bluźnierczy komuniści. Jeżeli zwracano mu uwagę na fakty, albo je odrzucał, albo napomykał, że ten czy inny postępowali jeszcze gorzej. Tej linii obrony nie mogły pokonać ani logika, ani zdrowy rozsądek, ani powoływanie się na sumienie.

Pewnego dnia Wyer został wezwany do Rady Miejskiej na zamknięte spotkanie poświęcone wydarzeniom z 30 maja. W sali siedzieli wysocy urzędnicy, bogaci przedsiębiorcy i najbardziej zaufani dziennikarze z zagranicznej prasy. Chińczyków oczywiście nie było.

– Moi wrogowie celowo urządzili jatkę na Nankin Road! – krzyczał z trybuny Wyer. – Podkupili demonstrantów, dając im po pięć dolarów na głowę. Gotowi są na wszystko, żeby tylko skompromitować mnie i osłabić naszą obronę. Ale ludzie białej rasy nigdy nie uciekną z Chin! Zbudowaliśmy tu cywilizację i nie pozwolimy chuliganom dyktować nam swoich warunków!

Edna myślała, że ojciec zostanie wyśmiany. Tak, z pewnością studenci poszli umierać za pięć dolarów! Jednak ku jej zdziwieniu mowa kapitana spotkała się z aplauzem. Wyer nie był osamotniony w swoich poglądach. Strach przed wielkimi, wrogo nastawionymi Chinami robił z kolonistami dziwne rzeczy. Chcieli wierzyć we własną nietykalność i wyjątkowość, z uporem odmawiali przyjęcia do wiadomości, że świat się zmienia, nie da się żyć tak samo, jak przedtem.

Sterling z tej samej trybuny podziękował Wyerowi za nienaganną służbę.

– Strajki zostaną zakończone w najbliższym czasie – obiecał. – Szanghajski

przemysł pracuje na naszej elektryczności i odetniemy prąd wszystkim fabrykantom, którzy wspierają strajkujących. Jeśli chcą występować przeciwko europejskiej cywilizacji, niech spróbują obejść się bez naszych osiągnięć technologicznych.

Przemowę Sterlinga przyjęto z jeszcze większym zachwytem. Urzędnicy i przedsiębiorcy klepali się po plecach, rechotali i grozili powieszeniem na latarniach wszystkich organizatorów strajku. A Edna z goryczą myślała, że w Szanghaju do władzy dorwali się najbardziej nieodpowiedni ludzie – bez zrozumienia przeszłości i przyszłości, bez horyzontów i bez poczucia misji. Sam system był właśnie tak urządzony, że w górę pięli się tylko ci, którzy nie mieli zasad i uważali siłę za najlepsze rozwiązanie każdej kwestii. Oczywiście ludzie o delikatniejszych duszach nie mogli z nimi pracować i odchodzili do innych sfer zawodowych, a ustawodawstwo, siły zbrojne i skarb pozostawały w rękach tych, którzy nie odznaczyli się polityczną mądrością.

Rządzących Szanghajem w żadnym razie nie można było nazwać głupcami. Doskonale radzili sobie ze sprawami, które nie wymagały złożonych analiz i zdolności przewidywania. Byli taktykami, nie strategami, ale w pracy podejmowali właśnie decyzje strategiczne, powoli podcinając gałąź, na której siedzieli.

Wyer był pewien, że po wystąpieniu w Radzie Miejskiej znów zostanie wezwany na służbę, ale po tygodniu ten sam Sterling, który tak zachwycił się zasługami kapitana, oświadczył prasie, że niebawem w Osiedlu Międzynarodowym pojawi się nowy komisarz policji. Wyer zostanie zdymisjonowany i wróci na Wyspy.

Wzburzony kapitan przygnał do córki.

– Ten łajdak wyznaczył już nawet datę obiadu pożegnalnego, nie pytając mnie o zdanie! – wrzasnął, wpadając do gabinetu Edny. – Wiem, że to Kupina działa przeciwko prawdziwym patriotom brytyjskim! Zyskała zaufanie Sterlinga i teraz to rosyjskie ścierwo jest dla niego cenniejsze niż my wszyscy razem wzięci!

Edna z niechęcią oderwała się od książki.

– Wiesz doskonale, że Kupina nie ma z tym nic wspólnego.

Twarz Wyera wykrzywiła wściekłość.

– Chcesz jej bronić?! To sobie popatrz na te zdjęcia!

Wyjął z mapnika paczkę fotografii i rzucił je na biurko.

– Pokazałem je Sterlingowi, ale jego nie interesuje, co robi ta dziwka! Może tobie też jest wszystko jedno?

Edna zerknęła na zdjęcia, na których został uwieczniony Daniel z Niną, a potem wrzuciła je do kosza na śmieci.

– Tak. Wszystko mi jedno.

Ada miała nadzieję, że służba Bernardów przyłączy się do strajku, a wtedy zaproponują jej pracę pokojówki, a może nawet ochmistrzyni. Ale Yun zebrał wszystkich w kuchni i powiedział, że ten, kto urazi panią, stanie się jego wrogiem.

– Jeden mój uczeń jest kucharzem u gubernatora, a drugi u herszta Zielonej Bandy, więc na każdego znajdzie się sposób – zagroził staruszek.

Adzie nie pozostawało nic innego, jak czekać na powrót mister Bernarda i marzyć o tym, że kupi jej restaurację albo sklep, żeby miała pewne źródło dochodów.

Pewnego dnia Sam wpadł do biblioteki i podał Adzie pakiet zdjęć.

– Popatrz, co mam! Wynosiłem kosz z gabinetu missi, a tam to leżało.

Ada wstrzymała oddech. Z początku pomyślała, że to stare fotografie, zrobione dwa lata wcześniej, kiedy mister Bernard ubiegał się o względy Niny. Ale potem zobaczyła nowy, niedawno kupiony kapelusz Daniela, a włosy Kupiny były dłuższe niż wtedy.

– Ciekawe, skąd się te obrazki wzięły – powiedział Sam. – I co z nimi teraz zrobić?

– Zostawię je dla siebie – odparła cicho Ada.

W tym dniu straciła spokój. Jeżeli mister Bernard był zakochany w Ninie, to po co zawracał głowę Adzie i dlaczego podarował jej samolot?

Wyjaśnienie mogło być tylko jedno: avro został skradziony, a Daniel postanowił wykorzystać dziewczynę jako podstawioną osobę, żeby w razie wpadki na nią zrzucić winę. To była idealna przykrywka, bo Ada nie mogła ani sprzedać swojej maszyny, ani jej używać, szczególnie że nawet nie bardzo pamiętała, gdzie ją zostawili.

Kto uwierzy, że można pan podarował swojej bibliotekarce aeroplan wart ładnych parę tysięcy dolarów? Edna na pewno nie ujmie się za Adą, a o Klimie nawet nie ma co myśleć. Tak go potraktowała ostatnim razem, że nigdy jej nie przebaczy.

Ze zmartwienia Ada tak schudła, że Yun przy obiedzie wlał jej więcej zupy.

– W ciąży jesteś? – spytał. – A może glist się nabawiłaś?

– Moja ciotka doskonale umie leczyć wszelkie choroby – wtrącił się Sam. – Jeden rzeźnik przychodzi nawet do niej z kurzajkami.

– Zostawcie mnie w spokoju! – krzyknęła Ada i uciekła do biblioteki.

Wieczorami oglądała fotografie przyniesione przez Sama i za każdym razem prawie płakała z upokorzenia.

Dlaczego mężczyźni, którzy jej się podobałi, nie chcieli się w niej zakochać?

Na jednym ze zdjęć Daniel całował rękę Niny i tak na nią patrzył, jakby miał przed sobą królową. A co w niej takiego szczególnego? To starsza osoba, ma przecież prawie trzydzieści lat!

Gospodarz domu powiedział jej, że niedawno spotkał Klimę.

– Mieszka teraz niedaleko hipodromu, razem z żoną i córką. Mówił, że ma się dobrze, i kazał cię pozdrowić.

Wychodziło na to, że Klim wprowadził się do Niny... Ciekawe, czy wie, że żona znów mu przyprowadziła rogi. Zapewne nie.

W głowie Ady zaczął dojrzywać plan. Dobrze by było, gdyby Klim pokłócił się z żoną i wrócił do Domu Nadziei. Jest mądry i na pewno wymyśli sposób, jak się uwolnić od Daniela Bernarda.

Skoro przekazał Adzie pozdrowienia, to może nie chowa do niej urazy. W każdym razie warto z nim porozmawiać.

3

Ada weszła na ganek domu Niny i chciała już zadzwonić, kiedy zobaczyła, że drzwi wejściowe są lekko uchylone. Ze strachu i skrępowania trzęsły jej się kolana, ale przemogła się i weszła do środka.

Przez półkoliste okno pod sufitem wpadał strumień światła. W przedpokoju panował nieład: parasole, szale i rękawiczki leżały na szafce, a pod szafką na buty zaległy dziecięce sandały. Ada dostrzegła z miejsca, że były z prawdziwej skóry, a nie tak jak jej pantofelki z żaglowego płótna.

Zza przesuwanych drzwi, prowadzących do pokoju gościnnego, dobiegały gniewne głosy.

– Miss Nina całymi miesiącami nie wypłacała nam pieniędzy, ale byliśmy cierpliwi, bo chcieliśmy jej pomóc stanąć na własnych nogach! – oburzała się jakaś Chinka. – Myśleliśmy, że różni się od innych białych! A potem okazało się, że przysłała rosyjskich łamistrajków do fabryk, a oni zmarnowali wszystko, co wynegocjowaliśmy w czasie strajku.

– Nina chciała tylko pomóc swoim rodakom w znalezieniu pracy – odparł zimno Klim.

– Och, tak, to ją usprawiedliwia! Wasi ludzie przyjechali do Szanghaju i zaczęli zabierać nam pracę! To nasza ziemia, a wy jesteście gośćmi, nie macie prawa mieszać się do naszych spraw! Proszę przekazać miss Ninie, że straciła wydawnictwo. I ja, i pozostali pracownicy zwalnimy się! – Drzwi nagle otworzyły się i obok Ady przebiegła zapłakana kobieta. Szybko włożyła kapelusz, chwyciła parasolkę i wyskoczyła na zewnątrz.

Klim też wyszedł do przedpokoju i w zdumieniu wpatrzył się w Adę.

– Co tutaj robisz?

Wiedziała, że zjawiała się nie w porę.

– Eee... Nina Wasiliewna jest w domu?

– Nie, a co?

Ada wyjęła z torby fotografie i podała je Klimowi. Rozłożył je jak karty, a potem złożył.

– Skąd to masz? – zapytał cicho.

– Wyrzuciła je pani Edna, a mój przyjaciel Sam dał je mnie.

– Idź do domu – powiedział Klim, oddał dziewczynie zdjęcia i zniknął za rozsuwanymi drzwiami.

Całkiem straciła rezon. Klim nie zaprosił jej, nie zapytał, jak sobie radzi, a nawet nie podziękował za dowody. Cóż to, nie interesowały go takie drobiazgi?

Ada ze złością rzuciła zdjęcia na podłogę i wyszła, nie zamykając za sobą drzwi. Niech przyjdą złodzieje i zabiorą Klimowi buty! Będzie miał za swoje.

Nina zasiedziała się u Sterlinga. Był to okazały, jasnoskóry blondyn o dobrodusznej twarzy. Nosił muszkę, włosy zaczesywał na bok, a za grubymi szklami w rogowych oprawkach nie było prawie widać oczu. Powiedział, że znów przychodzili do niego rosyjscy działacze społeczni. Między innymi ostrzegali, że miss Kupina napuszcza bandytów na kupców, żeby wynajmowali jej ochroniarzy.

– Jeszcze trochę, a oskarżą mnie o latanie na miotle. – Uśmiechnęła się nerwowo.

Wiedziała, że rodacy jej nienawidzą. Klim mówił, że wydaje ten osąd na podstawie zachowań garstki nieszczęśliwych, a przez to zgorzkniałych ludzi, ale do Niny docierały tylko takie opinie, więc mimo woli przypisywała je wszystkim.

Chciałaby czuć się członkiem rodzinnego stada, ale ono jej nie przyjmowało i to wcale nie dlatego, że była Brzydkim Kaczątkiem, ale z tego powodu, iż okazała się Łabędziem. Jaka kaczka zechce pływać razem z nim i wciąż dokonywać bolesnych porównań?

– Nie obchodzą mnie ci głupcy! – mówiła Nina do Sterlinga. – Mam rodzinę, dobrze prosperującą firmę i pieniądze. Czego mi jeszcze trzeba?

– Więcej pieniędzy, oczywiście! – Przewodniczący Rady Miejskiej się uśmiechał. – Inaczej spędzałyby pani czas nie ze mną, lecz z mężem. Mnie się bardzo podoba taka postawa!

Nina wróciła do domu bardzo późno.

Weszła do ciemnej sypialni, zdjęła szlafrok i nago wśliznęła się do łóżka. Klim nie poruszył się, ale nie spał.

– Dostałam dzisiaj kontrakt na ochronę postojów municypalnych riks – powiedziała, przytulając się do męża. – Musimy pomyśleć o założeniu własnego przedsiębiorstwa transportowego. Już policzyłam. Wózek kosztuje sto dolarów i służy pięć lat, a wynajem dolar za dobę. Jeśli się zepsuje, za naprawy płaci kulisi, a zatem zysk wynosi ponad tysiąc siedemset procent.

Przecięgnęła palcami po piersi Klimy, ale zdjął z siebie jej dłoń.

Zakłuło ją w sercu. Mąż jeszcze nigdy się od niej nie odsunął.

– Jesteś zły, że tak długo mnie nie było?

– Nie.

– To o co chodzi?

– O nic – odparł. – Nie wchodź w riksze, bo to brudny biznes. Kulisi biegają po dwanaście godzin i zarabiają dwadzieścia centów. Niewielu z nich dożywa czterdziestki.

– Ale przecież nikt nie każe zatrudniać się u mnie! Ten, kto nie umie pracować głową, pracuje nogami, a kulisom też są potrzebne miejsca zatrudnienia.

Klim wstał bez słowa.

– Dokąd idziesz? – Nina, przestraszona, usiadła na łóżku. – Diabli z rikszami. Jeśli jesteś przeciwny, zrezygnuję.

– Gardło mnie boli – odpowiedział Klim. – Muszę coś zażyć.

Ale Nina słyszała, że nie poszedł do łazienki, w której wisiała apteczka, tylko do pokoju Kitty.

Czekała na niego dziesięć minut, dwadzieścia... Wreszcie założyła podomkę i poszła za mężem.

W pokoju dziecięcym paliła się lampka nocna, a na dywanie wały się pluszowe zwierzęta. Klim siedział w nogach łóżeczka. Miał zgarbione plecy, łokcie oparł na kolanach. Wyglądał tak, jakby dowiedział się o czyjejś śmierci i wciąż jeszcze nie mógł w to uwierzyć.

– Tato, daj kołderkę – poprosiła Kitty przez sen.

Nakrył jej smagłe nóżki.

– I zajęca daj.

Podał jej maskotkę.

Nina chciała wejść, ale Klim pomachał na nią ręką.

– Idź, idź, bo ją rozbudzisz!

Nie wrócił do sypialni, nocował na kanapie w gabinecie. A rano Nina znalazła kopertę ze zdjęciami i karteczką:

Hua Bingbing powiedziała, że Twoje wydawnictwo było na skraju bankructwa i trzymało się tylko dzięki Danielowi Bernardowi.

Rozumiem, że musiałaś za coś żyć i wykarmić Kitty, ale potrzebuję trochę czasu, żeby oswoić się z tym wszystkim i postanowić, co dalej.

Notes. Szkicownik

Strajk skończył się niczym. Gdy tylko chińskim fabrykantom odłączono elektryczność, zaraz nabrali chęci do porozumienia.

Przywódcy ruchu robotniczego giną bez wieści, a potem są znajdowani na śmietniskach i w opuszczonych domach. Wszystkie ulice zalepione są ulotkami, w których napisano, że liderzy związków zawodowych zawłaszczają dla siebie fundusz strajkowy i specjalnie przeciągają pertraktacje.

Zwycięsko z tego chaosu wyszli spekulanci z Zielonej Bandy. Państwo chińskie nie jest w stanie chronić życia i mienia obywateli, więc jego miejsce stopniowo zajęła przestępczość zorganizowana. Rzezimieszki zbierają podatki na podległych im terytoriach, sprawują sądy i organizują oddziały zbrojne. Ich wpływy rosną każdego dnia, poradzić sobie z Zieloną Bandą mogłaby już tylko armia. Ale nasz gubernator bierze od bandytów kredyty, więc niespieszno mu się z nimi rozprawiać, a wielkie mocarstwa nie chcą robić czystki do czasu, aż skończy się konflikt z miejscową ludnością.

Na strajkach skorzystali także Rosjanie, którzy dostali pracę. Nasz status wzrósł mocno, zostaliśmy pełnoprawnymi „białymi diabłami”.

Teraz już mało kto z naszych mówi o ugodzie z bolszewikami. Mamy przyjaciół i nabraliśmy pewnych nowych nawyków, przywykliśmy do chińskiej kuchni, wyścigów psów, taniego masażu, zielonej herbaty i morskich przejażdżek. Wspominając przedwojenną Rosję, przeplatamy wypowiedzi angielskimi i chińskimi słowami, a miejscowe polityczne wiadomości interesują nas bardziej od międzynarodowych. Można powiedzieć, że zapuściliśmy w Chinach korzenie.

Ze mną i Niną wszystko jest „dobrze”. Wyera odesłano do kraju, a o wydawnictwie wszyscy zapomnieli. Agencja ochrony kwitnie, a ja znów pracuję dla Reutera, więc komuś z boku może się wydawać, że życie nam się wreszcie ułożyło.

W rzeczy samej wszystko idzie nam pod górkę. Nic już nie czuję i zdaje mi się, że nie mogę już nawet myśleć o Ninie, nie przeklinając się najgorszymi słowami.

Ona to się wścieka, to płacze, to próbuje wyjaśnić, że z Danielem łączyła ją tylko przyjaźń. Najgorzej jest wtedy, kiedy zaczyna opowiadać, dokąd chodzili i co robili. Za każdym razem mam ochotę pobiec do Fernanda i kupić od niego rewolwer.

Nie ma wyjścia z tej sytuacji. Jeżeli znów będę udawał, że wszystko jest w porządku, czy to coś zmieni? Kiedy leżałem w szpitalu i nie mogłem pomóc

Ninie, ponownie zesłała się z mister Bernardem. Nie widziała w tym nic złego, pewnie dlatego, że z natury nie jest kobietą, ale kurewką.

Jak mogłem się nie domyślić, że chciała jechać do Kantonu nie po mnie, ale z Danielem? Jej firma padała, a on widocznie zaproponował, żeby została jego utrzymanką. Świetne wyjście z trudnej sytuacji finansowej.

Wróciłem wcześniej, więc mu trochę pokrzyżowałem szyki. A może wręcz przeciwnie? Przyjąłem ogień na siebie i uchroniłem Daniela od przykrych niespodzianek w przyszłości.

Potrzebuję jakiegoś kąta, nory, miejsca, do którego będę mógł wrócić z niezachwianą pewnością, że tam na mnie czekają, w którym przyjmą mnie takim, jakim jestem. A żyć z Niną oznacza wciąż wariować na myśl, że ucieknie do innego, albo znów uzna, że coś zepsułem i nie warto na mnie dłużej stawiać.

Dzisiaj jej serce należy do mnie, jutro do Daniela, a pojutrze do kogoś innego. Przepraszam, ale to mnie nie urządza.

Niedawno piłem piwo z Feliksem, który narzekał, że nie czuje się strażnikiem, lecz osadzonym. Spędza przecież w więzieniu prawie cały czas. Ja mam dość podobne uczucie: mogę w każdej chwili uwolnić się, ale i tak tkwię za kratą, dlatego że osobiście podpisałem własny wyrok.

Odszedłbym od Niny, nie bacząc na nic, ale co z Kitty? Nigdy jej nie porzucę, a gdybym zabrał ją ze sobą, pozbawiłbym córkę matki i domu rodzinnego. Kto będzie jej pilnował, skoro pracuję całymi dniami? Jacyś obcy?

Z pewnością najlepszym i najprostszym rozwiązaniem byłoby porzucić spory i nie żądać zbyt wiele ani od siebie, ani od Niny. Nie jesteśmy sobie nic winni. Życie jest krótkie, więc trzeba zadowalać się tym, co jest, a nie snuć mrzonki o niemożliwym.

Czasem myślę, co by się stało, gdyby nie to przekłete spotkanie w Linczengu. Do tej pory pracowałbym w „Wiadomościach Codziennych” i pewnie spotkałbym inną kobietę. Nie byłoby wojny z Wyerem ani ucieczki na południe, ani blizny na głupim łbie. Ale jeśli wszystko ułożyłoby się inaczej, Kitty umarłaby w dniu swoich narodzin.

Nie zginąłem i nie załamałem się, chociaż miałbym do tego podstawy. Mam dziecko, pracę i dach nad głową. Czy to mało? Z punktu A do punktu B może prowadzić wiele dróg, a kto powiedział, że moje szczęście musi być związane z Niną?

Do parków w koncesji francuskiej wpuszczano Chińczyków, ale tylko w schludnych ubraniach europejskiego kroju. Porządku pilnował strażnik z pistoletem. Sprawdzał bilety wejściowe, które kosztowały dwanaście centów.

Klim przyprowadził Kitty na plac zabaw, ale gdy tylko podeszła do karuzeli, białe matki chwyciły dzieci i zaniósły je dalej. Straszna Kitty ze śmiechem popędziła za nimi, a kiedy wróciła, sama mogła się cieszyć górkami i drewnianymi zabawkami.

– Tata, chodź, powrzucamy kamyki do stawu! – zawołała.

To była najlepsza rozrywka – patrzeć, jak płaskie otoczaki polatują nad wodą i giną pod gałęziami brzoź.

– Kogo to ja widzę! – rozległ się nagle znajomy bas.

Klim się odwrócił. Nieśmiertelny don Fernando szedł do niego z otwartymi ramionami. W jednej ręce miał kapelusz, a w drugiej loda na patyku. Z tyłu majaczyli Jednooki i ochroniarze.

– Ba! – zakrzyknął don Fernando na widok Kitty. – A ty co, rzuciłeś miss Ninę i przygarnąłeś chińską babę z dzieckiem? No i dobrze! Chinki są najlepsze. A jeśli byś zapragnął białej dziewczyny, zawsze możesz pójść do Marty. Wprawdzie zedrze z człowieka skórę, ale panienki są zawsze czyste, co tydzień bada je doktor.

Klim wziął Kitty na rękę.

– Burbano, przestań!

Don Fernando pokazał Kitty na placach diabełka i się zaśmiał.

– Jacy jesteśmy niedotykalscy! Dobrze, skoro już cię spotkałem, pogadajmy o interesach. Wiesz, kto to Nelly Melba?

– Nie – odparł Klim nachmurzony.

Don Fernando wytrzeszczył oczy.

– Przecież to sopran światowej sławy! Dawniej grała tylko w teatrach, biletów nie można było dostać, a teraz każdy głupek może jej posłuchać. Rozumiesz, do czego zmierzam?

Klim patrzył na Fernanda spode łba. Diabli wiedzą, jakie pomysły rodzą się w takiej gorącej głowie!

– Potrzebujemy radia, ot co! – zaśmiał się Burbano. – Tutaj, w Szanghaju! A wiesz, kto je będzie robił? Ty! Już wynająłem pomieszczenie i kupiłem nadajnik. Jak ci się podoba taka robota?

– Już mam pracę... – zaczął Klim, ale don Fernando nie zamierzał go słuchać.

– Nawet nie próbuj się wykręcić! Ty wiesz, jakie to cudo taka bezprzewodowa telepatia?

Rozdział 22

Rosyjski najemnik

Po zakończeniu strajku szanghajska młodzież się zmieniła. Odrzucając Zachód, jednocześnie nie chciała mu w niczym ustępować. Dziewczęta z bogatych rodzin zaczęły nosić sukienki europejskich krojów, a do tego chińskie kołnierzyki oraz zapięcia. Najodważniejsze modnisie doszły do tego, że zaczęły chodzić z gołymi nogami. Nie zamierzały przez całe życie siedzieć w kobiecej części domu, pragnęły wolności, flirtu i prawa do samodzielnego wyboru mężów.

Rosyjskie panie od razu z tego skorzystały i otworzyły mnóstwo salonów piękności, w których Chinki uczyły się podkręcać włosy i wyskubywać brwi. Zza drzwi szkół tańca dochodziły dźwięki patefonów. Uczono tanga, walca i fokstrota. Przechodząc obok, Ada marzyła o tym, żeby sprzedać samolot i otworzyć modny dancing!

Z prowincji do Szanghaju ciągnęły tysiące dziewcząt marzących o poznaniu bogatego opiekuna. Wcześniej nie miały gdzie poznać się z zamożnymi panami, a na parkiecie tanecznym można było zarówno pokazać siebie, jak i popatrzeć na innych. Najważniejsze to nie mieć zniekształconych stóp.

Przez cały ten czas Daniel nie napisał do Edny ani jednego listu, dlatego Ada doszła do przekonania, że w ogóle nie wróci. Było jej wstyd aż do łez. Na papierze miała spore środki, a w rzeczy samej musiała miesiącami zbierać na zimowy płaszcz.

Najgorsze było to, że Klim zaczął pracować w radiu i niebawem stał się sławny na cały Szanghaj. Edna miała w pokoju gościnnym odbiornik, więc Ada każdego dnia słuchała audycji o polityce oraz nowościach muzycznych. Klim urządził przed mikrofonem cały spektakl z żartami i skeczami.

Jak można było odpuścić sobie takiego mężczyznę? Kiedy Ada myślała o tym, traciła wiarę w swój niewieści wdzięk i urok. Patrzyła w przyszłość i widziała siebie jako chudą, biedną trzydziestoletnią starą kobietę.

Do tego missis Bernard zupełnie oszalała.

Wszystko zaczęło się od chińskiej aktorki Bingbing, która przyprowadziła do niej dwie dwunasto- lub trzynastoletnie dziewczynki. Sam i Ada podsłuchali pod drzwiami ich rozmowy i uznali, że to małoletnie prostytutki, które uciekły z burdelu. Bingbing spotkała je w świątyni, a kiedy zorientowała się, że biedaczki chcą ze sobą skończyć, postanowiła je ratować.

Przyznała, że sama kiedyś myślała o samobójstwie. Straciła pracę w wydawnictwie, nie udało się też z filmem, bo w czasie strajku złodzieje rozkradli studio filmowe, wynieśli wszystkie urządzenia.

– My nie mamy prawa skarżyć się na los – powiedziała Ednie. – Co wiemy

o cierpieniu i stratach? Tym dzieciom żyje się tysiąc razy gorzej, nie mają gdzie uciec od prześladowców. A myśmy nawet raz nie głodowały.

Od tego dnia Edna i Bingbing zaczęły siłą odbierać burdelmamom małeletnie prostytutki. Z siekierą w ręce i z małą eskortą policyjną wpadały do domów publicznych i rąbały drzwi, za którymi chowano przestraszone dzieci. Bingbing namawiała je, aby pojechały z nimi do kościelnego przytułku, w którym dziewczęta uczono zawodu i angielskiego. Po kilku miesiącach były prostytutki mogły już zarobić na miskę ryżu.

Nie raz i nie dwa pod bramę posiadłości Bernardów podkładano odrąbaną głowę psa oraz listy z groźbami.

– Handlem dziećmi zajmuje się Zielona Banda, a z nimi nie ma żartów – wzdychał Yun.

Był pewien, że wszyscy zostaną niebawem zabici, więc na wszelki wypadek kupił sobie grób. A Sam nabył u wędrownego mnicha amulet i podarował go Adzie.

– Modłę się za ciebie każdego dnia – powiedział z powagą.
Ale jej wcale nie było od tego lżej.

Jeszcze na Chapu Road Ada zauważyła, że ją śledzą. Zatrzymała się przy wystawie, żeby zerknąć na prześladowcę. Miał bardzo podejrzany wygląd – naciśniętą na oczy czapkę, szary płaszcz i mapnik. Przyspieszyła kroku, ale mężczyzna nie tracił dystansu.

Serce dziewczyny drżało niczym zajęczy ogonek. To na pewno był morderca z Zielonej Bandy! Namacała w kieszeni nożyczki do paznokci, które zostały jej jeszcze po mamie. W ostatnim czasie nie wychodziła z domu bez broni. Betty powiedziała, że w razie czego trzeba napastnika ukłuć w rękę, nogę albo w pośladek. Wprawdzie się go nie zabije, ale można zyskać trochę czasu na ucieczkę.

Mężczyzna dogonił ją prawie pod samym domem. Zobaczyła jego cień na murze i odwróciła się z krzykiem.

– Czego pan chce?

Zdjął czapkę.

– Dzień dobry. Nie pamięta mnie pani?

Ada spoglądała na niego spod zmarszczonych brwi. Był szczupły, mocny i barczysty. Przewyższał ją o dwie głowy

– Jestem Feliks Rodionow. – Pociągnął nosem.

Ada się wzdrygnęła. Tak nazywał się przyjaciel Klima, o którym wspominał w pamiętniku.

– Spotkaliśmy się już? – spytała ostrożnie.

– Zauważyłem panią jeszcze we Władywostoku, kiedy wsiadaliśmy na okręty. Pomogłem pani wtedy nieść walizkę, a potem razem staliśmy w kolejce do kuchni. Powiedziała pani, że przyjechała z Iżewska, a pani nieżyjący ojciec był Amerykaninem.

– Ach, tak, już pamiętam – skłamała Ada.

– Klim opowiedział mi o pani – mówił dalej Feliks. – Kiedy usłyszałem nazwisko, pomyślałem, że to zrządenie losu. Mam coś dla pani... Proszę.

Podał Adzie kopertę, na której widniał napis: „Zaproszenie na doroczny bal Towarzystwa Kadetów w Szanghaju”.

Ada była całkiem zdezorientowana.

– Co to jest? Skąd?

– Byli kadeci zrobili zbiórkę pieniędzy, wynajęli salę i orkiestrę.

– Zaprasza mnie pan zatem na tańce? – Ada nie wiedziała, co powiedzieć.

– A pójdzie pani? – zapytał z nadzieją Feliks. – Prawdę mówiąc, myślałem, że mnie pani pogoni.

Dwie godziny stali przed bramą, wspominając Rosję i podróż do Szanghaju. Po powrocie do domu Ada usiadła na łóżku i zamarła, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. Zdaje się, że naprawdę wpadła w oko temu Feliksowi! A jeśli zacznie się o nią starać? Jeżeli zakocha się i poprosi o rękę?

Na myśl o tym Ada się roześmiała. Przecież tylko zaprosił ją na tańce, a ona już o ślubie rozmyśla.

Wyjęła kieszonkową ikonkę, westchnęła i uklękła przed nią, czego zazwyczaj nie robiła.

– Drogi Boziu, bardzo potrzebuję być kochaną!

Na balu kadetów Feliks nie tańczył z Adą, tylko patrzył ponuro, jak dziewczyna płąsa z innymi.

– Dlaczego ani razu mnie pan nie poprosił? – zapytała, kiedy wyszli.

Feliks się zmieszał.

– Nie umiem tańczyć. Instruktor w korpusie zmarł na cholere, a potem nie znaleźli już nikogo, bo nie było pieniędzy na wynagrodzenie.

– Ale inni tańczyli.

– Mają zdolności. Ze względu na panią wzięłem bilety. Kobiety przecież lubią tańce.

Za każdym razem, kiedy Feliks nie miał dyżuru, przychodził do domu Bernardów do Ady. Aż jej było dziwnie, że traktuje ją z takim szacunkiem, jakby była księżną. Od śmierci mamy nikt nie patrzył na nią z zachwytem.

– Niech pan opowie o sobie – prosiła. – O czym pan najczęściej myśli?

– No... o polityce – skonfundował się Feliks.

– A ze spraw osobistych? – Ada bardzo chciała, żeby przyznał się do miłości.

– Nie będzie się pani śmiała?

– Nie będę.

– Jako malec czytałem książkę o marynarzu, który uratował się z katastrofy morskiej. *Robinson Crusoe*, taki ma tytuł. Też bym chciał zamieszkać na bezludnej wyspie, żeby spróbować, czy dam sobie radę. Myślę, że bym dał, choćbym miał jeść myszy.

Ada patrzyła na niego z niedowierzaniem. Bezludna wyspa? Myszy? A co z nią?

W świecie Feliksa wszystko było po żołniersku proste, a pojęcia cnoty i grzechu wyglądały tak, jak go nauczono w korpusie kadetów. Szkoda, oczywiście, że pracował jako strażnik więzienny, bo taką profesją trudno się chwalić, za to był uczciwy, mocny w przekonaniach i czynił dobro, nie żądając niczego w zamian. Kiedy ojciec Serafin został mocno pobity na ringu, załatwił mu pracę w więzieniu, żeby mógł się odkarmić i podleczyć.

Nie cierpiał „wystrojonych bab, które mają się za nie wiadomo co” i wybrał Adę dlatego, że uznał ją za skromną i porządną dziewczynę. Teraz z przerażeniem wspominała, jak kiedyś chciała zaciągnąć do łóżka Klima albo Daniela Bernarda. Rzeczywiście Bóg ją strzegł! Gdyby Feliks odkrył, że nie jest dziewicą, straciłby do niej szacunek.

Jakże pragnęła wyjść za mąż! Z którejkolwiek strony by spojrzała, był

idealnym kandydatem na męża, zdolnym utrzymać rodzinę i obronić bliskich.

Mój Feliks nie przestraszyłby się nawet Daniela Bernarda! – myślała z dumą.
– Och, niechby się już oświadczył!

Ada wszystko obmyśliła. Musiała przekonać Feliksa, aby wyjechali do Stanów Zjednoczonych. Betty powiedziała, że u stewardów z turystycznych statków oceanicznych można kupić kradzione amerykańskie paszporty i popłynąć na nich do Meksyku, gdzie nikt nie sprawdza legalności dokumentów. Gdyby otworzyć w przygranicznym miasteczku firmę, wszystko jedno jaką, choćby skup kurzych mózdków, da to prawo przekraczać granicę w „celach handlowych”. A wracać już nie trzeba.

Postanowiła odszukać i sprzedać avro i za uzyskane pieniądze kupić bilety na parowiec. Była pewna, że Feliksowi spodoba się taki pomysł, ale nie miała odwagi z nim o tym porozmawiać. Musiałaby wtedy wyznać, skąd wzięła aeroplan. A Feliks mógłby się zrobić zazdrosny o Bernarda. Albo jeszcze gorzej, pomyślałby, że brała udział w działalności przestępczej.

Wreszcie nie wytrzymała i kiedy Feliks przyszedł, żeby ją odprowadzić, wprost spytała o jego plany.

Milczał tak długo, że w Adzie zamarło serce. A co, jeśli nie zamierza się z nią żenić?

– Nie chciałem pani straszyć, ale w Chinach wszystko zmierza ku wielkiej wojnie – rzekł.

– Skąd pan to wie? – Ada spojrzała na niego.

– Na południu nacjonałiści z Kuomintangu porozumieli się z rosyjskimi bolszewikami i chińskimi komunistami. Utworzyli Armię Narodowo-Rewolucyjną. Już teraz pochłania ona pięć szóstych z dochodów prowincji, więc nie może to długo trwać. Latem wojsko ruszy na północ, żeby zająć cały kraj i unicestwić zagraniczne koncesje.

– Szanghajowi nie dadzą rady – zaczęła Ada, ale Feliks jej przerwał:

– W mieście cała chińska ludność jest nastawiona przeciw „białemu diablom”. Szanghaj czeka na przyjscie armii! Kiedy tylko się zbliży, wybuchnie powstanie.

– To niech pan płynie ze mną do Ameryki! – wykrzyknęła Ada.

Feliks pokręcił głową.

– Chcę mieszkać w Rosji, nie w Ameryce. Teraz wielu białogwardzistów wstępuje do oddziału przy armii chińskiego generała Psie Mięso. Mamy doświadczenie bojowe, więc godnie przywitamy gości z południa! Najpierw unicestwimy bolszewików w Chinach, a potem pójdziemy na Sowietów! Już się zwolniłem ze służby w więzieniu i przyszedłem się z panią pożegnać. Ojciec Serafin jedzie ze mną.

Feliks najwyraźniej oszalał, ale nie miało sensu go przekonywać.

– Jak to pani nie rozumie?! – gorączkował się. – To nasza szansa na odrodzenie Białej Armii! Kim będę w tej pani Ameryce? Znow mam klawiszem zostać?

– Ale przecież można otworzyć hotel... – mówiła Ada.

– Nie jestem sklepikarzem ani hotelarzem! Jestem żołnierzem! Nie mam do siebie szacunku, jeśli nie zajmuję się swoim fachem!

Ada nie powiedziała o samolocie, bo amerykańskie marzenie prysło.

Feliks obiecał napisać do niej, kiedy tylko dotrze do oddziału. Ona przysięgła, że będzie się za niego modlić. Wszystko odbyło się bardzo po prostu i banalnie.

– Cóż, żegnam pana – powiedziała cicho dziewczyna, kiedy doszli do Domu Nadziei.

Uścisnęła rękę Feliksa i poszła ku bramie. W głowie jej huczało, a w oczach zastygły nieprzelane łzy. Wszystko było skończone.

– Ado, proszę poczekać! – Feliks dogonił ją. – Jeśli ktoś by panią chciał skrzywdzić, proszę się zwrócić do mojego przyjaciela Johnny’ego Collora. Służy w policji Osiedla Międzynarodowego, na komendzie przy Nankin Road.

– Dobrze – odpowiedziała bezbarwnym głosem.

– Adeczko!

Feliks nagle chwycił ją za ramiona i pocałował – gorąco i niezdarnie.

– Niech się pani na mnie nie gniewa! Pokochałem panią od pierwszego wejrzenia.

– Ja pana też – wyszeptała, po czym pobiegła do siebie z płaczem.

Szczęście przeszło obok niej, owionęło ją palącym wiatrem i zginęło w oddali.

Rozdział 23

Radiowiec

Nina nie rozumiała zupełnie, co się dzieje. Klim dopiął swego i nagle ochłódł. Tak, zawiniła względem niego, tak, historia z fotografiami wyszła odrażająco... Ale co teraz? Mieli postawić na sobie krzyżyk?

Najgorsze było to, że Klim uparcie odmawiał wyjaśnienia ich wzajemnych stosunków.

– Jak mogę coś naprawić, jeśli ze mną nie rozmawiasz? – złościła się Nina.

Klim udawał zdziwionego.

– Ja niby nie rozmawiam?

– Wciąż jeszcze gniewasz się na mnie?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

Odpowiadał pytaniem na każde pytanie i nie mogła się przebić przez ten mur.

Klim wymyślił bohaterkę dla swoich audycji rozrywkowych – dziewczynkę o imieniu Anna, do której jakoby dzwonił podczas nadawania. Właśnie jej dostawało się wszystko, czego brakowało Ninie. Opowiadał Annie anegdoty, dzielił się z nią przemyśleniami i ciekawostkami z prasy, mówił komplementy, omawiał problemy... Oczywiście żadna Anna nie istniała, ale Klim z takim talentem prowadził te monologi, że niebawem stał się idolem dla tysięcy słuchaczy.

Jakkolwiek dziwnie by to wyglądało, Nina była zazdrosna o Annę, i żeby się zemścić, opowiadała o swojej przyjaźni ze Sterlingiem i robiła aluzje do dużych zamówień i ważnych pertraktacji, w których brała udział.

– Nie sprzykrzyła ci się jeszcze ta amatorszczyzna? – dokuczała Klimowi. – Naprawdę chcesz być aktorem radiowym? Znajdę ci przyzwoitą pracę.

– Mnie za nieprzyzwoitą całkiem nieźle płacą – odgryzał się. – Wybacz, moja droga, ale nie zamierzam zmieniać zatrudnienia tylko dlatego, żeby wyrzucić wrażenie na twoim Sterlingu.

Od niedawna Klim zaczął nazywać Ninę nie inaczej niż „moja droga”, a jeśli się zżymała, przechodził na „złotko” albo „skarbie”.

Miała wrażenie, że jej mąż przychodzi do domu tylko po to, żeby się zobaczyć z Kitty. Klim rozpieszczał ją niesłychanie, co sprawiło, że wreszcie dziecko zaczęło widzieć w Ninie „surową mamę”, która wszystkiego zabrania, a w nim „dobrego tatusia”, z którym zawsze jest wesoło i ciekawie.

Nina miała jeszcze nadzieję. Rankami wchodziła Klimowi do łazienki i długo nie wychodziła, udając, że szuka jakiegoś drobiazgu.

Golił się, wpatrzony w lustro – jeden policzek w mydle, drugi już gładki. Patrzyła na jego usiane pieprzykami plecy i krótko podstrzyżoną potylicę

z pasemkiem niezmytej piany za uchem.

– Czego ci potrzeba? – pytał, nie odwracając się.

Nina szła do drzwi.

– Jeśli masz kochankę, to powiedz!

– Jeśli się tylko jakaś pojawi, będziesz pierwszą, która się dowie.

Wlokła się do sypialni i bez sił padała na fotel. Czy do Klima nie dociera, że nie da się tak żyć?

Może sama znajdzie sobie kochanka? Namiętnego dwudziestolatka o muskularnym, opalonym ciele? Albo Azjatę, żeby już niżej nie mogła upaść? Spotkała na Nankin Road takiego wysokiego, modnie odzianego przystojniaka. Dostrzegli się nawzajem i rozeszli, oglądając się. Boże, uchowaj!

Było tylko jedno wyjście – iść do apteki po środki uspokajające, żeby już niczego nie chcieć i niczego nie czuć.

Klim mnie przechorował jak ospę – myślała zrozpaczona. – Blizny zostały, ale już wszystko z nim w porządku.

To „w porządku” było szczególnie nie do wytrzymania.

Na swoje urodziny Klim zaprosił nieoczekiwanie dużo gości.

– Gdzie oni się pomieszczą? – dziwiła się Nina, kiedy przeczytała listę.

– Możesz się tym nie przejmować, sam wszystko załatwię – obiecał.

W wyznaczonym dniu w domu zjawiły się wesołe panienki różnych narodowości, od Szwedek po Filipinki. Klim przedstawił je jako swoje przyjaciółki, a one rzuciły się nakrywać do stołów i ozdabiać pokoje.

Nina próbowała nimi kierować, ale nie zwracały na nią uwagi. Czowała się zbędna we własnym domu.

Zadzwoił telefon, Nina odebrała. To był sekretarz Rady Miejskiej.

– Przyszły do pani papiery z Waszyngtonu. Może pani po nie przyjechać.

Nina wstrzymała oddech. Kilka miesięcy wcześniej Sterling obiecał dowiedzieć się w biurze imigracyjnym, czy kobieta może otrzymać amerykańskie obywatelstwo poza wyznaczonymi kwotami przydziałów i nie jadąc do Stanów Zjednoczonych.

Nic nie mówiąc Klimowi, wsiadła do samochodu i kazała kierowcy jechać do Rady Miejskiej. Z wrażenia wyschły jej wargi. Jaka przyszła odpowiedź? Dostanie obywatelstwo czy nie?

U Sterlinga siedzieli interesanci, więc musiała długo czekać. Sekretarz przyniósł jej kawę i świeżą prasę, ale nie mogła się na niczym skupić.

Obywatelstwo! Ten, kto otrzymuje je przy urodzeniu, nigdy nie zrozumie, jakie to ważne być człowiekiem, którego chronią prawa cywilizowanego świata! Bez tego czuje się bezbronny, niczym mysz schwytana przez dzieci. Jej życie zależy od tego, jak zechcą się te dzieci zabawić.

Wreszcie Sterling był wolny.

– Mogę pani pogratulować! – powiedział, wychodząc Ninie naprzeciw. – Napisałem komu trzeba o pani zasługach w czasie strajku i sprawę rozpatrzono pozytywnie.

– Dziękuję! – Głos Niny drżał.

– Jest tylko jedno „ale” – dodał Sterling. – Podała pani prośbę o obywatelstwo dla siebie, męża i zaadoptowanej córki, jednak zgodnie z prawem imigracyjnym z tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku, osoby chińskiego pochodzenia nie mają prawa otrzymać obywatelstwa. Więc jeśli zdecydowałibyscie z Klimem przenieść się do Stanów Zjednoczonych, nie możecie zabrać dziewczynki. Zaraz jadę na kolację do Astor House. Dotrzyma mi pani towarzystwa?

– Oczywiście...

Całą drogę uśmiechała się, chociaż czuła zły osad w duszy, jakby stała się świadkiem grabieży. Komu będzie lepiej od tego, że Kitty zostanie bez dokumentów?

Nagle poczuła przyływ nienawiści do Sterlinga. Nawet jej nie współczuł, jakby sprawa szła o pieśń! Nina była pewna, że do niej też odnosi się podobnie. Potrzebował jej tylko dla zachowania pozorów. Cały Szanghaj plotkował o jego homoseksualnych skłonnościach i musiał udowodniać, że wszystko z nim w porządku. Nina nadawała się do tego znakomicie, gdyż po historii z Danielem Bernardem zyskała reputację kobiety rozwiązłej, a przy tym niczego nie chciała od Sterlinga.

Przy kolacji paplał o futbolu amerykańskim, a Nina przytakiwała i się rozglądała. Do Astor House zaczęli przychodzić bogaci przedsiębiorcy. Przy sąsiednim stoliku siedziała głośna grupa agentów nieruchomości, w drugim końcu sali fetowano rosyjską balerinę.

Nina nie czuła żadnych związków z tymi ludźmi, byli od niej tak dalecy, jak wszyscy inni goście lokalu. Jak to się stało, że straciła swoich, ale nie zbliżyła się do nikogo innego?

Zapadł zmrok, Klim na pewno świętował na całego. Dzisiejsze urodziny były dla niego ważne jako symbol sukcesu. Dziesięć lat wcześniej, w Argentynie, żył intensywną, mocną egzystencją ulubieńca publiczności, a teraz wrócił do tamtego życia. A Nina nie tylko nie złożyła mu życzeń, ale wyjechała, żeby go mocniej dotknąć.

Doszli do tego, że zaczęli sobie codziennie udowodniać: Nie masz władzy nade mną i nigdy nie zdołasz mnie zranić, dlatego że nic do siebie nie mamy. Oczywiście to było nie tak, więc spirala nienawiści nakręcała się coraz mocniej. Wreszcie zupełnie przestali się krępować, robiąc sobie na złość.

Nina mogła tylko myśleć z przerażeniem: Boże, co my robimy?! Przecież zaraz nie będzie drogi powrotnej!

Pożegnała się ze Sterlingiem i wsiadła do czekającego na nią samochodu.

Trzeba jednak wytłumaczyć się przed Klimem i powiedzieć, że wyjechałam po dokumenty – postanowiła. – A co do Kitty, coś wymyślimy. W każdym prawie można znaleźć jakieś kruczki.

Kiedy wróciła do domu, impreza była w pełnym rozkwicie. Na werandzie grała orkiestra i krążyły pary. Weseli goście co chwila wznosili toasty za zdrowie Klima, ale jego samego nigdzie nie widziała.

Podskoczył do niej rozpromieniony Fernando.

– Madame tańczy? – zawołał, próbując ją objąć.

– Proszę mnie puścić!

– Jak pani chce. Jeśli spotka pani męża, proszę mu powiedzieć, że go uwielbiam!

Burbano chwycił ze stołu kielich z szampanem, wypił jednym haustem i pobiegł tańczyć.

Po długich poszukiwaniach Nina znalazła Klima za domem, na ławeczce otoczonej zaroślami bambusa. Obok na wózku inwalidzkim siedziała Tamara.

Byli tak zajęci rozmową, że nie zauważyli Niny, nawet kiedy podeszła bardzo blisko.

– Sens życia można odnaleźć albo w tworzeniu, albo w trosce o bliskich – mówił Klim.

Tamara westchnęła.

– Trudno mi zadbać nawet o samą siebie, a moja twórczość jest nikomu niepotrzebna.

– Jest potrzebna. Pani. Osobiste potrzeby także się liczą! Kiedy człowiek robi coś z niczego, wyrastają mu skrzydła, czyni ten świat lepszym i staje się... partnerem Boga w dziele tworzenia, jeśli chciałaby to pani tak nazwać.

Klim i Tamara ledwie się znali, a jednak zwierzyła mu się z najskrytszych myśli i przyznała, że od kilku lat nie wie, po co w ogóle żyje. A on zamiast bawić się z gośćmi, słuchał jej z uwagą.

– Niech pani przyjedzie do radia – zaproponował Klim. – Ma pani miły głos, a na akcent proszę nie zwracać uwagi, bo takie drobiazgi mogą razić tylko pana Sterlinga i jego potakiwaczy. Radio to rzecz demokratyczna, więc możemy się nimi nie przejmować.

Nina skrzywiła się mimo woli. Pod pojęciem „potakiwacze” miał z pewnością na myśli właśnie ją, bo kogo innego? Był gotów ratować kogokolwiek, nawet kobietę, przez którą zginęła jego córka, ale dla żony nie miał nic prócz złości.

Teczka z dokumentami wysunęła się jej z palców i upadła pod ławkę.

Klim się odwrócił.

– Co ci jest?

Nina pospiesznie zebrała rozsypane dokumenty.

– Dali mi... a właściwie nam obojgu, amerykańskie obywatelstwo.

– Gratuluję! – zawołała Tamara.

Ale Klim w ogóle się nie ucieszył.

– Mam nadzieję, że szczęśliwie dotrzesz do Ameryki. O mnie i Kitty nie musisz się martwić.

Nina oniemiała. Dla Klima najlepszym prezentem był jej wyjazd i dał to do zrozumienia, nie krępując się, w obecności Tamary.

Kiedy odjechali ostatni goście, Nina wyszła za Klimem na taras, na którym stały nakryte stoły. Wziął brzoskwinię z wazy, kilka razy podrzucił ją i zaproponował Ninie:

– Chcesz się wzmocnić? Wprawdzie szofer powiedział mi, że byłaś na kolacji w Astor House z mister Sterlingiem, ale trochę czasu już minęło.

Nina trzęsła się od ledwie powstrzymanej wściekłości.

– Nie twoja sprawa, z kim jadam kolację! Zabieraj się z mojego domu!

Klim położył brzoskwinię na talerzyk i zaczął ją kroić.

– To nie twój dom – oświadczył zimno. – Dowiedziałem się od Tamary, że przez cały czas płaciłaś jej symboliczną kwotę, chociaż od dawna opływasz w dostatki. Ustaliliśmy, że będę wnosił pełną sumę.

– Oszalałeś?!

– Nie, moja droga, to ty zwariowałaś. Nie zauważasz nawet, że wciąż wykorzystujesz ludzi i nie myślisz, co oni czują. Bawisz się z Kitty tylko wtedy, kiedy masz nastrój, i nie dbasz o to, że dziecko tęskni za matką. Zgubiłaś Labudę, nie płaciłaś pensji pracownikom wydawnictwa, chociaż mogłaś dać do lombardu chociażby zastawę albo całe to barachło, którym zawałiłaś dom!

Klim cisnął nóż do wazy z owocami, a ciężka rękojeść rozrzuciła je na wszystkie strony. Pomarańcze potoczyły się po stole, przewracając kieliszki z niedopitym winem.

– Przestań! – krzyknęła Nina, ale Klim nie zamierzał słuchać.

Wypomniał jej kłótnie z pułkownikiem Łazariewem i ochroniarzami, nieczysto zawierane umowy, przyjaźnie z podejrzanymi klientami oraz różne większe i mniejsze grzechy.

Nina była zdumiona. Myślała, że Klima nie interesują jej sprawy, ale okazało się, że mąż śledził każdy jej krok i zauważał każdą nieuczciwość.

– Wiesz, czym ty się teraz zajmujesz? – rzuciła ze złością. – Próbujesz udowodnić samemu sobie, że nie masz mnie za co kochać. Sam urządziłeś sobie piekło i zasiedliłeś je demonami, które nie istnieją w naturze.

Wyszła, trzasnąwszy drzwiami, i zamarła, porażona dziwną myślą.

Nie jestem tutaj nikomu potrzebna. I wcale nie dlatego, że zrobiłam coś nie tak, jak trzeba, ale dlatego, że nie jestem taka, jaką chcą mnie widzieć. Ochroniarzom przeszkadza, że właścicielką agencji jest kobieta, przewodniczący komitetów są wściekli, że przyjaźnię się ze Sterlingiem, a Klima oburza, że popełniam błędy i prowadzę się jak żywa istota, a nie bezgrzeszny anioł. Co ja tutaj robię?

Klim przywiózł Tamarę do radia, aż po sufit wypełnionego fantastycznymi urządzeniami. Był tutaj udziałem władcą: dziarsko przekomarzał się po szanghajsku z technikami, ganiał ochronę po bułeczki, pisał nowe skecze i nieświadomie, z nawyku, zonglował jabłkami, przyniesionymi przez sekretarkę.

Kiedy włączał mikrofon, pracownicy zbierali się za szybą po drugiej stronie studia i niecierpliwie czekali na rozrywkę.

Nawet właściciel interesu, gruby don Fernando, uczestniczył w tym karnawale.

– Bohater! – krzyczał, pokazując kolejny pochwalny artykuł w gazecie.

Klim jako jedyny ze wszystkich nie uważał Tamary za niepotrzebny rupieć, nad którym można się tylko litować. Miał absolutną rację, kiedy mówił, że tworzenie dodaje skrzydeł. Tamara już nie czekała jak na zmiłowanie, żeby znajomi zwrócili na nią uwagę, nie miała teraz czasu się nudzić i snuć sprytnych planów rewanzu.

Słuchacze znali Tamarę nie jako inwalidkę, ale bystrą, pełną energii damę, która opowiada o nowych filmach i książkach. Nierzadko odgrywali z Klimem scenki z życia Szanghaju: Tamara była żebrzącym chłopcem i białą lady, a Klim jej fatygantem.

– Hej, mistrzu, rzućcie coś sierotce! Nie mam taty ani mamy, nawet whisky z sodą... – jęczała Tamara.

Klim ją odpędzał, a ona się z nim drażniła:

– Hej, mistrzu, masz nową missi? A może wyprałeś starą?

„Biała lady” była zagniewana, „fatygant” musiał się tłumaczyć, „żebrak” chichotał demonicznie.

Wszystkie efekty dźwiękowe robili na stole przed mikrofonem. Tupot nóg udawała gumowa zelówka, silnik samochodu wentylator, a gwar tłumu został zarejestrowany na płycie. Tamara szybko nauczyła się używać w eterze policyjnych gwizdków, dzwoneczków, paczek papieru, nożyczek, budzika i mnóstwa innych rekwizytów. A jeśli potrzebowali głosów zwierząt, zapraszali utalentowanego chińskiego chłopca, który umiał naśladować wszystko, od ryku lwa po kwakanie kaczki.

Kiedy Tamara wracała do domu, dzieci witały ją w progu okrzykami:

– Mamo, słyszeliśmy cię! Ale było fajnie!

A Tony całował jej ręce i prosił, żeby pozdrowiła Klimę.

– Ależ się cieszę, żeście się zaprzyjaźnili!

Tamara byłaby bez reszty szczęśliwa, gdyby nie okropne wieści z południa.

Dziewiątego lipca 1926 roku Armia Narodowo-Rewolucyjna rozpoczęła natarcie na północne prowincje. Wyposażeniem lotniczym, artyleryjskim i strzeleckim znacznie przewyższała półbandyckie armie chińskich generałów, nic więc dziwnego, że się cofali pod naciskiem.

– Jeżeli wojna dojdzie do Szanghaju, trzeba będzie wyjechać do Japonii – wzdychał Tony.

Na wszelki wypadek kazał zapakować już zawczasu wszelkie cenne przedmioty i wysłał je do Nagasaki.

Tamarze robiło się zimno na myśl o ewakuacji. W Japonii nie miała ani przyjaciół, ani perspektyw pracy.

Spytła Klima, co zamierza robić.

– Jeszcze nie postanowiliśmy z Niną – odparł i zmienił temat.

O ile Tamara się orientowała, jej przyjaciel prawie nie rozmawiał z żoną.

Rozdział 24

Ekspedycja Północna

Po powrocie do Kantonu Daniel poświęcił się bez reszty przygotowaniu do Ekspedycji Północnej. Jej rozpoczęcie wciąż odkładano, w pierwszym rzędzie przez to, że prawe i lewe skrzydło Kuomintangu wciąż nie mogły podzielić się obowiązkami i pełnomocnictwami. Wygrał jak zwykle ten, kto miał pod sobą wojsko, i do lata roku 1926 w rękach Czang Kaj-szeka znalazła się pełnia władzy wojskowej, cywilnej i partyjnej.

Bolszewików to oczywiście nie urzędało, jako że ten gruby, ogolony na łyso Chińczyk był nazbyt narowisty i w odróżnieniu od Sun Jat-sena nie ciągnęło go do idei Marksa i Lenina. Jako spadkobierca nacjonalistów Czang Kaj-szek stale podkreślał swoje chińskie pochodzenie i wyrażał życzenie, aby kraj był zupełnie niezawisły.

Bolszewiczcy doradcy wojskowi próbowali zamienić Czang Kaj-szeka na bardziej uległego polityka, ale Daniel, który brał aktywny udział w zakulisowych walkach, zdążył szepnąć komu trzeba parę słów i spiskowcy zostali aresztowani.

Czang Kaj-szek postawił Moskwie ultimatum: albo nie będzie pretendowała do władzy w Chinach, albo sojusz między Kuomintangiem a komunistami zostanie zerwany. Bolszewicy musieli iść na ustępstwa, ale Daniel rozumiał doskonale, że nie porzucą swoich planów, wyczekają tylko na bardziej odpowiedni moment.

Kiedy tylko Czang Kaj-szek objął funkcję głównodowodzącego armii, kazał natychmiast zorganizować pochód. Daniel, piloci i obsługa lotniska wyruszyli jako jedni z pierwszych i bardzo szybko odkryli, że biorą udział nie tyle w wojnie, ile w bezsensownym unicestwianiu zasobów materialnych i ludzkich.

Głodni żołnierze maszerowali pod palącym słońcem przez zielone wzgórza. Ścieżki były tak wąskie, że nie mógł nimi przejechać żaden wóz, więc wszystko musieli nieść na własnych plecach. Każdą armatę rozbierano na sześć części, na każdą przypadało sześciu tragarzy. Za kulisami szła amunicja – pięćset ładunków w różnorodnych skrzyniach. Stopy miesiły błoto, pot ciekł strumieniami, kolumny rozciągały się na dziesiątki mil.

Wojska pokonywały wąwozy po wiszących mostach i jeśli zniszczone liny nie wytrzymały, całe oddziały lądowały w przepaściach. Cholera zabierała setki żołnierzy tylko dlatego, że jako lekarzy pozatrudniano czyichś krewnych, nieznających podstawowych zasad higieny. Wszystko, co umieli, to urządzić procesję z kołatkami dla odpędzenia złych duchów.

Armję ratowało to, że na północy sprawy miały się jeszcze gorzej. Gubernatorzy nie dbali o ludzi i wysyłali ich z mieczami przeciwko karabinom.

Daniel codziennie wyklócał się z Wasilijem Blücherem, głównym doradcą

wojskowym z ramienia bolszewików. Zapasów paliwa nie było, tabor z częściami zapasowymi został gdzieś z tyłu i nikt nie wiedział, gdzie go szukać... Z map mieli tylko dwuwiorstowe. Żeby wykreślić na nich trzysta mil przemarszu, trzeba by zużyć dziesięć funtów papieru. A co dopiero orientować się według nich w powietrzu!

Piloci rwali się do walki, więc powolne ruchy wojsk doprowadzały ich do szału. Podlatywali do kolumn marszowych i przemykali obok lotem koszącym. Ze strachu piechurzy strzelali za samolotami, ale nigdy nie trafiali. To byli niewyszkoleni, pozbierani po wsiach żołnierze, nieznający podstaw balistyki i niemający pojęcia, jak używać przyrządów optycznych. Mniej niż połowa z nich potrafiła trafić w nieruchomy cel, a co dopiero mówić o aeroplanach?

Rosyjscy i chińscy dowódcy klęli wprawdzie na „skrzydlatych bogów”, ale nikt nie myślał ich karać. Ludziom o wyższym statusie darowywano nawet to, za co zwykłych wojaków by rozstrzelano.

Bezkarność jeszcze mocniej podrywała dyscyplinę. Konstantin posadził samolot pośrodku zatopionego pola ryżowego! Uznał, że kulisi jakoś wyciągną maszynę. I nieważne, że straci się na to siły oraz środki. Wojna wszystko przyjmie.

Daniel ratował się cynizmem. Powtarzał sobie, że wojna domowa to sposób na uratowanie kraju od przeludnienia i jeśli Chińczycy nie żałują siebie samych, to on też nie powinien. Jego zadanie to służyć Niemcom i wykonuje obowiązki jak należy: uważnie śledzi rosyjskich kolegów i wysyła szyfrowane raporty do Kantonu, skąd wędrują do Berlina.

Armia Narodowo-Rewolucyjna wyszła nad Jangcy w rejonie wielkiej twierdzy Wuhang. W tym miejscu rzeka była szeroka na pół mili, a na drugim brzegu majaczyły miasta Hankou i Hanyang z ich szarymi domami i kominami fabryk wojennych. Zgodnie z doniesieniami zwiadowców tamtejsi biedacy czekali z niecierpliwością na armię z południa i na całego grabili domy ewakuowanych obcokrajowców.

Od trójmiasta Hankou, Wuhang i Hanyang można było prowadzić natarcie w kierunku Szanghaju, ale twierdza, otoczona mocnymi średniowiecznymi murami, odmówiła kapitulacji. Blücher nie miał sprzętu oblężniczego, a strzelanie z lekkich polowych armat nie miało sensu. Pociski nie były w stanie uczynić warowni najmniejszej krzywdy.

O świcie Daniel i Blücher wznieśli się w powietrze, żeby obejrzeć pozycje. Woda w fosie otaczającej twierdzę prawie wyszła, zamieniając się w bagno. Morze dachów wznosiło się i opuszczało po skłonach wzgórz – w Wuhang żyło około pół miliona ludzi.

– Trzeba będzie bombardować! – krzyknął przez szum silnika Blücher. – No i dobrze. Nie jesteśmy wegetarianami.

Ostatniego dnia lata rozpoczął się szturm. Daniel patrzył przez lornetkę, jak żołnierze wspinali się na mury po bambusowych drabinach. Obrońcy lali na nich smołę, zrzucali kamienie i belki, a gęsta maź w rowach zapełniała się rannymi. Od czasu do czasu któremuś z atakujących udawało się wyjść na górę, a wtedy nad blankami wykwitwały chmury ognia od eksplozji granatów.

Z oddali dolatywał głuchy huk. To lotnicy zrzucali bomby na obrońców. To było niesamowite widowisko: szturm wedle wszelkich prawideł średniowiecznej sztuki wojennej, a na niebie samoloty.

Wkrótce dym pożarów zasnuł wszystko dookoła. Dowódcy odjęli lornetki od oczu, bo nie było już na co patrzeć. Wreszcie łącznik przyniósł radosną wiadomość – żołnierze zdobyli mur.

Dowódcy ściskali sobie dłonie, Blücher, napięty, ze świecącymi od pobudzenia oczami, palił jednego skręcanego z machorki papierosa za drugim.

– Damy radę! Będziemy nocować w mieście!

Minęła godzina. Dowódca oblężenia wysłał do twierdzy już trzech łączników, ale żaden nie wrócił.

Wieczorem do sztabu przybył lotnik z zakrwawioną opaską na głowie.

– Pułapka! Za zewnętrznym murem wszystko było zaminowane.

Blücher chciał zająć twierdzę z marszu, ale sprawa miała się zakończyć

długotrwałym oblężeniem. Od strony rzeki do Wuhanu podływały dżonki z posiłkami i żywnością. Żołnierze Armii Narodowo-Rewolucyjnej zatapiały je, a wziętych do niewoli przewoźników torturowali okrutnie, próbując się dowiedzieć, jak wygląda sytuacja w mieście. Zeznania były sprzeczne. Jedni jeńcy mówili, że zapasów obrońcy mają dość, inni utrzymywali, że twierdza jest gotowa kapitulować.

Z rozkazu Blüchera lotnicy zrzucili odchody choleryków do zbiorników wodnych, z których obrońcy czerpali wodę. Niebawem w twierdzy wybuchła epidemia.

Ale zwycięstwo udało się odnieść dopiero wtedy, gdy jeden z dowódców oblężonych za wielką sumę zgodził się otworzyć bramę.

Blücher wezwał żołnierzy, aby zachowywali się jak przystało na rewolucyjnych bojowników, ale wystarczyło, że wdarli się do twierdzy, a zaczęły się masowe grabieże i morderstwa. Jedyne, co mogli uczynić rosyjscy dowódcy, to wcielić mężczyzn do armii, żeby uzupełnić straty.

Wojna to rzecz zaraźliwa – myślał Daniel, patrząc na kolejki ochotników przed biurkami pisarzy wojskowych. – Zimą nie będzie tu czego jeść, więc ludzie mają dwa wyjścia: albo umierać z głodu, albo wstąpić do wojska i grabić sąsiadów.

Z Kantonu przybyli komunistyczni agitatorzy i zaczęli siać propagandę, jakoby wszystkim nieszczęściom byli winni źli obcokrajowcy – Anglicy, Japończycy, Amerykanie i Francuzi, ale jeśli posłuchać dobrych białych ludzi, takich jak Rosjanie, w Chinach zaraz zacznie się inne życie.

Starożytne trójmiasto zostało przemianowane na Wuhan i właśnie tutaj przeniosły się sztaby komunistów oraz Kuomintangu. W listopadzie 1926 roku z wielką pompą powołano nowy rząd narodowo-rewolucyjny.

Przez cały ten czas Czang Kaj-szek przebywał w Nanchangu, więc władzę w nowej stolicy przejął jego główny polityczny doradca Michaił Borodin. Zaczęły się plotki, że Rosjanie znów postanowili odsunąć głównodowodzącego od najważniejszych spraw.

Niebawem Daniel otrzymał nowy szyfrogram z Berlina. Miał robić wszystko, aby dyskredytować bolszewików w oczach zwolenników Kuomintangu.

Nie musiał w to wkładać wiele wysiłku, teraz bowiem nawet najbardziej naiwni widzieli, do czego dążą Rosjanie. Michaił Borodin obiecał uczynić z Wuhanu przykładowe komunistyczne miasto, w którym nie będzie własności prywatnej ani wykorzystywania człowieka przez człowieka. Ludzie oklaskiwali go, ale chińscy oficerowie, członkowie Kuomintangu, otwarcie się oburzali, że ich kraj zamienił jednych białych uzurpatorów na drugich. Czy właśnie o to walczyła Armia Narodowo-Rewolucyjna?

Po napiętym dniu, wypełnionym pertraktacjami i intrygami, Daniel wracał do „domu”, czyli zarekwirowanej kupieckiej willi. Bojaźliwa kucharka podawała

mu garnuszek bobu, a po kolacji Bernard kładł się spać na sienniku.

Wymował z kieszeni *netsuke* z wizerunkiem lisicy *kitsune*, patrzył na połyskującą postać z dziewięcioma ogonami i myślał o Ninie.

Co się z nią stało po jego odjeździe? Wyr nasłał na nią swoich ludzi? Ale nawet jeśli jej się udało, kobietę czekała straszna przyszłość. Kiedy żołnierze Armii Narodowo-Rewolucyjnej wtargną do Szanghaju, zezwierzęcona tłuszcza zabije wszystkich „białych diabłów” w zagranicznych koncesjach.

Nina wolała zostać z Klimem Rogowem, nie miała dokąd uciec, a Daniel nie mógł jej pomóc.

Bolszewikom wydawało się, że wystarczy przejąć władzę w Wuhanie, a od razu zapanuje tam komunistyczny raj. Jednak pod nowym zarządem miejska gospodarka zupełnie się zawaliła. Nic nie działało, przestępczość rosła, a każdego dnia z trójmiasta wypływały niezliczone łódki z uciekinierami.

Lecz nikt nie śmiał wątpić w komunistyczne ideały. Do grona zewnętrznych wrogów dodano wewnętrznych – szpiegów, szkodników i burżujów, marzących tylko o gnębieniu klasy robotniczej. A kogo by innego można obwinąć o to, że na rynku nie było niczego, prócz spleśniałego ryżu?

Pieniądzy w kasie nie wystarczało nawet na utrzymanie szpitali, zatem nowy rząd postanowił sprzedać część wojennych trofeów, aby wspomóc Czerwony Krzyż.

Drzwi starego dworku na rogatkach Hankou były otwarte, po podłodze rozpląwało się błoto pośniegowe przyniesione z ulicy, a między stołami z dziełami sztuki chodzili ponurzy żołnierze. Skarby pozostałe po poprzednim władcy były kuszące, ale nikt nie chciał pierwszy pokazać, że ma pieniądze, bo to by było przyznanie się do maruderstwa.

Od czasu do czasu do sal zaglądali skromnie ubrani urzędnicy, zbijający majątki na nielegalnym handlu żywnością i węglem. Poszły słuchy, że jeśli nie będzie popytu na towary, za sprawą Czerwonego Krzyża spadną ceny, więc spekulanci czekali na okazję.

Daniel nie zamierzał niczego kupować. Przyszedł tutaj, żeby spotkać się ze starym przyjacielem, który przybył z Szanghaju. Przechodząc z sali do sali, oglądał wazy barwy nieba po deszczu, lekkie jak oddech hafty i szkatułki z laki, chroniące sekrety wielu pokoleń piękności.

Wreszcie w drzwiach pojawił się don Fernando, trącił tłustym palcem malunek na ryżowym papierze.

– Co to za kicz?

Daniel uśmiechnął się pobłaźliwie.

– *Szum cieni kołysanych wiatrem*. Siedemnasty wiek, dynastia Ming.

Burbano zawołał Jednookiego.

– Powiedz, żeby mi zapakowali tę „dynastię”. I tę rzeźbę z czerwoną mordą także.

– To Guan Yu, bóg braterstwa broni i pobożności – wyjaśnił Daniel.

– E, nie... Nie potrzebuję cudzych bogów. – Don Fernando się zasępił. –

Jeszcze się na mnie obrazi Święta Panienska. Lepiej wezmę tę babę z piszczałką. Tylko mi nie mów, kto to!

Kazał Jednookiemu zanieść zakupy do samochodu, a potem powiódł Bernarda na zasypane śniegiem podwórko. Na jego środku ciemniał dawno nieczyszczony stawik.

– Jak sprawy w Szanghaju? – spytał Daniel, kuląc się nieco. Cienki płaszcz zupełnie nie chronił przed zimnem.

– Wszyscy miotają się jak szczury w pustym wiadrze – zaśmiał się Fernando. – Policja Osiedla Międzynarodowego na wszelki wypadek „zgubiła w archiwum” przestępczą historię Czang Kaj-szeka, bo może trzeba się będzie z nim układać.

– Cóż za zapobiegliwość – mruknął Daniel.

Według słów don Fernanda przez ostatnie miesiące do Szanghaju przybyło ponad sto tysięcy uchodźców, którzy ratowali się nie tylko przed nacierającą armią, ale też przed cofającymi się wojskami północy. Przez napływ ludzi i letnie susze ceny na produkty spożywcze wzrosły prawie dwukrotnie, a władze obawiały się głodowego buntu.

– Gubernator całkiem ogłupiał ze strachu – opowiadał dalej. – Z jego rozkazu strażę zatrzymują każdego, kto jest podejrzany o sprzyjanie komunistom albo Kuomintangowi. Nie ma już miejsca w więzieniach, więc kaźnie odbywają się na ulicach. A potem odrąbane głowy chowają do klatek i wieszają na latarniach.

Don Fernando poczęstował Daniela egipskim papierosem z cieniutką złotą obrączką nadrukowaną na bibułce. Bernard nie palił takich od kilku miesięcy.

– Bolszewicy przyswoili sobie lekcję ze strajku generalnego – powiedział don Fernando, wypuszczając dym. – Chińczycy zrywają się do walki tylko wtedy, gdy zaczną się ofiary wśród ludności cywilnej. A skoro tak, to znaczy, że trzeba ofiary zorganizować. Teraz w Szanghaju powstają oddziały robotnicze, które na sygnał pójdą gromić zagraniczne koncesje. W odpowiedzi wielkie mocarstwa wysadzą w mieście wojska i zabiją kilka tysięcy żółtych, co doprowadzi do powstania w całym kraju. Bolszewicy mają nadzieję objąć przywództwo, aby na tej fali przejąć władzę w Chinach.

Burbano zajął Danielowi w oczy.

– Przyjechałem do ciebie z poleceniem od Wielkouchego Du.

– Przywódcy Zielonej Bandy?

– Tego samego. Wiemy, że Czang Kaj-szek ma kłopoty z Rosjanami i że nie może otwarcie wchodzić z nimi w spory, bo płacą jego rachunki. Jeśli Czang Kaj-szek nie ruszy zagranicznych koncesji i wyrzuci z armii komunistów, Szanghaj podda się bez walki, a wasz głównodowodzący zyska inne źródło dochodów.

– Z handlu opium?

– Nie tylko. Wielkie mocarstwa chcą się porozumieć pokojowo, a to oznacza międzynarodowe poparcie i kredyty. Czang Kaj-szek może więc teraz znaleźć

sobie o wiele wygodniejszych sojuszników.

– Dowiem się, czy jest gotowy na pertraktacje – obiecał Daniel.

Tego samego wieczoru wysłał do Berlina nadzwyczajny szyfrogram.

Odpowiedź przyszła natychmiast. Bernard powinien wziąć udział w rozmowach i wyjaśnić wszelkie szczegóły.

Razem z Fernandem skonsultowali się z głównodowodzącym i niebawem zostali wydelegowani do Szanghaju z wiadomością, że Czang Kaj-szek z przyjemnością wysłucha zainteresowanych stron.

Rozdział 25

Boże Narodzenie

Już od kilku miesięcy Nina żyła w stanie paniki przed nadciągającą burzą. Opracowywała własną linię obrony: w jej agencji pracowało ponad stu uzbrojonych ludzi i chciała wierzyć, że ujmą się za nią, jeśli dojdzie do walk ulicznych.

Teren zagranicznych koncesji patrolowało pięć tysięcy marynarzy i ochotników, ale takie siły nie mogły powstrzymać Armii Narodowo-Rewolucyjnej. Rada Miejska prosiła wielkie mocarstwa o posiłki i obiecały przysłać do marca czterdzieści okrętów. Tyle że nikt nie wiedział, czy przybędą na czas.

Wokół Szanghaju pojawił się krąg barykad, na których dniem i nocą dyżurowali ochotnicy. Na wagę złota był każdy człowiek zdolny nosić broń, Sterling podpisał więc rozporządzenie o utworzeniu rosyjskiego oddziału ochotniczego, do którego wstąpili wszyscy pracownicy Niny.

– Proszę wybaczyć, madame, ale mamy obowiązek bronić Szanghaju – powiedział pułkownik Łazariew. – Nie mamy gdzie się cofać.

Nina nie mogła uwierzyć w to, co się działo. Jeszcze wczoraj była właścicielką dużej firmy, a dzisiaj nie zostało jej nic, oprócz opustoszałego biura z dzwoniącym bez przerwy telefonem. To klienci żądali, aby przysłać im obiecanych ochroniarzy, i grozili Ninie sądami za niedotrzymanie umów.

Za oknem co i raz przejeżdżały ciężarówki z domowymi rupieciami. Kto tylko mógł, wywoził rodzinę i majątek do północnych prowincji, do Korei albo Japonii. Ale Klim nie zaproponował żonie ewakuacji.

Podczas kolacji Klim czytał gazetę, a Nina patrzyła na niego nieruchomo, napięta i nieszczęśliwa. W rzeźbionych kandelabrach na stole pomrugiwały świece. Kitty namawiała pluszowego misia, żeby spróbował jabłko.

– Zjesz, to wyrośniesz mądry i silny!

Nina czuła, jak w niej narasta fala czarnej, gęstej jak smoła nienawiści. Z trudem panując nad sobą, kazała pokojówce zaprowadzić Kitty do siebie.

– Wiesz, że Komitet Obrony zabrał mi wszystkich ludzi? – spytała Nina, kiedy zostali sami.

– Wiem.

– I nie masz w tej sprawie nic do powiedzenia?

Klim nawet nie oderwał się od artykułu.

– A co byś chciała usłyszeć?

Nina wyrwała mu gazetę, cisnęła ją w kąt.

– Opamiętaj się wreszcie! Dookoła wojna, możemy zginąć... Nie rozumiesz, że powinniśmy się pogodzić i coś przedsięwziąć? Chociażby tylko po to, żeby się ratować!

Klim wyjął z kieszeni monetę i położył ją na świeczniku.

– Weź to – powiedział.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Bierz, nie krępuj się! – rzucił. – To czyste srebro, cenna rzecz.

– Palce sobie oparzę! – zirytowała się Nina. – Przecież się nagrzała!

– Skąd wiesz?

– Wiem, co będzie, jeśli dotknę tej monety!

– A ja wiem, co będzie, jeśli się pogodzimy.

Przed Bożym Narodzeniem ceny wielu produktów spadły, bo sprzedawcy starali się zbyć towar, zanim wojna dotrze do Szanghaju.

Jeden z wielkich domów towarowych ogłosił wielką wyprzedaż. Dziewczyny w czerwonych sukienkach rozdawały przechodniom karteczki: „Każdy klient otrzyma niesamowity wyszywany obrus”. Poniżej małym drukiem dopisano, że obrusy dostaną się tylko tym, którzy wydadzą więcej niż dziesięć dolarów.

Nina chodziła bez celu z jednego działu do drugiego. W jednej z witryn zobaczyła kolorowe pudełko ze wstążką, które miało udawać drogi podarek, lecz w środku było puste. Czyż to nie była najlepsza alegoria jej życia?

Weszła na piętro, gdzie od podłogi po sufit były ustawione wyroby alkoholowe. Butelka whisky, to było wszystko, co chciała kupić na święta. Klima i tak nie będzie w domu, bo ma prowadzić audycję, Tamara zaprosiła Kitty na dziecięcą imprezę, więc nie będzie się musiała krępować.

Zauważyła na ścianie plakat reklamowy: dziewczyna w kostiumie kąpielowym szykowała się do skoku w kieliszek z winem. Cóż, można to było uznać za przepowiednię.

Nina odwróciła się, żeby iść do kasy, i stanęła twarzą w twarz z Danielem.

– To pan?!

Był krótko ostrzyżony, twarz miał postarzałą, a na skroniach pierwszą siwiznę.

– Co pan tu robi? – spytała zdumiona.

– Chodzę za panią od pół godziny. – Uśmiechnął się. – Jak się pani powodzi?

Nina nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Wszystko dobrze – rzekła w końcu, zaczerwieniła się i odstawiła butelkę na półkę.

Daniel pokręcił głową z dezaprobatą.

– Może pójdziemy gdzieś usiąść?

Nina wiedziała od Klima, że ten człowiek służy w Armii Narodowo-Rewolucyjnej. Było jasne, że nie przyjechał do Szanghaju tak sobie, ale przecież nie wszczęła alarmu, nie wydała go ochronie. Zamiast tego udali się na drugie piętro, kupili bilety do kina i zasiedli w na wpół pustej sali.

Operator wyświetlił film, a Nina przy trzaskach projektora opowiedziała Danielowi, co się zdarzyło w ostatnim czasie.

– To wszystko pana wina! – wyszeptała. – Pan rozbił moje życie!

– Czyli to ja powinienem je odbudować – odparł bardzo poważnie. – Mam pewne sprawy do załatwienia w Szanghaju, a potem wracam do Wuhanu. Powinna pani jechać ze mną.

– Niech Bóg broni!

– Proszę mi wierzyć, że w najbliższym czasie w Szanghaju będzie bardzo nieprzyjemnie.

– Będzie oblężenie? – spytała zaniepokojona Nina.

– Może się zacząć cokolwiek. Radzę pani kupić bilet na sowiecki parowiec Pamięć Lenina, który w następny czwartek odpływa do Wuhanu.

– Ale tam jest wojna!

– W Chinach nie ma zwykłej linii frontu – tłumaczył Daniel. – Walki toczą się tam, gdzie wrogie wojska znajdują się w tym samym czasie. Jangcy jest patrolowana przez okręty Anglików i Amerykanów, więc jednostki handlowe jak chodziły w górę rzeki, tak chodzą.

Nina długo patrzyła na ekran, na którym przystojny aktor, Rudolf Valentino, walczył o miłość przepięknej pani.

Szalone przygody, miłość silnego mężczyzny i słabej, ale dumnej kobiety... Ludzie myślą, że tak się dzieje tylko w filmach. Żyją swoją marniutką egzystencją, od której człowiek miałby ochotę się powiesić, i nie dopuszczają myśli, że wszystko jest w ich rękach. Chcesz zostać bohaterem? To zostań. Chociaż raz zrób coś szalonego, o czym będzie można wspominać!

W Szanghaju Niny nic nie czekało. Klim sam popychał ją ku rozstrzygającemu postanowieniu. Odmówiwszy pogodzenia się, zmienił swoje blade podejrzenia w samospełniającą się przepowiednię. Chociaż Daniel to człowiek niezastępujący na zaufanie, ale gotów wyciągnąć Ninę z pułapki, w której się znalazła. Gdyby wyjechała z nim do Wuhanu, zyskałaby nowe znajomości i możliwości. Nieważne, że Bernard służy chińskim nacjonalistom, czy kto tam teraz rządzi. Jeśli zdołał się dogadać z tymi ludźmi, to i ona da radę.

Czuła na sobie jego wyczekujące, napięte spojrzenie.

– Pojedzie pani ze mną?

– Nie wiem...

Nina odetchnęła. A może wszystko rzucić? Tylko że spali za sobą mosty. Ale jeżeli zostanie, to załamie się i coś sobie gotowa zrobić.

– Niczego nie obiecuję... – zaczęła, ale Daniel nie pozwolił jej dokończyć.

– Będę czekał na statku.

Jeszcze przed końcem filmu Nina pierwsza wyszła z sali. Nikt nie powinien widzieć jej w towarzystwie Bernarda.

Ada liczyła dni. „Nie widziałam Feliksa już miesiąc”, „Nie widziałam Feliksa od pół roku”... Nocami wyobrażała sobie, jak się spotykają – ona będzie wracać od Bernardów i zobaczy go czekającego na nią pod Domem Nadziei. Te myśli odganiały sen najpierw na pół nocy, potem na godzinę, a wreszcie na dziesięć minut.

Dostała tylko jeden list. Dotarł pomyślnie do sztabu i wstąpił do rosyjskiego oddziału pociągu pancernego Wielka Strzała. Dziewczyna nie wiedziała, czy ukochany jeszcze żyje, czy też już dawno go zabili.

Słowa „bitwa o Szanghaj” brzmiały dla Ady jak „koniec świata”. Pytała Edny, czy nie należałoby się ewakuować na północ. Ale missis Bernard nie chciała o tym słyszeć. Handel dziećmi przybrał niespotykane rozmiary. Uchodźcy nie mieli za co wykarmić potomstwa, więc oddawali „zbędne gęby” każdemu, kto zaoferował im jedzenie.

Ludzie z Zielonej Bandy starsze dzieci sprzedawali do burdeli i fabryk. Niemowlęta brali zawodowi żebracy, którzy nierzadko okaleczali je, żeby zarobić więcej pieniędzy. Nawet jeśli któryś maluch zdołał uniknąć takiego losu, czekała go szybka śmierć z głodu. Żeby nie płakał, dostawał do ssania szmatkę nasączoną opium, a po kilku dniach żebracy wrzucali sinego trupka do kanału.

W Ednę jakby diabeł wstąpił. Wciąż brała udział w jakichś naradach i zbierała datki. Ada parę razy jeździła z nią i Bingbing do przytułków, i dziewczynie zawsze chciało się wyć z rozpacz.

Sierot nie dało się uratować od najgorszego, co przynosi życie – od niewolnictwa. W przytułkach je poniżano, zmuszano do pracy od rana do nocy, nie wypuszczano i często bito. Missis Bernard uważała, że niesie dobro, lecz Ada sądziła, że lepsza śmierć od takiego „daru losu”.

Na Boże Narodzenie Edna postanowiła podarować sierotom pięćdziesiąt par majtek i zapędziła całą służbę do szycia. Adę wyprawiono do domu towarowego po nici.

Żeby nie wracać zbyt szybko, postanowiła pogapić się na afisze najnowszych filmów. Nagle zobaczyła Daniela Bernarda, wchodzącego do kina.

Adzie dusza uciekła w pięty. Nie tak dawno odwiedził ją przyjaciel Feliksa, Johnny Collor.

– Aresztowaliśmy handlarzy narkotyków w porcie i dowiedzieliśmy się przy okazji, że Daniel Bernard dostarcza broń na południe – powiedział. – Gdyby wrócił

do domu, proszę dać nam znać.

Ada z początku nie powiedziała Collorowi o samolocie, a potem było za późno. Wyszłoby na to, że przez cały czas kryła Bernarda.

Teraz patrzyła w osłupieniu na obrotowe drzwi, za którymi zniknął Daniel. Jeśli nie doniosę, uznają mnie na pewno za współwinną.

Pobiegła do komendy policji.

– Mój gospodarz wrócił! – wykrzyknęła, kiedy dyżurny funkcjonariusz wezwał Collora do poczekalni. – Widziałam, jak mister Bernard wszedł do kina w domu towarowym!

Johnny skoczył do telefonu.

– Potrzebuję dziesięciu uzbrojonych ludzi! – krzyknął w słuchawkę, a potem rzucił Adzie przez ramię: – Proszę nigdzie nie odchodzić!

Daniela przywieźli w kajdankach. Długo go przesłuchiwali, potem urządzili Adzie okazanie, a następnie przyjechała missis Bernard, zmartwiała z przestrawu i wstydu. Ją też zaprowadzili do śledczych.

– Może już sobie pójdę? – spytała Johnny’ego Ada.

Ale kazał jej zostać na miejscu i czekać, aż ją wezwą.

Posłusznie usiadła na ławce. Obok przechodzili ludzie, za ścianą stukwały maszyny do pisania, a pod oknem płakała kobieta z dzieckiem, przywiązany do jej pleców. Malec z ciekawością patrzył na Adę i gryzł chustę, w którą go owinięto.

Dziewczyna słyszała, jak Johnny krzyczał do kogoś: „W czasach wojennych rozstrzelać go to mało!”.

A jeśli Daniela naprawdę skazą? Ada tak się przejęła, że zaczęło ją boleć serce, zupełnie jakby ktoś jej w nie włożył tępe ostrze.

Trzasnęły drzwi, do poczekalni wpadła rozwścieczona Edna.

– Ufałam ci! – krzyknęła do Ady. – Karmiłam cię, a ty doniosłaś na mojego męża!

– Przecież on był... – zaczęła się usprawiedliwiać dziewczyna, ale Edna nie dała jej dokończyć.

– Żeby twoja noga w moim domu więcej nie powstała! Jesteś zwolniona!

Zapadał zmrok. Ada siedziała w swoim pokoju i płakała. Nie miała już ani pracy, ani pieniędzy, ani przyjaciół.

Chciała pójść do Klina i poprosić o pomoc albo chociaż radę, ale nie wpuszczono jej do radiostacji.

– Zaprosił panią? – zapytał ochroniarz.

– Nie.

– W takim razie proszę odejść.

– Jestem jego znajomą!

– Wy, wielbiciele, wszystkie jesteście znajomymi... Nie wolno wpuszczać!

Ada wiedziała, co ją czeka. Żeby przeżyć, będzie musiała sprzedać wszystkie rzeczy, zostanie w jednej koszuli, a Czen wyrzuci ją na ulicę.

Za ścianą słyszała śmiech i brzęk gitary. Mimo wojny, w zagranicznych koncesjach świętowano Boże Narodzenie.

Ada wstała. Trzeba iść do Hawany! Betty na pewno pracuje – teraz, kiedy wielu mężczyzn wysłało rodziny na północ, musiała mieć mnóstwo klientów. Może Marta pozwoli poczekać na Betty w jakimś kąciku? Dziewczyna chciała wyjść do ludzi! Żeby tylko nie siedzieć samej...

Narzuciła palto i wyszła na ulicę. Śnieg padał i od razu tajał, kiedy tylko dotknął ziemi. Zziębnięci riksarze palili jednego papierosa na trzech, w mokrych chodnikach rozpląwały się odblaski latarni.

Z bramy wyszły dwie Japonki, ich drewniane sandały stukały po kamieniach niby młotki.

– Hej, dziewczyny! – wrzasnął pijany marynarz. – Chodźcie z nami!

Japonki zachichotały, zasłaniając usta dłońmi, a potem uciekły.

W pobliżu Północnej Sycuan Road tłum gęstniał. Kawiarnia Bokserska, Kryształowy Ogród, El Dorado – zza wszystkich drzwi rozbrzmiewała muzyka i brzęk naczyń. Pijani tańczyli na ulicach.

Bal w czasie dżumy – myślała Ada z nienawiścią. – Zaraz przyjdzie Czang Kaj-szek i wszystkich was pozabija!

W Hawanie nie było gdzie wetknąć szpilki. W kącie stała prawdziwa choinka, pachniało igliwem i tytoniem, a na scenie mała w rudej peruce goniła klauna. Publiczność umierała ze śmiechu.

Ada przecisnęła się do baru.

– Gdzie jest Betty?

– Już u nas nie pracuje – odparł barman. – Jakiś włoski handlarz zakochał się w niej i wyjechali do Neapolu.

Ada sama nie wiedziała, po co poszła do Marty. Poskarżyć się na życie? W bożonarodzeniową noc? Powoli weszła po schodach i zastygła przy otwartych drzwiach gabinetu.

Właścicielka lokalu siedziała przy biurku i przeglądała rachunki.

– Co tak stoisz? Wejdźże. – Kiwnęła na dziewczynę.

Nie wstając, sięgnęła do szklanej szafki, wyjęła kieliszek i napoczętą butelkę koniaku.

– Masz, zalej trochę robaka.

– Skąd pani wie... – zaczęła Ada, ale Marta jej przerwała:

– Przychodzisz do mnie nocą, oczy mokre, spódnica ubłocona. Wyglądasz tak z wielkiej radości?

Ada wypięła koniak, a gospodyni przyniosła jej sukienkę, buty i czarną aksamitną maskę.

– Przebierz się i idź na dół. Napij się do oporu. Jutro głowę ci będzie rozsadzać, to zapomnisz na ten czas o troskach.

– A maska po co? – zdziwiła się Ada.

Marta się roześmiała.

– Obejrzyj się w lustrze! Cała jesteś czerwona.

Ada ubrała się w wulgarną karmazynową sukienkę z kokardą na biodrze. Marta zawiązała jej maskę i pomalowała usta.

– No, teraz jesteś podobna do ludzi!

– Mogę jeszcze koniaku? – poprosiła Ada.

Wypiła jednym haustem drugi kieliszek i poszła do sali.

– Uśmiechaj się! – zawołała za nią Marta.

– Słucham?

– Uśmiechaj się! Mężczyźni płacą tutaj nie za łóżko i wino, ale za to, że nie mamy problemów, które musieliby rozwiązywać.

Daniel poprosił Fernanda, żeby przywiózł z Suzhou jego samolot, więc ten na cały dzień wyjechał z miasta. Avro został rozebrany, popakowany do skrzyń i wysłany do portu.

Kiedy przemysłnik wrócił do Szanghaju, czekała na niego niespodzianka. Daniel został aresztowany. Don Fernando bardzo współczuł przyjacielowi, ale też od razu zrozumiał, że los dał mu szansę samemu pobawić się w wielką politykę. Odwiedził Allmana i wyjaśnił mu, że musi jak najszybciej spotkać się z przewodniczącym Rady Miejskiej.

Tony słuchał go ze zdumieniem.

– Czy dobrze rozumiem, że Czang Kaj-szek chce uniknąć przelewu krwi i gotów jest na pertraktacje?

Po dwóch godzinach do domu Wielkouchego Du podjechała niepozorna taksówka. Wyszli z niej Burbano, Tony Allman oraz mister Sterling.

Zostali zaprowadzeni do salonu, przy którego wejściu stały dwa karabiny maszynowe. Pomieszczenie zostało urządzone po europejsku, znajdowały się tutaj radioodbiornik, lampa elektryczna i telefon. Ale Du okazał się istotą z innego świata, a na pewno z innej epoki: wysoki, przygarbiony, z dwucalowym paznokciem na małym palcu. Na głowie nosił czarną czapkę, a z kościstych pleców zwisał szary jedwabny chałat. Tylko buty miał europejskie, importowane z Włoch.

Goście zasiedli w fotelach, służący przynieśli herbatę i Allman zaczął tłumaczyć Sterlingowi to, co mówił Wielkouchy.

– Największe niebezpieczeństwo przedstawia sobą dla nas nie Czang Kaj-szek, ale komuniści, którzy przygotowują powstanie w Szanghaju. W tej chwili na północnych rubieżach pojawiło się około czterech tysięcy uzbrojonych robotników, których nazywają czerwogwardzistami. Ale żeby przejąć całe miasto, trzeba by mieć trzy razy więcej żołnierzy. Komuniści wprawdzie posiadają odpowiednie rezerwy, ale na razie nie mają dla nich broni.

– Komuniści czekają na statek z Władystoku, który dostarczy im nową partię przemycanego uzbrojenia – wtrącił don Fernando. – Powinniśmy pierwsi uderzyć, inaczej nas rozbiją, jako że przewaga liczebna jest po ich stronie.

Sterling zbladł jak kreda.

– Mamy porozumienie z chińskim komendantem wojskowym. Nie dopuści do powstania!

– Na pańskim miejscu nie liczyłbym na to jakoś specjalnie – odparł Wielkouchy. – Gubernator ma zamiar wyprowadzić żołnierzy z Szanghaju, żeby

ocalić armię. Okręty wielkich mocarstw są daleko, więc nie mamy innego wyjścia, jak przekupić Czang Kaj-szeka i ułożyć się z nim, żeby został naszym sojusznikiem w walce z komunistami. Jeśli wyrzuci ich z armii i obieca nie niszczyć miasta, Zielona Banda sama sobie poradzi z czerwogwardzistami. Ale do tego moi chłopcy potrzebują pięć tysięcy karabinów z amunicją i przepustek na teren Osiedla Międzynarodowego. Czerwoni nie spodziewają się, że może na nich wyjść natarcie ze strony zagranicznych koncesji.

– Muszę naradzić się z innymi – powiedział głuchym głosem Sterling.

Kiedy wsiedli do samochodu, Allman westchnął ciężko.

– Jeżeli uzbroimy ludzi Wielkouchego, może się okazać, że przyłączy się do komunistów.

– Tak się nie stanie – zapewnił go don Fernando. – Komuniści nie zechcą się dzielić władzą w mieście z Zieloną Bandą i z miejsca wyślą rozzłoszczony tłum przeciwko jej przywódcom. Du to doskonale rozumie.

– A jeśli najpierw rozprawi się z komunistami, a potem zwróci przeciwko nam? – wyraził obawę Sterling.

– To też nie wchodzi w grę. Niech pan sam pomyśli. Jeżeli Zielona Banda tknie obcokrajowców, to następnego dnia do portu zawiną okręty wielkich mocarstw i rozwalą wszystkich w drobny mak. Komu to potrzebne? Wielkouchy Du tak samo jak pan marzy o tym, żeby zakończyć sprawę pokojowo.

– Daj Bóg! – Sterling uśmiechnął się nerwowo. – Cóż, trzeba zebrać Radę Miejską i podjąć decyzję.

Po rozstaniu się z Tonym i Sterlingiem Burbano zaszedł do kościoła, żeby pomodlić się za sukces przedsięwzięcia. Czuł się geniuszem dyplomacji. Jeśli uda mu się pogodzić Czang Kaj-szeka, Wielkouchego Du i obcokrajowców, Szanghaj zostanie uratowany, a on sam zyska obiecujące kontakty na najwyższym szczeblu. Już nikt nie odważy się nazywać go bandytą, zmieni się w szanowanego dżentelmena, będzie przyjmowany w najlepszych domach Szanghaju.

Ożenię się! – myślał z zachwytem. – Wezmę sobie córkę jakiegoś bankiera, która i na fortepianie gra, i pływa jak rybka.

Wspomniawszy o Danielu, spojrzał na posąg Marii Panny.

– Mógłbym się pomodlić za niego, ale jeśli wyjdzie z aresztu, zastąpi mnie w pertraktacjach, a to by nie było dobre. Znasz mnie, Pani, jestem dobrym człowiekiem i nie życzę nikomu źle. Uczyni, proszę, tak, aby Daniela po prostu potrzymali w areszcie, a potem wypuścili!

Ale nie można było w zasadzie na takie rozwiązanie za bardzo liczyć. Nawet jeśli Sterling dogada się z Czang Kaj-szekiem i ogłosi amnestię dla wszystkich schwytanych szpiegów, minie sporo czasu, a Daniela zdążą rozstrzelać zgodnie

z prawem wojennym.

Sam sobie był winien. Powinien od razu udać się do Rady Miejskiej, a nie łązić Bóg wie gdzie. Wtedy wieczorem nie siedziałby w celi, tylko w dobrym burdelu i świętował Boże Narodzenie w kręgu wspaniałych dziewczuch.

A co do avro, don Fernando postanowił sprzedać go rządowi w Wuhanie – bolszewicy odczuwali spore braki w lotnictwie, więc byli gotowi dużo płacić za każdy egzemplarz.

Każdy pokój na piętrze Hawany był urządzone w innym stylu: francuski buduar, kajuta na statku, stajnia z oporządzeniem na ścianach i kupką siana na podłodze...

W pokoju, który dostał Fernando, wszystko zostało oklejone afiszami teatralnymi. Łóżko przypominało scenę z ciężką zasłoną, a w kufrach znajdowały się ubrania na każdy gust.

Młoda prostytutka, którą Burbano zaczepił w restauracji, okazała się zaiste wielką aktorką! Tak rozczulająco udawała niewinność, że jego serce drżało.

Założyła maskę, jakby się obawiała, że ktoś ją pozna. Kosmyk włosów został przyciśnięty węzłem i śmiesznie sterczał nad potylicą.

Chce się wydawać dorosła... Robi dorosłe rzeczy... – myślał don Fernando w pijanym zachwycie. – A sama się zmieszała. Usiadła na łóżku i kolanka zaciska.

Ależ mu się ta dziewczyna podobała! Twardy brzuch z wystającymi na biodrach kosteczkami, żadnej talii, ledwie zaznaczone piersi, zupełnie jakby miała trzynaście, może czternaście lat.

Don Fernando kochał ją czule. Patrzył w jej rozszerzone źrenice przez otwory maski i całował ciemny kosmyk, który przykleił się do czoła dziewczyny.

– Jak pan myśli, będzie ze mnie droga prostytutka? – zapytała dziewczyna, kiedy było po wszystkim.

Don Fernando skrzyżował ręce na piersi.

– Będzie pani wielką kurwą! Mężczyźni będą się do pani modlić! To znaczy, leżąc na pani. – Wyobraził to sobie i zachichotał.

Potem patrzył, jak się ubierała. Sukienkę miała elegancką, ale bieliznę sfatygowaną po wielu praniach, zupełnie jakby nie zamierzała dzisiaj pracować i przysłała do Hawany tylko dla zabawy.

Ach, jakże mądre i pomysłowe są kobiety! Nie mają sobie równych w tworzeniu pięknych iluzji.

Wychodząc, Burbano rzucił na łóżko sto dolarów. Niech dziewczyna ma prezent na Boże Narodzenie!

Rozdział 26

Żegnaj, Szanghaju!

Klim siedział w fotelu i z ponurą miną patrzył na krzątanicę Niny.

– Dokąd się wybierasz?

– Do Wuhanu.

– Postanowiłaś zawczasu pójść do niewoli? Nie zapomnij zostawić w walizce miejsca na suchary. W więzieniu zawsze źle karmią. I papierosów weź na zapas, bo to najlepsza waluta w takich miejscach.

Nina – blada i wściekła – odwróciła się do niego.

– Okręty rzeczne patrolują Jangcy, więc nic złego się stać nie może. Prócz tego Sterling mi powiedział, że już prowadzi rozmowy pokojowe z Czang Kaj-szekiem.

Klim wstał.

– Cóż, w takim razie szczęśliwej drogi! Napisz coś, jeśli znajdziesz czas i będziesz miała ochotę.

Nina zamknęła walizkę i zapięła paski. W drzwiach pojawił się sługa.

– Odnieś rzeczy! – rozkazała.

– Mogę wiedzieć, dlaczego porzucasz mnie i Kitty? – zapytał Klim.

– Dlatego że nie mogę żyć z człowiekiem, który mnie nie kocha.

– Liczysz na to, że w Wuhanie będzie czekał na ciebie zakochany po uszy wielbiciel? Czy to nie jest przypadkiem Daniel Bernard?

Nina wyszła z pokoju bez pożegnania i udała się do korytarza. Stała, posłuchała... Nic z tego – Klim nie zamierzał jej zatrzymać.

Nina patrzyła z okna samochodu na niskie chmury i flagi trzepoczące na wietrze.

– Przejeżdż przez Joffre Avenue – rozkazała szoferowi.

Cztery lata wcześniej to była senna uliczka we francuskiej koncesji, a teraz kipiała życiem. Jak okiem sięgnąć, wszędzie kwitły rosyjskie piekarnie, zakłady fryzjerskie i restauracje. Księgarnia Szczerbakowa ze świetnym wyborem książek i żurnali, wspaniały sklep z modą Bałykow i Grigoriew...

Biblioteki, szkoły, teatry, pracownie... To był świat ludzi, którzy się nie tylko nie poddawali, nie tylko zdołali przeżyć, ale i zbudowali z popiołów maleńką Rosję, taką, jaka mogłaby być bez bolszewików.

Teraz zawisła nad tym światem nowa tragedia, a byli białogwardziści gotowali się, aby go bronić.

Kierowca zatrzymał wóz, żeby przepuścić oddział maszerujący pod rosyjską flagą.

*Powiedz, wujaszku, z losu daru
Moskwa spłonęła od pożaru
Francuzom oddana*.*

Zaczynał zapiewająco, a pół setki głosów podejmowało pieśń.

Ninę dziwił jej własny spokój. Dokąd jechała? Z kim? Z mężczyzną, któremu niezbyt ufała? Co będzie robić w Wuhanie? Przecież tam, jeśli wierzyć dochodzącym informacjom, wepchnęli się ci sami bolszewicy, przed którymi uciekała z Klimem na koniec świata.

Silni ludzie nie boją się zaczynać wszystkiego od początku – myślała. – A ja przecież jestem silna.

Czego nauczył ją Szanghaj? Tego, że wszystkie lęki istnieją tylko w głowie. Kiedyś perspektywa emigracji przerażała Ninę do głębi duszy, ale w grudniu 1922 roku zrobiła rozpaczliwy krok i ruszyła na spotkanie nieznanego. I co się okazało? Że poradziła sobie lepiej od innych.

Śmiałością zdobywa się twierdze – powtarzała sobie Nina, ale kiedy zobaczyła skośny komin Pamięci Lenina, serce zabiło jej mocniej. Wzdłuż burt przymocowano stalowe tarcze na wypadek ostrzału, a na dziobie i rufie pod brezentowymi pokrowcami rysowały się tępe pyski kulomiotów.

Wojna...

Ale było już za późno, żeby się cofnąć, więc Nina zdecydowanie wstąpiła na schodnię.

Na górnym pokładzie spotkała Burbana, pykającego cygaro.

– Pani też tutaj? – zdziwił się. – Czy mąż wie, dokąd się pani wybiera?

Nina z niechęcią pokiwała głową. Złościło ją, że właśnie don Fernando stanie się świadkiem jej romansu z Danielem. Ale to może i lepiej, niech opowie Klimowi, co widział.

Czas mijał, a Daniel się nie pojawiał. Nina, przechadzając się wzdłuż burty, zerkała na marynarzy mówiących po rosyjsku. To zadziwiające: kilka tygodni wcześniej byli w Rosji Sowieckiej, a teraz znajdowali się w innym równoległym świecie.

Nina nie wytrzymała.

– Nie widział pan mister Bernarda? – zapytała Fernanda. – Powinien płynąć tym statkiem.

– E.. e... Mister Bernard już wyjechał.

– Dokąd?!

– Do Wuhanu. Pilne sprawy go wezwały.

Nina jęknęła. I co teraz robić? Wracać do domu? Ten łajdak Daniel znów postawił ją w głupiej sytuacji. Jak ma gdzieś płynąć bez niego?

Nina pobiegła ku trapowi w dół, ale tak mocno uderzyła łokciem w poręcz relingu, że pociemniało jej w oczach i się zatrzymała.

Rozległ się ryk syreny, łańcuch kotwiczny z grzechotem pojechał w górę i parowiec odbił od nabrzeża.

Ściskając dłońią stłuczenie, Nina cofnęła się. I proszę – płynęła do Wuhanu. Co ma być, to będzie.

* M. Lermontow, *Borodino*, przekład własny.

Próbowała zgadnąć, dlaczego Daniel nie zawiadomił jej, że wyjeżdża wcześniej. Czy w ogóle na nią czekał? A może wtedy, w kinie, po prostu sobie z niej zadrwił?

Żeby choć trochę się uspokoić i zapomnieć, Nina zaczęła przeglądać nowe sowieckie książki, które znalazła w swojej kajucie. Trudno jej było czytać, bo zasady zapisu nieco się zmieniły, ale jeszcze większy kłopot miała ze zrozumieniem logiki autorów. Bolszewicy chcieli unicestwić klasę wyzyskiwaczy i widzieli rewolucyjną dzielność w szczuciu, rabunkach i mordowaniu „burżujów”. Przy czym to, kto jest kim, określało pochodzenie człowieka. Jeśli urodził się w rodzinie przedsiębiorcy, duchownego czy arystokraty, należało na nim postawić krzyżyk.

Czy ktoś w ogóle dostrzegał, że ta ideologia przypominała banalny rasizm? Że nadchodziły czasy, kiedy na całym świecie ludzie mieli sądzić się nawzajem nie wedle zasług, ale przynależności do tego czy innego „plemienia”?

Nina odłożyła książkę, podeszła do iluminatora i rozsunęła zasłonki z napisem „Chwała pracy!”. Maszyna parowa huczała, wzdłuż burty ciągnęła się mętna jak kisiel fala, na przeciwległym, nieco przysypanym śniegiem brzegu widać było opuszczone chłopskie domy.

Ciekawe, czy Klim niepokoi się o żonę. A może przeciwnie, jest zadowolony, że się jej pozbył?

– Hej, madame! – rozległ się za ścianką głos Fernanda. – Przynieśli kolację! Kazałem ją podać u mnie, zjemy razem, żeby nie było nudno.

Nina się uśmiechnęła. Jej przygoda z Szanghajem zaczęła się od don Fernanda i na nim też miała się zakończyć.

Wzięła torbę z pieniędzmi i dokumentami, po czym poszła w gości do sąsiada.

– Proszę się czuć jak w domu! – przywitał ją gospodarz.

Usiadła przy nakrytym stole i nagle zobaczyła obok swoich sztucców fajkę do palenia opium ze srebrną główką w kształcie łba demona. Tylko tego jej brakowało!

– Dlaczego nie poszedł pan na kolację do mesy? – spytała nerwowo.

– Jeszcze czego! – burknął don Fernando. – Wie pani, kto z nami płynie? Fania Borodina, żona głównego doradcy politycznego. Razem z sowieckimi kurierami dyplomatycznymi wraca do Wuhanu.

Burbano długo wyklinał na kobietę za to, że nazwała go publicznie złodziejaszkiem i kłamcą.

– A sama nie łże? Powiedziała władzom, że jest pokojowo nastawiona, a w rzeczy samej została wysłana, żeby pomagać szanghajskim komunistom!

Nina przypomniała sobie słowa Daniela, że niebawem w mieście zrobi się bardzo nieprzyjemnie.

– Skąd pan zna Borodinę?

– Znam wielu ludzi. W ogóle jestem bardzo pożytecznym człowiekiem.

Wskazał fajkę.

– Może zapalimy? Taka jest pani blada i nieszczęśliwa, aż żal patrzeć. Opium nie powinna pani próbować, bo szybko się można wciągnąć, ale haszysz to doskonała rzecz w takiej sytuacji. Zjemy, odprężymy się, a potem możemy pobaraszkować w łóżku.

Nina zerwała się na równe nogi.

– A idź pan do diabła!

– No i czego robi z siebie pani taką niedotykałką? – powiedział z wyrzutem Fernando. – Do Wuhanu płynie się parę dni, umrzemy z nudów! Klimowi pani już niepotrzebna, wszyscy wiedzą, że od dawna nie możecie się dogadać, a Danielowi nic przecież nie powiemy.

Nina struchlała na myśl, że uważa ją za zwykłą dziwkę, która uciekła od męża do kochanka. Nie odezwała się, rzuciła tylko serwetkę don Fernandowi prosto w twarz i wyszła.

Jednak ledwie wróciła do siebie, za ścianką rozległ się głos natręta.

– Nie mogę zagwarantować, że spotka pani Daniela w Wuhanie, a samej lepiej nie chodzić po ulicach miasta. Tam zabijają nie za karakułowe futro – dostanie pani po głowie pałką, żeby można było z pani buty zedrzeć, rzecz jasna razem z pończochami i pantalonami.

Don Fernando uznał, że skoro nie zdoła zaciągnąć Niny do łóżka, to może się rozweselić, zadręczając ją wulgarnymi aluzjami i takimiż piosenkami.

Dusza moja całe straci zdrowie –

Płoną i serce, i spodnie!

Święta Panna niech o tym się dowie

Jak mi na tobie wygodnie!

Nina postanowiła zażądać przydziału innej kajuty, jak najdalej od Burbana, ale ledwie wyszła na korytarz, gdy się natknęła na Jednookiego.

– Nie idziesz, gdzie trzeba – powiedział ponuro i wskazał jej drzwi kwatery don Fernanda. – Pan tam na ciebie czeka.

Nina się cofnęła. Niech to diabli, co ją podkusiło, żeby się pakować w tę

historię! Nie popłynie do żadnego Wuhanu. Poprosi o wysadzenie na najbliższej przystani, wynajmie taksówkę albo nawet furmankę i wróci do Szanghaju.

Jednooki chwycił ją za rękę, ale się wyrwała i pobięła korytarzem.

W mesie paliło się światło, zza lekko uchylonych drzwi dobiegały głosy. Nina wpadła do środka i od razu zaczęła kaszleć, zakrztusiwszy się dymem papierosowym, tak gęstym, że szczypał w oczy.

Przy nakrytym stole siedziało trzech mężczyzn i gruba, ciemnowłosa kobieta.

– Otwórzcie okno, bo nie ma czym oddychać! – poleciała po rosyjsku.

Nina spojrzała na Jednookiego, który majaczył za przeszkłonymi drzwiami.

– Dobry wieczór – powiedziała, uśmiechając się z przymusem. – Można dołączyć?

– Pewnie, że można – odparła kobieta. – Wy może z Moskwy? Mam na imię Fania, a wy?

Nina domyśliła się, że Borodina uznała ją za koleżankę-bolszewika. No bo kto inny z Rosji mógłby płynąć w górę Jangcy, w dodatku na sowieckim parowcu?

Nalali jej herbaty i zaproponowali konfitury porzeczkowe.

– Czego ten typ od was chce? – spytała Fania, widząc, że Nina co chwilę spogląda na Jednookiego.

– Nie wiem. Prześladowuje mnie.

Fania wyszła zza stołu i szurając głośno zdeptanymi butami, podeszła do drzwi.

– Ciebie co, przysłali na przespiegi? – warknęła marnym angielskim. – Wynoś się!

Ku zdziwieniu Niny, Jednooki zniknął. Nie wiedziała, jak dziękować nowej znajomej.

– Z takimi trzeba ostro! – powiedziała surowo Fania.

– Jeśli będzie się do was przystawiał, dajmy mu po łbie – zapewnił jeden z kurierów, krzepki młody człowiek o gęstych, puszystych wąsach.

Zdjął ze ściany gitarę i podstroił ją.

– To co zaśpiewamy?

– *Międzynarodówkę!* – zaproponowała Borodina i zaintonowała:

Wyklęty powstań ludu ziemi!

Powstańcie, których dręczy głód!

Myśl nowa blaski promiennymi

Dziś wiedzie nas na bój, na trud.

Jak się okazało, Nina pamiętała słowa proletariackiego hymnu. Kiedy mieszkali z Klimem w Sowietach, ta pieśń rozbrzmiewała wszędzie. Ale dopiero teraz dotarł do niej właściwy sens *Międzynarodówki*: głodni niewolnicy z gorącymi umysłami zdecydowali się mordować. Ale w sumie było jej już wszystko jedno.

Kurierzy dyplomatyczni dbali o Ninę i proponowali jej to obwarzanki, to cukierki z portretem – Boże bądź miłościw – szefa OGPU** Feliksa Dzierżyńskiego.

Fania śmiała się z towarzyszy:

– Całkiem zamęczyliście biedną Ninoczkę! Coście się do niej przypięli? Dalibyście człowiekowi posiedzieć spokojnie.

Powoli Nina się uspokoiła i nabrała odwagi. Co za niezręczność – przyjęli ją i obronili wrogowie, których bała się najbardziej na świecie, a tak zwani „swoi”, również Klim, nie chcieli jej znać.

Przesiedziała z bolszewikami do rana. Śpiewali, opowiadali historie, a potem grali na zapalki w preferansa.

Wreszcie Fania wstała i ziewnęła uroczo.

– Słuchajcie, już świta, pora spać!

W tej chwili nad wodą poniósł się odgłos wystrzału.

** Objedinionnoje gosudarstwiennoje političeskoje uprawlenije;
Zjednoczony Państwowy Zarząd Polityczny.

Białogwardziści zaciągali się do armii generała Psie Mięso, aby odbudować dawną siłę. Ale gdzież tam! Przez brak pieniędzy, powszechne złodziejstwo i przeklętą kwestię rasową niczego nie udawało się zorganizować. Rosyjscy i chińscy oficerowie bez przerwy gryźli się ze sobą, tyły ogarnęły chaos i pijaństwo.

Intendenci kupowali za łapówki nieświeże produkty, więc połowa armii cierpiała na choroby i zatrucia pokarmowe. Pomocy medycznej prawie wcale nie było, z bronią w ogóle wyszła na jaw straszna nędza, lufy okazywały się zupełnie zużyte. Na każde cztery górskie armaty dwie do niczego się nie nadawały, z szesnastu karabinów maszynowych siedem można było oddać na złom.

Tylko w pociągu pancernym Wielki Mur panowało coś na podobieństwo porządku. W pozostałych oddziałach żołnierze interesowali się nie tym, gdzie jest przeciwnik, ale gdzie są zapasy żywności.

Feliks siedział na kłodzie, palił papierosa i patrzył na karmazynowe słońce, wstające nad Jangcy. Nieopodal krzatali się chińscy artylerzyści, jako że przyszedł rozkaz, aby przetransportować działa na drugi brzeg.

Obok Feliksa przysiadł ojciec Serafin – zarośnięty, kosmaty, w waciaku z opaską Czerwonego Krzyża na rękawie.

– Co słyhać? Dadzą pieniędzy, czy jak? Całkiem sumienie potracili, żeby pięć miesięcy ludzi bez żołądka trzymać.

– Psie Mięso myśli, że będziemy służyć za żarcie – odparł ponuro Feliks.

Rosyjscy najemnicy nie mieli gdzie się podziać i od dawna już nie walczyli za pieniądze, ale za możliwość przetrwania kolejnego dnia. Tych, którzy dostawali się do niewoli Armii Narodowo-Rewolucyjnej, prowadzano na sznurku przewleczonym przez uszy, a po długich torturach zabijano.

Feliks podniósł wzrok i zobaczył, że zza zakrętu rzeki wylania się niewielki parowiec.

Wśród artylerzystów zawrzało.

– Widzicie czerwoną flagę na rufie? – krzyknął chiński oficer, przebiegając obok. – To sowiecki statek! Trzeba go zatrzymać, na pewno wiezie żywność do Wuhanu!

Chińczycy oddali salwę ostrzegawczą i parowiec zatrzymał się pośrodku rzeki.

Feliks jako znający rosyjski zgłosił się na dowódcę oddziału abordażowego.

Kiedy wszedł na pokład, kazał kapitanowi przynieść listy przewozowe, ale z papierów wynikało, że Pamięć Lenina płynie do Wuhanu po herbatę,

a w ładowniach wiezie części zamienne do podstacji elektrycznej.

– A jakąż to herbatę można dostać w Wuhanie? – rozzłościł się Feliks. –
Tam nie mają nawet czego zjeść!

Odwrócił się do żołnierzy.

– Zaczynajcie przeszukiwanie. Dowództwo pod areszt, wszyscy pasażerowie
do mesy.

Drzwi kajuty don Fernanda drżały od niecierpliwych uderzeń.

– Otwierać! – wrzeszczał ktoś z rosyjskim akcentem.

Fernando nie spodziewał się, że żołnierze Psiego Mięsa mogą zatrzymać Pamięć Lenina, bo przecież między rządem w Pekinie a ZSRS zawarto porozumienia handlowe i mimo wojny sowieckie statki bez przeszkód pływały po chińskich rzekach.

Zaczął miotać się po kajucie. Jeśli ludzie Psiego Mięsa odkryją w ładowni samolot, sprawa może skończyć się rozstrzelaniem.

Rozległo się ciężkie uderzenie i drzwi wyskoczyły z zawiasów. Do środka wdarł się wysoki, garbatonosy mężczyzna z rewolwerem w dłoni. Za nim tłoczyli się chińscy żołnierze.

Don Fernando podał intruzowi paszport.

– Jestem obywatelem Meksyku! Obejmuje mnie prawo eksterytorialności!

Wysoki mężczyzna przejrzał dokumenty i spojrzał z uśmiechem.

– Fernando Jose Burbano? Cóż za spotkanie!

Don Fernando całkiem stracił rezon.

– Pan mnie zna?

– A któż by ciebie nie znał! Służyłem w policji Osiedla Międzynarodowego. Twoje nazwisko co rusz pojawiała się w notatkach.

Burbano przyłożył ręce do piersi.

– To wszystko oszczerstwa! Jestem uczciwym biznesmenem, mam radiostację w Szanghaju...

Ale przybyły nie dał mu dokończyć.

– Co robisz na sowieckim statku?

– Wypełniam sekretną misję dla mister Sterlinga. Kazano mi porozumieć się z Michaiłem Borodinem co do ewakuacji zagranicznych uchodźców z Wuhanu. A tak w ogóle, wie pan, że jego żona znajduje się tutaj, na parowcu?

– Co ty pleciesz? – nachmurzył się garbatonosy. – Przejrzeliśmy spis pasażerów...

– Przecież nie płynie pod własnym nazwiskiem!

Mężczyzna chwycił don Fernanda za ramię i powlókł go do mesy, w której zebrano przerażonych pasażerów. Wrzucił go do środka i gdzieś poszedł.

Oparty o ścianę Fernando ze smutkiem patrzył na pobladłych bolszewików. Nina także tu była, siedziała na kanapie i trzęsła się jak w febrze.

Gdzieś na dole zaszczekało żelazo, kiedy w ładowni zaczęła się rewizja. W don Fernandzie stanęło serce. No to po sprawie, zaraz znajdą aeroplan!

Do mesy wszedł chiński oficer i przez tłumacza zapytał:

– Kto z was to madame Borodina?

Nina spojrzała na Fanię, ale ta milczała.

– Nie radzę się wypierać – powiedział don Fernando. – Jeśli Chińczycy pomyślą, żeście wszyscy nic niewarci, po prostu was utopiają, żeby nikt się nie skarżył na samowolę.

Fania wyszła naprzód.

– Ja jestem Borodina. A o co chodzi?

Chińczyk przeniósł wzrok na Ninę.

– A to kto?

– Moja kuzynka. Chcę was ostrzec, że jeśli nam włos spadnie z głowy, będziecie mieli duże nieprzyjemności!

– Czy pani potwierdza słowa tej damy? – spytał Chińczyk Niny.

– T-tak – odpowiedziała niepewnie.

Garbatonosy wrócił do mesy, bez słowa wywlókł na zewnątrz Fernanda.

– Do kogo należy rozmontowany samolot w ładowni? – syknął, chwytając Burbana za kołnierz.

– Ja... Ja nie wiem...

– Kłamiesz! Marynarze powiedzieli mi, że to ty doglądałeś załadunku!

Podsunał mu jakąś kartkę.

– Tutaj stoi, że właścicielką avro jest Ada Marshall. Znam osobiście tę dziewczynę. Nie ma pieniędzy nawet na porządne pończochy, a co dopiero na aeroplany!

Fernando w panice obejrzał się na przeszklone drzwi, za którymi widział skuloną Ninę.

– To wszystko ona! Jeśli służył pan w policji, to powinien wiedzieć, kim jest miss Kupina i że zajmuje się przemytem broni. Na pewno to ona przepisała ładunek na pańską znajomą, żeby wykorzystać ją jako słup. I pewnie dogadała się z marynarzami, żeby w razie czego oczernić niewinnego pasażera!

– Mówisz o żonie Rogowa?

Don Fernando skrzywił się w środku. Co za świat! Czy wszyscy Rosjanie w Szanghaju musieli się znać?

– Klim dawno wygnał tę babę za to, że zdradziła go z Danielem Bernardem – odparł Burbano. – A jej kochanka tydzień temu aresztowano w Szanghaju za szpiegostwo. Kupinie udało się uciec. A wie pan, że ona w dodatku jest krewną Borodiny? Przed chwilą się do tego przyznała!

– Skąd to wszystko wiesz?

– Ja w ogóle jestem bardzo pożytecznym człowiekiem! – Spróbował się uśmiechnąć. – Może pan wysłać telegram do Rady Miejskiej Szanghaju. Mister Sterling potwierdzi, że zlecił mi wyjazd do Wuhanu.

– Wyślemy, nie bój się – mruknął Rosjanin, puszcżając kołnierż Burbana. – Jeźli skłamałeś, odrąbimy ci głowę, a jeżeli mister Sterling potwierdzi twoje słowa, będziesz mógł jechać, gdzie chcesz.

Zamilkł, twarz mu nieco spochmurniała.

– Za Borodinę i jej krewną dziękuję. Bez ciebie w życiu byśmy się nie domyślili, co to za ptaszki.

– Nie ma za co! – Don Fernando zajrzał mu w oczy. – Mam dla pana radę. Jeźli nie chce pan, aby Adę Marshall ciągnano w tej sprawie, lepiej zniszczyć zawnazu wszystkie dokumenty avro. A w protokole napisać, że „samolot został zarekwirowany wywiadowniczy wroga, Ninie Kupinie”.

Garbatonosy kiwnął głową i wprowadził don Fernanda z powrotem do mesy.

Mężczyzna poczuł ulgę tak wielką, że ogarnęła go słabość. Miał ochotę paść na kolana i podziękować Świętej Panienci za cudowne ocalenie.

A Nina sama jest sobie winna. Mogła mnie nie rozdrażniać! – pomyślał, wznioł wzrok do sufitu i zaczął się modlić. – Święta Panno, widzisz, jak to wszystko bies poplątał! Ale wszystko to wynagrodzę modlitwą, nie pożałuję grosza na nową zakrystię... Tylko nie odwracaj się ode mnie, dobrze? Bez twojej pomocy przecież sobie nie poradzę!

Rozdział 27

Dawna stolica

Notes Szkieownik

Kitty co trochę pyta, kiedy wróci mama, a ja odpowiadam, że nie wiem. Wtedy się denerwuje: „A dlaczego nie wiesz? Powinieneś wiedzieć!”.

Jak wytłumaczyć trzyletniej dziewczynce, co się z nami stało?

Spotkaliśmy się z Niną, kiedy świat dookoła walił się w gruzy, a my oboje szukaliśmy pięknej i niewinnej istoty, która nas pokocha i ocali od nieszczęść. „Miłość zwycięża wszystko” – tak nas uczono.

Niestety, ludzie idealni, podobnie jak woda destylowana, w przyrodzie nie występują, a w miarę upływu czasu prawie religijny zachwyt zamienia się w niedowierzanie, kiedy nagle odkrywamy, że nie jesteśmy świętymi i nie nadajemy się do roli aniołów stróżów.

Czując się oszukanymi, zaczęliśmy się mścić na sobie nawzajem za niespełnione marzenia. Wygrałem tę wojnę i otrzymałem wszystkie trofea – od domu po prawo wychowywania Kitty.

A co dalej?

Chodzę do pracy, przekazuję ludziom w mieście złe wieści, a potem próbuję podnieść im nastrój z pomocą najnowszego szlagieru *Mam nadzieję, że jesteś teraz szczęśliwa*. Z wymyśloną dziewczyną Anną już skończyłem i chociaż publiczność żąda jej powrotu, nie mam sił ani ochoty tego ciągnąć.

Każdego dnia sekretarka wręcza mi stos listów od młodych panien, które wyznają mi miłość. Marzyłem o tym, aby zostać docenionym? Chciałem oddania i szczyrych uczuć? Tak, chciałem i dostałem! Zaiste, Pan Bóg bywa wielkim szydercą!

W chińskiej części miasta wciąż trwają walki uzbrojonych band, w zagranicznych koncesjach wszyscy są zajęci rozmieszczaniem białych uciekinierów z południowego zachodu. Tylko w styczniu 1927 roku przybyło ich ponad osiem tysięcy.

Jedyna dobra nowina jest taka, że do portu zaczęły zawijać statki z posiłkami. W większości to wojska z Indii. U nas jest zima, a oni przyплыnęli w szortach i koszulkach z krótkimi rękawami. W efekcie po jednej nocy spędzonej w nieogrzewanych koszarach prawie całe posiłki zaległy w łózkach z przeziębieniem.

Mieszkańcy zagranicznych koncesji nie wiedzą, jak dogodzić żołnierzom. Z całych sił starają się okazywać im gościnność, w nadziei że będą z większą ochotą bić się za Szanghaj. Cała pleć piękna szyje ciepłe spodnie i kurtki,

w kościele Świętej Trójcy odbywają się wykłady, mające na celu zapoznanie przybyłych z tutejszymi warunkami i zwyczajami, w Klubie Amerykańskim została otwarta całodobowa restauracja, w której najlepsze potrawy można zjeść za grosze.

Każdej nocy we francuskim klubie sportowym, w Majestique i Astor House organizuje się bale. Dziewczęta flirtują z oficerami, spoglądając im w oczy z nadzieją: „Przecież nas nie zostawicie, prawda?”.

A mnie, w istocie, jest już wszystko jedno, niech nawet wszystko spłonie! Gdyby nie Kitty, poszedłbym na ochotnika do pociągu pancernego Wielki Mur. Żołnierze Czang Kaj-szeka albo czerwonogwardziści w końcu go wysadzą, co by mnie osobiście urządziło.

Członkowie Klubu Szanghajskiego przyjęli Klima w swój poczet – co niewątpliwie powinien uznać za szczyt szczęścia.

Paradne schody z białego sycylijskiego marmuru, restauracja, w której podawano wspaniałe rostbef, pieczeń jagnięcą i pieróg z nerczkami. Członkowie klubu mieli do dyspozycji czterdzieści pokoi, armię służących i gazety, odprasowane żelazkiem, żeby przyjemniej je było trzymać w dłoniach.

Największą atrakcją Klubu Szanghajskiego był słynny długi bar z czerwonego drewna. Im bliżej się siedziało okna, tym wyższe zajmowało się miejsce w klubowej hierarchii. Zgodnie z obyczajem, przy samym parapecie zasiadali piloci rzeczni, znający każdą mieliznę na Jangcy. Dyrektorzy wielkich kompanii i banków znajdowali się obok, a w środku i na skraju mogli się rozsiadać zwyklesji, w rodzaju Klima Rogowa.

Za oknami szybko zapadał zimowy zmrok. Siwy kelner zapalił świece w grubych szklankach, stojących na kontuarze.

Klim w samotności sączył różowy dzin i przysłuchiwał się głosom dobiegającym z sali posiedzeń.

– Do obrony miasta potrzeba nie mniej niż dywizji...

Klim wyjął z kieszeni monetę, położył ją na skraju szklanki ze świecą. Na awersie były wyobrażone feniks ze smokiem – symbole szczęśliwego związku yin i yang.

Odczekał chwilę i strząsnął rozgrzany krążek na dłoń. Odczuł taki ból, jakby ktoś przeszył mu to miejsce nożem. Klim przymknął oczy i cierpiał, odbywając zasłużoną karę. Niech zostanie blizna na pamiątkę.

Rozległy się kroki i do baru wpadł wzburzony Tony Allman.

– Mister Rogow! Jak dobrze, że pana znalazłem! Przed chwilą był u mnie don Fernando. Powiedział, że żołnierze Psiego Mięsa aresztowali Ninę i odwieźli ją do nankińskiego więzienia.

Klim wzdrygnął się i moneta z brzękiem potoczyła się po kontuarze.

– Zdaje się, że pańską żonę podejrzewają o pomoc komunistom – dodał Tony. – Nic już nie rozumiem! Jak Nina znalazła się w Nankinie?

– Odradzałem jej podróż, ale nie słuchała. – Klim zamilkł, próbując zebrać myśli. – Pojedzie pan ze mną do Nankinu?

– Teraz są tam wojska Psiego Mięsa, zezwierzęcone z głodu i przerażenia. Ale z drugiej strony, Jangcy patrolują brytyjskie okręty...

– Pojedzie pan ze mną? – powtórzył Klim z naciskiem.

Tony rozłożył ręce.

– Tamara by mi nie wybaczyła, gdybym zostawił Ninę w potrzebie. Zresztą, ja sobie też.

Skład do Nankinu odjeżdżał o jedenastej wieczór. Klim i Tony wzięli przedział na dwóch, ale na jednej ze stacji do pociągu weszły setki żołnierzy i kulisów, jadących wznosić umocnienia.

Wagon zaraz wypełnił się zapachem czosnku, potu i tanich papierosów. Czyściutka toaleta po półgodzinie zamieniła się w gnojowisko. Teraz, żeby się do niej dostać, trzeba było przechodzić nad leżącymi na podłodze motykami i śpiącymi ludźmi.

Przedział Klima i Tony'ego zajęło sześciu uzbrojonych żołnierzy. Rozsiedli się na ławkach i zaczęli iskać wszy w zakładkach koszul oraz grać w „papier, kamień, nożyce”. Co kilka minut drzwi się otwierały i pojawiał się roznosiciel z gorącą herbatą, pestkami arbuza i zielonymi kawałkami marynowanych jaj.

Protestować nie miało sensu. Klim z wściekłością patrzył, jak żołnierze żarli, bekali soczyście i pluli na podłogę. Jeden spał z otwartymi ustami, drugi, w ogóle się nie krępując, wyjął z worka maszynkę spirytusową i pudełko z opium. Nabił kawałek brudnobrazowej smoły na szpikulec, opalił go na ogniu, a potem przełożył do fajki, która od razu poszła kręgiem.

Tony uchylił okno, żeby świeży podmuch chociaż trochę przewietrzył przedział. Koła stukały, za oknem przelatywały iskry z komina parowozu, pachniało węglem. Niebawem żołnierze zasnęli, ułożywszy się jak który mógł, a Klim patrzył na trzepoczącą, zakopconą firankę, myśląc o Ninie.

Przed odjazdem spotkał się z Fernandem. Wedle jego słów Nina płynęła do kochanka, ale żołnierze zatrzymali statek, rozgrabili bagaż, a pasażerów oddali władzom.

– Z niej wprawdzie okropne ścierwo jest, ale i tak mi szkoda – rzekł Burbano. – Zapłacę Allmanowi, żeby wyciągnął ją z więzienia, niech mam zasługę na tamtym świecie.

Kiedy usłyszał, że Klim też się wybiera do Nankinu, mało zawału nie dostał.

– A ciebie gdzie niesie?! – wrzeszczał. – Nie masz dość, że złamała ci serce?

Rzeczywiście, z jakiej racji trząśł się w przepelnionym pociągu, słuchał chrapania żołnierzy i spoglądał z obawą na karabin w rękach śpiącego chłopaczka, zastanawiając się, czy jest załadowany. Miał nadzieję, że nie, bo wylot lufy był skierowany wprost w niego.

Można się bawić w bohatera do upojenia, ale nagrody nie będzie w żadnym przypadku – myślał. – Nawet jeśli uratuję Ninę, to nie dla siebie, tylko dla Daniela Bernarda.

Z drugiej strony głupio było zadawać pytanie „co z tego będę miał?”. Klim

dostał przecież dziesięć lat namiętnej miłości, a to nie tak mało.

O siódmej rano pociąg dotoczył się do przedmieścia Nankinu, gdzie znajdowały się dworzec, port i firmy kupieckie. Klim i Tony pojechali rowerową riksą do miasta.

Kiedyś Nankin był jedną z największych stolic świata, ale pięćset lat wcześniej dwór cesarski przeniósł się do Pekinu i miasto zaczęło podupadać. Z dwóch milionów mieszkańców zostało dwieście tysięcy, na miejscu dawnych dzielnic ciemniały gołe pola i szeleściły bambusowe gaje. Stare kanały wyschły i nad ulicami górowały kamienne mosty z rzeźbami lwów, które już dawno wytopiono w Chinach. Jednak ogromne mury miejskie, najpotężniejsze na świecie, wciąż jeszcze stały, pozornie nietknięte zębem czasu, a na basztach powiewały barwne flagi.

Tony dostrzegł kolumnę aresztantów z drewnianymi dybami na szyjach i zaczął opowiadać Klimowi o tym, co Chińczycy robią z przestępcami. Wiele z rodzajów karni było oficjalnie wycofanych, ale sędziowie do tej pory bawili i straszili naród publicznymi egzekucjami – od zakopywania żywcem po ścinanie po kawałku ciała aż do kości.

Klim słuchał, ale nie słyszał. Wzrok, słuch i węch wychwytywały drobne szczegóły: Tony roześmiał się, a między jego górnymi i dolnymi zębami ciągnęła się niteczka śliny; z otwartego okna rozległ się brzęk upuszczonego garnka; z kosza w nogach doleciał zapach wędzonej kiełbasy. To była przesyłka więzienna. Zgodnie z radą Tony'ego Klim wziął dla żony jedzenie, wełniany koc, pończochy, proszek na pluskwy, rozmówki angielsko-chińskie i środek dezynfekujący... Boże, jak to wszystko nie pasowało do Niny!

– Wsadzają też przestępców do bambusowych klatek... – kontynuował Allman, całkiem zapominając, co i do kogo mówi.

– Proszę się zamknąć, na rany Chrystusa! – warknął Klim i tak ścisnął rękę towarzysza, że ten krzyknął.

Naczelnik miejskiego więzienia wyjaśnił, że parowiec Pamięć Lenina został zatopiony na środku Jangcy, załogę zakuto w kajdany i wrzucono do dołu, a Fanię Borodinę z jej towarzyszami już wysłano do Pekinu.

– Cóż, nie mamy więc czego tutaj szukać – powiedział Tony po wyjściu na zewnątrz. – Jedziemy do domu.

Klim milczał przez całą drogę na dworzec. Milczał, kiedy Tony biegał od kasy do kasy. Kolejarze nagle zastrajkowali i wszystko zostało zamknięte. Milczał

w porcie, patrząc na przysypane śniegiem wzgórze i szare cielska okrętów. Chmury wisiały tak nisko, jakby na ziemię opadła miękka wołokowa derka.

– Zdaje się, że utknęliśmy – warknął Tony. – Najbliższy statek do Szanghaju odchodzi dopiero pojutrze.

Jedyny w całym mieście europejski hotel okazał się zajęty przez oficerów pułku kawalerii. W chińskich gospodach od dawna nie było miejsc, wszystko pozajmowali uchodźcy.

Mężczyźni wrócili więc do więzienia i poprosili naczelnika, aby ich przechował. Ten zdziwił się, ale przydzielił im celę z piecem i nawet niezapluskwioną.

– Tutaj jest bezpieczniej niż w hotelu – powiedział Tony, ale urwał w pół słowa, zajrzał Klimowi w oczy. – Co z panem?

Rogow przetarł twarz dłonią.

– Nic, wszystko dobrze.

Zjedli na kolację zapasy z koszyka. Tony położył się i od razu zachrapał, ale Klim długo nie mógł zasnąć.

To dziwne uczucie, kiedy wszystko, co człowiek ma najcenniejszego, w oczach innych nie posiada żadnej wartości.

To dziwne uczucie, kiedy człowiek zdaje sobie niespodziewanie sprawę, co jest mu najdroższe. Tak samo odczuwa się nagły brak powietrza.

Dawniej, kiedy Nina odchodziła albo on sam ją zostawiał, zawsze pozostawała możliwość: mogę wrócić i wrócić. Teraz odczuwał bezradność rannego w brzuch. Szok bólowy, ostre zrozumienie, że z człowieka wyrwano kawałek ciała i to bezpowrotnie. Ucz się, mój drogi, żyć z amputowanym sercem.

Rano Klima i Tony'ego obudziły wystrzały. Allman w samych kalesonach wyskoczył na korytarz.

– Co się stało?!

Nadbiegł naczelnik więzienia.

– Nie wychodźcie na ulicę! – krzyknął. Oczy miał przerażone. – Żołnierze Armii Narodowo-Rewolucyjnej wdarli się do miasta!

Rozdział 28

Pociąg pancerny Wielki Mur

Każdego dnia do Szanghaju przyływały nowe jednostki ze wsparciem. Lokal Marty pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu. Właścicielka powiadamiała najbardziej zamożnych gości, że nocą do Hawany przychodzi dziewczyna w masce. Suknie ma wyłącznie zagraniczne, w uszach brylanty. A tańczy tak, że można umrzeć z wrażenia.

– Kim jest? – pytał zaintrygowany klient.

– To arystokratka! Damy z towarzystwa zawsze można poznać po manierach. Ona, proszę sobie wyobrazić, sama wybiera mężczyznę.

– Doprawdy?

– Jak najbardziej! A kogo wybierze, ten zyskuje prawdziwe szczęście. Tańczy z nim, zamawia szampana, a potem idą na górę... Bogacze, wie pan, mają swoje dziwactwa. Ona nikomu nie zdradza swojego imienia, a my nazywamy ją Mesaliną, jak rzymską cesarzową, która dla rozrywki zajmowała się prostytutką.

Klienci byli pewni, że madame sama wymyśliła tę historię, ale i tak przychodzili popatrzeć na dziewczynę w masce. Pojawiała się o północy, blada, z krwawoczerwonymi wargami, w sukni z rozcięciem do połowy biodra. Pilnował jej Murzyn w turbanie, z szablą przy boku.

Orkiestra milkła, a wszyscy wpatrywali się w Mesalinę. A ona rozglądała się, aż wreszcie wyciągała rękę do oszołomionego wybrańca.

– Dobry wieczór!

Marta zazdrośnie strzegła tajemnicy Mesaliny. Fordanserki miały surowy zakaz poznawania się z nią. Klientów uprzedzano, że jeśli któryś spróbuje zerwać jej maskę, straci głowę. Kiedy zamykała się ze szczęśliwcem w pokoju, przy drzwiach stawał Murzyn z obnażoną szablą.

Przed świtem Mesalina zniknęła, a Marta zamykała w sejfie pomięte banknoty. Nagły wyjazd Betty spowodował spore straty, właścicielka lokalu nie chciała więcej ryzykować. A dziewczyna w masce to było genialne rozwiązanie. Gdyby wyszła za mąż albo podcięła sobie żyły, zawsze można ją będzie zastąpić.

Kiedy Armia Narodowo-Rewolucyjna zbliżyła się do Szanghaju, czerwonogwardziści wszczęli bunt i zajęli teren wokół Dworca Północnego. Gubernator uciekł, droga do miasta została otwarta, jednak żołnierze Czang Kaj-szeka z jakiegoś powodu nie spieszyli na pomoc powstańcom.

W Hawanie całą noc omawiano tajne zamiary południowców, ale nie dało się do niczego konkretnego dojść.

Wreszcie goście się rozeszli, a Marta z Adą poszły na górę, do gabinetu właścicielki. Marta włączyła lampę stołową i zaczęła odliczać honorarium dla dziewczyny.

– Dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści...

Pulchne dłonie zręcznie rozkładały banknoty awersem na wierzch.

– Nie rozumiem, o czym myślą nasi mężczyźni – warczała. – W mieście powstanie, wróg u bram, a połowa zagranicznych oficerów hulą dzisiaj po burdelach. Oczywiście nie mam nic przeciwko temu, ale...

Nie dokończyła, bo rozległ się mocny grzmot, zadzwoniły szkła.

– To pociąg pancerny Wielki Mur! – powiedziała Marta, patrząc ze strachem na okno. – Jeździ teraz w okolicach Dworca Północnego.

Pobladła Ada zgarnęła pieniądze do torebki i szybko zapięła płaszcz.

– Muszę iść!

– Dokąd? Wracaj! – krzyknęła za nią Marta, ale dziewczyna już wyskoczyła z domu.

Mimo wczesnej pory, ulica była pełna ludzi. Policjanci gwizdali, jeździły samochody straży pożarnej. Pół nieba zasnuwała wielka chmura dymu.

Ada dostrzegła wolną riksę.

– Muszę się dostać na Dworzec Północny!

Kulis pokręcił głową.

– Przy dworcu strzelają, nawet wojskowi tam nie leżą.

Dziewczyna rzuciła się do przechodnia, który prowadził rower.

– Proszę mi go sprzedać! Ile pan chce?

Zapłaciła za zardzewiały złom pięćdziesiąt dolarów i tak jak stała, w pięknej sukni, futrzanym żakiecie i wysokich butach, skoczyła na siodełko i pomknęła ulicą.

Dowództwo rozkazało przetoczyć pociąg pancerny w kierunku Nankinu, ale okazało się, że dziesięć mil za miastem tory już zostały rozebrane, a nasyp zniszczony.

Wielki Mur musiał pójść wstecz, a kiedy czerwonogwardziści go ostrzelali, pułkownik Kotlarow polecił odpowiedzieć ogniem artyleryjskim. Ciężkie działa rozniosły setkę chałup, a pożar dokończył dzieła. Niebawem wzdłuż szlaku kolejowego pozostały tylko wypalone ruiny.

Po powrocie na Dworzec Północny Kotlarow wezwał oficerów do wagonu sztabowego.

– W chińskiej enklawie miasta rzezie i grabieże. Czerwonogwardziści przechwycili policyjne komisariaty i otoczyli kwartały wokół dworca. Wsparcia nie dostaniemy, a nie mamy dokąd się cofać, bo tory zniszczone i przed nami, i z tyłu.

Oficerowie pochylili się nad chińską mapą, na której obok hieroglifów zostały naniesione rosyjskie nazwy przedmieść.

– Wątpię, czy odważą się zaatakować w dzień – powiedział Feliks Rodionow. – Ale nocą zrobią nam piekło i będą czekali, aż wyczerpiemy zapas amunicji.

Kotlarow spojrzał na oficerów.

– Jakieś pomysły?

Podniósł się gwar. Ktoś proponował wysłać po pomoc do obcokrajowców, ktoś – podjąć rozmowy z dowództwem Armii Narodowo-Rewolucyjnej.

– Poddać się, to jak iść na pewną śmierć – rzekł pułkownik. – Kiedy się ściemni, odjedziemy w stronę zagranicznych koncesji.

Przetarł czoło rękawem, na spoconej skórze został ciemny ślad sadzy.

– Borysow, zbierze pan grupę ochotników, która będzie osłaniać odjazd.

– Tak jest, panie pułkowniku!

– Pirogow, wszystkim wydać przydział na dwa dni i przeprowadzić instruktaż. Rodionow, pan uda się do Osiedla Międzynarodowego i załatwi, żeby nasi żołnierze zostali wpuszczeni za barykady.

– Tak jest, panie pułkowniku!

Feliks wyszedł z wagonu i wstąpił na platformę zabezpieczoną ciężkim okrętowym pancernem. Żołnierze z oddziału karabinów maszynowych wstali na jego widok.

– Czy można o coś zapytać, panie kapitanie? Co tam mówią?

– Będziemy się przebijać do sojuszników – burknął Feliks.

Pachniało spalenizną. Płatki popiołu latały w powietrzu niczym czarne

śnieżynki.

Na platformie zadudniły buty, do Feliksa podbiegł ojciec Serafin.

– Ada do ciebie przyjechała!

– Kto?!

– Czeka na peronie.

Feliks wyskoczył z wagonu i od razu ją zobaczył, stojącą w towarzystwie dwóch strzelców.

– Żyjesz! – pisnęła i rzuciła mu się na szyję. – Mój kochany!

Objął ją drżącymi rękami.

– Oj, głupia! – westchnął ojciec Serafin. – Po coś tu przyjechała?

– Patrzę, a ta na rowerze jedzie po peronie – opowiadał wzburzony wartownik. – Myślałem, że jakaś szpiegówka, chciałem ją postrzelić, ale słyszę, że po rosyjsku woła.

Feliks w roztargnieniu gładził palce Ady.

– I co mam teraz z panią zrobić?

– Nie mogłam bez pana... – powtarzała.

Wokół zgromadzili się żołnierze.

– Rozejdźcie się! Co tak stoicie jak diabeł nad dobrą duszą? – zirytował się Feliks.

Co robić? Odprawić Adę z powrotem przez płonące, pełne maruderów dzielnice?

W pobliżu zagrzechotał kulomiot.

– Kryć się! – krzyknął Feliks, chwycił Adę za rękę i wciągnął ją do wagonu.

Ciężko dysząc, usiedli na workach z piaskiem, ułożonych wzdłuż burty wagonu. Pociąg drgnął i potoczył się po torach.

– Dlaczego nie pisał pan do mnie? – pochlipywała Ada. – Tak czekałam!

Feliks objął dziewczynę.

– Jestem człowiekiem wojskowym. Mogli mnie zabić w każdej chwili. Po co, myślę, niepotrzebnie ją niepokoić? A jakby nie zabili, tobym wrócił.

Dusza Feliksa rwała się z żalu nad Adą, nad nim samym i nad towarzyszami broni, którzy bez wątplenia zginą w ciągu najbliższych godzin. Za co walczyli? Komu potrzebna była ich śmierć?

Odpowiedzi darmo by czekać.

Przez cały dzień pociąg pancerny jeździł wzdłuż ocalałego odcinka torów i ostrzeliwał ruiny, w których ukrywali się czerwonogwardziści. Kiedy się ściemniło, pułkownik Kotlarow kazał Feliksowi przygotować się do drogi.

– Z Bogiem! Proszę powiedzieć Anglikom, że jest nas sześćdziesięciu czterech, w tym doświadczeni artylerzyści, cekaemiści i inżynierowie wojskowi. Możemy wejść w skład Rosyjskiego Pułku Ochotniczego i bronić zagranicznych koncesji.

Maszynista zmniejszył prędkość, a Feliks z Adą wyskoczyli z wagonu.

Ada stoczyła się po nasypie i krzyknęła, kiedy coś zimnego dotknęło jej ręki. Feliks zasłonił dziewczynie usta.

– Cicho!

Odbiegli od torów. Pod nogami chrzęściło rozbite szkło, wszechobecny dym utrudniał oddychanie, a przez podeszwy butów czuli żar tlących się węgla.

Kilka razy napotkali nieznane oddziały. Nie mogli rozpoznać, czy to czerwonogwardziści, policjanci, czy też żołnierze gubernatora.

– Gdyby nas aresztowali, musimy mówić, że zabłądziliśmy w chińskiej części miasta – szepnął Feliks, a po chwili dodał: – Czy pani... to znaczy... wyjdiesz za mnie?

Ada ścisnęła jego rękę.

– Tak! I pojedziemy do Ameryki!

Feliks patrzył z rozczuleniem na jej oświetloną płomieniami pożaru twarz.

– Później... Wszystko później... – powiedział i pocałował ją szybko w policzek.

Całą noc grzmiała strzelanina, ale do rana ucichła, na ulicach nie został nikt, oprócz patroli i kolejek przy stanowiskach z gazetami, w których zamieszczano listy zabitych.

Kto zwyciężył? Jak skończyła się cała sprawa? Tego nikt nie wiedział. Na ulicy walały się mundury żołnierzy gubernatora i czerwone opaski.

Posterunek na Boundary Road już drugą dobę otaczał tłum uciekinierów, marzących o przedarciu się na teren zagranicznych koncesji. Pochylone kapelusze i ponure parasole wypełniały całą ulicę.

Za barykadą sporządzoną z worków z piaskiem stał wóz pancerny. Od czasu do czasu wchodził na niego brytyjski oficer z parasolem i megafonem.

– Powtarzam jeszcze raz! – krzyczał. – Nie wolno wchodzić na teren zagranicznych koncesji chińskim policjantom i wojskowym! Zabronione jest noszenie flag, transparentów i wszelkich rzeczy o charakterze agitacyjnym w jakimkolwiek języku! Zabrania się nosić wszelkich mundurów oprócz niżej wyszczególnionych...

Ada słuchała go, patrząc ze smutkiem na bramę owiniętą drutem kolczastym. Była umazana sadzą od czubka głowy po pięty, z włosów ściekały jej krople deszczu, a na ręce płonęło rozcięcie.

Feliks nie zdołał wypełnić polecenia Kotlarowa. Razem z Adą od dwóch dni chodzili wokół ogrodzenia. Przez rosyjski akcent uznawano ich za bolszewików i przeganiano, grożąc zastrzeleniem. Tak samo od jednego posterunku do drugiego biegali porzuceni przez dowództwo żołnierze armii gubernatora – ranni, głodni i zziębnięci do szpiku kości.

Dzień wcześniej Feliks i Ada spotkali trzech oficerów z Wielkiego Muru.

– Już po wszystkim – powiedzieli. – Czerwoni wysadzili pociąg i wybili naszych. Chyba tylko myśmy się uratowali.

– A co z ojcem Serafinem? – spytała z przestraszeniem Ada.

– Dostał kulkę w głowę.

Na Boundary Road Feliks zobaczył stojącego przy posterunku Johnny'ego Collora i dopiero on wpuścił go do środka, żeby porozmawiał z dowódcą.

– Zdobę dla was przepustki – obiecał Rodionow Adzie i oficerom, ale minęła godzina, potem druga, a on nie wracał.

Wreszcie brytyjskiego oficera na wozie pancernym zmienił Johnny Collor.

– Przedstawiciele białej rasy, w tym wojskowi Rosjanie, mogą wejść na teren Osiedla Międzynarodowego! – zawołał przez tubę.

Tłum się ożywił. Chińczycy znający angielski zaczęli przekładać jego słowa.

W bramie ukazał się Feliks.

– Chodź! – zawołał Adę.

Rzuciła się ku niemu, ale stojący obok Chińczyk chwycił ją za ramię.

– Razem pójdziemy! – warknął groźnie.

Rosyjscy oficerowie skoczyli do niego, zaczęła się bijatyka, krzyki, piski. Feliks wybiegł za bramę, próbował przedrzeć się do Ady, ale dziesiątki rąk odepchnęły go na bok. Chińczyk wy dobył szablę, machnął i coś gorącego bryznęło Adzie na policzek. Tłum z krzykiem odskoczył, a Feliks padł z rozrąbaną szyją.

– Do bramy! – krzyknął ktoś po rosyjsku i powlókł Adę za sobą. Nad głowami ciżby poszła seria z cekaemu, ludzie poszli w rozsypkę, a rosyjscy oficerowie zdążyli wciągnąć Feliksa za bramę.

Położyli go na płaszczu i zanieśli do porzuconego sklepu cukierniczego nieopodal. Ada rzucała się w objęciach Johnny'ego, ale nie pozwalał je zbliżyć się do medyków, którzy kręcili się wokół rannego.

Niestety, ich wysiłki zdały się na nic. Kapitan Rodionow zmarł po godzinie.

Rozdział 29

Incydent w Nankinie

Przez czas spędzony w pojedynczej celi Daniel sporo przemyślał. Najpierw opanowała go dzika złość: na siebie i na Ninę. Był pewien, że to właśnie ona doniosła na niego policji.

Potem przyszedł strach przed śmiercią, kiedy zatrzał się więziennym jedzeniem i przez parę dni okropnie wymiotował. Poprosił Ednę o pomoc, ale ona nawet nie odpowiedziała. Strażnik, który zaniósł jej liścik, powiedział, że nie wpuszczono go za próg. Daniel nie mógł liczyć ani na doktorów, ani na lekarstwa, ani na współczucie.

Przy rewizji osobistej zabrali mu *netsuke* z wyobrażeniem lisicy. Nieuki policyjne uznały, że to jeden z tanich amuletów, jakich mnóstwo można było znaleźć na bazarach. Przez strażnika Daniel ofiarował przedmiot znajomemu lekarzowi, miłośnikowi staroci, a ten przysłał mu lekarstwa. Sama o tym nie wiedząc, Nina uratowała Danielowi życie.

Jego sprawa nie trafiła do sądu. Śledczy i prokuratorzy nie mieli do tego głowy, całymi dniami maszerując na ćwiczeniach pułku ochotniczego. Do tradycyjnego biurokratycznego przewlekania wszystkiego i wszędzie doszedł problem kompetencji – kto i wedle jakiego prawa powinien sądzić Daniela Bernarda?

Żeby się z nim nie męczyć niepotrzebnie, przekazano go władzom chińskim, ale wystarczyło, żeby Armia Narodowo-Rewolucyjna pokazała się na przedmieściach Szanghaju, jak nadzorcy otworzyli cele i puciekali.

Po wyjściu za bramę więzienia Daniel brnął przez zapełnione tłumem ulice. Znaki i portrety Czang Kaj-szeka widniały we wszystkich oknach i na wszystkich wystawach. Skąd się wzięły? Przecież całkiem niedawno Szanghaj umierał ze strachu przed wtargnięciem jego wojsk, a w każdym razie ten Szanghaj, który znał Daniel.

Teraz co drugi Chińczyk nosił znaczki albo naszywki z emblematem Kuomintangu – białym słońcem na błękitnym tle. Obnośni handlarze dzielnie sprzedawali papierosy z patriotycznymi symbolami na paczkach. Okazało się, że fabrykanci zawczasu przygotowali się do upadku miasta i wypuścili pasujący do sytuacji towar.

Twarze przechodniów rozjaśniało szczęście, oczy im błyszczały.

Nacjonalizm wyprawia z ludźmi dziwne sztuczki – myślał Daniel. – Prosty lud chce mieć się czym szczyścić, chociażby przynależnością do narodu potrafiącego napędzić strachu obcym. Czang Kaj-szek złapał za ogon „białych diabłów” i jednocześnie przemienił się z bandyty w ojca narodu. I nikogo nie

obchodzi, że w rzeczywistości ten pan skrzywdził i zgubił niezliczoną liczbę Chińczyków.

Niebawem Daniel siedział w mieszkaniu swojego szyfranta, syna niemieckiego pastora i Chinki.

– Gdzie się pan podziewał? – pytał tamten. – Zelówki sobie zdarliśmy, szukając pana!

Daniel opowiedział, co się z nim działo, oczywiście nie wspominając o Ninie.

Szyfrant przyniósł mu kawałek mydła i ubranie.

– Proszę doprowadzić się do porządku i odpocząć. Zamelduję Berlinowi, że wrócił pan do szeregu.

Przez kilka dni Daniel zbierał informacje o tym, co stało się w mieście. Don Fernando opowiedział mu o zatrzymaniu Pamięci Lenina.

– Sterling przysłał telegram, że jestem swój człowiek, więc mnie wypuścili, ale madame Ninę wzięli pod klucz.

– Popłynęła za mną do Wuhanu? – zdumiał się Daniel. – A ja myślałem, że to ona na mnie doniosła.

– No toś powiedział! Jest w tobie zakochana jak kotka w marcu! Kiedy zniknąłeś, obiegliśmy wszystkie kostnice, aż mnie serce zaczęło przez ciebie boleć! A przecież musiałem ratować miasto.

Daniel poczuł, jak ciepło rozlewa się w jego piersiach.

– Gdzie jest teraz Nina?

– Nie mam pojęcia – przyznał smutno don Fernando. – Przepadła, damulka!

Zgodnie ze słowami Burbana, to on posadził do rozmów Czang Kaj-szeka, Wielkouchego Du oraz Sterlinga, a oni postanowili, że bandyci i obcokrajowcy zapłacą Kuomintangowi okup za zerwanie z komunistami.

Zostało postanowione, że Armia Narodowo-Rewolucyjna odczeka, aż czerwonogwardziści i żołnierze gubernatora wybiją się nawzajem, a potem bez przeszkód wejdzie do miasta. Ataku na zagraniczne koncesje nie przewidywano, tym bardziej że Czang Kaj-szek dogadał się z „białymi diabłami” co do współpracy i pewnych ustępstw.

Chińczykom zezwolono na odwiedzanie miejskich parków Osiedla Międzynarodowego, a po kilku dniach w Bundzie stały wielkie tłumy, pragnące spróbować smaku tego zakazanego owocu. Sikhowie pilnowali porządku: „Spacerujemy, nie wstrzymujemy kolejki! Posiedzieliście na ławce, ustąpcie teraz innym!”.

Dla komunistów – tak rosyjskich, jak i chińskich – było to niczym grom z jasnego nieba. Próbując ratować sytuację, Michaił Borodin wezwał, aby nie respektować decyzji zdrajcy Czang Kaj-szeka, ale czerwonogwardziści nie byli w stanie walczyć z połączonymi siłami obcokrajowców i Kuomintangu. Stało się jasne, że żadnej proletariackiej rewolucji w Chinach nie będzie, a w każdym razie nie w tej chwili.

Dla Niemiec była to sytuacja patowa. Daniel nie uczestniczył w pertraktacjach między Czang Kaj-szakiem i „białymi diabłami” i nie wytargował dla swojego kraju żadnych korzyści. Teraz już nie wydawał się on jedynym sojusznikiem z Zachodu dla kuomintangowców, więc niemieccy przemysłowcy nie mogli raczej liczyć na przywileje handlowe.

W Berlinie postanowiono, że w tej chwili najlepszą strategią będzie napuszczenie na siebie Rosjan, Chińczyków, Anglików i ich sprzymierzeńców. Niebawem Daniel otrzymał rozkaz, aby wyjechać do Pekinu i przeprowadzić tam pewną operację.

Kiedy obcokrajowcy świętowali bezkrwawe zwycięstwo, przysłała wiadomość, że w sąsiednim Nankinie zdarzyła się katastrofa: wracający do miasta żołnierze Armii Narodowo-Rewolucyjnej napadli na tutejszą koncesję, zabili wicerektora uniwersytetu i zranili brytyjskiego konsula.

Biały Szanghaj zamarł w przerażeniu. Jakże to tak? Przecież porozumieliśmy się z Czang Kaj-szekiem!

W ciągu jednego dnia wyprzedano wszystkie bilety na statki odchodzące do Europy i Ameryki. Teraz nawet ci, którzy uparcie nie chcieli wierzyć w najgorsze, pakowali walizki.

Z niepokoju o Tony'ego i Klima Tamara rozchorowała się, dlatego dwa dni spędziła w domu w otoczeniu nastroszonych ptaków. Zdawało się, że nawet one odczuwały narastającą trwogę.

– Mamo, włączyli radio! – zawołał Roger, wbiegając do pokoju matki.

Natychmiast przekręciła włącznik odbiornika.

– Amerykańscy misjonarze, którzy spędzili w Chinach wiele lat, także masowo opuszczają kraj – mówił nieznany jej prowadzący. – Świątynie zostały spalone, a chłopci plądrują ich domostwa.

– Wygląda na to, że przez cały ten czas Chińczycy czekali na nadejście Czang Kaj-szeka, a nie Zbawiciela – rozległ się głos Klima.

Tamara odetchnęła z ulgą. Wrócili jednak!

– Proszę opowiedzieć, co się zdarzyło w Nankinie – powiedział prowadzący.

– Razem z Tonym Allmanem przybyliśmy do miasta dzień przed rzezią – zaczął Klim. – Musieliśmy nocować w miejskim więzieniu, bo okazało się, że żołnierze gubernatora nienawidzą „białych diabłów” wcale nie mniej niż ci z południa. W celi było bezpiecznie. Kiedy zaczął się pogrom, wszyscy cudzoziemcy zebrali się w domu mister Hobarta, na szczycie wzgórza. Było nas około pięćdziesięciu, włączając w to marynarzy i radiotelegrafistę.

– Skąd się tam wzięli? – spytał prowadzący.

– Przysłał ich kapitan brytyjskiego okrętu, aby obserwowali sytuację i meldowali przez radio, co się dzieje w mieście.

Tamara słuchała, czując, jak w jej duszę wlewa się ołowiany ciężar. A co, jeśli Tony zginął?

– Zaczęli nas atakować maruderzy – mówił dalej Klim. – Żeby zyskać na czasie, wyrzuciliśmy przez okna wszystkie cenne rzeczy, a kiedy żołnierze bili się o nie, zdążyliśmy wysłać przez radio wołanie o ratunek. Amerykańskie i brytyjskie okręty otworzyły ogień w stronę miasta, a przy pierwszych salwach maruderzy

uciekli.

– Ilu Chińczyków zginęło pod ostrzałem?

– Nie wiem. Znam tylko liczbę naszych ofiar. Poległo ośmiu cudzoziemców, a dziesięciu zostało rannych.

Po policzkach Tamary płynęły łzy. Już nie wątpiła, że Klim wyliczy Allmana jako jednego z zabitych.

– Zrobiliśmy sznury z pościeli i pokonaliśmy mury miejskie – oznajmił Klim. – Najpierw mężczyźni z bronią, potem kobiety i dzieci. Na brzegu czekały brytyjskie łodzie desantowe.

– Jest pan pewien, że tego wszystkiego dopuścili się żołnierze Armii Narodowo-Rewolucyjnej, a nie komuniści? – zapytał prowadzący. – Przecież podpisaliśmy porozumienie.

– Czy pan sobie wyobraża, że dowódcy Armii Narodowo-Rewolucyjnej w pełni kontrolują poczynania własnych wojsk? – odparł Klim. – Żołnierze robią, co chcą. To wojna domowa, kiedy rodacy strzelają do siebie dlatego, że tak im się podoba.

– Czyli ostrzał Nankinu był usprawiedliwiony?

Klim westchnął.

– Wie pan, jestem szczęśliwy, że siedzę tutaj i możemy rozmawiać. Równie dobrze mógłbym teraz leżeć w jakimś rynsztoku z podciętym gardłem.

Prowadzący podziękował Klimowi i zaczął odczytywać ostatnie wiadomości. Nowy komendant wojskowy, wyznaczony przez Czang Kaj-szeka, kazał rozbroić czerwonogwardzistów, znajdujących się w północnej części miasta, ale ci odmówili podporządkowania się i zorganizowali własny komunistyczny rząd.

Tamara wyłączyła radio. A ja przecież nie dam rady uratować dzieci, jeśli zaczną się walki uliczne – pomyślała z przerażeniem.

Za oknem rozległ się szum silnika. Tamarze pociemniało w oczach. Jeżeli zaraz się dowiem, że Tony nie żyje, sama umrę!

Ale po chwili w drzwiach ukazała się znajoma sylwetka.

– Tony! – zawołała Tamara.

Głowę miał zabandażowaną, rękę na temblaku.

– Humpty Dumpty siedział na murze, Humpty Dumpty spadł... Bo nie wytrzymała lina z prześcieradła – oznajmił Tony z uśmiechem winowajcy. – Klim i brytyjski sierżant dowlekli mnie do łodzi.

– To nic – powiedziała przez łzy szczęścia Tamara. – Wyleczymy pana Humpty Dumpty!

Daniel zaszedł do radiostacji Fernanda, żeby odebrać nowy, świeżo sporządzony paszport na nazwisko austriackiego przedsiębiorcy.

Burbano siedział w swoim gabinecie i słuchał opowieści Klima Rogowa o rzezi w Nankinie.

– Powiniennem pożegnać się ze słuchaczami – oznajmił Rosjanin. – Niestety to moja ostatnia audycja. Wyjeżdżam do Pekinu w ważnych sprawach.

– Co?! – jęknął don Fernando. – A kto będzie za ciebie pracował?

Zapominając o Danielu, wybiegł, a po chwili jego tubalny głos poniósł się po korytarzu.

– Na głowę upadłeś? – wrzeszczał na Klima. – Po co chcesz jechać do Pekinu? Żeby ratować Ninę? Rzuciła cię, a ty jak ostatni dureń jesteś gotów za nią lecieć?

W Danielu drgnęło serce. Nina była teraz w stolicy?

– Wszystko przemyślałem – mówił Klim. – Generał Psie Mięso wysłał Fanię Borodinę i pozostałych jeńców do Pekinu. Marszałek Zhang Zuolin ma już dość sowieckich dywersantów, więc postanowił urządzić proces pokazowy z udziałem wysoko postawionych bolszewików.

– Przecież już wszystko ustalono! – krzyknął Burbano. – Zhang ich po prostu skaze przykładowo na śmierć. Co chcesz zmienić?

– Nie zatrzymuj mnie – odparł Klim.

Daniel patrzył na niego nieruchomym wzrokiem. Ten typ nie miał prawa nawet zająknąć się o Ninie po tym, gdy dwukrotnie zmusił ją do ucieczki!

Podszedł do Klima zdecydowanym krokiem.

– Ninie potrzebna jest pomoc na szczeblu dyplomatycznym. Mam swoje kontakty, gdzie trzeba, i uczynię, co tylko możliwe.

– Nina przez pana dostała się do niewoli... – zaczął Rogow lodowatym tonem.

– A kto ją puścił do Wuhanu?!

Don Fernando chwycił ich za rękę.

– Na waszym miejscu najpierw wyciągnąłbym damę z więzienia, bo inaczej kat jednemu wręczy jej głowę, a drugiemu resztę.

Daniel przypomniał sobie o sprawie, którą miał przeprowadzić w Pekinie. Potrzebował człowieka mówiącego po rosyjsku.

– Burbano ma rację – powiedział uspokajająco. – Jedźmy tam razem.

Wyciągnął rękę, a Klim uściskał ją po chwili wahania.

– Jesteście obaj ciężkimi idiotami! – zaczął Fernando, ale zaraz machnął

ręką. – A zresztą, pies wam mordy lizał! Święta Panienko, uczyn tak, żeby się nie pozabijali w podróży! Nie proszę dla nich o rozum, bo to nawet ponad twoje siły.

O czwartej rano zabuczały syreny okrętów i po ulicach Osiedla Międzynarodowego zaczęły jeździć ciężarówki, wypełnione uzbrojonymi ludźmi.

Przerażeni mieszkańcy wyskakiwali z łóżek i wyglądali przez okna. Kto to? Kogo jadą zabijać? Ale maszyny znikły tak samo nagle, jak się pojawiły, a po kilku minutach na północnych rubieżach miasta rozległy się wystrzały.

Poranne gazety nie zostały dostarczone, telefony odłączono, a Edna do południa czekała na kierowcę, żeby pojechać do redakcji „Wiadomości Codziennych” i dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja. Ale szofer też się nie pojawił.

– Pójdę piechotą! – oznajmiła Edna służbie. – Kto się wybierze ze mną?

Wszyscy spuścili wzrok.

– Dokąd pani chce pójść? – jęknął Yun. – Proszę zobaczyć, co się dzieje! Ulewa jak się rano zaczęła, tak trwa. A poza tym na ulicach strzelają!

– Jak sobie chcecie! – rozeźliła się Edna, chwyciła parasol i wyskoczyła na deszcz.

Ledwie wyszła za bramę, gdy podbiegła do niej Bingbing. Płaszcz miała rozpięty, mokre włosy oblepiały policzki.

– Zielona Banda zabiła w nocy wszystkich czerwonogwardzistów! – powiedziała, ciężko dysząc. – Bandyci przejechali przez terytorium zagranicznych koncesji, ominęli wszystkie posterunki. To znaczy, że „białe diabły” i Czang Kaj-szek wiedzieli wcześniej o szykującej się rzezi!

Edna osłupiała.

– Niemożliwe!

– Trupy wywozili ciężarówkami, sama widziałam! – chlipnęła Chinka. – Na znak protestu ludzie przyszli na wiec pod sztabem Armii Narodowo-Rewolucyjnej, było nas parę tysięcy, a kuomintangowcy zaczęli do nas strzelać z kulomiotów!

Dopiero teraz Edna zauważyła, że płaszcz dziewczyny znaczyły maleńkie plamki krwi.

Parasol wypadł z rąk Angielki, a potem pochwycony wiatrem zniknął we mgle ulewy.

Edna objęła przyjaciółkę.

– Po co tam poszłaś?! Przecież mogłaś zginąć!

– Nie mogłam nie iść! Tak czekaliśmy na naszą armię! Taką mieliśmy nadzieję, że Czang Kaj-szek ustanowi pokój i sprawiedliwość... A on dogadał się

z bandytami i „białymi diabłami”...

– Chodźmy do domu – zaproponowała Edna. – Yun się o ciebie zatroszczy, a ja zaraz udam się do redakcji. O tym, co się dzieje, trzeba pisać w gazetach!

Edna nie pamiętała, jak dotarła do Bundu i wpadła do budynku redakcji. Z góry zjechała winda, wyszedł z niej mister Green, ubrany w kraciasty płaszcz i czapkę.

– Missis Bernard, co z panią? Jest pani taka blada!

– Czang Kaj-szek porozumiał się z bandytami Wielkouchego Du – powiedziała Edna urywanym głosem. – Urządzili rzeź!

– Wiem – odparł Green. – Mam nadzieję, że komuniści zapamiętają na długo tę lekcję.

Edna oniemiała.

– A pan co? – spytała po chwili. – Nie będziemy o tym pisać?

– Dlaczego nie? Będziemy. Już wysłaliśmy iskrówkę do drukarni, że Czang Kaj-szek to szlachetny, zdecydowany i dalekowzroczny polityk, który uratował nasze miasto przed bolszewickim terrorem.

– Pan go nazywa szlachetnym?! Według pana zabijanie bez sądu i śledztwa to rzecz normalna?

Green spojrział na nią dziwnym wzrokiem.

– A wydawało mi się, że orientuje się pani w sprawach politycznych.

Po wyjściu na zewnątrz Edna stanęła na ulicy. Dokąd teraz?

Trzeba by do radiostacji, do Klima – postanowiła. – Cokolwiek między nami zaszło, powinien mnie wysłuchać i puścić w eter wiadomość o tym, co się stało.

Ulica była dosłownie zatopiona, Edna brnęła po kostki w wodzie, już nie starając się nawet unikać bryzgów lecących spod kół samochodów.

Na stopniach przed wejściem do radiostacji zauważyła skuloną dziewczynę w deszczowcu.

– Miss Marshall? – spytała zdziwiona.

Ada wzdrygnęła się i podniosła na nią otumanione spojrzenie.

– Mam na imię Mesalina. Jestem prostytutką w Hawanie.

Edna chwyciła ją za ramię.

– Co z panią?!

– Nic. Mojego narzeczonego zabili, a Klim wyjechał z Szanghaju.

Ada wstała i pobiegła gdzieś zgarbiona.

Edna patrzyła za nią, po raz kolejny tego dnia osłupiała. Wygnała miss Marshall w przypiływie gniewu oraz wstydu i od tamtej pory nie pomyślała o niej ani razu. Ada nie miała ani znajomości, ani zawodu, więc jak miała się wyżywić?

Zdaje się, że główna wojowniczką przeciwko rozpuście własnymi rękami pchnęła bezbronną dziewczynę w objęcia grzechu.

– Miss Marshall, proszę zaczekać! – krzyknęła i pobiegła za Adą. – Musimy porozmawiać!

Rozdział 30

Pekin

Początkowo aresztantów z Pamięci Lenina umieszczono nie w więzieniu, ale w państwowej posiadłości otoczonej wysokim murem. Straż zachowywała się uprzejmie, jedzenie było znośne, więc z każdym dniem byli coraz bardziej pewni, że zostaną wymienieni za wziętych do niewoli oficerów.

Nina miała jeszcze własną, potajemną nadzieję. Oczekiwała, że Daniel dowie się, co zaszło, i znajdzie sposób, żeby się porozumieć z Psim Mięsem. Ale dni mijały, a nic się nie zmieniało. Aresztowanych odwiedzali tylko śledczy, żołnierze i tłumacze.

– Powiedźcie chociaż, o co jesteśmy oskarżeni! – żądała Fania.

– O nic – słyszała odpowiedź. – Jesteście zakładnikami, a nie przestępcami. Jeżeli pani mąż będzie postępował, jak należy, zostaniecie wypuszczeni.

Generał Psie Mięso sądził, że obawiając się o los żony, Michaił Borodin namówi Czang Kaj-szeka, aby przerwał natarcie.

Nina żądała, aby wezwano amerykańskiego konsula, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Śledczy myśleli, że podobnie jak pozostali Rosjanie, podróżowała na podrobionych dokumentach.

Ninę nawiedzały wątpliwości. Czy to dobrze, że podała się za krewną Borodiny? Może trzeba było wspomnieć o swoich związkach z Radą Miejską Szanghaju? Ale to mogło się zakończyć jeszcze gorzej. Sterling na pewno podejrzewałby Ninę o szpiegostwo. Bo jak wyjaśnić to, że uciekła z miasta i została schwytana w towarzystwie komunistów płynących do Wuhanu?

Strach i niepewność wysysały z niej wszystkie siły. Daniel nie przyjeżdżał, a liczyć na Michaiła Borodina nie należało. W jednym z wywiadów z patosem oznajmił, że „powierza swoją żonę pod opiekę chińskiemu narodowi, który z pewnością postąpi z nią sprawiedliwie”. To oznaczało, że nie jest gotów iść na ustępstwa.

– Psie Mięso naprawdę myślał, że zdoła zaszantażować Miszę? – śmiała się Fania. – Zaczepili nie tego, co trzeba! Mój mąż to stary bolszewik, nie będzie szczędził ani siebie, ani mnie w imię zwycięstwa rewolucji światowej!

A Klim, dopóki mnie kochał, dopóty był gotów na wszystko w imię mojego szczęścia – myślała Nina.

Fania mogła sobie jakoś wytłumaczyć, dlaczego nikt się za nią nie ujmie, ale Nina nie miała nawet tego. Zdawało się jej, że pies z kulawą nogą się nią nie interesuje, nikogo nie obchodzi, gdzie jest i co się z nią stało. Jedyni przyjaciele, jacy jej pozostali, to Fania i kurierzy dyplomatyczni.

Co wieczór siadali na stopniach ganku wewnętrznego podwórza

i przeprowadzali zajęcia polityczne.

Fania i jej towarzysze nie wątpili, że komuniści mają prawo rozpętywać „wojny wyzwolenicze”, „przychodzić na pomoc ludowi pracującemu” w innych krajach i likwidować „szkodników społecznych” na całym świecie. Byli pewni, że po ich stronie jest „konieczność historyczna”, i dlatego dyktowali, gdzie, jak i kto powinien żyć, a kogo czas najwyższy „wysłać na śmietnik historii”.

– Ucieleśniamy odwieczne marzenia ludów o sprawiedliwości! – powiedziała z przekonaniem Fania. – W komunizmie wszyscy będziemy pracowali wspólnie, a rezultaty dzielili po równo!

Wiele też wiecie o „odwiecznych marzeniach” – myślała z rozdrażnieniem Nina. – Nie potraficie wspólnie umyć naczyń, a chcecie rządzić światem.

Spierać się z komunistami nie miało jednak sensu. Wyznawali swoje wartości i świętości. Nina pewnego razu zająknęła się, że szczęściem jest rodzina i miłość, ale Fania natychmiast zaczęła oskarżać ją o drobnomieszczackie poglądy. Dla niej szczęściem mogło być tylko odczuwanie własnej racji.

Jestem etnografem – powtarzała sobie Nina. – Badam religię plemienia o nazwie „komuniści”.

Niebawem jeńców przeniesiono do nankińskiego więzienia, a po kilku dniach wsadzono do pociągu. Tak się znaleźli w Pekinie.

Po drodze do stolicy Nina dwukrotnie próbowała uciekać. Po recydywie dowódca konwoju kazał jej całą noc stać w przedsionku z rękami przywiązanymi do poręczy.

Pilnował jej chłopaczek z karabinem. Nina proponowała mu wykup za siebie, ale udawał, że nie rozumie po angielsku, i zabawiał się, zadzierając końcem bagnetu spódnicę Niny.

– To było ostatnie ostrzeżenie z mojej strony – powiedział dowódca konwoju, kiedy Nina poskarżyła się na prześladowcę. – Następnym razem powiem żołnierzom, żeby panią ukarali tak, jak im się spodoba.

Kiedyś Ninę złościło do granic to, że jako osoby bez obywatelstwa nie obejmują jej prawa cywilizowanego świata. A teraz zupełnie nie miała praw. Jeżeli zechcą, to ją zabiją i nikt nawet nie mrugnie, zaś mordercy zeznają, że zginęła w czasie próby ucieczki.

Pełne bezprawie to coś, z czym trudno się pogodzić. Człowiek nie ma punktu zaczepienia, nie może liczyć na sprawiedliwość ani szacunek. A o jego losie decyduje marny, tępy sadysta, czerpiący przyjemność z poniżania innych.

Wszystko to było tak potworne, że Nina dosłownie oniemiała i do samego Pekinu przesiedziała w kacie, z kolanami pod brodą i głową wciągniętą w ramiona.

Pociąg wjechał na dworzec i jeńców przesadzono do zamkniętych lektyk, z których każdą niosły dwa konie – jeden z przodu, drugi z tyłu. Strażnicy z karabinami ustawili się po bokach i konwój ruszył po wyboistej drodze.

Lektyka kołysała się na boki i Nina co chwilę chwytiała siedzenie, żeby nie obijać się o ścianki. Na zewnątrz słychać było cymbały i trąby konduktu pogrzebowego. Na cmentarz niesiono kogoś ważnego.

– To nic, Bóg nas nie porzuci, świnie nie zjedzą – powtarzała Fania specjalnie głośno i energicznie. – Chociaż co do tego Boga, to tylko porzekadło.

Wreszcie konie stanęły, a konwojent kazał wszystkim wychodzić. Nina wysiadła, podniosła głowę i zobaczyła kolejny niedobry znak: całe niebo nad podworcem więziennym było zaciągnięte płataniną przewodów, jakby ktoś próbował nakryć jeńców siecią.

– Nigdy się nie poddamy! Niech żyje socjalizm! – krzyknęła Fania, kiedy strażnicy poprowadzili ich w różne strony.

Ninę umieszczono w pojedynczej celi, na której wyposażenie składały się: wiadro, żelazny kubek i byle jak zbita prycza z dwoma brudnymi kocami.

Niebawem przyszła nadzorczyńni – łysa starucha o gnijących zębach i niesamowicie długich paznokciach.

– Przeszukanie, przeszukanie – powtarzała, z trudem wymawiając angielskie słowo.

Nina chciała się rozebrać, ale stara wyjaśniła gestami, że sama zdejmie z niej ubranie. Pozostawało tylko zamknąć oczy i cierpieć. Zaraz wszystko się skończy, zaraz się skończy.

Dwie młode strażniczki sprawdzały rzeczy. Rozdarły materiał na każdym obszytym guziku, szczypały wszystkie zakładki i szwy. Po naradzie zwróciły Ninie tylko spódnicę, bluzkę i buty, a zabrały wszystko pozostałe, wraz z całą bielizną.

Nina ubrała się i długo siedziała na pryczy, do bólu zaciskając ręce na kolanach. Zdawało jej się, że strażniczki stoją za drzwiami, tłocząc się niczym szczury przy jedzeniu, i z ciekawością zaglądną przez judasza: „I co tam ona? Drży? Płacze? Boi się nas?”.

W nocy Ninę zaprowadzono do pokoju przesłuchań i postawiono pośrodku namalowanego na podłodze kwadratu, w którym mieli przebywać przestępcy. Siedzący przy biurku śledczy w starszym wieku, ubrany w wojskowy mundur, zadawał pytania, które przekładał tłumacz, a pisarz szybko wyrysowywał na kartce równe słupki chińskich hieroglifów.

– A zatem, kim pani jest dla Michaiła Borodina?

Nina spojrzała spode łba na śledczego.

– Proszę posłuchać, to pomyłka. Nie znam Borodina, a z Fanią poznałam się na statku... Skłamałam, że jestem jej krewną, bo liczyłam na wyrozumiałość.

Znowż zażądała wezwania kogoś z amerykańskiej ambasady i wysłania telegramu do Szanghaju – do Klimy, Allmana i pułkownika Łazariewa.

Tłumacz gadał, wojskowy kiwał głową, ale pisarz odłożył pędzelek, nie zamierzając umieszczać słów Niny w protokole.

– Nie wierzy mi pan? – Przestraszyła się i cofnęła o krok.

W tej chwili strażnik chwycił ją boleśnie za łokieć i popchnął z powrotem na środek kwadratu.

Śledczy westchnął.

– Zacznijmy od początku. Kim pani jest dla Borodina i w jakim celu przebywa pani w Chinach?

Sam zadawał pytania i sam na nie odpowiadał. Nina była sowieckim szpiegiem, a prócz tego zajmowała się przemytem techniki wojennej i stanowiła przykrywkę dla jeszcze bardziej niebezpiecznej agentki, Fani Borodiny.

– Jakiej znowu techniki?! – jęknęła Nina. – Wszyscyście oszaleli?

Śledczy wskazał pomiętą kartkę z zapisem uczynionym ołówkiem chemicznym.

– Zgodnie z protokołem przeszukania statku, wiozła pani do Wuhanu samolot Avro-504.

– To nieprawda!

– Lepiej niech się pani nie wypiera, mamy zeznania świadków.

Na kartce pojawiały się delikatne pajęczynki hieroglifów i Nina zrozumiała, że jest zgubiona.

Raz na dobę Nina mogła wyjść na spaceriak, ze wszystkich stron otoczony pobielanymi kamiennymi ścianami. Prócz niej nikogo tam nie było, zabraniano jej stykać się z innymi więźniami.

Na poziomie pierwszego piętra w murach zostały wycięte i zakratowane okna, Nina słyszała dobiegające stamtąd rozmowy, kaszel i płacz dzieci. Ale kim były kobiety przebywające w tych celach, pozostawało zagadką. Z dołu nie mogła dostrzec ich twarzy.

Podczas jednej z przechadzek Nina znalazła w ścianie roślinę, przebijającą się między kamiennymi płytami. Nabrała wody z kałuży i podlała marny badylek. Po kilku dniach okrzeplł i wypuścił jasnozielone liście, ale strażnik obserwujący Ninę rozdeptał go. Czuła, jakby zabił małego, bezradnego ptaszka.

W dzień dręczyły ją upał i pozbawiające sił domysły. Co ją czeka? Sąd? Więzienie? A jeśli tak, to jaki wyrok?

Nocą były pluskwy, skrzypienie żelaznych drzwi i odległy płacz.

O świcie Nina podchodziła do okna i długo patrzyła na spadziste dachy. Ciągnęły się w jednym kierunku, jak płynące na tarło gigantyczne ryby z ościstymi grzbietami.

W różowe niebo wznosiły się dymy, korony drzew w oczach zmieniały kolor i stawały się nie ciemnoszare, ale zielone. Ptaki zaczynały wesóły harmider, aż wreszcie nad miastem przetaczał się niski dźwięk wielkiego dzwonu.

Pewnego razu Nina zobaczyła, jak poranne niebo zasłania wznosząca się szybko żółta chmura. Po chwili okno zadrżało od uderzenia wiatru, a w celi zrobiło się ciemno. Do Pekinu dotarła burza piaskowa znad pustyni Gobi.

Kilka dni osadzeni spędzili w celach, jako że spacerzy były niemożliwe. Za oknem w brązowej poświacie ledwie rysowały się zwieńczenia dachów, a w pomieszczeniu panowała okropna cisza. Ninie zdawało się, że wszyscy pomarli i ona sama pozostała przy życiu.

Wcześniej odganiała wspomnienia o Klimie, żeby nie tracić niepotrzebnie serca, ale kłęby pyłu, przewalające się obok okna, zbyt przypominały dymy pożarów w Noworosyjsku w 1920 roku.

Wtedy, przyciśnięci do Morza Czarnego uchodźcy oraz rozgromiona Biała Armia, próbowali ratować się na okrętach sojuszników, ale jednostek nie wystarczyło dla wszystkich. W mieście zaczęły się panika, podpalenia i grabieże. Nina i Klim mogli się ewakuować osobno – ją zgodzili się wziąć na angielski parowiec, a on miał francuską wizę. Mimo to, zupełnie bez porozumiewania się ze sobą, zostali w Noworosyjsku, byle tylko się nie rozłączać.

Wszystko, co zdarzyło się później – podróż na Daleki Wschód i emigracja – było skutkiem tej bezrozumnej decyzji. Bóg zdawał się wypróbowywać ich wytrwałość. Chciecie być razem? Dobrze... A jak poradzicie sobie z tym? I z tamtym?

Nie poradzili sobie, zrujnowali wszystko nie w chwili śmiertelnego niebezpieczeństwa, ale kiedy najgorsze już minęło.

A jednak prawie wszystkie jasne wspomnienia Niny były związane z Klimem.

Kiedyś wspomniała niezobowiązująco, że chciałyby przeczytać książkę włoskiej primadonny Liny Cavalieri *Sekrety mojej urody*. Nie prosiła Klimy, żeby ją kupił, tylko po prostu powiedziała: „Ciekawe, o czym ona pisze”. Po kilku tygodniach książka pojawiła się na jej toalecie.

Takie podarunki były ważniejsze od brylantów i futer. Klim pamiętał, co interesuje Ninę, i chciał jej sprawić przyjemność. Jego samego absolutnie nie interesowały wynurzenia pani Cavalieri.

Zostawiał jej różne karteczki.

Na lustrze w przedpokoju: „Ślicznotka!”.

Na bufecie: „Zajrzyj na górną półkę” – leżały tam cukierki z marcepanem, jej ulubione.

Na ścianie w łazience: „Kocham Cię, nawet kiedy jesteś tutaj”.

I jeszcze jedno wspomnienie. Klim leżał na łóżku, Nina pochylała się nad nim, żeby go pocałować, a on wyciągnął z poduszki białe pióro, dmuchnął, a ono przeleciało przez odchylone wycięcie jej koszuli nocnej, po czym wyskoczyło mu na brzuch. Drobiazg, nic takiego, ale jak się wtedy śmiali! Czy on o tym w ogóle pamięta?

Wreszcie burza skończyła się nocą, rano dachówki błyszcząły jak nowe, a za murem więziennym zakwitło wielkie drzewo.

Teraz Nina każdego dnia zachwycała się nim i smakowała wspomnienia o swojej bezsensownej, pechowej, ale tak drogocennej miłości. Przywoływała z pamięci poszczególne sceny: jak tańczyli z Klimem tango, jak śpiewał jej po hiszpańsku pieśń, której melodię właśnie grała orkiestra... Jak planowali, że na starość będą eleganckimi patriarchami rodziny składającej się z ludzi odważnych i utalentowanych.

Z początku Ninie zdawało się, że szybko wyczerpie zapas wspomnień, od których robiło się ciepło na sercu, ale przez dziesięć lat związku z Klimem nagromadziło się ich niewiarygodnie dużo.

Próbowała odszukać w pamięci coś podobnego dotyczącego Daniela. Mądre rozmowy, sarkastyczne dokuczanie sobie, wzruszenie i żar namiętności – tego

dobra było sporo, ale w towarzystwie mister Bernarda Nina nigdy nie odczuwała lekkości, swobody i absolutnego zaufania. O innych wielbicielach nie było sensu nawet mówić.

Klim był jedynym mężczyzną, którego kochała naprawdę, chociaż w tej miłości zdarzały się rzeczy wstrętne i wstydlive. Lecz Bóg widział, że Klim też miał o czym wspominać z czułością.

Rozdział 31

Sowieckie przedstawicielstwo dyplomatyczne

Daniel i Klim drażnili się nawzajem wprost niewiarygodnie, ale musieli działać razem, żeby pomyślnie dotrzeć do Pekinu. We dwóch było łatwiej pilnować walizek, zdobywać jedzenie i pozbywać się chińskich oficerów pchających się do przedziału.

Daniel nie pomijał żadnej okazji, aby dotknąć Klima do żywego. W szczegółach opisywał mu swoje stosunki z Niną, mówił o tym, jak pod koniec gotowa była uciekać gdziekolwiek, byle dalej od męża.

– Najbardziej absurdalne w tej historii jest to, że niepotrzebnie ją zadreślałeś – wzdychał z udawanym żalem Daniel. – Nie byliśmy kochankami. A tak w ogóle, wyobrażasz sobie wasze spotkanie? Rzucisz się do niej z okrzykiem „Przebacz!”? A może staniesz w teatralnej pozie i zażadasz: „Wybieraj – albo on, albo ja!”?

Czasami Klim miał ochotę strzelić towarzysza podróży w ucho, ale nie mógł pozwolić sobie na kłótnie z Bernardem. Sam nie był w stanie uratować żony.

– Ona nie dostanie się ani tobie, ani mnie – powiedział Danielowi. – Dawno mogłeś mi ją odbić, ale nie była ci wcale potrzebna, tak samo jak Edna i inne damy serca. Myślisz nie o Ninie, ale o zwycięstwie nad konkurentem.

Daniel się roześmiał.

– Oto co robi z ludźmi przyzwyczajenie do sławy! Jeżeli obok nie ma ani jednej szalejącej słuchaczki, jesteś gotów widzieć wielbiciela nawet we mnie. Wybacz, ale ja o tobie wcale nie myślę. Chociaż zachwycają mnie twoje umiejętności zatruwania życia sobie i wszystkim dookoła.

W Pekinie zatrzymali się w Central Hotelu, w którym można było wynająć całkiem przyzwoity pokój za dziewięćdziesiąt dolarów miesięcznie.

Pierwszego dnia Daniel pojechał do dzielnicy ambasad, ale nie udało mu się spotkać nikogo z rosyjskich znajomych. Okazało się, że kiedy byli z Klimem w podróży, żołnierze Zhanga Zuolina wdarli się do sowieckiej placówki pod pretekstem, że ukrywają się tam chińscy komuniści.

Zhang naruszył zasady nietykalności dyplomatów, ale to nikogo nie oburzyło, bo w czasie rewizji znaleziono żelazne dowody, że ZSRS prowadzi nielegalne akcje na terenie Chin.

Sowiety zawsze podkreślały, że nie mają żadnych związków z „walką o wolność” za granicą, twierdząc, że to inicjatywa miejscowych komunistów. A tutaj ujawniono dokumenty o dostawach broni i waluty, instrukcje dla dywersantów, listy agentów, szyfry i tak dalej. Agentom wprost nakazywano dokonywać prowokacji, grabieży i morderstw, byle tylko wywoływać nastroje nieprzychylnie Zachodowi i rządowi chińskiemu.

Gazety całego świata publikowały znalezione dokumenty i oburzały się podstępными działaniami bolszewików, ale tych nie sposób było skonfundować. Ludowy Komisariat Spraw Zagranicznych wysłał do Pekinu notę protestacyjną i przedstawił Rosję Sowiecką jako ofiarę doskonale przygotowanej akcji, skierowanej przeciwko ludowi pracującemu całego świata.

Zhang Zuolin, rozwścieczony taką bezczelnością, kazał rozstrzelać wszystkich Chińczyków zatrzymanych na terenie ambasady. Obywateli sowieckich nie odważył się pociągnąć do odpowiedzialności, obawiając się wywołania wojny.

– Mister Rogow, nie mamy za grosz szczęścia – powiedział Daniel, kiedy wrócił z kolejnej wyprawy do dzielnicy ambasad. – Moskwa na znak protestu odwołała pełnomocnika i wszystkich jego współpracowników. Zostało tylko kilku ludzi do pracy konsularnej i obrony podsądnych w sprawie Borodiny.

– A jednak Sowiety ujmą się za nimi? – spytał Klim z nadzieją. – Możemy zapisać się na wizytę w przedstawicielstwie dyplomatycznym?

– Żartujesz? Rosjanie zostali pozbawieni immunitetu dyplomatycznego, w każdym nieznanym widzą albo szpiega, albo zabójcę. Muszę się zastanowić, jak znaleźć do nich dojsście.

Ten, kto chciał zgładzić Ninę, nie miał twarzy. Zhang Zuolin z pewnością w ogóle nie wiedział o jej istnieniu. O losie kobiety nie miały decydować dowody, ale „polityczna konieczność”. To była ofiara z człowieka, którą trzeba złożyć, aby wymodlić powodzenie u nieistniejących bogów.

Klim odszukał miejskie więzienie, ale nie udało mu się dowiedzieć, czy Ninę przetrzymują właśnie tam, czy może gdzie indziej.

Pekin okazał się miastem ogrodzeń. Domy, instytucje, teatry i całe dzielnice – wszystko to było otoczone solidnymi murami. Chodząc po chińskiej stolicy, Klim czuł, jakby się znalazł w labiryncie, zbudowanym z kamiennych prostokątów i kwadratów.

Pewnego razu wszedł na starożytną wieżę, z której widać było pół miasta. Pod kopułą wisiał gigantyczny dzwon, który służył tutejszym obywatelom jako zegar – nim odmierzano czas.

– Może pan rzucić w dzwon pieniążkiem – powiedział dozorca. – A jeśli przy tym wypowie się życzenie, na pewno się spełni.

Klim zdawał sobie sprawę, że stróż chce naciągnąć łatwowiernego „białego diabła”, ale wyjął portmonetkę. Ku wielkiemu rozczarowaniu Chińczyka, moneta dosłownie wyparowała w mroku pod sufitem, bezdźwięcznie padając w grubą warstwę kurzu na wierzchu dzwonu.

– Wystarczy, już późno, zamykamy! – rozsierzdził się dozorca.

Klim z ciężkim sercem wrócił do hotelu. W głowie kłębiły mu się szalone pomysły. Może by tak związać stróża i alfabetem Morse’a nadać dzwonem do Niny wiadomość: „Jestem tutaj”. Tylko że ona nawet nie znała tego kodu.

Pod hotelem spotkał Daniela.

– Przebierz się do kolacji – nakazał Bernard. – Zaraz gdzieś pojedziemy. Już wiem, jak nawiązać kontakt z bolszewikami.

Pół godziny później weszli do niewielkiej europejskiej restauracji, znajdującej się dwa kroki od dzielnicy ambasad. Przy okrągłych, wypolerowanych stołach siedziały głośnie grupy obcokrajowców. Kelnerzy biegali, brzęczały naczynia, a pod wysokimi sufitami w papierosowym dymie kołysały się flagi wielkich mocarstw.

Klim i Daniel weszli na półpiętro i usiedli przy małym stoliku przy poręczy, skąd było widać, co dzieje się w ogólnej sali.

– Teraz Chiny stały się mekką dla socjalistów z całego świata – powiedział Daniel, wskazując ludzi na dole. – Zazwyczaj to bogaci romantycy, którzy mogą sobie pozwolić nie pracować, tylko podróżować po świecie. Naczytali się

zachwycających książeczek o bolszewickim przewrocie i przypędzili tutaj, żeby być świadkami nowej rewolucji, której oczywiście nie będzie.

– Po co tu przyszliśmy? – spytał Klim.

Daniel uśmiechnął się tajemniczo.

– Ci panowie są dla Moskwy uosobieniem „postępowej światowej społeczności”. Połowa z nich to zagraniczni korespondenci lewackich gazet o nakładzie pięciuset egzemplarzy, więc kiedy bolszewicy chcą upublicznić jakąś informację, wysyłają tutaj swojego człowieka. Widzisz tego młodzieńca w pasiastym krawacie? Pali papierosa. To Anatolij Lewkin, prawnik sowieckiego przedstawicielstwa. Od czasu do czasu puszcza kolejne kaczki dziennikarskie, a „postępowa społeczność” je podchwytuje i wysyła depesze do swoich redakcji. Potem w ZSRS zaczyna się triumfowanie: „Ludzie pracy Zachodu deklarują solidarność z władzą radziecką!”.

– Ten prawnik ma jakiś związek ze sprawą Borodiny? – spytał Klim z niecierpliwością.

– Właśnie.

Lewkin wydał się Klimowi podobny do komara: mały, długonosy i wielkooki, razem ze swoim tłumaczem chodził od stołu do stołu, krzątał się i częstował wszystkich papierosami. Nawet na balkonie było słychać, jak gorąco udowadniał, że w prasie burżuazyjnej zostały opublikowane sfalszowane dokumenty.

– Chińscy satrapowie znaleźli w naszej ambasadzie najzwyczajniejsze papiery, a potem zrobili fałszywki, żeby skompromitować pierwsze na świecie państwo socjalistyczne. ZSRS nigdy nie ingeruje w suwerenne sprawy innych krajów.

Pozostawało tylko się dziwić, jak można tak bezczelnie kłamać. Ale sądząc po okrzykach aprobaty, „postępowa społeczność” wierzyła Lewkinowi.

– Ludzie zawsze są gotowi dać się oszukać, jeżeli kłamstwo jest zbieżne z ich życzeniami – powiedział Daniel. – Obecni tutaj chcą, żeby bolszewicy byli siłą dobra, za którą można iść w ciemno, dlatego już zawczasu odrzucają fakty i zdrowy rozsądek.

Lewkin zapłacił za kolację, zwolnił tłumacza i skierował się do wyjścia.

– Podejź do niego i przedstaw się jako komunista z Szanghaju – szepnął Daniel. – Powiedz, że masz związki z niemiecką ambasadą i ktoś ci wspomniał, że w Europie też niebawem zaczną się naloty na sowieckie placówki dyplomatyczne.

Klim spojrzał z niedowierzaniem na Daniela. Brakowało mu tylko wpakowania się w aferę szpiegowską!

– A czemu sam nie podejdziesz do Lewkina?

– Nie znam rosyjskiego.

Klim nie ruszał się z miejsca, a Bernard zaczął wpadać w złość.

– Nie zmarnuj szansy! On zaraz wyjdzie i możemy go już nie spotkać! Jeżeli zamierzasz siedzieć w krzakach, to po kiego czorta przyjechałeś do Pekinu?

Klnąc na czym świat stoi, Klim wstał i szybko zbiegł po schodach.

Dogonił prawnika, kiedy ten już wsiadał do samochodu, ale wiadomość nie zrobiła na bolszewiku najmniejszego wrażenia.

– Przepraszam, nie mam czasu – odparł sucho i kazał szoferowi ruszać.

Kiedy samochód zniknął za zakrętem, Daniel również wyszedł na ulicę.

– Sprawa załatwiona! – Klepnął Klima w ramię. – Zostaw barmanowi swój adres i czekaj. Lewkin niedługo cię znajdzie.

Daniel miał taką minę, jakby rozbił bank w kasynie.

Przez kilka długich, męczących dni Klim siedział w pokoju i czytał gazety. Po likwidacji sowieckiej ambasady w Pekinie zaczęło się polowanie na komunistów, a niebawem antybolszewicka histeria rozszerzyła się na cały kraj, niezależnie od tego, kto sprawował władzę w tej czy innej prowincji. Czang Kaj-szek także przyłączył się do gnębienia dawnych sojuszników. Musiał udowodnić, że pogrom czerwonogwardzistów w Szanghaju był wprawdzie okrutny, ale jakże potrzebny.

Michaił Borodin nic nie mógł z tym zrobić. Socjalny eksperyment w Wuhanie nie powiódł się, a on nie miał już ani pieniędzy, ani sił, ani sprzymierzeńców, żeby zapobiec katastrofie.

Polityczni i wojskowi doradcy pospiesznie ewakuowali się z Chin. Konsulat sowiecki w Tiencin został rozbity, a w Szanghaju obsadzono placówkę białogwardzistami. W miastach prowincjonalnych wystarczyło, że prowokator pokazał palcem człowieka i nazwał go komunistą, a nieszczęśnika zabijano na miejscu. Dochodziło do tego, że jako bolszewicki pomiot mordowano dziewczynki z krótkimi włosami, a potem wkładano ich ucięte głowy do trumien mężczyzn. „Zachciało się wam równouprawnienia? Oto ono!”

W takiej sytuacji szaleństwem wydawało się mieć nadzieję na pomyślne rozwiązanie sprawy Niny.

Minął tydzień, aż wreszcie służący przyniósł Klimowi wizytówkę sowieckiego prawnika.

– Czeka na dole.

Klim wybiegł do westybulu i omal nie zderzył się z Lewkinem.

– Czy możemy razem pojechać do naszego przedstawicielstwa? – spytał bolszewik, nie podnosząc wzroku.

Wsiedli do samochodu i przez całą drogę Klim powstrzymywał się przed wypytywaniem Lewkina o Ninę. Ale na razie nie miał prawa zadawać pytań.

Samochód podwiózł ich do wysokiego muru obronnego, otaczającego dzielnicę ambasad. Wartownicy sprawdzili przepustkę Lewkina i otworzyli ciężką, wzmocnioną żelaznymi sztabami bramę.

To było niesłychane – przejechać pod łukiem i przenieść się od razu z wielkiego chińskiego miasta do Europy. Wzdłuż szerokich ulic, obsadzonych drzewami, stały eleganckie wille. Były tutaj przedstawicielstwa handlowe, oddziały banków i firm ubezpieczeniowych. W fontannach pluskała woda, a w ulicznych kawiarniach jedli obiad świetnie ubrani ludzie.

Jedynym, co przypominało o Chinach były riksze połyskujące czarnym

lakierem z miedzianymi zdobieniami. Kulisi, którzy je obsługiwali, paradowali w niebieskich koszulach oraz spodniach i nakrywali głowy nowiutkimi słomianymi kapeluszami.

Samochód Lewkina przejechał przez bramę, której pilnowali czerwoarmiści w budionówkach, po czym zatrzymał się przy dużym białym domu z wyłupiastookimi kamiennymi lwami przed wejściem.

Klim wysiadł i się rozejrzał. Trawa była wydeptana, a kwiaty w pozieleniałych wazonach uschły.

– Nie mamy głowy do ogrodnictwa – powiedział Lewkin, widząc zdziwiony wzrok Klimy. – Żyjemy wydarzeniami nie lokalnej, ale światowej skali.

Stary Chińczyk w spłowiałej bluzie wpuścił ich do mrocznego westybulu i znów zaczął ścierać kurz z marmurowego popiersia Lenina, stojącego w kącie.

Klim poszedł za Lewkinem. W budynku nie było żywej duszy. Gabinety stały otworem, dywany zabrane, zasłony zdjęte, więc dźwięk kroków odbijał się echem od sufitu.

Prawnik wpuścił Klimę do ciasnego, mało przytulnego pokoju, w którym unosił się swąd palonego papieru.

– Zaraz wrócę.

Na biurku piętrzyły się puste skoroszyty, a w żelaznym wiadrze, pełniącym funkcję śmietnika, walały się kawałki spalonych dokumentów.

Klim zaczął oglądać rozwieszane na ścianie pocztówki z fotografiami członków Politbiura. Zostali rozmieszczeni w kształcie piramidy, a najwyżej, w słonecznym kwadracie światła, wisiał portret wąsatego Gruzina nazwiskiem Stalin.

Po chwili Lewkin wrócił w towarzystwie ponurego, wysokiego mężczyzny, odzianego w haftowaną koszulę.

– Waldas – przedstawił się tamten. – Rad jestem poznać.

Jego okrągła głowa była wygolona na łyso, pod nosem stroszyły się jasne, nieco posiwiałe wąsy, a mocny kark był czerwony od słonecznego oparzenia.

– Wasze informacje się potwierdziły – powiedział, siadając na skrzypiącym krześle. – Wczoraj Anglicy przeprowadzili rewizję w radzieckiej misji handlowej w Londynie. Policjanci działali według tego samego scenariusza co tutaj i zarekwirowali dokumenty demaskujące naszą pracę w Wielkiej Brytanii.

– Komisariat wysłał notę protestacyjną? – spytał Lewkin.

– Anglicy lekceważą nasze protesty – odparł Waldas. – Ogłosili, że kierownictwo radzieckie to bandyci i zamierzają wnioskować o blokadę ekonomiczną wobec ZSRS. Naszym zadaniem jest zrobić tak, żeby nikt im nie uwierzył, a do tego potrzeba, aby z dementi wystąpiła trzecia, niezainteresowana w konflikcie strona. Na przykład Niemcy.

Waldas przeniósł na Klimę spojrzenie jasnoblękitnych oczu.

– O ile dobrze zrozumiałem, macie znajomych w niemieckiej ambasadzie, którzy sympatyzują z moim krajem. Mogę wiedzieć, z kim właściwie się pan przyjaźni?

Klim wymienił jeden z pseudonimów Daniela.

– Bardzo sobie cenimy pomoc waszego znajomego – rzekł Waldas. – I domyślamy się, że ma on jakieś kontakty z wywiadem. Proszę mu przekazać, że jeśli Niemcy pomogą nam wydobyć się z tego bałaganu, współpraca wojskowa między naszymi państwami wejdzie na nowy poziom.

Klim wreszcie zrozumiał, co się dzieje. Zorientowani członkowie Klubu Szanghajskiego opowiadali, że sowiecka władza wydała Niemcom zezwolenie na wypróbowywanie nowych rodzajów broni na swoim terytorium. Niemcy pragnęli rewanżu za Wielką Wojnę i obchodzili postanowienia pokoju wersalskiego, mocno rozbudowując lotnictwo, broń pancerną i chemiczną. Zwycięskie kraje wiedziały o tym, ale nic nie mogły udowodnić, bo Związek Sowiecki był niedostępny dla międzynarodowych komisji.

Daniel najpewniej naprawdę pracował dla niemieckiego wywiadu i próbował wytargować lepsze warunki współpracy wojskowej z Rosjanami. Ale żeby nie nadstawiać własnego karku szalonym bolszewikom, wysłał do nich Klim. Gdyby coś poszło nie tak, zawsze będzie mógł się od niego odciąć.

– Jak Niemcy mieliby wam pomóc? – spytał Klim.

– Niech zdemaskują w Berlinie białogwardyjską drukarnię, w której przygotowywano dokumenty, znalezione w naszych placówkach – wyjaśnił Waldas. – Trzeba przeprowadzić kilka pokazowych aresztowań i przedstawić prasie kilku rosyjskich imigrantów, szkodzących potajemnie swojej ojczyźnie.

Klim patrzył na spokojnie uśmiechających się Waldasa i Lewkina, nie wiedząc, co powiedzieć. Polityka to brudna sprawa, ale wszystko powinno mieć jakieś granice!

– A jak niby te „falszywki” dostały się do ambasady? – Nie zdołał powstrzymać sarkazmu.

– Wrogowie oczywiście podrzucili. – Uśmiechnął się Lewkin. – My też kogoś u siebie aresztujemy i wskażemy konkretnych winnych.

To naprawdę są zwykli przestępcy – pomyślał Klim z bezsilną złością. – Tyle że nie działają w imieniu jakiejś małej Zielonej Bandy, ale całego państwa. A najgorsze, że „postępowa społeczność” pójdzie na ich pasku, dlatego że w opowieści o tajnym spisku chce się wierzyć bardziej niż w zwykłą beczelność i podłość.

Klim powinien wyjść, nie podając ręki nowym znajomym, ale musiał się przemóc, aby ratować Ninę.

– Przekażę wasze słowa mojemu przyjacielowi – obiecał.

Lewkin poszedł go odprowadzić. W westybulu Klim się zatrzymał.

– Mówiono mi, że będziecie bronić Borodiny i jej ludzi. Pośród aresztowanych jest jedna kobieta, Nina Kupina. Jesteśmy starymi przyjaciółmi, bardzo bym chciał wiedzieć, co u niej...

– Zobaczymy się w najbliższym czasie – odparł Lewkin. – Zhang Zuolin chce nadać sprawie pozory praworządności, więc podsądni dostaną adwokatów.

Klimowi nieco ulżyło.

– Mogę coś jej przekazać?

– Nie. Wszystkich Rosjan pilnują i skrupulatnie rewidują. Ale jeśli chcecie, możecie napisać parę słów, a ja postaram się przekazać je Kupinie.

Lewkin przyniósł kartkę i ołówek.

– Na drugiej stronie napiszę upoważnienie do reprezentowania jej przed sądem i zaniosę do więzienia – powiedział, kiedy Klim skończył pisać krótką wiadomość. – Proszę się nie niepokoić o przyjaciółkę. Towarzysz Stalin kazał uczynić, co tylko możliwe, żeby ratować naszych.

Klim podziękował mu i wyszedł na zalaną słońcem ulicę. Grały cykady, pachniało jaśminem i gorącym kurzem.

Nie powinien się oszukiwać. Jacy adwokaci mogą się przeciwstawić chińskiemu systemowi sądowemu?

Po powrocie do hotelu opowiedział Danielowi o przebiegu rozmów.

– Świetnie! – rozjaśnił się Bernard. – Fałszywkę o fałszywkach spokojnie zorganizujemy.

– Jak myślisz, dlaczego Stalin zdecydował się ująć za Fanią Borodiną? – spytał Klim. – Przecież jej mąż nie zdołał przejąć władzy w Chinach. Jaki jest sens tracić czas i siły na żonę takiego nieudacznika?

Daniel uśmiechnął się tajemniczo.

– Nie pojmujesz zasad bolszewickiej polityki. Na przykładzie małżeństwa Borodinów Stalin ukazuje, że nie porzuca swoich sprzymierzeńców w nieszczęściu, nawet jeśli przestali być potrzebni. Tak tworzy się oddaną bezgranicznie wodzowi partię w partii. Towarzysz Stalin wie doskonale, co robi, i możesz mi wierzyć, niebawem ten człowiek stanie się twarzą sowieckiego państwa.

Starucha z paznokciami odprowadziła Ninę do pokoju przesłuchań, gdzie czekał na nią ciemnowłosy młody człowiek.

– Jestem Anatolij Jakowlewicz Lewkin – przedstawił się po rosyjsku i mocno uściśnął rękę Niny. – Będę waszym obrońcą w sądzie.

– Kto was przysłał? – zdziwiła się Nina.

– Przedstawicielstwo ZSRS. Jestem tam radcą prawnym. Śledztwo w waszej sprawie zakończyło się i dokumenty zostały przekazane do sądu, na posiedzenie przedwstępne. Jesteście oskarżona o złamanie artykułu sto pierwszego, to znaczy spisek. Za to grozi dożywocie lub kara śmierci.

Lewkin jaśniał z radości, niczym początkujący chirurg, który wreszcie może przeprowadzić samodzielną operację.

– Na pewno chcecie wiedzieć, co z Fanią. Jest zdrowa i przekazuje wam pozdrowienia.

Nina ledwie pojmowała, o czym on mówi. Boże drogi, kara śmierci! Ale za co?!

– Za próbę dokonania przewrotu i przemyt broni – wyjaśnił Lewkin. – Och, ale dlaczego stoicie? Proszę usiąść i czuć się jak w domu. Nie ma się o co martwić. Akt oskarżenia został napisany bardzo kiepsko i bezpodstawnie, dlatego myślę, że do otwartej sprawy nie dojdzie. Wynajęliśmy najlepszych chińskich adwokatów, bo sędzia chętniej wysłucha właśnie ich. Chciałbym, żeby podpisała pani pełnomocnictwo na mnie, na pana Ma Dezhena i pana Go Tingbao. Bardzo dobrze, że zgodzili się reprezentować pani interesy, bo nigdy nie biorą się do spraw, których nie można wygrać.

– Ale wszystkie pieniądze zostawiłam w Szanghaju... Jak mam im zapłacić? – zmartwiła się Nina.

Lewkin spojrzał na nią z wyrzutem.

– Za wszystko płaci państwo radzieckie!

Wyjął z teczki papiery i podsunął je Ninie, ale nie była w stanie zrozumieć, o czym w nich mowa, litery pływały jej przed oczami.

Lewkin podał jej pióro.

– Proszę się pospieszyć, bo muszę jeszcze jechać ze sprawami do więzienia dla mężczyzn!

Nina podpisała się na jednej kopii, na drugiej, na trzeciej i wtedy dostrzegła napis ołówkiem: „Jestem tutaj. Coś wymyślimy”.

To było pismo Klima...

Pióro wypadło z palców Niny.

– Przyjechał?

Lewkin wskazał na stojącego w drzwiach strażnika i szybko starł wiadomość gumką.

– Wszystkiego najlepszego, muszę lecieć!

Po spotkaniu z adwokatem Ninę znów przeszukano. Ledwie mogła się doczekać, aż strażniczki wyjdą. Wszystko w niej drżało z radości, a jednocześnie z irytacji, że nie zdążyła nic przekazać Klimowi.

Dookoła nic się nie zmieniło – szara cebra, pryzma i odrapane drzwi, Ninę czekał albo szafot, albo dożywocie, ale te kilka słów skreślonych ręką Klima sprawiło, że znów dostrzegła sens życia. Schowała twarz w dłoniach i zapłakała ze szczęścia.

Rozdział 32

Wyrok

Witaj, Kitty!

Jeśli dostałaś ten list, to znaczy, że zostałem aresztowany i zapewne skazany. Strasznie pisać takie rzeczy, ale będę musiał pójść *va banque*.

Rozumiem, że to niesprawiedliwe, bo przecież ryzykuję nie tylko swoim życiem, ale i Twoją przyszłością, jednak Allmanowie obiecali mi, że zatroszczą się o Ciebie, więc powinienem zadbać o Twoją mamę. Nie będzie miała szans na ratunek, jeśli nie zrobię tego, co zamyśliłem. Dosłownie wszyscy: chińskie władze, dyplomaci i rosyjscy imigranci, pragną jej krwi. Przez Borodinę i jej „wspólników” chcą ukarać Rosję Sowiecką i na próżno im udowadniać, że mama nie miała nic wspólnego z komunistami.

Niestety jestem zmuszony uczestniczyć w brudnej politycznej grze. Nie będę opisywał wszystkich szczegółów, powiem tylko to, co najważniejsze. Na skutek pertraktacji, które zaczęły się tutaj, w Pekinie, Niemcy odmówiły udziału w ekonomicznej blokadzie ZSRS, a w zamian za to otrzymały prawo dokonywania prób z bronią chemiczną pod Saratowem.

Obecnie w Sowietach rośnie w siłę nowy wódz nazwiskiem Józef Stalin. Żeby zyskać jego przychylność, Niemcy obiecali pomóc mu w sprawie Fani Borodiny i przez swoją misję dyplomatyczną przysłali dwieście tysięcy dolarów jako łapówkę dla Ho Tsuna.

W odróżnieniu od większości chińskich urzędników Ho Tsun słynie z nieprzekupności. Wysłał już do lochu kilkudziesięciu ludzi, którzy ośmielili się oferować mu pieniądze, dlatego pracownicy sowieckiego przedstawicielstwa dyplomatycznego nie ryzykują otwartej propozycji.

W Pekinie wszyscy boją się wchodzić w kontakty z Rosjanami, więc nie zdołaliśmy znaleźć pośrednika, któremu można by powierzyć tak delikatne zadanie.

Czas płynie, nie można tego dalej ciągnąć, więc sam zgłosiłem się do rozmowy z sędzią. W przedstawicielstwie zaakceptowano moją kandydaturę. Okazało się, że sędzia pochodzi z Szanghaju, a ja znam tamtejszy dialekt i mogę się obejść bez tłumacza.

Raz w tygodniu Ho Tsun odwiedza pekińską operę w starym teatrze, więc postanowiliśmy, że trzeba go złapać właśnie w tym miejscu.

Już chodziłem tam, żeby rozpoznać teren.

Aktorzy w wyszukanych strojach odgrywali sztukę napisaną na podstawie dawnych legend, a w sali widowiskowej przy stolikach herbacianych siedzieli odziani w jedwabie kupcy, ważni urzędnicy i obcokrajowcy, nic nierozumiejący

z chińskiej sztuki operowej.

Cały czas, kiedy trwało przedstawienie, patrzyłem nie na scenę, lecz na sędziego, człowieka, który może ocalić Twoją mamę. Promień światła z zakurzonego okienka padał prosto na jego stolik, a w jasną plamę od czasu do czasu wpełzała starcza dłoń z czarką.

Próbowałem pochwycić spojrzenie sędziego, ale zawsze, kiedy odwracał się w moją stronę, otwierał papierowy wachlarz, który skrywał jego twarz.

Powiedzieć, że się boję, to tak, jakby nic nie powiedzieć. Jeżeli to byłby pojedynek albo chociaż bójka uliczna, wypełniałaby mnie złość walki i mógłbym oceniać jakoś szanse zwycięstwa. A tak czuję się, jakbym miał wskoczyć do studni.

Doskonale rozumiem, że nie rozbiję się tylko pod jednym warunkiem – jeśli w czasie lotu zostanę wyposażony w anielskie skrzydła. Ale nie mam na to zbyt wielkiej nadziei.

Ach, Kitty, nie wiem sam, po co to piszę. Masz tylko trzy latka i kiedy podrośniesz, nie będziesz mnie już pamiętała. Okropnie, niech to diabli, tak przepaść bez śladu, ale nie mam innego wyjścia. Chcę po prostu, żebyś wiedziała, co się ze mną stało.

Cóż, pora spać, a dokładniej męczyć się przewracaniem z boku na bok i modlitwą do Boga, w którego istnienie jakoś nie bardzo wierzę.

Kocham Cię.

Tata

Od czasu, gdy Nina otrzymała wiadomość od męża, myślała o nim całymi dniami. Lewkin za każdym razem przynosił jej nowe liściki ze słowami pokrzepienia i krótkimi wierszykami, które Klim wymyślał, aby ją rozbawić.

Nigdy nie pisał o miłości i nie proponował pogodzenia się. Nina nie wiedziała, jak to rozumieć. Czyżby Klim nie chciał, aby Lewkin wiedział o jego uczuciach? Albo podtrzymywał żonę na duchu tylko ze współczucia?

Z drugiej strony dla Niny rzucił swoje ukochane radio i zostawił nawet Kitty. Napisał, że jest u Allmanów. Może chciał jednak zacząć wszystko od nowa?

Nina bez końca pytała samą siebie: Jeśli mnie wypuszczą, co będzie dalej? Sparzywszy się na gorącym, Klim zawsze dmuchał na zimne, i tej cechy jego charakteru nie można było zmienić. Możliwe, że zacznie udawać, jakby wszystko było w porządku, ale każda niezręczność żony mogła wywołać kolejną falę zazdrości i odtrącenie.

Łatwiej im było po prostu się kochać w okresach nieszczęść, kiedy wystarczyło zapomnieć o drobiazgach i rozwiązywać wszelkie problemy. Ale w tym właśnie kłopot, że osobiste szczęście to drogocenne drobiazgi, które ozdabiają życie. Oczywiście można się bez nich obejść, tak jak ludzie obchodzą się bez książek, muzyki i innych „zbytków”, ale wówczas egzystencja traci na wartości przede wszystkim w ich własnych oczach. Teraz Nina rozumiała to jak nigdy przedtem.

Niebawem Lewkin dorzucił jej rozterek.

– Macie pozdrowienia od Daniela! – szepnął w czasie kolejnego spotkania. – Niedawno się z nim widziałem, prosił przekazać, że życzy wam powodzenia.

Nina jęknęła.

– A Klim wie, że on tu jest?

– Tak, razem byli w naszym przedstawicielstwie. Zdaje się, że to wielcy przyjaciele.

Nina nie wiedziała już, co o tym wszystkim myśleć.

Wreszcie rozpoczęły się posiedzenia sądowe – nudne jak lekcje prowadzone przez nieporadnego nauczyciela.

W niedawno wyremontowanej sali nikogo nie było, oprócz samych uczestników procesu, pisarzy i konwojentów. Wszystko działo się za zamkniętymi drzwiami.

Przed każdym posiedzeniem Lewkin przypominał podsądnym:

– Najważniejsze, żebyście się trzymali, a my z chińskimi kolegami wszystko załatwimy!

– Wstać, sąd idzie! – szeleścił bezbarwnie tłumacz.

Stary sędzia w haftowanym kaftanie i jedwabnej czapeczce wydawał się Ninie nie człowiekiem, ale duchem, powoli płynącym nad podłogą.

– Siadać.

Podsądni byli przesłuchiwanym po kolei.

– Poproszę nazwisko. Ile lat w Chinach?

Czy Ho Tsun słuchał w ogóle zeznań „białych diabłów”? Czy rozumiał choć słowo z tego, co mówili do niego adwokaci? Nina wpatrywała się z napięciem w jego woskową twarz. W pewnej chwili wydało jej się, że sędzia w ogóle nie ma oczu, a pod powiekami nie ukrywa źrenic, lecz pustkę. W ogóle był wydrążony w środku i na fotelu siedziała tylko pomarszczona powłoka, odziana w jedwabie.

Zupełną zagadkę stanowiło, jak Ho Tsun odnosi się do oskarżonych. Pewnego razu oznajmił Fani przez tłumacza, że jej mąż jest niedobrym człowiekiem.

– Z dokumentów znalezionych w waszej ambasadzie wiadomo, że Michaił Borodin nazywał doktora Sun Jat-sena „zarozumiałym prostakiem”. To bardzo niedobrze tak postponować własnego pana za jego plecami.

Fania poruszyła się na ławie i Ninie wydało się, że zaraz powie coś niepotrzebnie. Ale ona na szczęście odpowiedziała tak, jak ją nauczył Lewkin:

– Jestem tylko kobietą i nie wtrącam się w sprawy mojego męża.

Samą Ninę wypytywano o samolot – skąd go wzięła i komu zamierzała sprzedać.

– Zostałam oczerniona! – mówiła płomiennie. – Wysoki sądzie, proszę wezwać ludzi, którzy podpisali protokół przeszukania, niech udowodnią, że to mój aeroplan!

Sędzia coś powiedział, a tłumacz pokręcił głową.

– Taki wniosek nie byłby dla pani korzystny. Wówczas sprawa przeciągnie się na całe tygodnie.

Nina obejrzała się na adwokatów. Co sędzia miał na myśli? Chciał jak najszybciej z nią skończyć? A może naprawdę postępował uczciwie?

Obrońcy mówili coś po chińsku, ale co? Jeden Bóg wiedział.

Jeśli Ho Tsun skáže ich jednak na śmierć, jak to będzie? Nina wiele razy widziała we śnie, jak prowadzą ją przez wzburzony tłum, a ona rozgląda się i nie może dostrzec Klima. Woła go tak, że głos jej się rwie, ale on się nie odzywa.

Sędzia ogłosił przerwę. Wszyscy wstali, on wyszedł, a konwojenci wyprowadzili podsądnych z sali.

– Ho Tsun w istocie rzeczy pilnie przysłuchiwał się temu, co mówił Ma Dezhen – szepnął Ninie jeden z kurierów dyplomatycznych.

Pokiwała głową. I tak nie zapamiętała, który to Ma, a który Go.

W nocy przed ostatnim posiedzeniem Nina nie spała. Udowodnię sobie... – powtarzała, ale nie mogła zasnąć. Nie zostało już wiele czasu.

Gładziła się dłońmi po szyi. Z tyłu, pod włosami, wyczuwała dołek, w który tak lubił ją całować Klim, a z przodu drżącą w płaczu krtani. Właśnie wtedy przejdzie ostrze chińskiego miecza i wszystko, co nią było, takie żywe, ciepłe i cenne, w jednej sekundzie zmieni się w krwawiące szczątki, których strach dotknąć.

Jeszcze nigdy, nawet w czasie wojny, Nina nie odczuwała tak wielkiego strachu przed śmiercią.

Kiedyś w dzieciństwie widziała jelonka ze złamanymi tylnymi nogami. Myśliwi znaleźli go w lesie i przynieśli pokazać dzieciom. Nina pamiętała, jakimi oczami zwierzę na nią patrzyło, całe trzęsąc się z potwornego przerażenia, z polepioną sierścią na brudnej mordce.

Potem sąsiad przyniósł mamie trochę gorącego mięsa z rudą sierścią.

– Poczęstuj dzieciaczki!

Teraz Nina czuła się właśnie taką bezbronną, złamaną i skazaną istotą, którą należy zabić z litości.

Znów była w dusznej sali, wypełnionej promieniami słońca i niezwiędłym jeszcze zapachem farby. Ho Tsun czytał wstęp do wyroku, a tłumacz ziewał, wykonując swoją pracę.

Nina nie spuszczała z sędziego ciężkiego wzroku. Zaraz mnie zabiją...

Ho Tsun postawił pieczęć na dokumencie, powiedział coś cicho i beznamiętnie. Właśnie...

Tłumacz podrapał się w policzek.

– Sędzia Ho Tsun w imieniu Republiki uznaje was za... niewinnych.

Fania i Nina płakały, kurierzy obejmowali się i krzyczeli z radości. Ktoś pociągnął Ninę za rękę. Zdumiała się, widząc napiętą, pobladłą twarz Lewkina.

– Uciekamy! – syknął. – I pospieszcie się, jeśli chcecie żyć!

Ho Tsun uznał, że dwieście tysięcy dolarów jest sumą wystarczającą, aby odejść na emeryturę i zabezpieczyć sobie byt do końca życia.

Klim ustalił, że połowę sędziego dostanie przed ogłoszeniem wyroku, a pozostałą część po sprawie. Czekał na niego w zakładzie naprawy lamp gazowych, który bolszewicy wykorzystywali jako lokal konspiracyjny. Znajdował się dwa kroki od budynku sądu, więc od razu po posiedzeniu Ho Tsun powinien przyjść po sto tysięcy.

Klim chodził między skrzyniami z narzędziami i niecierpliwił się, co chwila spoglądając na zegarek. Nie mógł uwierzyć, że wszystko pójdzie jak trzeba, a on niebawem zobaczy Ninę. Powinna zostać zwolniona już na sali i od razu jechać do sowieckiej placówki.

Jak się spotkają? Co sobie powiedzą?

Dzień przed ogłoszeniem wyroku Lewkin oznajmił:

– Towarzyszka Nina prosiła, żeby nie wspominać jej źle. Albo nie... Jakoś inaczej się wyraziła... Żeby jej nie porzucać? Albo nie zapominać? Cholera, już nie pamiętam!

Klim wiedział, że Daniel też coś przekazywał Ninie przez Lewkina. Kiedyś zdawało mu się, że jest gotów dumnie usunąć się i nie wplątywać w ich stosunki, ale teraz na samą myśl o tym zaciskał pięści. Nina jest moja! Teraz na pewno nikomu jej nie oddam! Jeśli będzie trzeba, w ogóle wywiozę ją z Chin.

Jedenasta przed południem... Sędzia powinien już odczytywać wyrok. Klim podszedł do oszklonych drzwi z wywieszką „Zamknięte” i chciał wyjrzeć, ale majster, stary polski komunista o imieniu Janek, powstrzymał go.

– Siedźcie spokojnie!

Czas płynął tak wolno, że Klimowi zdawało się, jakby zegar stanął. Serce mu biło mocniej, kiedy w drzwiach mignęła sylwetka przechodnia.

To nic, wszystko będzie dobrze... Najważniejsze nie tracić głowy i działać zgodnie z planem.

Daniel obiecał przysłać samochód i przywieźć przepustkę do dzielnicy ambasad, żeby sędzia mógł się ukryć u niemieckich dyplomatów. Ale wozu na razie też nie było.

A jeśli Daniel go oszukał? Może postanowił uwolnić się od konkurenta i szepnął policjantom, gdzie mogą schwytać przekupnego sędziego i bolszewickiego agenta?

Wreszcie rozległy się kroki i kościsty palec zabębnił w szkło. Klim rzucił się do drzwi i wpuścił Ho Tsuna, już przebranego w europejski garnitur.

– Gdzie pieniądze? – spytał przybyły, a kiedy dostał zawiniątko, rzucił paczki dolarów na warsztat.

– Zwolnił pan podsądnych? – spytał z przestachem Klim.

Sędzia kiwnął głową i zaczął liczyć banknoty.

Z radości i ulgi Klim miał ochotę objąć starego.

– Dziękuję – powiedział cicho, ale Ho Tsun nie zwrócił na niego uwagi.

Czas mijał, a Daniela nie było. Sędzia pomylił się i zaczął liczyć od początku.

– Szybciej! – popędzał go Janek, wyglądając na ulicę przez żaluzje. – Jeżeli nie będzie samochodu, musicie uciekać piechotą!

Nagle twarz mu poszarzała.

– No to przyjechali...

Klim rzucił się do okna i zobaczył w oddali policjantów.

– Jest tutaj tylne wyjście?

Jankowi zadrżała broda.

– Tak, ale wychodzi na aleję dojazdową, a tam ślepy zaułek z drogą tylko w stronę głównej ulicy.

Klim zaklął i spojrzał na sędziego, który stał, przyciskając do piersi paczki z pieniędzmi.

– Policja mnie szuka? – zapytał.

– A kogo innego? – odpowiedział ponuro Klim. – Ludzie pewnie pana zobaczyli, bo pokazują w stronę naszego zakładu!

Popatrzył na leżący pod ścianą rząd zardzewiałych latarni.

– Karbid! One przecież pracują na karbidzie, prawda?

Sędzia spojrzał na niego przestraszony.

– Co?

Klim odsunął go i zrzucił na podłogę pokrywą żelaznej skrzynki, na której wypisana była chemiczna formuła: CaC_2 .

– Janek, potrzebuję jakiegoś pojemnika! Butla, karafka, wszystko jedno! Musimy przyduścić policjantów!

Majster z miejsca wszystko zrozumiał i wyjął spod stołu dwie butelki po piwie. Klim napchał do nich kawałków karbidu, zalał je wodą, potrząsnął, a potem wyskoczył na ulicę i postawił pojemniki na chodniku.

Chińczycy rzucili się do niego, ledwie zdążył wrócić do zakładu. Gruchnęły dwa wybuchy, witryna zatrzęsała się, a funkcjonariusze poszli w rozsypkę.

– Zabijają nas! – zawył sędzia.

– Masz jeszcze butelki?

Rozległ się warkot silnika, w alejkę dojazdową wjechał czarny samochód.

– Jesteście tam? – krzyknął Daniel. – Szybko do maszyny!

Klim, sędzia i Janek padli na siedzenia. Poszło kilka wystrzałów, ale było już

za późno – samochód skręcił w krzywy zaułek i popędził, podskakując na wybojach.

Ho Tsun wciąż przyciskał pieniądze do piersi, a Janek siedział obok, trzymając się za głowę.

– Co tam się stało? – spytał Daniel, oglądając się na Klima.

Rogow zaśmiał się nerwowo.

– Niewielki spektakl. Kiedy robiliśmy przedstawienia w radio, imitowaliśmy wybuchy przy pomocy karbidu. Teraz zrobiłem to samo, tylko na trochę większą skalę. Gdzie Nina?

– U Waldasa – odparł Daniel.

Klim odetchnął z ulgą. Trudno było pojąć, jak zdołali przeprowadzić tę całą akcję. Wciąż jeszcze nie wierzył, że wszystko poszło jak należy.

Wjechali na teren dzielnicy ambasad, samochód skierował się do przedstawicielstwa sowieckiego, w którym zebrali się już dziennikarze i fotografowie.

Daniel wysadził Klima i Janka.

– Zobaczcie, co się dzieje, a ja tymczasem odwiozę sędziego.

Klim z bijącym mocno sercem podszedł do wzburzonego tłumku.

– Nie napierać! – krzyczeli czerwonoarmiści stojący na warcie.

– Gdzie jest Fania Borodina i pozostali? – zawołał ktoś po rosyjsku.

– My nic nie wiemy!

Klim i Janek przecisnęli się do bramy, pokazali przepustki i weszli na teren placówki.

Przy głównym wejściu spotkali nieznanego człowieka we frenczu.

– Towarzyszka Borodina i jej towarzysze byli tutaj, ale już wyjechali.

– Dokąd? – zdziwił się Klim. – Powinni tu czekać!

– Niestety, ale nie wiem.

– A gdzie Waldas?

– Także wyjechał.

– Lewkin?

– Wszyscy dotychczasowi pracownicy zostali ewakuowani do ZSRS.

Klim chwycił go za ramię.

– Kpicie sobie?! Gdzie są?!

Odepchnął człowieka we frenczu, wszedł do budynku i zaczął zaglądać do pokoi, gwałtownie otwierając drzwi. Przybiegli wartownicy, wykręcili Klimowi ręce i wyrzucili go za bramę.

Stał w hałaśliwym tłumie i patrzył na ogrodzenie, przypominające częstokół zbudowany z włóczni. Ninę gdzieś wywieźli, nie dając mu nawet z nią porozmawiać... Ale przecież to niemożliwe! Lewkin już dawno zrozumiał, że nie są tylko przyjaciółmi!

Tylko się rozminęliśmy – myślał Klim w rozterce. – Zhang Zuolin gotów przeczesać całe miasto, żeby tylko odnaleźć ich wszystkich. Gdzieś ich schowali, to dobrze... Trzeba tylko znaleźć adres!

Klim pobiegł do niemieckiej ambasady, ale niczego tam nie uzyskał. Jeden po drugim wymieniał pseudonimy Daniela Bernarda, jednak wartownicy odpowiadali, że nie mają pojęcia, kto to taki.

Przez dwa tygodnie Klim miotał się po mieście, próbując odnaleźć Ninę.

Bardzo żałował, że tak gwałtownie zachował się w sowieckim przedstawicielstwie i teraz w ogóle go nie wpuszczali do środka. Wiedział doskonale, że nikt mu nie powie, gdzie się ukrywa jego żona. Cały Pekin był oklejony portretami sprzedajnego sędziego i uwolnionych przez niego politycznych przestępców, a za ich głowy wyznaczono bajeczną nagrodę.

Klima ogarnęła czarna rozpacz. Siedział w pokoju hotelowym, mając nieśmiałą nadzieję, że ktoś do niego zadzwoni. Kilka razy upił się do utraty przytomności, potem ciężko chorował, znów godzinami włóczył się po mieście, nawet nie pamiętając, czego szuka. Wszystko, co zaszło, wydawało się majaczeniem w gorączce.

Wreszcie w drzwiach pokoju pojawił się Daniel Bernard, wychudły, nieogolony i zmordowany. Klim wstał na jego powitanie.

– Coś wiesz o mojej żonie?

Daniel pokręcił głową.

– Po drodze mówiłem sobie, że jeśli jeszcze nie wyjechałeś, to też jej nie znalazłeś. Cóż, będziemy zatem żyć przeszłością.

Wyjął z kieszeni sfatygowany notatnik *Zyski i straty*, otworzył go i wyrwał połowę zapelnionych stron.

– Masz tutaj część rosyjską, a ja zostawię sobie niemiecką.

Klim przewertował swój zniszczony dziennik. Po wewnętrznej stronie okładki były narysowane samoloty i kilka portretów Niny, nawet udanych.

– Szczęście to sztuka zachowywania dobrych wspomnień – powiedział Daniel. – Jeżeli masz o czym wspominać z miłością, to znaczy, że nie żyłeś na próżno.

Wyszedł, nie podając ręki Klimowi, a po chwili boy przyniósł telegram od Tamary: „Kitty bardzo za tobą tęskni. Wracaj prędko”.

Następnego dnia Klim kupił bilet do Szanghaju.

Epilog

Klim siedział w studiu przed mikrofonem i odczytywał wiadomości:

– W związku z konfliktem ZSRS z Wielką Brytanią i innymi mocarstwami, Rosja Sowiecka urządziła „Niedzielę dla obronności”. Ludność uczyła się strzelać i używać masek przeciwgazowych. W Wiedniu trwają walki policji z socjalistami...

Kiedy Klim pożegnał się już ze słuchaczami, zajrzał do niego don Fernando.

– Słyszałeś, co Marta wymyśliła? Jakiś typ chodził do jej burdelu i korzystał z dziewcząt na kredyt, którego nie spłacił. W ostatnią niedzielę poszła więc do kościoła, a kiedy zaczęli zbierać na ofiarę, wrzuciła do koszyka jego kwity. „Niech ten pan spłaci rachunki z domu publicznego jako datek na świątynię”.

Klim się roześmiał.

– Cóż za uroczy pomysł!

W tej chwili zauważył, że siedzący za szybą technik rozpaczliwie macha rękami.

– Oho, chyba zapomnieliśmy wyłączyć mikrofon.

Burbano najpierw się śmiał, potem kłął, a na koniec doszedł do wniosku, że tak jest dobrze, bo odtąd o tej wpadce będą ludzie rozmawiać w każdym tramwaju. Bezpłatna reklama!

Do studia weszła sekretarka Oleńka, kochanka don Fernanda. Trzymała rosyjską gazetę.

– Niech pan zobaczy, co piszą! Na pewno to pana zainteresuje.

Klim wziął gazetę i drgnął. Na pierwszej stronie zobaczył wielki nagłówek: „Uciezka od chińskich satrapów – wywiad z F. Borodiną”.

Fania opowiadała, że przez miesiąc, kiedy wszystkie dworce w Pekinie i drogi dojazdowe zostały zablokowane, razem z Niną Kupiną i kurierami dyplomatycznymi mieszkali u rosyjskiego orientalisty. Stopniowo niebezpieczeństwo minęło, a wtedy zbiegów wywieziono do ZSRS razem z dyplomatami, doradcami wojskowymi i ważnymi członkami Komunistycznej Partii Chin.

Klim wziął głęboki oddech. A zatem Nina przebywała teraz w Rosji...

Wstał.

– Muszę jechać.

Don Fernando chwycił go za rękaw.

– Znowu?! A gdzie cię niesie tym razem?

– Do sowieckiego konsulatu po wizę.

Klim dostał wizę dopiero w październiku i od razu kupił bilet na statek płynący do Władywostoku. Stamtąd koleją można było dotrzeć do Moskwy, w której Klim miał nadzieję odszukać Fanię Borodinę i dowiedzieć się o losy Niny.

Nie mógł zostawić Kitty na nie wiadomo jak długo, postanowił więc zabrać ją ze sobą. Wszyscy znajomi twierdzili, że to szaleństwo jechać do kraju rządzonego przez komunistycznych fanatyków. Docierały stamtąd przerażające wiadomości: w sklepach niczego nie można było kupić, wszędzie kolejki, a w hotelach ceny wyższe niż w najlepszych tego typu przybytkach Paryża i Nowego Jorku.

– Jeżeli chcesz popełnić samobójstwo, zapytaj Jednookiego, co i jak zrobić – warczał don Fernando. – On się na tym zna.

– Do ZSRS każdego roku przyjeżdża mnóstwo amerykańskich turystów, więc razem z Kitty rozplniemy się w ich tłumie – odparł Klim. – Już wpisałem ją do paszportu. To oczywiście wbrew prawu, ale kto o tym wie?

Klim wybierał się do ojczyzny jak na biegun. Służba zapakowała do dwunastu walizek konserwy, mydło, zmiany pościeli i inne zapasy na każdą okoliczność życia. Ludzie, którzy bywali w ZSRS, poradzili Klimowi ubierać się jak najbardziej szykownie, bo to w pewnym stopniu chroniło przed samowolą sowieckich naczelników, którzy bali się wchodzić w konflikty z ważnymi obcokrajowcami.

Na drogę do Moskwy Klim sprawił sobie i Kitty olśniewającą garderobę. Tony Allman zaniósł się śmiechem, kiedy w porcie zobaczył Klimę odzianego w elegancki ciemnoszary płaszcz, kapelusz homburg i drobno nakrapiany malinowy jedwabny szal.

– Widział pan, że przed chwilą zrobił panu zdjęcie sowiecki reporter? – szepnął Tony, wskazując młodego człowieka z aparatem. – Teraz pański portret ukaże się w jakimś sowieckim dzienniku z podpisem: „Okrutny wyzyskiwacz, żywiący się krwią ludu pracującego”.

– Skąd pan wie, że to sowiecki reporter? – spytał Klim.

– Przyjechał na spotkanie z moimi klientami, załogą Pamięci Lenina. – Tony wskazał grupę obszarpanych mężczyzn, stojących przy nabrzeżu. – Jak ostatni idiota wziąłem ich sprawę i przez pół roku jeździłem do więzienia. W Klubie Szanghajskim nikt teraz ze mną nie rozmawia, wszyscy uważają, że zaprzedałem się bolszewikom. A jak miałem odmówić, jeśli ludzie gnili w jakimś lochu bez dochodzenia i sądu? Aktu oskarżenia nie było, nie miałem punktu zaczepienia... Ledwo przekonałem Chińczyków, żeby deportowali Rosjan do ojczyzny.

– Proszę przekazać Tamarze ukłony ode mnie – powiedział Klim, ściskając jego rękę.

Oczy Tony’ego nabrały ciepłego wyrazu.

– Oczywiście, że przekażę.

Urzędnik celny zawołał go do marynarzy i adwokat pobiegł zadbać o podopiecznych.

– Panie Rogow, też pan wyjeżdża? – rozległ się kobiecy głos.

Klim się odwrócił i zobaczył Adę, ubraną w podróżny strój i pilśniowy kapelusz. Obok stał chiński chłopiec z sakwożaczami w rękach.

– Płyniemy z Samem do Ameryki – oświadczyła Ada. – Pani Bernard załatwiła nam wizy przez Ligę Moralnej Dobroczynności.

– Marzenie się spełniło? – Uśmiechnął się Klim.

Ada spojrzała na niego z dumą.

– Mnie zawsze wszystko się spełnia!

Kuter przewożący pasażerów na jednostki oceaniczne zabuczał syreną.

Ada się przeżegnała.

– To koniec, odpływamy. Da Bóg, zobaczymy się jeszcze kiedyś.

Sam chwycił wygodniej bagaż.

– Dokąd idziemy?

– Za mną.

Chłopak patrzył na dziewczynę zakochanymi oczami i wyglądał na nieskończenie szczęśliwego.

2 lutego 2008 – 6 listopada 2014

O AUTORCE

Urodziłam się w 1975 roku w Niżnym Nowogrodzie, w rodzinie, w której czas i pieniądze tracono na książki.

Moja młodość przypadła na okres przemian, dotychczasowe wartości legły w gruzach, a nowych nikt nie umiał wymyślić. Jeździłam konno, upajałam się pamiętnikami Ariadny Tyrkowej-Williams i starałam się nie patrzeć w stronę telewizora. Najciekawszym miejscem były dla mnie biblioteki z ich żeliwnymi schodami, tajemniczymi piwnicami i nieporównywalnym z niczym zapachem starych foliałów.

Pracowałam jako adwokat, wykładałam na uniwersytecie, w wolnym czasie zaś pisałam. To była długa i kręta droga, ze wzlotami, upadkami i reinkarnacjami.

Mój zawód to coś pośredniego między archeologią i alchemią. Wyciągam na boży świat dawno zapomniane materiały i mieszając niezliczone ingrediencje, poszukuję kamienia filozoficznego.

Kiedy napotykam nowy temat, wyruszam w drogę – do Chin, Argentyny albo Rosji – i starannie badam źródła, chodzę „po tych samych ulicach”, oddycham „tym samym powietrzem”, a potem wszystko umieszczam w książkach. Każda powieść to zbiór odkryć, którymi pragnę się podzielić z czytelnikiem, tchnąć w niego własną namiętność. Właśnie dlatego tracę wolny czas na pisanie. W pewnym sensie to wyprawa za siedem gór i rzek po żywą wodę, przewycięzanie trudności, a w końcu wielkie szczęście.

Obecnie mieszkam w Kalifornii, na przedmieściu Los Angeles. Życie upływa mi na siedzeniu w białym fotelu, przy biurku, przed dwoma ekranami i klawiaturą. Pracuję po osiem, dziesięć godzin dziennie, nie zawsze mając kontakt z rzeczywistością, a wynurzam się ze swoich światów tylko po to, żeby zaczerpnąć powietrza i powrócić w głębinę.

Moja oficjalna strona: www.baryakina.com

A na stronie www.avtoram.com możecie zapoznać się z moimi wykładami i artykułami na temat pisarskiego rzemiosła oraz biznesu.

Spis treści

Rozdział 1. Emigranci 1 2 3 4 5 6 Rozdział 2. Dom Nadziei 1 2 3 4 5 6 Rozdział 3. Obcy 1 2 3 4 5 6 Rozdział 4. Amerykański adwokat 1 2 3 4 5 6 Rozdział 5. Błękitny Ekspres 1 2 3 4 Rozdział 6. Byli małżonkowie 1 2 3 4 5 6 Rozdział 7. Awantura w restauracji 1 2 3 4 5 6 Rozdział 8. Polowanie na cudzego męża 1 2 3 4 5 Rozdział 9. Tylko przyjaźń 1 2 3 4 Rozdział 10. Kapitan policji 1 2 3 4 5 6 Rozdział 11. Areszt domowy 1 2 3 4 5 6 7 8 Rozdział 12. Dwie dziewczyny 1 2 3 4 5 6 Rozdział 13. Tajna operacja 1 2 3 4 5 6 Rozdział 14. Sztuka erotyczna 1 2 3 4 5 6 Rozdział 15. Zapiski zbiega 1 2 3 4 5 6 7 Rozdział 16. Chińska aktorka 1 2 3 4 5 6 Rozdział 17. Niemiecki agent 1 2 3 4 5 6 7 Rozdział 18. Yin i yang 1 2 3 4 5 Rozdział 19. Studencka demonstracja 1 2 3 4 5 Rozdział 20. Strajk generalny 1 2 3 4 5 Rozdział 21. Dowody materialne 1 2 3 4 5 6 8 Rozdział 22. Rosyjski najemnik 1 2 3 4 Rozdział 23. Radiowiec 1 2 3 4 5 Rozdział 24. Ekspedycja Północna 1 2 3 Rozdział 25. Boże Narodzenie 1 2 3 4 5 6 7 Rozdział 26. Żegnaj, Szanghaju! 1 2 3 4 5 Rozdział 27. Dawna stolica 1 2 3 4 Rozdział 28. Pociąg pancerny Wielki Mur 1 2 3 4 5 Rozdział 29. Incydent w Nankinie 1 2 3 4 5 6 Rozdział 30. Pekin 1 2 3 4 5 Rozdział 31. Sowieckie przedstawicielstwo dyplomatyczne 1 2 3 4 5 Rozdział 32. Wyrok 1 2 3 4 5 6 7 Epilog 1 2 O AUTORCE

